SEPARATKA

KONSTANCYA BIELSKA

SEPARATKA

POWIEŚĆ

Z PRZEDMOWĄ

GABRYELI ZAPOLSKIEJ

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK — THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.

DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE.
1912.

PRZEDMOWA.

Korektę Twej książki mam przed sobą, Siostro — korektę Twej książki... Bezdennie smutna ona, jak bezdennie od drobnego dziecka były oczy Twoje.

W niej świat bólu, protestu — jakiś szmer gnących się gałęzi drzew, które bezlitosny wicher ku ziemi nagina. Książka Twoja jest smutna nawskróś i bardzo piękna w swym smutku.

Jest przeżyta i prawdziwa, jest jedną z tych, które powinny być *livre de chevet* każdej panny na wydaniu. Może wtedy taka dziewczyna drżąca z pragnienia, aby wydać się za mąż — zechce poinformować się, pod jakimi warunkami idzie na to przepadłe i co właściwie ją czeka. Może zastanowi się pomiędzy jednym balem a młóceniem Szopena, że są niewielkie książki, zapisane paragrafami, że są całe światy, które są nienaruszone, i że te właśnie światy całe jądro jej życia tworzyć będą.

Należy się z nimi zapoznać, zapytać, co zrobić dla kobiety zamierzają, co jej wolno będzie uczynić w razie pomyłki — czego może się spodziewać, jeżeli sił jej nie starczy do zwalczenia własnego serca, własnych dążeń i namiętności?

Czy żywcem ma iść w trumnę i tam czekać, aż zarzucą ją kamienie tych, którzy są pełni winy i grzechu? Oto myśli, co w barwną powieściową formę ujęte dały obrazy pełne tragicznej prawdy i subtelnej uczuciowości.

To w sobie niesie Twoja Separatka, Siostro, to — i wiele jeszcze...

. . . .

Przez te stronice przewija się jak najpiękniejsza tęcza, rozpięta na gałęziach świerków, lśniących od rosy porannej — miłość bezbrzeżna, nieopisana dla przyrody i dla jej czaru. Dyszy ona świeżym oddechem pól i łąk, mieni się barwą prostych, żytnich kwiatów.

Jesteś mi z tem Twojem ukochaniem wsi — jak ongi przed laty — na kiwirzeckich polach, gdyś szła ku mnie, cała w blaskach słonecznych, z pękiem bławatków i maków w wyciągniętych rękach... I szłyśmy obie nad staw, który szumiał od tataraku i wodnych lilii — siadałyśmy pod wierzbami, patrzyły na srebro wody, na widmowe zjawy wsi poza stawem leżącej — i czekały, co nam życie przyniesie.

Przyniosło i mnie, i Tobie, Siostro, możność i prawo pisania o kobietach i ich życiu, o kobietach smutnych i dla kobiet smutnych.

Lecz kto wie, czy nie najlepsza cząstka przypadła nam w udziale, bo gdyby cień nie był przeszedł — przepych światła oczy-by blaskiem wyżarł!

Gabryela Zapolska.

Lwów—Krzywczyce 1912.

I

— Podpiszesz tylko swoje nazwisko na wekslu — mnie już prolongować żyd bestya nie chce — ot, i cała historya, zrozumiałaś? Nie patrzże tak na mnie z miną ofiary: śmieszna jesteś i głupia!...

Chodzi prędko, jakby gnany gorączką nerwową, wzdłuż małego gabinetu — wysoki, barczysty, silny, rosły; małe, skośne, szare oczy biegną ze złością w stronę pokoju, ku której padają jego słowa; usta wązkie, zacięte wyrzucają wyrazy jadowite, gnębiące, szyderskie — mężczyzna czuje, że nimi morduje, chłoszcze, teroryzuje, i to — sądząc z uśmiechu, który wykrzywia ironicznie zakrojone usta — sprawia mu widać szaloną radość.

A dziwnie, bo nieprzytulnie, martwo, jakby moralnie zimno w tym pokoju; niby to stanowi on kąt zamieszkany przez istoty ludzkie, a przecież jakże tu ponuro, posępnie... Ściany nagie, niczem nie ozdobione, swem stereotypowem obiciem w jakieś pstre, niegustowne bukiety przypominają banalny pokój drugorzędnego hotelu; gdzieniegdzie sterczy w murze gwóźdź, złotawym lub stali blaskiem połyskuje jego główka: to pozostałość po dawnych lokatorach, obecna zaś ozdoba mieszkania. Pod ścianami meble — biurko ordynarne, ot takie biurko, których czeredy zalegają tandety żydowskich

składów, pozuje na dąb, właściwie zaś jest to prosta sosna, okryta cieniutką warstwą dębowej powłoki — fałsz zewnętrzny, rozeschnięty już, spękany; analogii podobnego krzesła zabrakło widać, bo gięte, wiedeńskie ratuje sytuacyę. W jednym z kątów tego szumnie nazwanego gabinetu tkwi biblioteczna szafka: ta znów orzechem niedbale z lekka orzucona, rodzina jej snać tasama, co i biurka — dziwacznie pokręcona, fornir odstaje tu i owdzie, drzewo świeci bielą golizny; książki ani na lekarstwo — zupełna wewnątrz pustka; poco stoi — niewiadomo, ot, chyba, aby kąt zapełnić.

Bez nadającej cechę oryentalności otomany nie obyłoby się przecież, więc jest i ona, nieodrodna siostrzyca całości: trzy poduszki oparcia, tyleż siedzenia. Te, które stanowią plecy, śmiesznie, niby trzy balony, wydęte, wypychają nazewnątrz czerwone tulipany z bawełnianej, rzadkiej tkaniny; barwne, czerwieniące się nitki gdzieniegdzie przetyka słoma wyłażąca z wnętrza; melancholijnie za to opadają w nicość, a raczej w wyżłobione zapadnięcia, owe kielichy, bardziej w kolor nieokreślony przechodzące, kielichy ongi czerwonych tulipanów trzech poduszek siedzenia sofy. Szczególnie utrudzony nadmiernie, nad jego wątłe siły, a także zabłoconymi butami wymęczony jest jeden z chudych wałków: skazany on widocznie często na oparcie nóg, gwałtownie jego zapadłą powierzchnię kopiących.

Nie można powiedzieć, aby tapicer wysilał swą fantazyę bramując drzwi w draperye, festony i inne nadające pewną harmonię linie upiększenia ostrym konturom drzwi; gipiura lub osłony firanek nie otulają też okien — i drzwi i okna wieją otworami pustki, chłodu.

Uroczysty, sztywny piec pnie się ku górze kupą kafli; jakaś nieszczęsna rozkruszona galeryjka koroną wyszczerbionych róż stroi go na czubku.

Pod oknem, niewiadomo poco i dlaczego — bo nikt ani dziś, ani wczoraj nie przyjechał, ani też dziś lub jutro wyjeżdża — stoi tu stale od trzech miesięcy mały kuferek podróżny i sprzęt ten nadaje cechę całemu pokojowi, cechę jakby chwilowego w tych murach pobytu.

Pusto tu, martwo, lodowato; tylko wśród czterech gołych, nagich ścian szarpią się, wiją, syczą echem słowa:

— Nie patrz na mnie z miną ofiary: głupia jesteś i śmieszna...

Wślad za niemi:

— A kwitów lokatorom nie posyłaj; przyjdę, to sam je dam stróżowi... napisaćbyś nie umiała... albo zresztą lepiej napisz, a ja podpiszę i porozsyłam: niech będę choć przed stróżem, przed lokatorami czemś; niech im się zdaje, że jestem właścicielem tej marnej chałupy, choć nie ja, a ty rozsiadłaś się w hipotece i na karcie domu.

Owa »hipoteka« i »karta domu« są widać kulminacyjnym punktem złości tego człowieka: teraz szare, skośne oczy ciskają już błyskawice gniewu; ręce latają drżące, gdy szukać poczyna czegoś po szufladach biurka. Szarpie je gwałtownie; zawalone są pod sam wierzch rozmaitymi przedmiotami: wyrzuca z pasyą zawartość.

Cała góra poszarpanych w strzępy papierów, podarte koperty, czyste, brudne kołnierze, mankiety przelatują mu przez ręce; spinki, gwoździe, połamane papierosy, jakiś zamieniony w kupę szpargałów tom romansu, oblepiony obierzynami jabłek, skamieniałe okruchy cukierków, kilka pomiętych fotografii — wszystko pêle-mêle skłębione w jednym odmęcie, chaosie.

Część tej różnorodnej masy leci w gwałtownych podrygach z wysokości biurka na podłogę — syk wymysłów,

grad przekleństw sekunduje jej znakomicie. Wreszcie na samym dnie szuflady rozzieleniła się okładka kwitaryusza domowego. Reński porywa go z wnętrza i ciska na sukno stołu. Chce odejść, lecz pod nogami plącze mu się stos wyrzuconych przedmiotów; kopie je z wściekłością.

Teraz już pokój stanowi nowy teren poszukiwań: jak z procy wylatują balony sofy, obija o podłogę swe wychudzone członki nieszczęsny wałek, repertuar polskich i francuskich przekleństw doszczętnie wyczerpany — aż oto, w promieniu słonecznym, co lękliwie wkradł się przez okno, zaśmiał się w kątku celluloid w postaci małego grzebyka.

Rozpoczęła się tualeta. Wązkie, komicznie wykrzywiające twarz lusterko ścienne odbija wkrótce przecudnie dopełniony rozdział włosów, starannie z pietyzmem ułożone angielskie faworyty. Ze źródła wszelkich dóbr doczesnych... biurka — wypływa czysty kołnierz, mankiety, krawat, rękawiczki.

Jeszcze jedno spojrzenie w lustro.

— I teraz idź i orz w tem przeklętem biurze, dlatego, że się tak stryjaszkowi twemu podobało... A, żeby was dyabli wzięli!...

Wychodzi do przedpokoju, nakłada eleganckie, świeżuchne, jakby prosto z igły, palto o kołnierzu bobrowym, takąż czapkę; roztwiera drzwi, woła:

— A jak Raulsohn przyjdzie, to mu racz powiedzieć, że u Veilchenfelda będziemy o siódmej, i ty weksel podpiszesz — zrozumiałaś? Ty weksel podpiszesz... Kiwnijże choć głową, bo myśleć można, żeś skamieniała!...

Śmieje się szydersko, trzaska drzwiami z całej siły — ciężkie kroki rozległy się na schodach — za chwilę krzyk:

— Ty durniu jeden! czy ty słyszysz: ja twój pan, ja, właściciel domu — mnie masz słuchać!...

Wreszcie cisza, spokój.

Tylko niby węża sykiem, szarpią się, wiją słowa — weksel, prolongata, Raulsohn, Veilchenfeld... głupia, śmieszna... twoja hipoteka, twój dom...

Brutalne, dzikie, chłostające biczami duszę słowa — ironia pieszczoty, rozkoszy, pocałunków...

Kobiecie tej, która przywarła do ściany — rozpaczliwie, groźnie, straszno. Z wyrazem trwogi, bólu, co na twarzy jej wybladłej, zgnębionej odbija się tragicznie, w fałdach ciemnego szala zbliża się do biurka.

Idzie jak automat.

U drzwi lekkie pukanie. Otwiera.

Ruda, kędziorów pełna głowa wsuwa się zwolna, ostrożnie; nieufne, zdradzieckie oczki zatapiają się w kobiecie.

— Pana Reńskiego niema? — pyta Raulsohn.

— Niema.

— To szkoda, chciałem go widzieć — biegnie frasobliwie.

— Czemu pan nie dzwoni?

— Pan Reński kazał zawsze stukać.

Ruda głowa znika.

Kobieta powraca do biurka; chce ująć kwitaryusz.

— Kwity mam napisać... naturalnie, muszę napisać.

Głos jest młody ale bezdźwięczny, zmatowany smutkiem. Postać także młoda, ale pod ciężkiemi zwojami szala opada zmęczona, gnie się wyczerpana; z pod surowej, ciemnej wełny wynurza się jasny turkus materyi miękkiej, jasnej, wesołej — dusi ją ponura, posępna opona. W głosie zdławione nuty młode, radości i wesela pełne, dźwięczy tylko łza, błąka się niewymówiona skarga.

Przez obmarzłe szyby gabinetu skąpe zaledwo prze-

dziera się światło; okno jego uwięzione w kojcu miejskiego dziedzińca. Na tylną ścianę frontowego domu tłoczą się wysokie mury oficyn; kupa nastroszonych cegieł tworzy w tej śmiesznie małej przestrzeni ścisk murów; kamienne zbiorowiska następują na siebie, walczą o piędź ziemi, wypierają powietrze, tworzą mrok, gnają przez jaśń, słońce.

Ludzkie istoty, kołaczące się wśród tego ścisku murów, nie widząc słońca fali, orzucić powinny gamą słonecznych uśmiechów, czerpanych z dusz wnętrza, swe istnienia.

Ci ludzie tu, z tego gabinetu — ciemnię w głębi swej noszą, więc bezpamiętnie tu smutno, bezdennie, rozpaczliwie tęskno.

Duże czarne oczy kobiety smutnej i, jak jej środowisko, rozpaczliwie tęsknej, błądzą teraz wystraszone wśród adresów rozrzuconych na biurku kopert. Odrzuca je z odrazą.

Znów papiery; cały śmietnik warszawskiej Palestyny zatoczył na nich wonne koło; nazwisko Veilchenfeld, Rosenstrauch, Myrthenwald splatają się w strojną girlandę chałatów, przepojonych subtelnym aromatem cebuli, śledzi, czosnku; poza czarującem tłem kielichów róży, fiołków, poetycznej mirtu zieleni kryje się zazdrośnie wiązanka wytłuszczonych, brudnych pugilaresów; wnętrzności ich — to radosne, zwycięskie, cudnemi barwy olśniewające, zuchwałe tęczówki.

Śmieją się zdradziecko, kokieteryjnie, rozkosznie.

I w imię filuternych tych uśmiechów, na ćwiartkach, rozrzuconych wśród blatu biurka, widnieje rozpoczęta korespodencya. Zawsze jeden i ten sam *leitmotiv:*

»Raulsohn wskazał mi pana...« i t. d.

Styl nie zadawalniał widać wybrednego ich autora; niedokończone, zaśmiecają teraz biurko, wałęsają się wśród innych szpargałów. Kobieta odsuwa je spiesznie, ujmuje kwitaryusz. I z tej księgi wysuwają się znów przeróżne świstki.

Oto ładna, elegancka brystolu kartka opada tuż przy jej ręku. Kobieta z pod opuszczonych powiek poznaje, że karta ta jest czemś różnem od tylu innych kawałków papieru — rzuca na nią baczniej okiem i dostrzega wśród bieli gładkiego brystolu — słowo: Bal — a tuż pod nim biegnie ku niej data: 20 listopada 19.. roku.

Zadrżała.

Unosi kartę bliżej — i z bólem rozpalonego noża w sercu, wnika okiem w tę jaśń papieru, w tę czerń drukarskiej farby.

— Ta liczba... ten dzień!

Teraz stoi nieruchoma, zmartwiała; z hypnozą w oku przywarła do tej małej kartki.

A przecież to zwykłe zaproszenie, nic komu innemu nie mówiące, ot, zwykłe zaproszenie balowe.

Tak, mała kartka, lecz w niej zaranie szczęścia, miłości, upojenia!

Drapieżny sęp życia zdarł szponami swemi tę nić złotą, zgniótł blaski brylantowej uczuć tęczy, rozszarpał marzenia, zdeptał urok — czar, zdusił szczęścia promienie.

I żelazną, niezwalczoną kratą zda się być od szczęścia swego odcięta. Lecz z tej śmiertelnej grobowej mroczni, z tych draperyi osnuwających ją, ciemnych — wyrywa się cała ku niemu, ku słońcu temu, i w przefiltrowanym w brylancie serca swego blasku, widzi go znów jasno, odnajduje ten o rozwiewnych, w błękicie cudnych, delikatnych tonach, ten promień szczęścia swego.

Wszak rozbłysnął on niegdyś przed nią...

. . . .

I cicho, wolno, jak z głębi świetlistej, idzie jasność niezmierna, niby blask łagodny z rozmyślań i wspomnień utkany.

Wspomnienia, echo wspomnień!

Mdlejące szepty walca, upajająca, zawrotna woń róż, tuberoz, storczyków...

Melodya rozszemranej, wśród palm i zieleni poszycia drżącej srebrnemi nićmi — fontanny...

Kielichy marzących lilii białych, ametysty fiołków w zwojach iluzyi, jedwabi, atłasów...

Bajeczne tkaniny śnieżne, lub falujące zwoje piór strusich w tęczy perłowej masy wachlarzy.

Osnute mgłą spojrzenia, szepty, wyznania...

Rozmarzenie, zachwyt, czar...

To bal, to bal!...

I niby drżącej harfy dźwięki — ledwo dosłyszalne słowa:

Kocham Cię!...

I jak z drżącego, pod muśnięciem motyla skrzydła, kielicha kwiatu — zdjęte z ust jej słowa:

— Kocham Cię!...

A w wonnej, świetlanego czaru pełnej, zaczarowanej krainie srebrna harfa rozszerza jakby swe struny — pieści łagodnem:

— Ty urocza, ty wymarzona, ty moja!...

Rajska melodya cudnych słów pieśni...

I ten zachwyt, i to półomdlenie, którego wyrazić nikt i nic nie jest zdolne...

To półomdlenie przedziwne!

To półomdlenie rozkoszne!

Zamiera w niem treść, promienieją jeno spojrzenia.

To półomdlenie, co dyszy rozkoszą, czarem, zachwytem, mgłą zapamiętania rozum owiewa.

I płyną złudzenia chwile, godziny, dnie, cudnym w olśniewających połyskach perłom podobne.

Lecz oto gasną balowej sali światła, mdlejące walca nikną szepty, srebrnej fontanny nitki igrać przestają; ametysty fiołków, śnieżne lilie, iluzye, przezrocze tkaniny lub rozwiewne piór strusich zwoje, szepty, wyznania w bajeczną czarów ulatują krainę — zapada zmrok, ciemnia.

Z posępnej mroczni idzie zmora czarna, naga.

To życie, to rzeczywistość.

I kładzie swą kościstą, trupio zimną dłoń na czułych harfy strunach.

I harfa drży — mrozi ją lód, tłoczy ból.

Łamią się harfy struny.

I to jest przebudzenie.

Ach! to złe, tragiczne przebudzenie.

II

Reńskiego nie znał właściwie nikt w mieście. W towarzystwo wprowadzony został przez jakiegoś wszędobylskiego. Gdy zwrócono nań uwagę, zażądano od owego pana objaśnień: kim właściwie jest ów pan Reński. Niestety! przygodny opiekun informacyj wymaganych dać nie mógł, gdyż sam właściwie o Reńskim, którego poznał w restauracyi, nic absolutnie nie wiedział.

— Prosił mię o wprowadzenie w tutejsze towarzystwo — tłumaczył się zażenowany pieczeniarz — a że u Statnickich aranżowałem bal, a młodzieży brakowało — więc...

Jedna z mam, mająca kilka córek na wydaniu, rozpoczęła poszukiwania wiadomości o młodzieńcu, który po raz pierwszy ukazał się na horyzoncie karnawału warszawskiego; badano, kopano, — i dowiedziano się tyle tylko, że rodzice Reńskiego mieli małą wioskę w Poznańskiem; byli to ludzie

nieposzlakowanej uczciwości i ogólnie szanowani. Po śmierci Reńskiej mąż jej, unikając bolesnych wspomnień, opuścił Księstwo i z synem jedynakiem przeniósł się do Lwowa; w lat kilka zmarł; chłopcem zaopiekowała się daleka krewna z Sanockiego. Z tą właśnie chwilą wszelkie o nim wiadomości już giną.

Zadowolnić się należało tem, co wnioskować można było z jego osoby. Form był gładkich, dobrych manier, miał polor światowy, władał dość poprawnie językiem francuskim, przytem był eleganckim, szykownym brunetem. Nie narzucał się zbytnio ze swą osobą, nie posuwał w stronę bardzo bogatych i bardzo urodzonych *héritier*'ek, a choć mamy i ciocie spoglądałyby nawet mile na Reńskiego, bo miał w sobie dosyć wdzięku, brak jednak majątku usuwał go z roli możliwego epuzera dla córek ich lub siostrzenic; ponieważ wszakże on kandydatury swej w stronę pupilek ich nie stawiał, przeto uspokojone zapraszały go na wieczory, rauty, bale.

Sprytny, w lot zrozumiał, że od tytułowanych panien, choć te, walcując, uśmiechały się do niego mile, spotkałaby go rekuza; rozglądał się więc uważnie, gdzieby aspiracye swe mógł korzystniej skierować. Dbając o potrzebną mu przy małżeństwie reputacyę, nie rozbijał się, w karty nie grał, żadnego też skandalu nie rozpowiadano o nim. Robić właściwie nie robił nic, z czego żył także nie wiedziano, ale co to kogo w świecie tym obchodzić mogło. Żądano, aby był elegancki, wesoły, aby bawił panie, tańczył — oto wszystko, czego od niego wymagano.

I oto na balu na dobroczynność napotkał Jankę Molską. Posag — pięćdziesiąt tysięcy, dobra, szlachecka, ale bez fanaberyi pańskich rodzina; sierota, wychowana przez stryja, gołębiego serca i zacności człowieka, jedynie dla wprowadzenia w świat siostrzenicy przybyłego do Warszawy.

Molski cierpiał na serce, zalecano mu wyjazd do Kairu; sam na zabawach nie bywał, polecając opiekę nad Janką przybyłej z córkami krewnej, pani Wirskiej. I u niej to Janka w tradycyjnej bieli, znamionującej wejście w świat, spotkała się po raz pierwszy z Reńskim.

W mig zrozumiał, że tu, a nie gdzieindziej otwiera się przed nim właściwy teren działania; że tu, a nie gdzieindziej karyera jego życiowa zaczepić się winna. Czy na zawsze?...

O, tak poważnie nie myślał; on zawsze w życiu wyszukiwał jakichś pęcherzy ratunkowych, mocą których bodajby chwilowo utrzymywał się na powierzchni życiowej wesoło, wygodnie, a przedewszystkiem bez zadania sobie najlżejszego trudu.

Dewiza absolutnego próżnowania przyświecała mu od lat najmłodszych. W zakładzie naukowym zaledwie był tolerowany; w każdej niemal z klas wyższych siedział po dwa lata, a przepychany bywał jedynie za cenę starań najprzód ojca, a po jego śmierci dalekiej krewnej.

Doszedłszy do pełnoletności, wybił się już zupełnie z pod jej opieki; odebrał dziesięć tysięcy guldenów, pozostałych po rodzicach, i puścił je tak prędko w kurs, że już w dwa lata znalazł się zupełnie goły na wiedeńskim bruku. Od czegóż jednak uroda, młodość i niepośledni spryt?... Spieniężył też te wszystkie zalety, ofiarowując swe usługi w charakterze lektora jakiejś nudzącej się baronowej.

I przez lat dwa boczne wejście eleganckiej *garçonier'*y na Spiegelgasse uchylała, w paryską rękawiczkę odziana, rączka pani Stelli. W godzinach tych, gdy z racyi szczelnie pospuszczanych stor, nawet półmrok nie śmiał płoszyć cieni, zalegających gniazdko, uwite dla wdzięcznego chłopczyka, odstępowano nieco od warunków przywiązanych do zajęć lektora.

Baronowa wolała sama występować w charakterze heroiny romansu; rola ta bawiła ją nieskończenie więcej, aniżeli dzieje Bourget'owskiej, lub z powieści Loys'a zaczerpniętej bohaterki.

Partner jej wywiązywał się ze swego zadania *à ravir,* jak zwierzała się pani Stella w momentach konfidencyi swej przyjaciółce.

On zaś ze swej strony, w wolnych od obowiązku chwilach, chyłkiem pomykał na Operngasse i uchylał też boczne drzwiczki kapitonowanej atłasem bombonierki, gdzie na tle pluszu i jedwabiu wałęsało się biało-różowe ciało metresy jego Mitzi.

Na opłacenie zbytku i niebywałej rozrzutności wiedeńskiej dziewczyny — starczyło mu zawsze. Elegancki *coffre-fort* pani Stelli otwierał szeroko swe objęcia, zapychając kieszenie Reńskiego owocami jego urody i sprytu.

Czas schodził wybornie.

Trójka żyła wesoło, hulaszczo; każdej z tych jednostek było swojsko i sympatycznie w atmosferze zbytku i rozpusty.

Tylko, niestety! gdy wieczoru jednego rozpalona rączka baronowej zamykała już boczne wejście eleganckiego na Spiegelgasse apartamenciku — piękna jej właścicielka uczuła się doszczętnie wyczerpaną.

Gorączka ją trawiła — gorączka rozpalona w jej żyłach namiętnymi uściskami lektora.

Upadła bez sił i pamięci na złotem hafowane poduszki powozu i omdlewającym głosem zawołała:

— Do Prateru!...

Para pysznych gniadoszów ruszyła z miejsca.

Pocałunki, niby rzeka rozpalonej, ognistej lawy, parzyły wciąż usta baronowej. Dreszcz pożądania miłosnego szalenie

podrażnionej kobiety, przebiegał ją od stóp do głowy. Przeciągała się rozkosznie, wspominając ten wyrafinowany, jakby do artyzmu posunięty odcień rozpusty Reńskiego. Coraz stawał się innym, coraz nowym, bardziej nieoczekiwanym, a, podniecając ją ustawicznie, dawał jej niespodzianki. — W tem cały urok, cała rozkosz.

Baronowa czuła się tak chorobliwie podniecona, że zaniedbała dziś zwykłego trybu życia.

Ostrożności, które ze względu na towarzyszącą jej służbę zachowywała, zaniechała także.

Jadąc na schadzkę, ostentacyjnie zawsze wymawiała adres modniarki, zamieszkującej pierwsze piętro domu na Spiegelgasse. Zwykle też po odurzającej kąpieli zmysłów szła do Madame Berte i już od niej, wraz z pudłami wynoszonemi do powozu, ukazywała się z frontowych drzwi kamienicy.

Dziś i do modniarki nie zachodzi i do domu nie powraca, — czuje potrzebę odetchnięcia świeżem powietrzem! Uczucie rozkoszy jest tak silne, że ją wprost dusi. — Zamglonemi oczyma wodzi dokoła.

Już wjeżdża na Opernring. Oto równa się z przejeżdżającym zakrytym pojazdem.

Przez okno małego lando dostrzegła wyraźnie sylwetkę Reńskiego.

— Tak, to on niezawodnie, gdzie jedzie?

Owładnęła ją ciekawość.

Każe jechać za karetką — pogoń trwa niedługo — pojazd zatrzymuje się przed jedną z Opernringu kamienic. Baronowa spostrzega u drzwi podjazdu tego domu fertyczną subretkę; na widok zatrzymującego się powozu szybko wbiega ona do bramy.

I oto z szelestem jedwabi ukazuje się jaskrawo, krzy-

cząco ustrojona kobieta, w rozwarte przez Reńskiego drzwiczki rzuca się szybko, a następnie w ramiona mu opada...

Najdokładniej scena ta wdziera się w oczy baronowej. Gorące jeszcze od pieszczot i pocałunków ciało szarpie nią każdym nerwem, złością wre kobieta, — żarząca się krew zalewa wściekłością zawiedzionej namiętności zmysły baronowej.

Momentalnie powraca na Spiegelgasse. — Wnętrze kawalerskiego mieszkanka tchnie jeszcze zmysłową orgią. W powietrzu duszący zapach heliotropu, tuberozy, parmeńskich fiołków.

Przed roziskrzonemi złością oczami śmieje się wytworne gniazdko, błyszczy połyskiem aksamitu puch opony czarnego futra. Opada on lśniący z kuszetki, cały jeszcze tchnie wonią jej ciała; złociste, lilijowe, płomienne kwiaty rozrzucone dokoła. Pęk białych lotnych anemonów, niby rój motyli, lekki w śnieżno białych płatkach, odcina się srebrzysty wśród połyskującej czerni...

I właśnie ku białym tym gwiazdkom rzuca się baronowa jak oszalała. Wspomniała piekielnie drażniącą pieszczotę — rwie anemony w strzępy, depcze je nogami.

— Pomysły Mitzi Gall — woła...

Poznała wsiadającą do karety Reńskiego kokotę. Nie tak dawno w teatrze wskazywano ją jako gwiazdę *demimondu,* słynącą w Wiedniu z wyuzdania.

Baronowa podbiegła szybko ku małemu gerydonikowi; na nim składała zawsze kartkę z datą następnej schadzki. I teraz bierze ten skrawek papieru, z pasyą drze go w kawałki, a natomiast na innym pisze:

— *À jamais canaille!...*

Ostatnie podkreśliła dwukrotnie...

To jej sprawia ulgę.

Myśl, że Reński znajdzie się na bruku bez grosza, a także i Mitzi, którą ona dotąd tuczyła i stroiła, sprawia jej całą gamę rozkosznej uciechy. Powraca do domu, a temu panu lektorowi, cierpiącemu na jakąś chroniczną chrypkę, tak, że czytać wprost nie może, zostaje odesłany czek na trzymiesięczną gażę — zwrócić się o nią może do kasyera banku.

Mizerne sto pięćdziesiąt guldenów — istna ironia!

Reński wyleciał z *garçonier*'y, — Mitzi z tła pluszu i atłasu.

I właśnie tylko ta oprawa, sprzedana za bezcen, pozostała mu w spadku. — Próbował szantażu, baronowi zaprezentował kartki z datą schadzek, baronowa była sprytna, pismo zmieniała, więc też nic nie uzyskawszy, wraz z niemi wyleciał za drzwi. Uderzył w pokorę — pisał do swej opiekunki płaczliwe listy — milczenie wzgardliwe stało mu za słowo odpowiedzi.

Chciał uwić nowe gniazdko...

Wspomniał przyjaciółki baronowej, narzucił ich uwadze swój piękny wzrost, barczyste plecy, krucze włosy i lśniące, pięknie ułożone bokobrody.

Panie te widać były już jednak należycie obsłużone, bo uwagą ich przechodziła obojętnie obok urody Reńskiego.

Ogarnęła go troska o jutro — z nią istna dla próżniaka rozpacz.

Za ostatnie pieniądze, pierwszą klasą, bo jakże inaczej mógłby taki panicz jeździć — wyruszył w Sanockie i tam spłynął w objęcia rodziny, reprezentowanej przez dawną swą opiekunkę Górecką.

— Nie mogłem, widzi ciocia, wysługiwać się żydom. W braku innego, przyjąłem w kantorze w Wiedniu zajęcie — opowiadał. — Cóż jednak poradzić, krew moja szlachecka

burzyła się, natura wzdrygała, te geszefty bankierskie zabijały mnie, więc...

Ciocia podzielała oburzenie krewnego.

— Tak, naturalnie, to nie dla nas, szlachty, poświęć się lepiej rolnictwu, — tu w sąsiedztwie u Kierskich potrzebują zarządzającego.

— Wieś — to nie dla mnie życie. To jakaś wegetacya cicha, bez żadnych widoków na przyszłość. Ludzie znajdują, że mam uzdolnienia w kierunku dyplomatycznym, że to dla mnie byłaby karyera, — niech mi ciocia wierzy, mógłbym zostać ministrem...

Oczekując teki ministeryalnej, siedział na łaskawym chlebie, nudząc się piekielnie w otoczeniu ciotki, proboszcza i starego rządcy.

Teka jednak, a raczej propozycya objęcia jej opóźniała się jakoś, więc uzdolniona w kierunku dyplomatycznym tak znakomicie głowa — poczęła obmyślać nowe plany.

I pewnego ranka piękny, a roztropny panicz zdobył się na rozpaczliwe, ale już jedyne w jego opłakanych warunkach postanowienie.

— Muszę się ożenić — powiedział sobie z rezygnacyą.

Wstrętem przejmowała go myśl konkurów, zastosowanie swej rozwichrzonej natury do wymagań konieczności.

Jednak musi, trudno, — idzie tylko o to, aby swą nadobną osobę jaknajlepiej sprzedać, i teraz pytanie: na jakim rynku ten geszefcik przeprowadzić?

Miał liczne znajomości w kole starozakonnych, a więc udał się do jednego z lichwiarzy wiedeńskich, prosząc go w imię tych procentów, które z niego dawniej zdzierał, o poinformowanie się u swych warszawskich kolegów, czy też

w mieście tem można taki matrymonialny interes przeprowadzić.

W odpowiedzi otrzymuje adres warszawskiego faktora.

I oto — lansowany przez synów Izraela, zaopatrzony w potrzebną mamonę — znalazł się Reński na warszawskim bruku.

Sprytnie, i we właściwem miejscu zarzuca sieć.

Łatwowierny starzec i dziewczyna o prostem, wierzącem sercu omotali się w więzy wiedeńskiego dyplomaty. Ten wcześnie osierocony, pozbawiony ciepła rodzinnego chłopak, pełen chęci do pracy, szczery, otwarty, serdeczny — tak przytem garnący się do nich, zrobił i na Molskim i na Jance jaknajmilsze wrażenie. Molski pragnie przyjść mu z pomocą.

Ze zręcznych opowiadań Reńskiego znał już trudne warunki, w jakich mu życie wrzekomo upływało. Janka niosła mu uczucie serdeczne, którego od najmłodszych lat — jak mówił — był pozbawiony.

Mimo, że kwalifikacye naukowe Reńskiego okazały się dość słabe, Molski przez protekcyę posadę w biurze mu wyrobił.

Jakaż to była radość!...

Reński rzucił się z zapałem do pracy. Ranki spędza w biurze — wieczory przy Jance.

Molski z radością widział, jak z początkowej sympatyi, uczucia Janki, pod wpływem coraz poważniej zaznaczających się zacnych życiowych tendencyi Reńskiego — przeradzały się w miłość, wykwitającą słodko, łagodnie w sercu siostrzenicy.

I gdy Reński bardzo nieśmiało o rękę jej prosi, Molski, składając przyszłość Janki w jego dłonie, spokojnym jest zupełnie. Za szczęście, które wychowanicy na drodze jej życia

zaświeciło, Panu Bogu dziękuje i do zwykłych pacierzy jeszcze koronkę dziękczynną przyłącza.

Teraz o ulokowanie posagu siostrzenicy troszczyć się poczyna.

Reński o pieniądzach tych słuchać nie chce.

— Widzi pan, jak gorliwie pracuję, nietylko ranki, ale i popołudnia w biurze spędzam, awans prędki uzyskam. Przytem i w Galicyi mam na hipotece ulokowane dziesięć tysięcy guldenów, — nie oglądam się za posagiem. Moje ramiona silne — dodał — i bodajby kamienie tłuc będę, a panna Janina, choćby swojego grosza nie miała, biedy nie zazna. Ot, całe nieszczęście z tym posagiem — wzdychał — niech mię pan od tego ciężaru uwolni.

Ale Molski od wyposażenia siostrzenicy odstąpić nie chce.

Janka prosi o kupno wsi.

Dziecinne jej lata ubiegły wśród pól i łąk.

Wspomnienia te drogie jej są — ciągnie ją do wsi.

Lecz tu już narzeczony stanowczo prosi o pozostanie w mieście:

— Teraz dopiero wszedłem na drogę rzeczywistej pracy i to takiej, która mnie zadowolenie niesie — mówił — przyszłość zabezpieczy, więc proszę zaniechać wyjazdu na wieś. Tam musiałbym z konieczności nic nie robić, bo pojęcia o gospodarstwie nie mam!

Wywody są logiczne, Janka ustępuje, i Molski nabywa ładną miejską posesyę, składającą się z czteropiętrowej kamienicy i takiejże oficyny.

Podczas cichej Mszy świętej młodzi przystępują do ołtarza.

Janka promienieje radością.

Reński wdziewa maskę skupienia, powagi.

Po tygodniu odprowadzają stryja na dworzec kolejowy.

Molski odjeżdża na zimowy pobyt do Kairu, zostawia siostrzenicę w zacnych rękach.

Ufnym, spokojnym też jest i szczęśliwym.

III

A jednak już wtedy, na dworcu kolejowym, gdy, widząc uchodzącą w dal sylwetkę stryja, Janka zrozumiała, że wszystko dobre, kochane z życia jej znika — wołać i krzyczeć chciała:

— Ja nie mogę, nie chcę zostać tu, z tym człowiekiem.

On — to zło, to fałsz, to kłamstwo!

Krzyk ten rozpaczny dławił ją, dusił, a przecież niewyrzucony w gardle uwięznąć musiał.

Twarz jej krzywiła się w jakimś uśmiechu: skurczu bolesnym raczej, niż radosnym; ręka nerwowo zaciskała się pod ramieniem męża.

Reński rozpromieniony żartował, rozmawiając wesoło ze stryjem.

Komedya udawania, ciążąca na obojgu, skończyła się z chwilą, gdy wagony ruszyły z miejsca, a w blasku słonecznym zaciemniała ręka Molskiego, kreślącego z oddali znak krzyża — błogosławieństwa dla pozostałych.

I teraz rozciąga się już nad nią jedynie atmosfera ołowiana szalonego rozdźwięku. Straszny, brutalny wdarł się on między nią, a męża. Prysły wszelkie dotąd tak harmonijnie wiążące ich nici, opadła nalepiona sztucznie na twarz i duszę Reńskiego maska. Druty, podtrzymujące ją dotąd, przecięte ostrzem ironii, szyderstwa zerwały się nagle, rwąc

w strzępy duszę kobiety, zanurzając kaleczące ostrza w jej delikatne, subtelne, osnute całą bielą świeżości, uczucia.

Wierzenia, zasady, zdania dawniej im tak wspólne, — dogmat, ideał, w którym dusza ich odnajdywała się — teraz, wraz ze starą, dobytą z kuferka garderobą niepotrzebną, bo zużytą, wyrzucone zostały, jako przedmioty już zbyteczne.

— I jedne i drugie spełniły zadanie, niech w kąt idą — mówi cynicznie Reński.

Jest ustawicznie zły, cierpki, niezadowolony; w domu prawie go niema; po kilku wieczorach, spędzonych na ziewaniu, teraz przychodzi późno bardzo; Janka słyszy, jak powraca nad ranem i nie rozbierając się, rzuca na otomanę w gabinecie.

Każda rozmowa, jeśli raczy ją prowadzić, każdy posiłek, jeśli raczy go spożyć w domu, kończy się zawsze wyrzutami dla stryja za idyotyczne ulokowanie jej posagu. On znalazłby stokroć lepszą lokatę.

— Nie narzucałem się z radami — woła — a nie mieliście tyle delikatności, aby mi te głupie pieniądze zaufać! Chciało ci się figurować w hipotece i na karcie domu — kończył w pasyi.

I tak od dwóch miesięcy, codzień, codzień ona tego wysłuchiwać musi.

Konkluzya łatwa do pojęcia:

— Dom sprzedaj, a ja już zajmę się tą mizerną sumką. Cztery razy tyle byłbym dostał za Hirszówną: widziałaś, jak oglądała się za mną. I głupi byłem... No, teraz zapóźno!...

A szkoda, jaka szkoda!

— A przecież domu nie sprzedam — tkwi uparcie w głowie Janki. — Nie, za nic nie sprzedam... wolę już ten weksel podpisać...

— Raulsohna nie uprzedziłam — przypomina sobie.

Stoi chwilę zaniepokojona. Oczami bezwiednemi ogarnia gabinet.

— Co za pustka, co za trywialność w urządzeniu, jakie to wstrętne! — myśli.

Porwała się szybko, jakby zadrżała w niej każda fibra, i wołała:

— Idź stąd, idź!...

Wsunęła się do sypialni...

Opłynęła ją atmosfera miła, łagodna, pełna wykwintu i elegancyi.

Z fałd firanek koronkowych biegną, złagodzone niebieskim adamaszkiem stor, promienie słoneczne wyiskrzonego dnia lutowego. Załamały się wśród kryształu tualetowego lustra, odbiły w obramowaniu takichże draperyi błękitnych. Wytworne, trzymane w delikatnych tonach białego drzewa nizkie łóżka, zwierciadlana szafa, kryte jedwabiem kuszetki, pufy, stanowią całość harmonijną, pełną wdzięku i wesołej jaśni.

Janka z uczuciem ulgi wsuwa się w ten swój kąt, urządzony staraniem stryja — to jej wyprawna sypialnia.

W pierwszej chwili doznaje miłego uczucia. Znalazła się w przytulnem miejscu. Niestety, wzrok wybiega znów dalej, po przez otwarte drzwi majaczy tandeciane, krzywe umeblowanie salonu.

— Istny skład mebli żydowskich, niegustownych, tanich — woła jej duch żądny piękna i pełen estetycznych pożądań.

Bardzo subtelna w uczuciach, pastelowo miękką ma też i powierzchowność.

Smukła, jakby owiana sentymentalizmem, o twarzyczce małej, rysach bardzo delikatnych.

Z usposobienia trochę nieśmiała, jakby strwożona, zalękniona — wepchnięta teraz w treść istnienia, co jakiemiś ukąszeniami żmii wgryza się w jej serce, obraca się w tem środowisku, jak zesztywniała, wśród rozbitych i potrzaskanych marzeń i urojeń.

Ten krąg mebli, rozrzuconych po kątach, okrutnie ciągnie jej wzrok i, męcząc, przykuwa do siebie. Zdaje się obległy ją zwartem kołem, śmieją się z jej bezsilności i osamotnienia.

Bo i kogoż ona ma?

— Stryj... tak, poczciwy, dobry stryj — myśli.

Oczy jej łzą ciemnieją.

— Słowo prawdy i umarłby ze zgryzoty!

Zwraca uwagę w stronę ciotki...

Błysk bolesnego uśmiechu: — Egoistka!

I powtórzyła sobie po raz setny:

— Sama jestem, zupełnie sama!...

Rękami zakrywa pobladłą twarz i rozpalone żelazo nieszczęsnego osamotnienia, zupełnej pustki pcha się znów w jej serce.

Ciężko opadają powieki, usta stygną w bolesnym skurczu.

— Dziś znów ci żydzi, ten weksel — myśli. — Raulsohna nie uprzedziłam... wraca uparcie.

Wczoraj właśnie rzucił jej Reński krótko, że musi pożyczyć u niego trzysta rubli. Żyd nie chce prolongować sumy dawniej u niego pożyczonej.

Żadnych szczegółów, detali, nic więcej...

— Pożyczysz i basta!

— Może na jego usposobienie wpływa właśnie ten dług, może to go tak męczy — przepłynęło w znużonym mózgu Janki, gdy usłyszała słowa męża.

— Może, może... spłacę więc ja... Tylko — zadźwięczało w niej pytanie — po co pożyczał? Przecież ma tę sumkę, ulokowaną na hipotece w Galicyi.

Uśmiechnęła się gorzko. Zrozumiała, że ów kapitał należy do krainy mitów, tak jak słowa miłości, i wszystko, co w tym człowieku istniało wprzódy!

Zahuczało jej w sercu, zaszumiało w głowie:

— Przecież złączyliśmy się na życie całe, więc należy utworzyć jakieś życie, łatać jakoś...

Gorzkie, ciężkie łzy, strasznym kamiennym smutkiem tłocząc, zapadają w jej młode serce.

— Może, może, gdy pozbędzie się tego długu, stanie się innym.

Za wszelką cenę chce wmówić w siebie nadzieję, odrobinę spokoju.

Wszystko w niej przeczy — ona drętwieje — schwytana, całą siłą pchana ku czemuś nieznanemu, co straszne, druzgocące, chłonie ją, dusi!

I teraz, gdy z pomocą przyjść pragnie, czuje, że pomoc ta, to jej usiłowanie, w niczem trybów, które, szarpiąc, zaciskają się dokoła jej życia, nie rozluźni, że ona w tej przemocy, w tym gwałcie życiowym zginąć będzie musiała, musiała!...

IV

Pierwsza wizyta poślubna państwa Reńskich.

Godzina dziewiąta wieczór. Trochę nadwerężona jednokonka, zalana deszczem i obłocona — koń nieszczęsny, ledwo wlokący się chabet — dzielnica miasta oddalona od eleganckiej jego części, ba! nawet porządnie oddalona — powietrze

przesiąknięte ostrą wonią cebuli, czosnku; mieszkańcy o wydatnych nosach, przenikliwych oczach, całej masie sprytu, uwydatniającego się w nieuczciwych geszeftach. Tu paser, tu lichwiarz, tu *madame*, wypożyczająca panienki w domu i na miasto, i tak w każdej naprzemian kamienicy; dzielnica wprost niebezpieczna, nawiedzana przez złodziei, skradających się tu z łupem po nocy, do dobroczyńców — paserów.

I tych dwoje wciśniętych w dwa kąty dorożki.

Przestrzeń mała, a jednak Jance zdaje się, że między nią a tym człowiekiem jakaś wielka, głęboka, niezmierzona przepaść!

. . . .

Pierwsza poślubna wizyta...

. . . .

Zaciszny salonik stryja. Cała masa zieleni i kwiatów. Ukryte wśród nich pianino.

Przyciemnione różowym abażurem światło kinkietu — cisza — spokój — nastrój...

Leciuchne tony Nocturnu Chopina milkną w powietrzu...

Ona, Janka, w lekkiej liliowej grenadinie, ujętej w pasie wstążką, z opuszczonym na plecy grubym, o popielatej barwie, warkoczem — składa ręce na bieli klawiszów, odwraca się, uśmiecha ślicznie, delikatnie, jak kwiat, na który padły różane płomienie słońca.

Ten, ku któremu uśmiech ten wysyła, stoi bliziuchno. Ujmuje złożone na klawiszach dłonie, — całuje je długo, gorąco.

Chwila jest dobra, łagodna, owiana spokojnym, cichym sentymentem.

Janka sercem całem ku uczuciu temu wybiega.

Pieści się niem i marzy o całym szeregu takich dobrych, rozkosznych chwil...

To śliczne uczucie rozwija się w niej, jak kwiat, podzielane przez narzeczonego, — czyni ją nad wyraz szczęśliwą...

Na ustach jego też wykwita ku niej miłosne spojrzenie.

Snują całą sieć marzeń...

I teraz Janka pochyla ku niemu główkę i pyta:

— Więc te wizyty poślubne to już konieczne, więc obyć się bez tego nie można?

W głosie jej drga żal i jakby prośba, aby obyć się właśnie bez tego było można.

— Nie, nie — przerywa jej żywo mężczyzna — to konieczne. Tylko nie zaraz. — I patrzy jej głęboko w oczy.

Ona płoni się, opuszcza głowę.

— Nie zaraz — powtarza, pieszcząc jej ręce. — Ja muszę się wprzód nacieszyć śliczną żoneczką, dobrą, miluchną, rozkochać ją na dobre, a potem dopiero moim znajomym pokazać, — całuje znów ręce — aby i oni ją pokochali — dokończył wesoło.

Odrzuciła mu uśmiech uroczy, wdzięczny.

On zaś mówił teraz poważnie:

— Zupełnie zaniedbałem stosunki ze światem, to jest takie stosunki bardziej serdeczne; przytem znajomych moich w mieście zupełnie niema. Sfera ziemiańska będzie naszym światem; ci wszyscy, których znam, są teraz jeszcze na wsi. Zanieccy, Bodzińscy, Kwileccy także wypisani są na planie naszych poślubnych wizyt, więc i w hig-lifie panna Janka bywać będzie. Czy zgoda? — pytał.

Janka chwilę myśli, przeżywa coś we wnętrzu swej istoty, staje się także poważną.

— Tak, ale te wysokie stosunki, to wielki koszt. A my...

— I mieszkanko mamy niewielkie, no i nie stać nas będzie na przyjęcia...

Wstaje od pianina.

On ujmuje ją pod ramię, chodzą po miękkim, puszystym dywanie.

Lubią bardzo te poufne chwile, w których plany przyszłego życia, już z mglistych najpierw konturów, zarysowywały się coraz jaśniej, a teraz, uwypuklone już, stoją przed niemi wyraźne, dobyte na wolność, bez jednej chmurki, bez najlżejszego zgrzytu.

— Taka cudna, słodka kobietka stanie znajomym moim za wspaniałe apartamenty i wystawne bale.

Jakby w podzięce za dobre słowa, ona tuli się ku niemu, ogarniając go, jakby lekką tkaniną swej liliowej sukni.

On garnie ją ku sobie...

Różowe, leciuchne blaski padają na nich oboje. Cudne tło dla tych dwóch pięknych postaci ludzkich.

Stoją w progu życia z uśmiechem szczęścia i rozkoszy na ustach i w oczach.

— Przytem — podejmuje znów Janka — ja świata nie chcę. Mój świat, moje szczęście, to dom, to gniazdeczko, które wymarzyliśmy razem. — Mówi serdecznie, słodko i patrzy narzeczonemu w oczy.

Pan utrzymuje także, że w życiu rodzinnem widzi swój ideał, więc urywa, a potem dodaje:

— Jaka jednak między nami istnieje spójnia duchowa, jak my się rozumiemy.

— Tak — odrzuca mężczyzna — ja, poza harmonią twych kształtów, odnalazłem w tobie i kształt duchowy po-

dobny mojemu, to czyni nasze szczęście takie pełne i doskonałe.

Gdy żegnać ją zaczyna, żal ją zdejmuje.

— Dlaczego — pytała — dlaczego dziś tak wcześnie?

— Obowiązek — przyciska rączkę do ust — obowiązek. Moja pani chyba mnie za to nie potępi. Biurowa robota, chcę być akuratnym, muszę uzyskać awans, muszę pracować!

— Tak, tak — mówi mu ona łagodnie. — Pan na szerszem polu, — ja w domu przy farturszku.

Jeszcze jeden uśmiech, jeszcze jedno serdeczne:

— Do widzenia! do jutra!...

. . . .

Do zapełniającej się wyprawą szafy przybywa jeszcze śliczna wizytowa tualeta z czarnego miękkiego aksamitu, takiż tok przybrany białemi piórami strusiemi. Bardzo wytworna, na pozór skromna, spokojna, lecz wykwintna tualeta.

— W sam raz do wizyt poślubnych — objaśnia modniarka.

. . . .

Dorożka wpada na sterczące oślizgłe kamienie. Jeden z nich śmielej swą obecność zaznaczył. Nadwerężone koło trzeszczy — dorożka przechyla się nagle.

Janka jednym jej rzutem skłania się w stronę Reńskiego, mimowoli wydaje lekki okrzyk przestrachu.

— Czego krzyczysz — burknął na nią. Jak ty jeździsz, błaźnie jeden! — wrzeszczy na dorożkarza — jeździć nie umiesz. Nauczę cię w cyrkule!

— Jeździć umiem — odcina się hardo woźnica — ino po takich wertepach, gdzie bruk gałgański, nie zwyczajnym...

Porządne państwo — mruczy niby to ciszej, ale z intencyą, by być słyszanym — po takich kątach się nie włóczą.

Dorożka miota się znów w konwulsyjnych podskokach, zapuszczają się w coraz większą nędzę miasta.

Jakieś szare, niewyraźne indywidua pomykają tu i tam, głucho zresztą jest i pusto.

Kamieniczka jednopiętrowa, brudna, odrapana, na niej numer czwarty.

Woźnica przystaje.

Z pod opuszczonej budy, ociekającej wodą mętną, wytworzoną z kurzu i deszczu, wynurza się Reński.

Idzie naprzód. Kobieta podąża za nim.

Wsuwają się do niskiej, wąskiej, zatęchłej sionki. Woń zgnilizny, cebuli zapiera oddech, dusi.

Ciemno. Jakaś odrobina oleju podsyca cieniuchny knotek tkwiący w butelce. Polana drzewa, miotła, szczotka, balia, łóżko połamane,

Janka potyka się co chwila.

Komfort, czystość, porządek żydowskiej kamienicy w pełni. Wreszcie w drganiach silniejszych, ostatnich podrygach dogasającej lampki — istota ludzka — kobieta schodzi ze stromych, podziurawionych stopni. Przejście wązkie. Ociera się o Jankę. Blansz pomieszany z różem wyziera z bezczelnej twarzy.

Uśmiech zwrócony do Reńskiego. Przerażona Janka usuwa się raptownie.

Dziewczyna przechodzi.

— Jak ją poderwało — drwi Reński. — Cóż ty nigdy nie widziałaś prostytutki?

Widzi, że Janka aż drgnęła.

— Prostytutki — powtarza, jakby lubując się jej przykrością. — Prawda, anielska lilia nie wie, że takie istnieją...

Ogląda się teraz za dziewczyną. Przy świetle latarni majaczy plusz okrycia, lśni ordynarnymi dżetami. Czerwony ptak olbrzymiego kapelusza kołysze się komicznie.

— Porządnie ubrana, elegancko, daleko efektowniej niż ty — wygłasza. — Już to wyprawka cacana, nie widziałem jeszcze porządnej sukni.

Janki wytworny żakiet karakułowy o wysokim kołnierzu z ciemnego futra, śliczny jest i pełen smaku — jednak...

Po uginających się schodach przedostają się na pierwsze piętro. Tabliczka mosiężna: Srul Veilchenfeld.

. . . .

Pierwsza wizyta poślubna!

. . . .

A przecież sfery ziemiańskie stawiły się już in corpore w Warszawie. Zanieccy, Bodzińscy powrócili już z Riviery. Pierwsi zajęli piętra eleganckich kamienic, drudzy rozgościli się w swych wspaniałych rezydencyach miejskich.

Wrócili... a przecież tych dwoje tu przed szyldzikiem, zeszpeconym nazwą:

»Srul Veilchenfeld«.

Rzecz zupełnie naturalna. W swej życiowej logice kompletnie umotywowana.

Janka wchodzi w akt pierwszy swej tragi-farsy życiowej.

Prolog — to zieleń sali balowej: szepty miłosne, dźwięki walca, senne półomdlenie — prolog z operetki!...

Akt pierwszy: Cuchnąca żydowska jama.

Z nią szyldzik: Srul Veilchenfeld...

. . . .

Choć godny patryarcha izraelskiego rodu mianem fiołkowego pola rozbrzmiewał, to znów ostre wyziewy pomyj, stęchlizny wraz ze specyficznym zapachem iście żydowskiego brudu, zionęły z otwartych drzwi mieszkania Veilchenfelda.

Wpuszczono gości do jakiejś ciemnej nory.

Z dwu przeciwnych stron rozjaśniło się ogarkami łojowych świec. Z sieni wypełzł mały żydziak. Skwapliwie ku jednej z niosących świece woła:

— Małka, kim! gość!

Owa Małka posuwa się teraz żywiej. Światło pada na narzuconą widać w pośpiechu matinkę, — zsuniętą, jasną plamą ciała odkrywa białe ramię. Małka drugą ręką podtrzymuje brudną, jedwabną, pomarańczowej barwy halkę; oderwana koronka falbany wlecze się za nią po ziemi. Ruchem ręki daje znaki Reńskiemu, by szedł za nią.

Jednocześnie starsza, w krzywo włożonej peruce, o strasznie pomarszczonej, woskowo zżółkłej twarzy, wysuwa się także. Stoją naprzeciw siebie, wrogie, gotowe rzucić się do oczu, wydzierając człowieka, co zarobek im niesie.

Stara skrzeczy:

— Co ty sobie myślisz, flondro jedna, że prócz ciebie niema tu nikogo? Ty nie wiesz, ty czekaj, może Pan ma do mnie interes.

Wprawnem okiem ogarnęła sytuacyę.

W ciemności wyłowiła świderkami swych oczu przytuloną do ściany osobę Janki.

— Gość do Małki-flądry nie przychodzi w asystencyi drugiej kobiety. Takie wesołe interesy panowie załatwiają sami...

— Do mego brata po pieniądze przyszli.

Z niewypowiedzianie lubym uśmiechem zwraca swą wstrętną twarz w stronę Reńskiego:

— Pan dobrodziej do Veilchenfelda?

— Miał na mnie czekać — niecierpliwie odezwał się Reński. — Przecież Raulsohn był u was?

— Brat wyszedł na miasto. Raulsohn nie był.

Reński jak oparzony rzucił się ku Jance.

— Nie powiedziałaś Raulsohnowi?

— Zapomniałam...

— Arcyksiężniczka austryacka nie raczyła się poniżyć. Próżniaczka! nic nie robi po całych dniach i powtórzyć, co ją nauczę, jeszcze nie może!

Żydówki słuchają, uśmiechają się bez ceremonii, żydziak cały rozpięty, z bielejącym ogonkiem koszuli, wybałusza swe wypukłe, cybulaste oczy na Jankę. Ona bez słowa wysuwa się do sieni.

— Niech pan dobrodziej się nie gniewa, mój brat może dziś jeszcze być u pana, choć późno, nie wcześniej jak o dwunastej. Tylko gdzie, jaki interes? — interweniuje właścicielka wyrudziałej, porwanej, zdobnej w postrzępioną jedwabną riuszkę, peruki.

Jednocześnie przez otwarte drzwi Janka widzi, że żydówka podaje kawałek papieru.

Reński zabiera się do pisania, drze jeden kawałek, zabiera się do drugiego. Z pisaniem idzie mu zawsze mozolnie.

Janka stoi już w tej zapadłej norze jak nieprzytomna. Patrzy tępo przed siebie, właściwie zaczyna nic nie widzieć. Nie dostrzega też dwóch ludzi, którzy, przechodząc, stają tuż przy niej.

— Patrz, nowa, tylko gęby nie widać, bo ciemno, a i jakaś chuda. Ja lubię dużo cielska.

Szturchnął Jankę w bok.

— Mówiłem — gnaty... do niczego!

Roześmiali się i przeszli przez sień do izby.

Podcięciem najostrzejszego bicza smagały kobietę słowa. Dotknięcie zapiekło żelazem. Ohydą zawyło w jej uszach. Wszystko w niej zawirowało, kłębiło się, koncentrując w szalonem:

— Uciekać, uciekać!...

V

Śpieszna rewizyta!

Pora niezbyt właściwa: noc roztoczyła już swe posępne, czarne skrzydła nad miastem. Objęta niemi większa część ludności śpi snem spokojnym; inna — wraca z teatrów, koncertów, zabaw — wyczerpana, zmęczona duszną atmosferą sal i zgiełkiem licznego ludzi zebrania. Inna jeszcze rozpoczyna teraz dopiero właściwe życie. Żądza użycia woła ją do tingli, kabaretów i przeróżnych jaskiń dwuznacznej uciechy. Z posunięciem wskazówki zegara ku dwunastej — życie tam dopiero kotłować się poczyna.

Istnieje jednak jeszcze inna kategorya ludzi: to ludzie praktyczni, trawieni gorączką geszeftu.

Jedna tylko myśl, niby sępie szpony wżera się w ich krew: obłupić bliźniego, ściągnąwszy mu ostatnią skórę. Oto co wypełnia ich serca, mózgi, ogarnia całą istotę.

To ludzie, nazwani w języku zwykłym lichwiarzami, mówiąc zaś o nich ozdobnie, nazywają ich dobroczyńcami ludzkości, a najwłaściwiej przywiera do nich miano pijawek. Nic plastyczniej nie odda zażartości, z którą wpijają brudną swą duszę w ludzi rzuconych w ich paszczę przez konieczność lub lekkomyślność.

Najczęściej wyostrzone sprytem semickiej rasy indywidua proceder ten uprawiają.

Właśnie tacy dwaj panowie lichwiarze, ci z rasy semickiej w stadyum »na dorobku« śpieszą prawą stroną Pięknej ulicy. Zegar wybija wolno, sennie, monotonnie godzinę dwunastą. Idą szybko: do geszeftu śpieszyć się zawsze trzeba. Zwłaszcza tutaj interes fajn. Idzie wszak o zabezpieczenie już wydanych — a także i nabranie największych ilości nowych weksli.

Doszli do mety.

Stoją przed kamienicą pokaźną. Dwanaście okien frontu. Parter, trzy piętra; podwórze asfaltowane; tam znów oficyna, dźwigająca na swych fundamentach szesnaście ludzkich siedzib.

Panowie starozakonni rozpatrują z przyjemnością te szczegóły.

Należytość dotychczasowa pana Veilchenfelda ślicznie zabezpieczona, ale zawsze bardziej jeszcze będzie solidna, gdy obok dotychczasowego podpisu Reńskiego staną literki, oznaczające imię i nazwisko godnej jego małżonki.

— Dziś podsunie się weksel nowy, a później — myśli faktor Raulsohn i myśli swe głośno wynurza Veilchenfeldowi — później popodpisuje stare, a jeszcze później to ją tak oplączemy, że, widzi pan Veilchenfeld, zamiast tego nazwiska wśród tablicy znaczonej numerem czterdziestym, ślicznie figurować będzie: Srul Veilchenfeld!

Pan Srul aż cmoka ustami, i grube, tłuste, małpie wargi układa w grymas, mający naśladować uśmiech ludzki.

— Rarytny interes — mówi Raulsohn — zbędzie się ich psim swędem. On: ostatni nicpoń, ona: głupia, a my: mądrzy i zarobimy.

Mała, ruda główka, osadzona w formie makówki na nikłym, cienkim korpusie, zwraca się ku chałatowemu towarzyszowi. Zielonawe oczki tryumfują, to on, Raulsohn, wyna-

lazł Reńskiego, stał mu się niezbędnym, wreszcie rzucił na pastwę Veilchenfelda.

Teraz oba już nie chyłkiem, jak wprzódy, gdy dla obejrzenia nabywanej przez Molskiego posesyi — cichaczem się tu wkradali. Teraz idą spokojni, poważni, pewni dobrego przyjęcia.

Wiedzą, że są oczekiwani, oczekiwani gorączkowo; no, nie oni wprawdzie, lecz te tęczówki, wypychające zatłuszczony i powiązany sznurkiem pugilares Veilchenfelda.

Stąpa tedy pan kapitalista krokiem solidnym, rozgląda się wśród bramy, schodów, czuje się prawie już w swojej kamienicy.

Siostra mówiła mu, że ta Reńska ma minę bardzo zmęczoną, nieszczęsną, że jest fatalnie blada.

— To już taki porządek na świecie — filozofuje pan Veilchenfeld (każdy żyd jest potrosze filozofem) — jedni są czerwoni, drudzy bladzi. Czerwoni, to tacy, co mają spryt i dobrze im na świecie, bladzi, to głupcy, dlatego są zmęczeni i biedni. Ja chcę być bogatym i czerwonym!...

On chce, więc też mile łechce go deptanie bladej, głupiej kobiety, gdy wstępuje po jej schodach. Moc jego na każdym kroku wzrasta — ona, łamie się, ugina. Pan Veilfchenfeld staje u szczytu — ona, zniweczona, jak stary łachman, opada gdzieś na dno.

A bogaty i czerwony *in spe* pan Veilchenfeld tymczasem naciska dzwonek.

. . . .

Piękny, zdobny w bronzy i wykwintne figurynki zegar *empire,* stojący na etażerce, wydzwonił swym srebrnym, dźwięcznym głosem jedenastą. Wskazówka zatrzymała później swą strzałkę na połowie cyferblatu — teraz zaś ponura

północ nadaje dźwiękom zegara jakiś odgłos tajemniczy, posępny...

. . . .

Janka, wybiegłszy z sieni żydowskiego domu prawie nieprzytomna, rzuciła się ku oczekującej dorożce. Dostawszy się w ten kąt bezpieczny, wtuliła się w róg i przeżywała brutalne sceny, co pazurami swemi rozdarły jej duszę.

Ciągle oczom jej narzucają się wstrętne żydówki. W uszach brzmią ohydne słowa tych ludzi, co ją zaczepiali. Wszystka krew ścieka jej do serca — wewnętrznie drży z przerażenia.

Ponad tem wszystkiem unosił się głos siostry Veilchenfelda:

— On będzie dziś u pana o dwunastej!

I właśnie ładny, elegancki zegar oznajmia nadejście tej godziny. Każde uderzenie zegarowego dźwięku jest odbiciem uderzeń niespokojnie kołacącego jej serca.

Siedzi w głębi kozetki w ukryciu, tak jak przyjechała. W mieszkaniu ciepło, ją jednak przebiegają wciąż nerwowe dreszcze, jest wrost zamarzła.

Szalonym wysiłkiem woli zaciska zęby, by nie szczękały.

W sypialni ciemność zupełna. Smuga światła biegnie tylko wązkim szlakiem z dalszych mieszkania pokoi.

Odgłosy wesołego śmiechu dochodzą ciągle z gabinetu.

To pan Wyrwicz, przyjaciel od serca Reńskiego i kolega jego biurowy, przeplata rozmowę wybuchami dobrego humoru.

Reński daje też ujście wybornemu usposobieniu.

Śmieją się obaj głośno, hałaśliwie. Tylko od czasu do czasu zniecierpliwienie Reńskiego:

— *Malédivtion*, żeby to wszystko dyabli wzięli! a póź-

niej, pomyśleć: pierwszy występ Rothländerki, a ja tu, w tej przeklętej budzie. Dopiero jak te żydy parchy pójdą, możemy iść... Znajdziemy ją przy kolacyi.

Obecność Wyrwicza przy podpisywaniu weksla jest podług pojęć Janki niewłaściwą; znamionuje całą niedelikatność jego uczuć. Reński widać jest przeciwnego zdania, wydaje się zachwyconym jego towarzystwem.

Raz w raz niby racą strzeli dwuznaczny dowcip. Bawią się wyśmienicie.

Aż oto w śmiech wpada dźwięk dzwonka.

Obaj na wyścigi porywają się do drzwi.

A w mózgu Janki rozbrzmiał bezlitosny, ostry dzwon jej zguby.

Dzwon ten ciągnie ją ku przepaści.

Ten człowiek wciąga ją tam.

Ci żydzi wpili w nią swe szpony, duszą ją i gniotą.

W mózg Janki wrzyna się ten dzwon nieszczęsny, dzwon jej życiowej męki.

. . . .

Pan kapitalista i faktor wkraczają do gabinetu. Veilchenfeld rozsiada się na krześle. Jest bardzo uroczysty. Dobywa wypchany papierami pugilares. Oczy Reńskiego patrzą weń łakomie, Wyrwicz uśmiecha się na widok pieniędzy. Iście zwierzęcym pożądaniem dobytek żydowski ogarnia.

Raulsohn rozpoczyna ceremoniał: zabiera od Veilchenfelda papiery, gładzi je z lubością, uprzejmym ruchem ręki zaprasza, by Reński wypełnić je raczył.

Ten stawia cyfry — doskonale obznajmiony jest ze sposobem pisania weksli.

— Zatem dwa po trzysta — mówi Veilchenfeld — teraz niech ta pani podpisze.

— Raulsohn! — rzuca Reński — idź tam pode drzwi i powiedz.

Faktor zbliża się do drzwi sypialni; przyciśnięty do muru, słodkim, miłym głosem przemawia:

— Pani dobrodzijka będzie łaskawa — ten maleńki podpis...

Sam kurczy się, niemal przypada do ziemi, pragnie stać się taki ot, jak ten podpis, maleńki.

I tak przedstawia się sytuacya obecnie, to jest do chwili, w której »pani dobrodziejka« nie podpisze wekslu.

Później i ten nieśmiały żydek, pełzający w pokorze, i ten mały podpis staną się dziwnie widoczne i głośno o swej obecności krzyczeć będą.

Teraz jednak Raulsohn łasi się miodowym głosem, staje się nieznaczącym atomem, pyłkiem.

Drzwi uchylają się zwolna.

Źrenice śmiertelnie znużonej Janki zatrzymują się na chudej, chytrej twarzy żyda. On z jakąś wyszukaną elegancyą usuwa się na bok, przywiera, wrasta w ścianę, przepuszczając smukłą, wykwintną postać Janki.

Podeszła do biurka.

Brudny palec faktora wskazuje jej teraz dwa niezapisane, wśród zadrukowanego papieru, miejsca. Linie podpisu Janki dziwnie krzywe, niewyraźne. Tak jak i życie jej teraźniejsze, a i przyszłość może już cała!...

Nic nie wie, co podpisuje. Jakiś ciemny obłok roztacza się przed jej oczami. Każą jej pisać, więc pisze. Kładzie dwa podpisy. Nie zna formy — przy wydawaniu weksli nie asystowała nigdy.

Wypełniła nazwiskiem swem dwa papiery... to tylko pamięta. Zaciśnięta szczelnie w futrzany żakiet, odchodzi smutno, bez słowa i spojrzenia. Dowlokła się do drzwi sy-

pialni. Sił jej braknie, nogi odmawiają posłuszeństwa; wspiera się o drzwi, chroniąc przed upadkiem. Machinalnie zwraca wzrok w stronę gabinetu. Veilchenfeld składa teraz ostentacyjnie na biurku storublówki. Robi to wolno, z powagą. Tych barwnych papierków sześć, wyraźnie Janka widzi — sześć...

— Przecież weksel był na rubli trzysta. Więc jakże, jakże? — drga w niej pytaniem.

— Znów oszustwo, kłamstwo, podejście, fałsz...

Reński jest w swoim żywiole; poczuł w ręku pieniądze, zmiął banknoty, wsunął je śpiesznie do kieszeni. Wyrwicz dobywa się z czeluści otomany, w której zapadał, podchodzi do niego, coś mówią. Janka widzi, że obaj są już jak w gorączce, radzi w jednej chwili za cenę tych rubli pogrążyć się w jakimś pijackim odmęcie.

Pali się im pod nogami, to też Reński już niezbyt grzecznie wyprasza kapitalistę i faktora.

Ci jednak z chwilą, gdy stali się właścicielami wekslu, nabierają więcej pewności siebie, nie zwracają uwagi na Reńskiego, nie śpieszą się też bynajmniej. Veilchenfeld zapisuje coś w notesie, Raulsohn dyktuje cyfry.

Lampa dogasa; ostatki nafty wyssysa knot, dogorywa, a, umierając, rzuca już tylko migotliwe, kurczowo żółte odblaski.

Żydzi są w ekstazie geszefciarskiej, szwargocą zapamiętale.

— Te parchy nie wyniosą się prędko — rzuca Wyrwiczowi Reński.

— Pal ich dyabli, niech siedzą. Chodźmy!

Są już w przedpokoju. Wyrwicz wkłada palto, gwiżdżąc wesoło.

Reński śpiewa głośno. Wesoły motyw tinglowej piosenki, śpiewany i gwizdany, brzmi hałaśliwie.

Reński woła jeszcze ode drzwi:

— No, panowie starozakonni, jazda, wynosić się! — I nie czekając na skutek słów, wychodzi z Wyrwiczem.

Veilchenfeld i Raulsohn ani drgnęli.

W aureoli kopciu, swędzie dogasającej lampy tworzą jakieś fantastyczne, w długich chałatowych szatach, postacie. W ciemnościach zacierają się niemal ich kontury, widnieją tylko blade maski twarzy. W ciemnię wpada pisk faktora i gruby bas kapitalisty...

Po chwili drżący głos Janki przerywa ich szwargot:

— Więc na ile ja ten weksel podpisałam?

— Na sześćset rubli — biegnie usłużna odpowiedź — dwa weksle po trzysta każdy, płatne za trzy miesiące.

Lekkie westchnienie.

I cicha jak cień, wśród błądzących jeszcze pobłysków światła, niknie Janka z przed oblicza panów Veilchenfelda kapitalisty i Raulsohna faktora.

. . . .

Akcya drugiego aktu tragi-farsy życiowej w pełnym biegu!

Te podpisy — to ogniwa łańcucha, co wlecze się za nią z nieszczęsnej sali balowej.

Ogniwo z żelaza ukute wlecze się twarde i zimne, zgrzyt jego zły, straszny.

. . . .

VI

Z poza zasłoniętych i szczelnie zabezpieczonych okien mieszkania Janki płynie szara nuta smutnej, wilgotnej mgły i mrzącego zwolna, leniwie deszczu.

W oddali zaturkocze czasem spóźniona dorożka.

W sypialni mdłe światło ampli nocnej roztacza jakąś smugę błękitnawą. W niej majaczą kontury szarawego dywanu.

Jedna, jedyna myśl kołacze się w zmęczonym mózgu Janki:

— Sześćset rubli! tak, i skąd ja te pieniądze oddam? skąd?...

Szuka próżno myśli, środka, któryby w spłaceniu żydów jej dopomógł.

— Nie mam ani grosza w rozporządzeniu własnem. Wszystko jest w jego rękach!

Ogląda się dokoła. Wykwintne urządzenie, tualeta, dużo kryształów, przyborów srebrnych jest jej bezsprzeczną własnością, ale to też wszystko, co miała, pozatem nic więcej.

Zatrzymuje wzrok na ładnej, inkrustowanej perłową masą kasetce.

Podchodzi ku niej, maluchnym kluczykiem otwiera wieczko. Odskoczyło. Na seledynie pluszu zamigotały pysznej wody brylanty.

— Podarunek ślubny stryja.

Wyjmuje kolczyki, rozbłysły w rękach jej duże, migocące gwiazdy.

Zastanawia się:

— Trzeba będzie je sprzedać!...

— Tak! — powtarza. — Ze stratą jubiler je kupi... od żydów uwolnię się — myśli z ulgą.

Patrzy na kolczyki.

Coś jakby żal przesuwa się jej w oczach.

— Od stryja. Przykro mi rozstawać się z nimi. Jednak trzeba!...

Grające całą gamą bardzo czystej wody kamienie wkłada w atłasy wyścielające kasetkę.

Załkało w niej dziwne uczucie i pytaniem, jak błyskawica szybkiem, przebiegło jej w głowie:

— I dla kogo i po co ja się męczę?

A zniechęcenie i żal wołają głośno:

— Co ci dano w zamian za twą usłużność i dobre chęci, co?

— Lecz ja czynię dobrze i wypełniam swój obowiązek — protestuje kobieta.

Niemniej jednak ta pustka, to opuszczenie, w które i dziś, mimo wszystko z jej strony zrobione, wtrącono ją znowu, przeraża ją, gdy zła, okrutna garnie ją w objęcia swoje. Każdy nerw drży. Wstrętne, ohydne obrazy tego wieczora wdzierają się znów w jej oczy.

W umyśle miesza się wszystko: i ci żydzi i ten weksel i cała jej przyszłość, taka niepewna, straszna.

Wokoło cisza, śmiertelna, grobowa cisza. Tylko myśli huczą i cisną się dokoła niej.

— Głos choć ludzki posłyszeć!

Blaskiem świecy rozjaśniła mrok, przesuwa się przez salon, wchodzi do jadalni.

Stół nakryty do kolacyi: cieniuchna wyprawna porcelana, srebra, filiżanki do herbaty — cała zastawa. Wszystko nienaruszone, tak jak to codzień i każdego wieczora bywa.

Stoi, patrzy smutnie, chaos ma w głowie: przeżyte zlewa się w jakąś niejasną wprost całość. Wie tylko, że woli już zostać tu, w tym pokoju. Dochodzi ją rozmowa z kuchni. Wyczuwa się obecność ludzi.

— Już nic nie będę myślała — usiłuje wmówić w siebie — będę słuchała, co one tam mówią.

Wytęża słuch, by myśl własną przerwać.

Gasi świecę, siada na najbliższem kuchennem krześle. Opiera rozpalone czoło na marmurowym blacie bufetu, zimno

chłodzi je. Czuje poprzez drzwi obecność ludzkich istot, to uspokaja nerwy. Jest jej tu dobrze; senność ogarnia ją zwolna, zasypia.

VII

Strumienie elektrycznego światła, powódź gwaru ludzkiego, czerwień aksamitu i sukna; zwarte masy ludzi, tłoczących się w górnych galeryach teatru, cała fala osób, wypełniających sztywne szeregi krzeseł. Tylko loże parteru, pierwszego piętra zapełniają luźno porozrzucane sylwetki tych, którzy, wygodnie siedząc, raczą przysłuchiwać się dawanej dziś operetce.

W jednej z nich towarzystwo złożone z trzech osób.

Kobieta młoda, ładna, ale o twarzy bladej, bardzo zmęczonej, siedzi wsunięta w głąb loży, mrużąc źrenice przed blaskiem migocącego światła. Jeden z panów, wychylony poza rampę loży, widocznie chce, aby nań patrzono. Drugi stara się zawiązać rozmowę z siedzącą przed nim damą. Pan ten na chwilę wychodzi z loży, powraca i składa w ręce jej duże pudło cukrów. Kobieta lekkiem skinieniem głowy dziękuje i cukierki bez słowa na bok odsuwa.

Akt rozpoczyna się. Zasłona idzie w górę, ciemności zalegają salę. Westchnienie ulgi dobywa się z piersi młodej kobiety.

To Janka, z nią Reński i nieodłączny Wyrwicz.

Wyrwana raptownie ze złowrogiej ciszy, lub brutalnych scen swego domu i wepchnięta w krzykliwy odmęt teatralnej sali, Janka jest wprost ogłuszona. Wtula się w kąt loży, radaby jednej chwili zniknąć poza aksamitem czerwonej portyery.

To pójście do teatru zaskoczyło ją zupełnie nieoczekiwanie. Nad samym wieczorem wpadł do domu Reński. Nie widziała go niemal od dni kilku. Było to właśnie po wyłudzeniu od niej nowego wekslowego zobowiązania. Poręczył za przyjaciela — oddać musi.

I znów podpisała... Musiała podpisać.

Wziął trzy tysiące rubli. Przez dni następne przychodził o świcie. Nie rozbierając się, spał w gabinecie; wychodził nad wieczorem. Dziś dopiero wszedł do sypialni.

Ubrany był bardzo starannie, w stroju wieczorowym. Nie powitał żony, a tylko ode drzwi szorstko po swojemu mówi:

— Pójdziesz do teatru. Ubierz się porządnie, tylko nie wiem, czy masz w co?

Spojrzała na niego przerażonemi oczyma, zdawała się słów nie rozumieć.

— Znowu oczy wybałuszasz? Skończona idyotka! Ubieraj się prędzej!

Odważyła się powiedzieć:

— Wolę nie iść do teatru.

— Otóż to! — krzyknął. — Zawsze drapować się chcesz w togę ofiary. Właśnie chodzi o to, żeby ludzie nas razem widzieli i myśleli, że dobrze żyjemy — roześmiał się.

Niedługo zjawił się i wystrojony Wyrwicz.

Dochodziło z drugiego pokoju:

— Widocznie Rothländerka leci na ciebie — mówił Reńskiemu — bo i lożę na benefis przysłała. Urządzimy jej kolacyjkę, co się zowie, prawda?

— A potem gabinecik. Tylko już bez ciebie — drwił Reński.

— Przyjdzie i moja kolejka — odrzucił cynicznie Wyrwicz.

Janka zatknęła uszy, pociemniało jej w oczach. Ot, gdzie idą jej pieniądze. Poręczenie za przyjaciela, to Rothländerka i gabinecik...

Nie zazdrość nią wstrząsnęła, nie! — czuła tylko do męża wstręt i odrazę — ale rozpacz, że wpadła w ręce jakiejś bandy szachrai przerażała ją z każdą chwilą bardziej. Od dnia pierwszego podpisu, położonego przez nią na wekslu, rozpoczął się już jasno, systematycznie prowadzony proces wyzyskiwania. Raz wraz wynajdywały się jakieś nadzwyczajne, nieodzowne potrzeby, i pieniądze być musiały.

Przez poprzedzające pożyczkę dnie, Janka znosić musiała najgburowatsze obejście, drwiny z oszczędności jej i stryja, wreszcie brutalne dopominanie się, by ostatni ten raz jeszcze dopomóc mu ze swej wielkiej łaski raczyła.

I zawsze ów »ostatni raz« był magnesem, który pociągał Jankę do załatwienia z usłużną spółką panów Veilchenfelda i nieocenionego Raulsohna, owego niecierpiącego zwłoki interesu męża.

Postępowano oględnie. Zaproponowano najpierw drobną sumkę, później, gdy szanowna kompania uznała, że umysł Janki dostatecznie jest przygotowany, podsunięto jej weksel na większą sumę.

I tak szło zwolna, aż w przeciągu dwóch miesięcy nazwisko Janki zaangażowane było w pugilaresie Veilchenfelda już na pięć tysięcy rubli. Właśnie owa ostatnia kilkotysięczna pożyczka, wymożona na niej została owem fikcyjnem — jak teraz dowiaduje się ze słów Wyrwicza — poręczeniem za przyjaciela.

— Przyjaciel w osobie Rothländerki, wyborny sposób na tę skąpicę — dochodzi do uszu jej z gabinetu.

»Skąpica« — oto wszystko, co w zamian za chęć przyjścia mu z pomocą otrzymała.

— A przecież skąpą nie jestem ani trochę, chyba oszczędną — myśli Janka.

Teraz, mimo zapowiedzi owego teatru, siedzi nieruchoma, z zaciśniętemi ustami i przysłoniętemi powiekami.

Dalekie, bardzo dalekie wspomnienia niosą jej chwile, gdy jeszcze była małą dziewczynką, zaznawała wtedy nieraz głodu i chłodu. Matka jej, nauczycielka, z zaparciem się siebie starała się od niej to zło oddalić. Później, po śmierci matki, już w domu stryja, w cieple i dostatku, wspomnienia te zatarły się. Lecz dni niedoli widać ciężkim ołowiem na małej duszyczce dziecka zaciążyły, bo dusza jej w lęku i trwodze cofa się przed niemi, gdy znów ku niej iść poczynają...

Teraz, gdy wciśnięta w fotel loży pierwszego piętra, myśli wciąż o tem, zimno przejmuje ją całą.

Tymczasem w atmosferze teatralnej aż bije zmysłowe podniecenie. Moment kulminacyjny, *clou* operetki. Primadonna z szelmowskim uśmieszkiem zdejmuje zwolna, igrając z ciekawością ogólną — jak daleko w tem zajdzie — swe szaty. Obnaża się cynicznie, bezczelnie. Żanetta w negliżu nocnym...

Reński nie posiada się z radości, unosi się na krześle, rzuca pieprzne koncepty. Wiedeńskie czasy odżywają w duszy jego w pełni.

Janka odwraca oczy od sceny. Widok obnażającej się dziewczyny rani jej duszę. Wzrok jej zatrzymuje się chwilę na rozpłomienionej twarzy mężczyzny.

Każdy kawałek ukazującego się ciała wita on z dziką radością.

Janka doznaje wprost bólu, opuszcza głowę.

— Mój mąż — myśli — mój mąż!...

Wygląda w czarnej jedwabnej sukni ślicznie, trochę poważnie, lecz pełna jest dystynkcyi i wdzięku. Czarność je-

dwabiu zwiększa delikatną białość jej cery — oczy, podkrążone sinemi obwódkami, wydają się większe i ciemniejsze. Jest uosobieniem urody i gracyi.

Tylko teraz zmarszczka przecina głęboko białe jej czoło, oczy zmęczone, a powieki ciężko opuszczają się na nie.

Jest zupełnie zgnębiona.

Przed wyjściem do teatru, z wezwanym przez siebie Raulsohnem, obliczała dokładnie należną Veilchenfeldowi sumę.

— Koniecznie ze szponów tego lichwiarza wydobyć się muszę — myśli z rozpaczą — ale jak, jak?

Półprzytomna słucha ogłuszających oklasków, dzikiego wycia, wychodzącego z poruszonych w swych zwierzęcych uczuciach piersi istot ludzkich. Wystawa wdzięków primadonny ilustrowana nietyle pięknym śpiewem, ile przemawiającemi do pobudzonej zmysłowości wdziękami i wymownemi gestami, zakończona,

Kres widowiska.

Reński, nie poczuwający się nigdy do zdawkowej uprzejmości w podaniu żonie okrycia w progach własnego domu, teraz, z wyszukaną grzecznością, otula ją w rotundę, troskliwie zawiązuje wstążki kapturka. Czyni to wszystko ostentacyjnie, dobiera miłych wyrazów i cały najuprzejmiejszy w głosie, tonie i ruchach, pod ramię sprowadza ją ze schodów.

— Tylko ostrożnie, *ma chère,* ostrożnie!

Znosi ją niemal z ostatnich stopni.

Zgarnia spojrzenia, które biegną ku nim — podwaja uprzejmość.

Siadają wreszcie do dorożki, na przodzie Wyrwicz.

— No! — oddycha Reński — rozsiadając się wygodnie — to urządziłem fest paradę. Powinnaś mi być wdzięczna. Panny i mężatki zazdrościć ci będą takiego jak ja męża!

Przejechali zakręt ulicy.

— No, teraz — komenderuje Reński — Wyrwicz wysiadajmy. Dość tej komedyi. Przecież do domu nie pojedziemy — śmieje się.

Trąca woźnicę laską, ten staje.

Wysiadają.

Dorożka rusza znów zwolna.

Janka widzi, jak Reński nachyla się w stronę Wyrwicza, dochodzą ją słowa:

— Kolacyjkę zamówiłem cacaną, taką, jak Rothländerka lubi. Zobaczysz, co to za kąsek ta dziewczyna!...

VIII

Znów chłód, pustka owionęły Jankę, gdy sama późną nocą wracała do domu.

Chłód, pustka, płynące ze smutnych ścian jej mieszkania.

Powraca w ten krąg nieszczery i pełen dla niej niechęci.

— Przecież muszę w nim żyć i dziś i jutro i już zawsze...

— Proszę pani — mówi pokojówka — było tu kilku panów, oglądali dom, chodzili po wszystkich mieszkaniach, byli i tu u nas.

Janka wie, co to ma oznaczać, wszak narzucają jej ciągle sprzedaż domu.

Walka znów się rozpoczyna, walka, w której — jeżeli będzie zwyciężona — rzucona zostanie na pastwę biedy i niedostatku. Zabiorą jej to, co ma, do ostatniego grosza. A później, później?...

— Pracować ci każą na nicponia i utracyusza — szumi jej po głowie — pracować prawdziwie, nie tak, jak on!...

Czy chodził do biura, nie wiedziała. Prowadził zupełnie odrębny od niej sposób życia. Nic o nim nie wiedziała, to jedno chyba, że dochód zabierał skrupulatnie. Na utrzymanie dawał jej co dni kilka po pięć rubli.

— Co za życie, co za straszne życie, i za co? i dlaczego? — męczy się wciąż pytaniem.

Cisza dokoła wielka. Kroki jej tylko rozlegają się w salonie.

Lichy garnitur żydowskich tandecianych mebli wyprostowany, sztywny, podpiera ściany. Tylko wykwintny, a doskonały w artystycznem znaczeniu Bechstein wtulony w jeden z kątów, dystyngowany, dziwi się swemu otoczeniu. Stoi milczący, zapomniany. Jego pani nie dotyka bieli klawiszów, zmordowana życiem, które prowadzi.

Jak przez sen słyszy rozmowę swą dzisiejszą z Raulsohnem.

— Jaśnie pani winna panu Veilchenfeld pięć tysięcy. Ale proszę o tem nawet nie myśleć, pan Veilchenfeld gotów zawsze dać i jeszcze więcej — niech jaśni państwo zdrowi wydają — od tego jaśni państwo, a my na ich usługi żydki.

I lisia głowa schyla się w udanej pokorze, a chytre, zielone, zdradzieckie oczki śledzą Jankę złośliwie.

— Chcą zająć moje miejsce tu, w tym domu — myśli, wspominając słowa faktora. Trzeba się od nich uwolnić koniecznie, koniecznie...

Nie byłaby nigdy z żydami wchodziła w tak poważne zobowiązanie, ale pośpiech był wymagany, stano jej wprost, jak to mówią, na karku. Reński groził, że go wsadzą do więzienia, klął, na czem świat stoi, więc musiała wziąć pieniądze od żyda, musiała!

— Ale teraz wezmę na hipotekę — decyduje — tak, to będzie najwłaściwiej.

I stara się obliczyć, jaki procent roczny może być przez wierzyciela hipotecznego wymagany. Zna się na tem: pamięta, że między domami, przedstawianemi stryjowi, były posesye obciążone należytością hipoteczną. Takich stryj nabywać nie chciał. Kamienica zapewne byłaby wspanialszą, ale oni blagi nie lubili. Bo i po co daremny kłopot? Lepiej mieć dom mniejszy, ale bez długów. Wówczas podzielała to zdanie, teraz musi stosować się do konieczności. Oblicza, zastanawia się, rachuje, ma złudzenie, że z żydowskich szponów już się wyrwać zdołała. Odrobina uspokojenia z myślą tą wpływa.

Wtem ostry zgrzyt wsuwanego w zamek klucza słyszeć się daje.

Z trwogą spogląda ku przedpokojowi.

Powrotu Reńskiego spodziewała się dopiero nad ranem. To obracanie się klucza w zamku odbywa się zawsze w rannej porze.

Drzwi otwierają się jednak: w świetle zapałki, rozświecającej drogę, ukazuje się wysoka, barczysta postać Reńskiego.

Z furyą zatrzaskuje drzwi za sobą.

Jest wściekły.

Rothländerka zjadła perłowemi ząbkami kolacyę, a ta dyablo kosztowała, wypiła i porozlewała jeszcze więcej szampańskiego. Później jednak, zmiąwszy kartkę przyniesioną przez garsona, oświadczyła, że jest bardzo zmęczona i do domu wracać musi. Portfel hrabiego Moreniego z sąsiedniego gabinetu zrobił swoje. W jej mniemaniu był on stanowczo lepiej wypełniony banknotami, aniżeli Reńskiego, zatem bardzo przeprasza, ale...

Reński dostrzega Jankę w salonie. W pokoju ciemno,

lecz latarnia uliczna rzuca świetlane odbłyski i rozjaśnia kąt, w którym ona za fortepianem siedzi.

Przez otwarte drzwi przedpokoju walą się ku niej słowa:

— Czemu nie śpisz i po nocy się wałęsasz? Wyglądasz już i tak, jak śmierć angielska. W teatrze wprost żałowałem, że cię wziąłem. Aż wstyd było patrzeć. Czy nie daję ci jeść? Pracuję przecież na ciebie, czy mam jeszcze ciężej pracować, co?!

Ciska kapelusz, laskę, wpada do saloniku.

Janka podnosi się, chce wyjść. Zatrzymuje ją.

— Zresztą siedź. Trzeba pomówić w końcu o interesach. W dzień przy tej pracy w biurze nie mam ani chwili.

Stanął przed nią. Patrzył chwilę ze złością, potem podniesionym głosem rzuca:

— Ja nie wiem, co ty sobie myślisz, co ty chcesz dalej robić? Napożyczała od żydów, teraz ani myśli oddawać. Czy ty wyobrażasz sobie, że lichwiarz dla twoich pięknych oczów upominać się o pieniądze nie będzie. Co, czy tak myślisz?

Janka jest wprost ogłuszona, chwyta tylko słowa i w drżącej duszy powtarza je:

— Napożyczała pieniędzy od żydów! — Ona napożyczała!...

Bezmiar komizmu, gdyby nie straszny tragizm.

Stoją teraz w ciemni. On szarpie się w miotającej nim pasyi, żądny wydobycia jaknajwiększej sumy od tej kobiety.

Ona, oparta o fortepian, jakaś wyniosła, niemal spokojna, patrzy na niego już teraz jak na nienormalnego waryata. Pod ciężarem jednak myśli, że z człowiekiem tym zmuszona jest przeżyć długie dni jeszcze, gotuje się z ca-

łem skupieniem, aby przemówić do jego rozsądku. Może wreszcie obudzi się w nim jakaś iskierka zastanowienia.

Głosem cichym, wzruszonym, mówi:

— Nie, ja nie zapomniałam o zobowiązaniach. Posłuchaj mnie spokojnie.

Widząc, że Reński już przerwać jej pragnie, rzuca szybko:

— Żydów spłacimy: zaciągniemy dług na hipotekę.

— Co, jak? — wrzasnął. — Ledwo wyżyć można z dochodów tej marnej chałupy, a ona jeszcze procenta płacić mi każe. Ani śmiej o tem myśleć, rozumiesz? ani śmiej! Metternich w spódnicy, a ot, wymyśliła!

Latał po pokoju, śmiał się gorączkowo.

— Genialna głowa! wzięła się do interesów!

Wreszcie przystanął.

— Będzie tak, jak ja chcę, i basta! Rozumiesz?

— Dom sprzedasz, żydów się spłaci. Ty do wszystkiego jesteś zdolna, wiem, poznałem cię dobrze. Gotowa jesteś swojem niedołęztwem doprowadzić do licytacyi, do skandalu. Ale ja, rozumiesz? — krzyknął — ja do skandalu nie dopuszczę. Mam znajomych, przyjaciół, skandalu nie chcę!

Wymachiwał rękami, rzucał się, szarpał.

— A nie chcesz, będziesz się opierała, to ja ciebie zmuszę, rozumiesz? Mam sposób, mam! — rzucił w formie groźby.

Wyskoczył z salonu, rzucił się do gabinetu, całym ciężarem opadł na otomanę. Stęknęła, zadźwięczały porwane sprężyny, ugięła się, skrzypiąc.

— Sapristi! — zaklął. — Stanęła mu w pamięci Rothländerka, i to przez tę obmierzłą kutwę. Naturalnie, mądra dziewczyna wolała Moreniego... bogatszy!...

— Czekaj! — pogroził w stronę salonu — już ja ci dosolę, ty sknero jedna! sama się poprosisz, sama!...

. . . .

A nad ranem znów ten sam głos nabrzmiały nieukrywanym gniewem i pasyą woła:

— Daję ci tydzień do namysłu. Jeśli domu nie sprzedasz, zobaczysz, już ja cię urządzę!...

I przez cały ów zapowiedziany tydzień raz wraz dzwonek u drzwi:

— Czy tu pani gospodyni? bo to właśnie co do kupna domu.

Od faktorów z Raulsohnem na czele aż się roiło.

Tylko służąca Wikcia, przeczuwająca co tu się święci, drzwi im przed nosem zatrzaskuje.

Reński odgraża się, że dziewczynę precz wyrzuci.

Siedzi teraz niemal ciągle w domu, sam przyjmuje przysyłanych nabywców, układa się z nimi, wiedząc jednak, że bez Janki jako właścicielki domu sprzedać nie może i czując bezsilność swego położenia, rzuca się jak dziki zwierz w klatce. Nie krępuje się obecnością służącej, wymyśla żonie, stara się ją przerazić, do reszty własnej woli pozbawić. Nawet rewolwer ostentacyjnie przyniósł i na biurku położył. Nasuwa podejrzenie, że myśl samobójcza zaczyna go trapić, grozi wciąż czemś strasanem. Przechodzi wreszcie w melodramat: robi się zamyślonym, siedzi godzinami z wbitym w rewolwer wzrokiem, odwodzi kurek, a śledząc z pod oka przechodzącą Jankę, przykłada lufę rewolweru do skroni. Jednem słowem stara się na wszelkie sposoby zgnębić ją ostatecznie.

Janka widzi dobrze wszystkie skierowane w jej stronę usiłowania. Chybiają one jednak celu.

— Tacy jak on ludzie życia sobie nie odbierają — myśli.

Przechodzi obok Reńskiego, jakby nie widząc komedyi rozgrywanej przed nią, napozór spokojna, w istocie zaś dusza jej wije się w kole zaklętem, kole cierpienia istotnego, które życie jej przeradza w jakieś sensacye ciężkie, straszne... Opiera się im, jak może, ale chwilami głąb jego tajemnicza oplata ją niewidzialnemi pęty mordującej potęgi. I zdaje się jej, że może niezadługo, a wytrzymać już tej walki nie będzie w stanie.

. . . .

I w stosunku tym anormalnym, strasznym, idą dni długie.

Noce spędza Reński swoim zwyczajem za domem.

Lecz oto nadchodzi taki ranek, w którym Janka nie dosłuchała się zwykłego obrócenia klucza w zamku o świcie.

Czeka napróżno owego zgrzytu, przechodzą godziny, mija południe, Reński nie powraca.

Janka uchyla drzwi gabinetu. Ciemno tam jak w grobie. Reński dla podniesienia nastroju siedział w ostatnich dniach wśród ciemności, stora ciężka opuszczona doszczętnie.

Podnosi ją Janka. Odsłania się przed nią bezład, nieporządek istoty wiodącej tu życie z dnia na dzień. Pokój zaśmiecony papierami, szuflady biurka pootwierane, szafy ogołocone z ubrań, stosy wypalonych papierosów po kątach i na środku pokoju; wreszcie uderza ją brak owej walizki podróżnej, która stała tu wciąż, bo zabrać jej nie wolno było.

Aż bije od wrażenia wyprowadzki.

— Jakaś nowa komedya — pomyślała.

Błysnęła przed nią nadzieja:

— A może, a może on odszedł na zawsze?

Powiedziawszy te słowa, odetchnęła.

— Nie, nie, to dalszy ciąg podstępu i kłamstwa!...

Widmo niezwalczonej niedoli stanęło znów przed nią, targnął nią ból i żal.

I w gnieździe tem rozbitem, potrzaskanem, wlokła się godzina za godziną.

Ona z pustką pod cząszką, z sercem bijącem szybko stoi przed czemś niewiadomem, nieznanem.

Czemś, co wciąż przejmuje ją lękliwym dreszczem oczekiwania i czasem, czasem leciuchno, delikatnie szepcze nadzieja:

— Nie wróci...

— Żeby tylko nie wrócił! — drga w niej pragnieniem.

IX

Gdy Wyrwicz wychodzi ze drzwi mieszkania Reńskich, widzi już dokładnie, że jego przyjaciel popełnił szaloną omyłkę.

Stało się dla niego jasnem, że Janka nie jest bynajmniej zazdrosna o męża jako kobieta, jako żona.

— Ostatnie dni spędził u panny Rothländer, ten człowiek jest zdesperowany, rzuca się w odmęt rozpusty.

Postanowił rozbudzić w niej nutę zazdrości i pchnął ku temu początek rozmowy.

Mówił niby to z całą dla niej przyjaźnią, więc dyskretnie, jednak akcentując tragiczność położenia.

Wpił się w siedzącą kobietę oczami, widział, że była bardzo blada, miała głęboko wpadnięte oczy, ale wzmiankę o zdradzie męża przyjęła nie z rozpaczą, ale raczej z jakąś majestatyczną wyniosłością.

— Niewłaściwą drogę wybrałem — zrozumiał Wyrwicz — Reński jest jej obojętny.

W mig podjął znów grzeczny, układny:

— I dlatego, że dla domu państwa mam wiele przyjaźni, nie chciałbym, aby to, co jest jedynie chwilowem nieporozumieniem, przerodzić się mogło w trwałą rozterkę, dlatego... — zatrzymał się. Potem mówił powoli:

— Gdyby szanowna pani zechciała zrobić pewne życzone co do domu ustępstwa i sama osobiście to mężowi zakomunikowała, to uniknęlibyśmy... — urwał.

— Czego? — zapytała Janka niemal gwałtownie, patrząc Wyrwiczowi prosto w oczy. Wreszcie stawała oko w oko z zagadką, która już od dni kilku męczyła ją.

Zawahał się:

— Muszę powiedzieć wszystko... zawsze przez przyjaźń dla państwa — rzekł wreszcie. — Tak mi każe sumienie.

Wstał, zbliżył się do Janki.

— Nie chciałbym przerazić panią, ale rozpacz jest złym doradcą, a Reński jest zrozpaczonym i może opuścić panią. Zdarzają się takie wypadki. Wypadki te są już skandalem, szpetną płachtą, rozwieszoną przed oczami ludzi.

Zatrzymał wzrok swój na Jance.

Przez okno przeniknął promień słońca. W świetle tem na twarzy Janki zadrgały leciuchne odbłyski radosne, wybiegły z uśmiechem w ten krąg świetlisty, łącząc się z tą cudną jaśnią.

Wyrwicz wierzyć oczom nie chciał. Tak pięknie ułożony plan. Zastraszenie kobiety, zwabienie jej, by przyszła przeprosić za opór, stawiany wymaganiom męża, zdanie się jej bierne na jego łaskę i niełaskę pod grozą opuszczenia, więc skandalu. Czyż plan ten miałby rozbić się teraz o coś całkiem przez Wyrwicza nieoczekiwanego?

— Nie dość potulna i wytresowana — pomyślał.

Pochylił się nad Janką.

— Zrozpaczony jest — powtórzył. — Nie trzyma się już na wodzy. Jedyna nadzieja w pani. Proszę go uspokoić, a myśl szaloną porzuci.

Uśmiechnął się:

— I wszystko będzie znów dobrze.

Nie chciał przeciągać wrażenia, by nie osłabło. Pora odejść.

Wyciągnął rękę na pożegnanie.

Janka ręki tej zdawała się nie widzieć. Wyrwicz zauważył, że lepiej tego nie dostrzedz. Pochylił głowę w nizkim ukłonie i mówił jeszcze:

— Mąż pani dzień dzisiejszy spędzi u mnie, ja będę nieobecnym. Nie wątpię, że pani zechce zapobiedz katastrofie.

Jakiś przebłysk ironii zauważył na bladych wargach Janki.

Ogarnęła go wściekłość. Wzrok jego szedł w kierunku jej ust.

— A tak! — rzekł z naciskiem. — Bądź co bądź, przyzna pani, że byłaby to dla niej katastrofa. Mąż, który opuszcza żonę w kilka miesięcy po ślubie, musi mieć do tego podstawę.

Za wszelką cenę postanowił jej dokuczyć.

— Tak, świat musi być tego zdania.

Z szyderstwem popatrzył na Jankę.

— Niech pani o tem pamięta. Radzę pogodzić się z mężem i uczynić mu życie miłem.

We drzwiach rzucił jeszcze:

— Kobieta powinna być uosobieniem dobroci i pobłażania. Niech pani nie zapomina, że dziś czas jeszcze, a jutro będzie za późno!...

— Żegnam! — ukłonił się nizko.

Odwrócił się raz jeszcze, widzi, że kobieta jest marmurowo blada, ale spokojna. Chciałby coś jeszcze dorzucić, ale już sam nie wie co. Cały arsenał gróźb, zatrutych strzał wyładował. Powtórzył więc tylko z naciskiem:

— Jutro będzie za późno! — wyszedł.

Janka zanurza się w słowa Wyrwicza.

Opada ją trochę lęku, niepokoju, jak gdyby zatrzymała się gdzieś na nieznanym sobie brzegu. Lecz wnet zbiega się w niej cała fala ambicyi, godności człowieczej; do walki staje i nienawiść wytworzona z deptania wciąż jej duszy, lęk, niepokój odbiega. Janka czuje się silną, zdolną iść twardo, uparcie, choćby na przebój.

— Nie pójdę tam, za nic nie pójdę.

I zaraz przebiega jej pytaniem.

— Świat mnie potępi?

Wzywa do porachunku własne sumienie. Odnajduje w niem tylko szczerość, wielką, bezgraniczną szczerość.

Ku niej idzie kłamstwo, obłuda, te ją w bagnisko fałszu i nieszczęścia wepchnąć pragną.

— W postępku moim ludzie mogą widzieć tylko wyniosłość, potępić jej nie mogą, bo jest ona szlachetną!...

— Nie pójdę! — powtarza z mocą.

I ogarnia ją pewność prawości swego postanowienia.

. . . .

X

Reński stanął przed dużą zwierciadlaną taflą, zdobiącą ścianę gabinetu restauracyjnego.

Jest sam... nudzi się.

Obejrzał już swe piękne faworyty w odbiciu lustrzanem, rozczesał je starannie, dłuższą chwilę zajęła mu medytacya poparta doświadczeniem, czy ostatecznie bardziej do jego urody przypada rozdział kruczo-lśniących włosów przez sam środek głowy, czy też na dawny sposób nieco z fantazyą na bok noszony. Kwestya została nierozstrzygniętą: i tak i owak jest mu ładnie. Stanowczo uważa się za zupełnie frapującego mężczyznę. Ogląda teraz swe ręce. Nic do zarzucenia: długie, wązkie, białe; utrzymanie paznogci mogłoby przynieść zaszczyt najświetniejszemu mistrzowi *manicure*. Na czwartym palcu pierścionek zaręczynowy. Cudnej wody brylant w staroświeckiej oprawie, klejnot rodu Molskich. Reński lubi wpatrywać się w blaski jego czystej wody i teraz manewruje ręką w lustrze, a tam w odbiciu świateł załamuje się śliczna tęcza, bijąca z brylantu. Nagle oko jego spoczęło dłuższą chwilę na powierzchni lustrzanej tafli, a uśmiech wybiegł na wargi. W jednym z rogów błyszczącego zwierciadła dojrzał wyrżnięty brylantem ulicznikowski wymysł, pod nim facsimile jednej z tutejszych kokotek. Reński rozpromienił się do wspomnień. Mitzi wiedeńska nie opuściła nigdy gabinetu bez pozostawienia podobnie pięknej pamiątki.

Zdjął momentalnie swój brylant i z myślą przepełnioną Wiedniem rozpoczął pracę wśród świecącej powierzchni. Brylant, doskonale oszlifowany, wrzynał się głęboko i z każdą chwilą nowa litera uwieczniała szlachetną tendencyę Reńskiego. Głębokością myśli zawartej w kreślonem słowie zdystansował ową poprzedniczkę. To napełniało go niekłamaną radością. Skończył pracę, przyjrzał się raz jeszcze uważnie: litery były wyraźne, niosły w swem wnętrzu cały brud ordynarnej jego natury; nie umiała ona zdobyć się na szlachetny, ładny poryw; cała jej uciecha — to nurzanie się wśród plugawstwa i rozpusty.

Wypluł w chorobliwem podnieceniu napisane słowo — echo rozniosło je po ścianach gabinetu.

Reński zasłuchał się w brzmieniu wyrazu, znów uśmiechnął głupio, założył pierścień na palec, podszedł do kanapy, rozwalił się wygodnie na aksamicie.

Zapalił papierosa, otoczył się kołami, kółkami, artystycznie dokoła siebie je rozwiewał. W aureoli dymu śmiała mu się znów Mitzi.

— Jak ona to lubiła. Jedyne słowo, którego po polsku ją nauczyłem. Paradna, paradna była! — śmiał się.

— Dobre to były czasy! — westchnął — teraz psie, podłe. — Otrząsnął popiół z papierosa.

— Co wydrę, to moje, ale to dusić, wydzierać potrzeba. No dziś, to już odrazu wszystko capnę. A potem, potem... pal sześć, nie mnie o tem myśleć!

Przeciągnął się, ziewnął. Senny był trochę... nadużył likieru, głowa mu ciążyła.

— Kiedy ta gęś przyjdzie? — pomyślał. — Przybiegnie zapłakana, drżąca. Wiem, znam jej cnotliwe o małżeństwie zasady.

— I stryjaszeczka nie zechce martwić!...

Przypomniał sobie, że przed kilku dniami znalazł list jej na tualecie; pisany był niedawno do Molskiego. W każdym wierszu zapewnienia o wielkiem szczęściu, na każdej ćwiartce masa pochwał dla męża.

— Pyszna furtka ta obawa o stryjaszka — roześmiał się ale trochę sennie, bo Maraschino fatalnie go rozbierało.

— Nie mogę spać, do dyabła! Przecież to cielę przyjdzie!...

Lekki szmer uniósł się od strony, gdzie duża sztuczna palma imitowała rażącą zielenią postrzępionych liści karykaturalnie, śmiesznie, cudny swój oryginał.

Reński przypomniał coś sobie. Uniósł się nieco na siedzeniu, zwrócił głowę w stronę rozłożystej latanii.

— Pieniądze daje wszystkie?

— Na stół gotówką, proszę jaśnie pana.

Z poza zielonego tła wykwitała teraz wypełzająca, czerwona, mała głowa Raulsohna.

— On da trochę mniej, ale za to pieniądze na stół. Byleby pani zechciała — westchnął.

Reński milczał.

Faktor ośmielony nieco, wynurzył teraz już całą swą chudą figurkę na zewnętrz pokoju, skradając się, zwolna zbliżał się do kanapy.

— Jaśnie pan wie, co ja powiem: Ja się dziwie, co jaśnie pan tak z tym interesem zwleka.

— Ona nie chce; za włosy nie powlokę do rejenta.

— O jej, po co zaraz za włosy — dziwił się Raulsohn. — Mąż może wszystko zrobić ze żoną. Nie można pójść gniewem, to trzeba iść dobrocią. Tem prędzej do kobiety się trafi i, za przeproszeniem jaśnie pana, wszystko się zrobi. Une bardzo głupie i na dobroć łase.

Zachichotał. Twarz pomarszczona, jak zgniła gruszka, w skurczu wykrzywiała mu się brzydko.

Reński zamyślił się.

Bodaj, czy ten żyd nie miał racyi? Rzeczywiście trochę pokpił sprawę.

Nie lubił takiej czystej kobiety, jaką była Janka; okazując jej względy, musiałby przystosować swą ordynarną, cyniczną naturę do ładnego jej sentymentu.

Dosyć miał tego narzeczeństwa, krępować się dalej nie chciał.

W jego guście były dziewczyny z półświatka, bodajby proste rogówki. Z niemi był w swoim żywiole: gdy miał jej

dosyć, kopał nogą, wyrzucał. Z żoną musiałby inaczej, przyszło mu teraz na myśl.

— A no, pal dyabli! Przyjdzie, to ją uszczęśliwię!...

Przeciągnął się. Czuł się zmęczonym. Ostatnie noce, gdy z owych pieniędzy, pożyczonych na spłatę fikcyjnego długu przyjaciela, mógł nie żałując, sypnąć wesołym córom, kosztowały go dużo sił. Narkotyk likieru zrobił też swoje, a ciepło i miękkość aksamitu dopomogły...

Reński zmrużył powieki.

Żyd zaszył się znów w swój kąt. Z sali restauracyjnej dochodziły dźwięki modnej, wesołej melodyi. Kapryśne scherzo rozsypywało perły złośliwego chichotu.

Reński drzemał... We śnie zjawiła mu się Janka: pokorna, zbiedzona, zbolała, gotowa na skinienie jego ręki robić wszystko, co on jej rozkaże...

I oto dom sprzedany, kilkanaście tysięcy w jego ręku...

— *Pas mal, pas mal* — uśmiecha się i budzi.

To łoskot otwieranych drzwi przerywa mu sen.

Zdaje mu się, że widzi Jankę. Ogarniają go jeszcze senne rojenia... zwraca się ku niej.

Tymczasem szorstko brzmi głos Wyrwicza:

— Powinszować, dobrze ją sobie urobiłeś!

Reński zrywa się z kanapy. Raulsohna ruda głowa odcina się, wychylając, wśród ostrych kańczastych liści; czerwone, płomienne kosmyki rozpinają się na ostrych jej kolcach.

Obaj zwiśli cali na wargach Wyrwicza.

Reński, rozespany, nic ze słów jego nie pojmuje.

— Jak, co? Kiedy przyjdzie? — krzyczy.

— Dyabła tam przyjdzie — mruknął zły Wyrwicz.

— Odmówiła?

— Ani mówiła, ani odmówiła — odburknął. — Nic

nie mówiła, milczała, ale z błysku oczów i ust zacięcia zrozumiałem, że nie przyjdzie. Na wszelki wypadek posadziłem u siebie chłopaka, żeby nam dał znać, ale to na nic.

Reński nie zdawał się przygnębionym.

— Głupiś! Przylezie, zobaczysz, łapy mi całować będzie. Żyd, parch, dał mi dobrą radę — roześmiał się. — Sentymentami ją do reszty wezmę.

— Mnie się zdaje, że to za późno. Przebrałeś miarę w gburowatości.

Drzwi od gabinetu zamykają się cicho: to Raulsohn wysuwa się przez nie.

— Ma kupca — mówi Reński, wskazując na żyda — pieniądze na stół, byle ta błaźnica... byle...

Ściemniało się. Zjawił się kelner i rozjaśnił mrok światłem kilku tulipanów. Banalne elektryczne światło wytrysło przez matowe o czerwonych osłonach lampy. Cisza panowała niezmącona. Pora obiadowa przeszła. Wraz z nią urwały się dźwięki.

To chwila zamierania życia restauracyjnego.

Nocną porą wybiegnie z niej gwar, szum kolacyi, później przejdzie we wrzask i pisk swawolny, tłumiony po gabinetach. Teraz to letarg, później życie, a już później — nadużycie.

Godzina upłynęła. Wyrwicz, już teraz przy blasku płonących na ulicy latarni, wyławiał postać chłopaka, mającego im przybycie Janki zwiastować. Siedzi przy oknie. Dom, w którym skromny pokoik na trzeciem piętrze *chambres garnies* zajmuje, jest tuż naprzeciw restauracyi położony.

Siedzą teraz w milczeniu. Zegar wydzwania kwadranse i godziny. Reński zaczyna się niepokoić. To opóźnienie dziwi go. Sądził, był pewien, że Janka z zapuchniętemi od płachu oczami porwie za okrycie i wślad za Wyrwiczem już

biegnąć będzie. Znał jej zasady i poważne na życie zapatrywania. Wiedział, że lekkomyślność przystępu do niej nie ma, że jej wprost nie rozumie. Więc wynik stąd jasny, że i małżeństwo bierze na seryo. Czyż dotąd nie robiła wszelkich ustępstw, byleby tylko życie rodzinne podtrzymać?

Wszystko to Reński powtarza sobie dla uspokojenia, słowa jednak Wyrwicza: »Przebrałeś w gburowatości« powracają mu wciąż w pamięci. Z niemi owładnął nim lęk i strach.

— I co będzie dalej? — stanął przed przyjacielem.

— A czy ja wiem? — Wyrwicz wzrusza ramionami. — Mówiłem: nie przyjdzie.

— Ale co dalej? — denerwuje się Reński. — Czy ja mam sam wrócić i znów dalej wisieć, jak wisiałem? Do biura chodzić i wyrywać po trochu pieniądze, co?

Złośliwy, pełen wściekłości wyraz wykrzywia mu wązkie, zacięte usta. Wyrwicz nie odpowiada. Siedzi nieporuszony na swem obserwacyjnem stanowisku.

Znów milczą.

Godzina znów bije. Reński wpada w coraz większą pasyę, już nie może usiedzieć na miejscu, rozbija się po pokoju, roztrąca meble, ze złości traci wciąż przytomność.

Wyrwicz z ironicznym uśmiechem obserwuje go z pod oka. Wreszcie rzuca:

— Nie awanturuj się, bo to nic nie pomoże, a robisz hałas. Posłyszą w korytarzu... po co?

Wyjmuje zegarek.

— Dziewiąta. Napewno nie przyjdzie. No, Reński, żegnaj się ze stanem małżeńskim; spaliłeś za sobą mosty!

Ujął butelkę: pociemniały kieliszki burgundem. Podniósł jeden, drugi podał Reńskiemu.

— Nasze kawalerskie! — zawołał, śmiejąc się. — To pierwszy toast!

Wychylili.

— A teraz — nalał znów kieliszki — za pomyślność naszej sprawy!

Zaakcentował »sprawy« i zerknął filuternie ku Reńskiemu.

— Jakiej sprawy? — zawołał w głos Reński.

— Cicho, nie wrzeszcz! — mitygował Wyrwicz, podszedł bliżej i ujął go pod ramię.

— Widzisz, oprócz dobrego sprzedania się w małżeństwie, są jeszcze inne afery, bardziej od pierwszych pewne. Sprzedałeś swą urodę, i cóż z tego? Sam mówisz, że w przyszłości widzisz biuro, kotlety domowe i cnotę małżonki. Wspaniała perspektywa!...

Reński opadł na kanapę, głowę zwiesił na piersi, był zupełnie zdetonowany. Wyrwicz przysunął się do niego z krzesłem i zaczął mówić cicho:

— Widzisz, obaj spekulujemy w życiu, by nic nie robić, próżnować i używać. No tak, prawda? Tylko... tylko twoja kombinacya zawiodła cię.

— Oszukali mnie! — zawołał żywo Reński.

— No, przedemną nie blaguj — ty ich, a nie oni ciebie. Krótko mówiąc: twoje wyższe kombinacye zawiodły cię.

— Ja... — tu mówić przestał na chwilę i szukał jakiejś kartki w pugilaresie — oparłem swoje spekulacye na bardziej gruntownych i realnych podstawach. Widzisz te cyfry — dodał, pokazując Reńskiemu papier — nic ci one nie mówią: w zestawieniu jednak z tą drugą notatką, zobacz, będą zrozumialsze.

Zapalił w dwuramiennym kandelaberku świecę i podsunął ją wraz z kartką pod oczy towarzysza. Dogasającego papierosa wrzucił do kryształowej popielniczki. Był spokojny,

tylko w oczach dużych, czarnych, przebijały mu stalowe, złe błyski.

Reński, szalenie zaciekawiony, rozgorączkowany, porwał papier. Z początku cyfry, litery wirowały mu przed oczami; zwolna zdołał zrozumieć, co przedstawiają pierwsze, co mówią drugie...

Papier wypadł mu z rąk. Był oszołomiony. Na twarzy ukazały się ciemne wypieki, oczy szeroko otwarte, pociemniałe wpił w twarz Wyrwicza.

Chciał mówić — dławiło go w gardle, wreszcie wyrzucił ze ściśniętej krtani:

— Ale czy to się uda? — lęk słychać było w jego głosie.

Wyrwicz roześmiał się.

— Zrozum — odpowiedział wolno, dobitnie — że nie narażałbym przedewszystkiem siebie na gnicie w kryminale.

Podjął papier, złożył go starannie, schował do pugilaresa. Wstał, podszedł do drzwi, otworzył je zcicha i wyjrzał na korytarz.

— Niema nikogo.

Powrócił do stołu i stanął przed Reńskim.

— Jak ty jednak, Reński, jesteś marnym psychologiem — odezwał się tonem ironicznej wyższości. — Mówisz o sobie: wisieć dalej nie chcę w tem biurze, a nie przeszło ci przez głowę, że owo przeklęte biuro może być i dla mnie rozpaczą. Wiedzże więc, że ono nie tylko dla ciebie, ale i dla nas obu było nie celem, lecz środkiem.

Mówił — wpatrzony w sufit, malowany w jakieś jaskrawe, pstre barwy, odcinające się brutalnie w czerwonem świetle tulipanów. Odkrywał tajniki swej duszy. Jak w cuchnącem bagnisku krążyły tam złe myśli i zamiary...

Myślał teraz głośno — musiał. Reński należał do na-

rzędzi, które myśli jego w czyn wprowadzać miały; od nich zależało życie jego dalsze.

— Jakie było moje przeszłe życie — mówił zwolna — nie będę cię wtajemniczał; dość ci wiedzieć, że zostawszy *à sec,* uczepiłem się najprzód z konieczności posady gryzipiórka, a później dążyłem już całą parą do Sezamu, który ci w tych kartkach wskazałem...

Wstał, wypił kieliszek koniaku, drugi podał Reńskiemu.

— Dla kurażu — roześmiał się.

— Potrzebny mi był ktoś z pierwszego wydziału — dalej — na razie nie znalazłem tam nikogo odpowiedniego. Same zacne dusze! Aż ty mi się nawinąłeś. Nie dla twoich pięknych oczu, ale czuję w tobie podobną mnie kreaturę. Ofiarowałem się z przyjaźnią. Widzisz, mam o tobie stosowne wyobrażenie! Chcesz powiedzieć, czemu ci się zwierzam? Ot bratku, dlatego, że ty bezemnie, ani zresztą ja bez ciebie w tym interesie ani rusz. Musimy iść kupą, musimy.

Poklepał Reńskiego po ramieniu; potem cicho już rzucił:

— Teraz właśnie czas właściwy. Za tydzień kontrola. W tej chwili wszystko w porządku — zaśmiał się, białe zęby błysnęły. — Potem kilka dni przycichniemy, paszporty uregulowane, pugilaresiki wypchane — i w świat!

Zachichotał dziko, a potem nagle ciemnemi plamami oczu z pod łuków zsuniętych brwi spojrzał w Reńskiego, uderzył pięścią w stół i groźnie zawołał:

— Tak będzie, tak być musi!

Świece dopalały się w kandelabrze, dogasały zwolna.

Wyrwicz zamilkł. Padały na niego płomienne błyski tulipanów, wyglądał jak jakaś moc zła i niszcząca. Nagle czarna opona zakryła go przed oczami Reńskiego — światło elektryczne zgasło.

— Co u dyabła ciemno! — zawołał Reński. — Nie cierpię ciemności.

Szukał zapałek, dzwonka — nic znaleść nie mógł.

Siedzieli obaj w milczeniu. Dyszeli nienasyconem pragnieniem wydarcia życiu tego, co według ich pojęć w źródle szczęścia zanurzyć ich mogło. To, co dokonać mieli, wydało im się zupełnie słuszne, proste i jasne. W sercach, w mózgach, w duszach wirowała, kłębiła się, szamotała żądza szalona, potworna...

Nagle tulipany rozbłysły znów krwawe, złowrogie. Wraz z blaskami purpurowemi porwał się krzykliwy szablon restauracyjnego życia: rozległy się kroki, nawoływania, sygnały elektryczne.

Osowiały w ciemnościach Reński odżył. Porwał za dzwonek, targnął nim silnie.

— Szampana! A żywo!

Rzucił się za odchodzącym kelnerem:

— I dziewczyn!

Jak z pod ziemi wyrosłe zbiegły w aksamit draperyi drzwi dwie kobiety.

— Wiedenki z szampańskich pawilonów! — rekomenduje z dumą kelner. Stawia srebrną wanienkę ze złocącemi się szyjkami Roederer'a.

Korki strzelają, wino sperla się w szklanki. Dziewczyny znają powinność, porywają się ku niemu, piją do oszołomienia. Rozpłomienione — zrywają zarzutki. Błyska blansz obnażonych biustów i ramion dekoltowanych staników.

Mężczyźni ciągną je ku sobie.

Tłumiony chichot, pisk, szamotanie.

Zabawa...

XI

Wzdłuż dwu długich, wązkich sal, po obu stronach ścian ustawiono systematycznym, akuratnym szeregiem zastęp stolików, znaczących swe blaty zielenią sukna.

To pierwszy i drugi wydział biurowy.

W godzinach pracy ludzkie automaty zapełniają na arkuszach bielejących wśród sukna zwarte kolumny cyfr i znaczków. Pracują. Nie inaczej było wczoraj, a i jutro mało różnić się będzie od dni ubiegłych. Dziś jednak w cichych zwykle szeregach pracowników przemykają jakieś niewyraźne szepty, a spojrzenia od cyfr wybiegają ku dwum niezajętym stołom. Tam arkusze czyste wyczekują na zapełnienie kolumn. Wyczekują już dni kilka. A od dni kilku też nazwiska Wyrwicz, Reński, z początku szeptem, ukradkowo rzucane, teraz już śmielej obiegają sale obu wydziałów.

Bo oto wczoraj zaszumiała, zakipiała i na zewnątrz wylała się wieść o niebywale śmiałej defraudacyi, popełnionej w biurze. Kasyer wyprowadzony został w pole świetnie sfałszowanymi podpisami. Pieczęcie, papiery znajdowały się w zupełnym porządku. Nie podejrzewając ani chwili podejścia, wypłacił znaczną, bo stutysięczną sumę. W niczem winić go nie można. Tylko należy podziwiać spryt i pedantycznie zachowaną ostrożność defraudantów.

Że to są ludzie biurowi, o tem nikt nie powątpiewa. Oni jedni tylko mogli chwilowo zawładnąć pieczęciami pierwszego i drugiego wydziału. Zatem są to pracownicy biura. I teraz właśnie te dwa opustoszałe przy biurkach krzesła wyraźnie świadczą, że panowie ci pozbyli się już ciężaru pracy, a teraz z dobrze zaopatrzonymi pugilaresami wyrwali się gdzieś w świat daleki.

Nazwiska Reński, Wyrwicz, obijają się wciąż echem wśród wysokich sufitów sal pierwszego i drugiego wydziału.

Dyrektor biura, Szarski jest w rozpaczy. Chodzi śpiesznie wzdłuż swego surowo, lecz wytwornie urządzonego gabinetu. Ta kradzież, spełniona w biurze, będącem pod jego pedantycznym nadzorem, jest wprost fenomenalnie śmiałą, arogancką, bezczelną. Gdybyż zdarzyła się ona za którego z jego poprzedników, kiedy protekcya panoszyła się w najlepsze i przyjmowano każdego, przedstawionego do wakansu przez przyjaciół dyrektora.

Ale teraz, przy nim, gdy każdy kandydat przechodził przez ścisłe, uprzednie zbadanie jego *curriculum vitae!*

Teraz, przy nim!...

Szarski jest zupełnie zgnębiony. Zasiada w fotelu. Ta fatalna omyłka, jedyna jego w życiu biurowem omyłka — błyszczy mu złowrogo przed oczami w osobie eleganckiego bruneta o ładnych, starannie rozczesanych kruczych bokobrodach.

— A hultaj, paniczyk! odrazu mi się nie podobał, ale ustąpiłem przez przyjaźń dla Molskiego. Tak prosił, tak prosił — powtarza, przypominając sobie siedzącego w tym samym gabinecie Molskiego i jego prośbę o przyjęcie do biura przyszłego zięcia.

— Tak prosił, ustąpiłem, raz w życiu przyjąłem przez protekcyę — roześmiał się gorzko — ot i kara!

Figura Wyrwicza mniej go niepokoi. To pozostałość po dawnym dyrektorze, ale Reński, to jego własna kreatura — kreatura systematycznego dyrektora Szarskiego!

Co za ironia, co za szyderstwo!...

Myśleć o tem wprost nie może. Do dziś czepiał się wszystkiego, byle tę ostateczność oddalić; teraz od godziny ma już pewność.

Wszelkie wątpliwości ustają.

Skandal straszny!

I to on, nieposzlakowany w swej karyerze biurowej, może być pomówiony o lekkomyślne obsadzenie miejsca, które, zużytkowane w nieuczciwych rękach, podobny rezultat dać mogło!

— Zawierzyłem Molskiemu — tłómaczy się jeszcze sam sobie, pełen złości ku przyjacielowi — zawierzyłem; przecież o zięciu chyba powinien był referencye mieć jaknajściślejsze.

Zamyślił się, wreszcie zakonkludował:

— Niech i on teraz głowę połamie! Powinien stratę pokryć, to jego święty względem mnie obowiązek.

Niestety, wspomniał odebrany od Molskiego list, pisany z Kairu.

Aż się żachnął.

— Szukaj wiatru w polu — zasyczał przez zęby — no, ale jest tu jego siostrzenica; wiem, ma nieruchomość; do niej pójdę, niech za gagatka zapłaci.

W kwadrans później stał już przed domem Janki.

Dorożkarz przepraszał pana dyrektora, że bliżej podjechać nie może: jakiś ogromny furgon do przewożenia rzeczy tamuje podjazd. Szarski widzi, że tragarze wynoszą meble. Żydzi kręcą się w bramie, mrowisko brudnych chałatów, w powietrzu szwargot zacietrzewionej Palestyny, krzyk, hałas, gwałt. Szarski wchodzi w bramę i przeciska się z trudnością około otomany; niesie ją kilku ludzi. Zatrzymuje się, gdyż i cały orszak, niosący drogocenny turecki mebel, powstrzymany jest w biegu przez grubego żyda.

— Moje piękne atamane na nic zniszczone — lamentuje żyd, oglądając ze wszystkch stron sofę. — Co to jest? to wszystkie sprężyny powiłaziły — jęczy już teraz, dotykając stalowych obręczy, które przez przetartą nędzną broka-

telę sterczą wesołe, rade, że wydostały się z brudnego wnętrza.

Szarski chce przejść, niecierpliwi się, interweniuje słowem, głos jednak ginie wśród zaciekłego szwargotu, zajadłego wrzasku; poczyna więc manewrować laską. Ten sposób, grubo w tym razie skuteczniejszy, robi swoje: kondukt sunący z otomauą i płaczącym nad nią żydem ustępuje przed srebrnem okuciem laski.

Szarski dociera do schodów. I tu potyka się raz wraz o biurko, stoły, krzesła. Wyprowadzka ta, na której oko jego z początku spoczywało obojętnie, zaczyna go teraz interesować. Meble wynoszone są z szeroko otwartych drzwi, a stróż objaśnia go, że właśnie z mieszkania pana gospodarza meble te wynoszą.

Wobec tak gościnnie rozwartych podwoi dzwonek zbyteczny, Szarski wchodzi więc do przedpokoju, następnie przechodzi do salonu. Pusty już doszczętnie. Przez otwarte drzwi dostrzega jadalnię. Mała, ruchliwa postać Raulsohna przebiega od kąta do kąta. Niezmordowany faktor dyryguje usuwaniem mebli, inny żyd, widać stolarz, zgięty w pałąk, naprawia naprędce jakieś uszkodzenie przy bufecie. Raulsohn radzi jak to robić należy. Sprzeczka we wstrętnym żargonie rozchodzi się echem po pustem mieszkaniu.

Szarski dociera do gabinetu. Tu wałęsają się jeszcze dwa wiedeńskie krzesła. Ujmuje jedno, chcąc usiąść.

— Będę czekał — myśli — może się kto z domowych nawinie.

Jeden z biegnących żydów wyrywa mu stołek:

— Przepraszam, to trzeba zabierać!

Stuk, hałas, krzyki, nawoływania!

Szarski stoi zupełnie oszołomiony; rozgląda się dokoła i wśród poroztwieranych naokół drzwi dostrzega jedne, jedyne szczelnie zamknięte.

— Może tam wreszcie kryje się jakaś chrześcijańska dusza?

Puka delikatnie i raczej odgaduje, niż słyszy:

— Kto tam? — bardzo ciche i lękliwe.

Wymienia swe nazwisko.

Obrót klucza, uchylenie drzwi. Jakaś postać ludzka o bardzo bladej twarzy, z czerwonemi od płaczu oczami, trwożnie wychyla głowę.

Szarski poznaje Janinę.

— Proszę panią o chwilę rozmowy — mówi.

Wchodzi za nią do sypialni; podtrzymać ją musi. Wstrząsana febrycznemi dreszczami, idzie z trudnością. Dyrektor prowadzi ją do kozetki.

— Jaka ona zmarnowana — przebiega mu przez myśl. — Zalał jej widać dobrze sadła za skórę. A, łajdak!

Widzi, że kobieta wyczerpana jest zupełnie.

— Zamknęłam się przed tymi żydami — mówi wreszcie Janka, powstrzymując z trudnością szczękające zęby. — Tak, od rana tu wpadli i gospodarują.

Rozpłakała się.

— Dlaczego oni meble zabierają? — pyta Szarski.

— Mówią, że meble były tylko wynajęte; termin minął, zabierają je — tłómaczy łkając.

Szarski czuje, że nie na miejscu są tu jego wymówki. W rysach kobiety tej widnieją ślady bezustannej zgryzoty, nocy bezsennych, szalonego targania się nerwów. Los pomścił jego krzywdę dostatecznie, bodaj, czy nie ze zbyt wielką hojnością.

— A gdzież pan Reński?

— Nie wiem, ci żydzi mówili, że wyjechał.

Istny grzmot, spowodowany runięciem ogromu wynoszonego bufetu przerywa rozmowę. Cała falanga zbiega się

na ratunek zagrożonej całości. Usiłują dźwignąć ten ogromny kloc drzewa. Szarpnięte przy upadku gwałtownym drzwiczki, szuflady, rozleciały się na wsze strony. Gzemsy, źle odrobione i ponaklejane ozdoby, rzeźby połamane na drobne kawałki, przywodzą już do rozpaczy nieszczęsnego ich właściciela. Łamie ręce. Najdroższy, najokazalszy mebel jego składu zrujnowany, zmarnowany zupełnie.

— Co to za gałgan! — krzyczy już teraz na cały głos — jakie on mi meble połamane, zniszczone oddaje. Same graty na nic, tylko wyrzucić. Co to jest?

Nadbiega widać Raulsohn, bo daje się słyszeć jego cienki, piskliwy głos:

— Proszę nie wimiszlać, to bardzo godny pan, pan Reński, on mebli nie zapiera, oddaje!

Handlarz wrzeszczy już teraz po żydowsku. Raulsohn usiłuje przekrzyczeć go swym dyszkantem. Duet ten ma za chór przekleństwa i łajania tragarzy, zgiętych w dziesięcioro. Łamią sobie krzyże, a tu co chwila wali się coś na ziemię. Wreszcie, po długiej chwili, drogocenny mebel wydostaje się z objęć drzwi na klatkę schodową. Ostatnie ciężkie uderzenia obcasów o podłogę, jeszcze kilka wymysłów, jakieś niebywale silne przekleństwo zawisło w przestrzeni — potem już cisza...

Wśród tego piekielnego iście zamętu Szarski i Janina siedzą bez słowa. Ona śmiertelnie przerażona, on zakłopotany, niepewny, w jaki sposób przystąpić do sprawy, z którą tu właściwie przyszedł. Milczy, dobiera w myśli odpowiednich wyrazów.

Nagle rozlega się przenikliwy, ostry dźwięk elektrycznego dzwonka. Czekają otwarcia drzwi — to nie następuje. Ogólny bezład oddziałał demoralizująco na służbę. Wywędrowała widać z mieszkania.

Dzwonek ponawia swe tony.

Teraz już oboje podnoszą się; Szarski uprzedza Jankę, otwiera drzwi; w nich ukazuje się znana Jance osoba lokatora jej domu.

— Pani gospodyni daruje — zwraca się ku niej — ale przychodzę z zapytaniem. Lokal wynajmowałem od pana Reńskiego i jemu wnosiłem komorne. Tymczasem wczoraj przyszedł do mnie jakiś pan, właściwie żyd, i mówi mi, że to już jemu na przyszły miesiąc mam wypłacać należność, bo on dom wydzierżawił.

Przerwał, widząc pomieszanie Janiny.

— Pani daruje, ale ta figura wydała mi się tak podejrzaną, że postanowiłem dowiedzieć się u państwa, czy to nie jakie nadużycie.

Zwrócił pytające spojrzenie ku Jance.

— Proszę objaśnić mnie, jak mam postąpić.

Szarski spogląda na nią także; widzi, że szeroko rozwartemi oczami patrzy na lokatora, nic nie rozumiejąc, niezdolna przemówić i słowa.

Sam więc zwraca się do przybyłego:

— Czy otrzymałeś pan jakie w tym względzie zawiadomienie rejentalne.

— Istotnie otrzymałem. Oto ono!

Podaje urzędowy papier. Szarski przebiega go szybko oczyma.

— Ten pan, czy tam ten żyd, o którym pan wspomniałeś, jest w swojem prawie; istotnie dom został mu oddany w dzierżawę i jemu też komorne płacić należy.

Papier wręczył lokatorowi. Ten ukłonił się i wyszedł.

Szarski jest bardzo zakłopotany; zrozumiał, że nad tą kobietą zawisło nietylko moralne, ale i materyalne nieszczę-

ście. Odgadł długi, w które wciągnięto ją, a teraz to pozbawienie dochodów domu...

Wiedział, że choć ona nie pyta, on jednak objaśnić ją musi. Nie mógł ukrywać dłużej biurowej defraudacyi i w kwestyi domu należało ją objaśnić. Począł więc:

— Otóż, widzi pani, pan Reński popełnił znaczną defraudacyę w biurze i, zmuszony do zniknięcia z miasta, wyrwał jeszcze co mógł z własności pani. Wydzierżawił jej dom na przeciąg lat trzech i pobrał z góry dochody.

Janka podniosła ku niemu przerażeniem tchnące oczy.

— Okradł biuro — wyszeptała — Boże, jakie to straszne! — załamała ręce. — Złodziejstwo, i tu i tam złodziejstwo!

— Tak, niezawodnie, ten pan popełnił podwójne złodziejstwo; to jednak oryginalne — mówił, zastanawiając się Szarski, że za przestępstwo okradzenia biura wolno nam go ścigać, pozbawić przez areszt wolności, a wreszcie kryminalnie sądzić, gdy tymczasem za złodziejstwo względem pani popełnione nikt oskarżać go nie może.

Widząc zdziwienie, malujące się na twarzy Janki, mówił dalej:

— Ot, uczą panienki różnych algebr, chemii, fizyki i Bóg wie czego na pensyach, a nie zaznajamiają z życiowemi koniecznościami. Gdybyś pani szła w życie zbrojna znajomością kodeksu Napoleona, wiedziałabyś, że zdana na łaskę i niełaskę takiego pana męża, powinnaś sama o swoich pokrzywdzonych prawach pomyśleć. Oto — tłómaczył dalej — choć to już po niewczasie, objaśnię panią, że, widząc marnotrawność tego pana, powinnaś była wystąpić o usunięcie go od zarządu domem.

— Ależ panie, ja pojęcia o tem nie mam — przerwała mu Janka.

— Jak mówiłem, wadliwe wychowanie kobiet winno i teraz nieszczęściu pani. Mężowi przysługuje prawo pobierania dochodu z majątku żony, wydzierżawienie domu na lat trzy; na to Napoleon w swej mądrości pozwala mu bezkarnie, a on, dopełniając tego gwałtu, jest zupełnie z prawem w harmonii i zgodzie.

— Ależ to prawdziwy rozbój — zawołała oburzona Janka.

— Określenie trafne: rozbój, ale dodam słowo: dozwolony rozbój. A widzi pani. Musisz zgodzić się, że w życiu obijamy się co krok niemal o owe dozwolone rozboje, którym świat z dobrotliwym uśmiechem pobłaża, około których przechodzi i o których się już nawet pod grozą śmieszności w świecie nie mówi...

. . . .

— Więc dzieją się na świecie dozwolone rozboje, prawem ludzkiem nie ścigane, raczej usankcyonowane niem? — tkwi wciąż pytaniem w duszy Janki.

Siedzi złamana.

— Nic mnie już dziwić nie powinno — formułuje się w jej głębi odpowiedź. Wszystko jest możliwe; czyż ja od trzech miesięcy nie konam w jakichś anormalnych warunkach? Czyż od trzech miesięcy nie oczekuję wciąż nieszczęścia, czyż nie budzę się i nie zasypiam przerażona, trwożna?

— Tak, od trzech tygodni przeżywam dni, które znosić dłużej stałoby się niemożliwem; to zerwać się musiało, musiało!...

Patrzy na to ogołocone mieszkanie, w tę pustkę, która ją otacza. Jest wprost oszołomiona. Wszystko zlewa się w jedną próżnię, a całe światy przeżyte ogarniają ją i wciąż szarpią jeszcze duszę.

Wreszcie łzy biegną jej z pod serca. Płacze ciężko, boleśnie: każda łza wlecze za sobą wspomnienia chwil minionych...

Lecz w głębi jej szemrać poczyna:

— Minęło, on nie wróci, nie będzie życia zatruwał, widokiem swym nie będzie ci rzucał przed oczy twej fatalnej omyłki.

Janka przypomina sobie popełnioną w biurze defraudacyę:

— Tak, to prawda, on wrócić nie może... więc jestem samą, swobodną!

I całą pełnią radosnego wrażenia targnęło jej duszę; ciężar, tłoczący ją, opadł jakby nagle. Rezejrzała się dokoła: ta pustka, to zniknięcie wszelkich przeszłości śladów poczęło ją koić.

— Wyzwalam się z jakiegoś wstrętnego mi kręgu — pomyślała; — wszystko, co było nieszczere, kłamane, z nim łączne, opuściło mnie.

Żydowskie meble, kuferek podróżny, wszystko, co strzępiło jej duszę niesmakiem, powlokło się za przeszłością. Teraz te ogołocone, milczące ściany oczekują jakby innej, lepszej atmosfery: przyszłości!

— Jaką ona, ta przyszłość, być może? — zaszumiało w niej pytaniem. — Nie gorsza, to pewna. Wolna przynajmniej od męki, z której wydało jej się, że niema wyjścia, wolna od zmory, każącej wyczekiwać owych nocnych powrotów, wolna od ucisku, który z całą brutalną przemocą wciąż gromem walił się na nią!

— Nie gorsza, to pewne — myśli — a może, a może...

Jakieś nieokreślone, niepewne uczucie wkrada się ku niej uśmiechem promiennym.

— A może dola moja będzie jeszcze jasną?

— Przecież jesteś teraz wolną i swobodną — zadrgało w niej radośnie — więc czemu dola twoja nie ma być jasna? czemu?

— Tak, czemu? — powtarza Janka. — Wyszłam z jakiegoś piekła, a teraz?...

Urywa. W oczach rozżarzył się dawno niewidziany blask, usta rozchyliły się nadzieją. Twarz cała promienieje radością. Jest znów dawną Janką Molską, nie przygnębioną, tchnącą smutkiem Reńską!

Nazwisko to! z niem znów wspomnienie bolesne, zaciśnięcie rąk w kurczowym uścisku — twarda obręcz żelazna wtłacza się w ciało...

— Obrączka!

Na twarzy Janki przywiera znów maska cierpienia. Patrzy z osłupieniem w ten kawałek błyszczącego metalu. Złoto śmieje się, drwi z jej jasnych o szczęsnej swobodzie marzeń. Małą żmijką oplata jej ciało, złośliwym uściskiem dusi kobietę. Z całą rozpaczliwą fantazyą widzi ona w obrączce tej zadrwienie z jej praw do życia, do szczęścia. Ta nikła metalu nitka przedziela ją zwartą oponą skał od jasnej łąki, na której błyszczy zorza swobody, a kielichy szczęścia rozwierają cudne życia kwiaty...

Stoi bez tchu, blada, a nad nią niby gromy spadają uroczyste, ciężkie przysięgi słowa:

— Nie opuszczę cię aż do śmierci!

Ogarnia ją przerażenie; słowa te, niby rozpalone iskry sypią się dokoła niej. Krwawy ból beznadziejnej sytuacyi uderzeniem młota bije w nią. Czuje, że zapada w jakieś nieszczęścia bagnisko, które mocą złożonej przysięgi niby w rozpaczliwej otchłani pogrążyć ją musi.

— Więc kłamstwo, ohyda, występek i na mnie ciążyć mają? — rzuca wreszcie drżąca pytaniem.

Jakimś piekielnym chichotem szydzi w niej:

— I przyjść może ten, którego w chwili dziwnego zapamiętania wybrałaś, i powiedzieć:

— Chodź za mną! obrączkę masz moją na palcu, chodź za mną!

W ślad za tem w duszy jej woła:

— Iść musisz, bo oto obrączka, ona cię z nim łączy, więc musisz!

Rozpacz wstrząsa nią całą, odczuwa, że opłynęły ją straszne prądy, prądy niezwalczonej mocy. Jeśli teraz, w tej chwili nie odgrzebie nic, coby faktowi, który całą swą falą biegnie ku niej, czoło stawić mogło, przyszłość stanie się tragedyą, depczącą, druzgoczącą w niwecz płomienny kwiat jej życia. Uprzytomnia się jej, że w tej chwili nadzwyczajnym wysiłkiem powinna odnaleźć ratunek, inaczej gorycz życia zadławi ją.

Drży cała...

I z samego dna, z głębi jej duszy zaszemrało najsubtelniejszym dźwiękiem:

— Przysięga nie dobrowolna, podstępem wymuszona, ważną być nie może!

Całe snopy złocistego słońca zadrgały w dźwiękach tych, w nich rozpromieniał tęczowy łuk — łuk nadziei.

Ku tęczy tej wzniosła oczy, w promienie jej wbiła całą swą siłą źrenice. Te dźwięki, zaledwo pochwytne, wznoszą Jankę w jednej chwili poza obręb gorączkowej rozpaczy, ku której targało nią jej nieszczęście...

Wyprostowana, z twarzą zwróconą ku słońcu, co jasne, wesołe, przebija zasłonę okna, powtarza ciągle:

— Przysięga, podstępem wymuszona, ważną być nie może!...

Czuje się ocaloną, zbawioną.

Przysięgałam, tak, to prawda — mówi. — Ale byłam w błąd wprowadzoną; oszukano mnie, więc i przysięga taka ważną być nie może.

Zaczyna szukać w sobie, w swem skąpem doświadczeniu, co też uczynili ludzie mądrzy, którzy wytworzyli jakieś prawa. Co oni stworzyli dla takich wykolejonych, życiowych rozbitków, jak ona?

Dla takich jednostek, od których fałszem, podstępem przysięgę wyłudzono?

Przyszły jej na myśl słowa Szarskiego, gdy wykładał jej treść kodeksu Napoleona, tego Napoleona, który ostro, brutalnie pozwala na trwonienie w bezwzględnem rozporządzeniu męża — majątkiem żony.

— Rozbój! — zawołała wtedy oburzona.

— Tak, rozbój — odpowiedział jej Szarski — bezsprzecznie rozbój, ale dozwolony!

Janka blednie, zimno ją oblewa; odgaduje, że i tu, w prawach kościelnych, które stanowią w sprawach małżeńskich, istnieć musi także jakiś kodeks.

Uspokaja się rychło.

Tu niezawodnie sprawiedliwość ludzka nie rządzi, tu tylko miłość i miłosierdzie stanowi!

I Janka w złotych poblaskach słońca, już tryumfująca i pewna swej bolesnej prawdy, stoi zwycięska. Gwiazda jej szczęścia nie zgasła. Tym, którzy stoją u steru spraw kościelnych odkryje głębię swej moralnej nędzy. Nie padnie zgnieciona i zwalczona niedolą, wywiodą ją z koła fałszu i kłamstwa, otworzą jej szeroko wrota, ku nowemu życiu wiodące...

Nadzieja promienna i pewna ogarnia ją całą, czuje, że prawda z nią jest, czuje słuszność swego żądania, całą pewność swych argumentów. Czuje, że wszystko jest za nią.

I teraz powiało ku niej wielkiem ukojeniem; nerwy jej, wyobraźnia uspakajają się zwolna. Przed oczami jej duszy świetlanemi barwami snuje się kilka głosek, układają się, tworzą krótki wyraz: rozwód.

— Rozwód! — woła zmęczona kobieta — tak, rozwód, a z nim, spokój, wolność, swoboda!

XII

I zdawało się Jance, że z chwilą, gdy obecność Reńskiego przestała jej ciężyć, względny spokój powinien wkraść się do jej teraźniejszej egzystencyi. Lecz środowisko, wśród którego życie jej w ostatnich miesiącach upływało, niby zło, zagarniające ją pod wszechwładną swą moc, i teraz jeszcze nie dało jej odetchnąć rozkoszną chwilą spokoju. Wciąż szły ku niej złe powiewy; te gasiły spokój jej duszy, czyniły ją trwożną, niepewną.

I dziś już od rana Janka jest przybita i rozżalona. Porzucona na dywanie gazeta daje jej opis skandalu.

Bohaterem jego jest jej mąż.

Jej mąż!

Janką patrzy na wyraźnie czerniejące wśród bieli płachty papieru słowo: Reński.

I nerwy jej szarpie ból dotkliwy.

Uprzytomnia sobie, że ci panowie z redakcyi są w pełnem prawie pisania o wypadku. Dotyka społeczeństwo, więc staje się wypadkiem publicznym.

— Tak, naturalnie, o kradzieży pisać mogą — myśli — ale po co te szczegóły, nie mające z nią związku?

I patrzy, jak zmartwiała, w te szeregi drobnych czcionek; z humorem ułożono z nich istny romans dawnego życia

Reńskiego. Literki te wślizgują się w mózg jej, wbijają się w czaszkę, tworząc tam obrazy, oblewające ciemnym rumieńcem wybladłą twarz Janki.

Dnia każdego nowy szczegół, pikantny dodatek do ciekawej awantury; wreszcie i jej nie pozostawiono na boku.

Dziś zadraśnięto krwawo jej miłość własną, ośmielając się w ramy opowieści rzucić słowa:

»I właśnie w zeszłym karnawale nasz *chevalier d'industrie* poślubił znaną w kołach ziemiańskich Janinę M.«

Smutnym, przygasłym wzrokiem czyta Janka te słowa.

— Jak śmiecie mnie w to mieszać — woła w niej wszystko protestem i oburzeniem.

A papier jakby przywarł do jej ręki.

Protest to daremny, fakt dokonany. Wszystko musi iść swoim trybem.

— Bohaterka skandalicznej awantury — brzmi wciąż w jej uszach.

Słowa te wyciskają gorące łzy z jej oczu. Ona — wszak jej szczęściem byłoby, gdyby świat nie zajmował się nią wcale, ona, która żebrze tylko spokoju, spokoju chwili, ona — bohaterką skandalu! — woła w niej boleśnie.

Zdaje się jej, że wtłoczono ją w jakieś cierniami kryte łożysko, z którego próżno wydobywać się pragnie; czuje się dziwnie zgubioną w życiu, dziwnie przytem samą.

Natura Janki, delikatna, subtelna, potrzebuje przytulenia się moralnie do kogoś, ktoby jej niósł bardzo delikatne i bardzo subtelne słowo współczucia, a wśród łagodnego uścisku dał możność wypłakania całej zbiegłej do serca goryczy.

Lecz ona nie ma nikogo, i w osamotnieniu tem ciężar jej duszy wzrasta. Chwilami pustka głucha ogarnia ją całą, żelazną obręczą zaciska się wkoło głowy, serca...

. . . .

List od ciotki.

Uśmiech.

Nareszcie przypomniano sobie o niej, nareszcie i ją otoczy rodzina.

Złudzenie. Ciotkę Wirską zna mało, lecz w krótkim przeciągu czasu, gdy pod jej opieką bywała na balach, poznała dostatecznie oschłość jej charakteru; iluzyę więc tylko chwilową jakiejś serdeczności nieść mogła ta elegancko znaczona dużym herbem koperta.

I rzeczywiście, nie słodycz, lecz złość biła tu niemal z każdego słowa:

»Za lekkomyślność waszą płacić musicie — czytała Janka — wszak was ostrzegałam, lecz Karol i ty w jakiemś dziwnem zaślepieniu na uwagi moje zamykaliście uszy«.

Gama tragicznych wspomnień przesunęła się w głębi Janki.

»Znajdujesz się rzeczywiście w trudnem położeniu, a ponieważ stryj w Kairze...«

Janka oderwała oczy od kartki.

— Zaprasza mnie widać do siebie.

Czytała dalej:

»...Przeto wypadałoby, abyś do mnie przyjechała«...

— Zaproszenie, ale w jakiej formie! — myśli Janka.

...»To jednak jest niemożliwe, bo widzisz, *ma chère,* i tu nie byłabyś na różach. Sąsiedztwo bardzo złośliwie usposobione dla tej głośnej awantury. Nie szczędzono i mnie uszczypliwych docinków; widzisz więc sama...«

Dalej jeszcze powiadomienie o zaręczynach młodszej córki z jednym z sąsiadów: »którego wszyscy od lat dziecinnych znają, który ma ustaloną opinię, który ma nieposzlakowany charakter, który ma znaczny majątek i owych »który« do nieskończoności, a na zakończenie: »nie żaden obieżyświat, o którym nikt nic nie wie, co zacz« i t. d.

6*

Kartki, zapisane teoryą prawdy i logiki, wypadają z rąk Janki, niosąc jej miast ulgi szalone umęczenie i zdenerwowanie.

— Tak, ciotka bardzo rozważna — szepcą jej zbolałe usta. — Ta dobrze swoje córki za mąż powydaje!

— Nie taka lekkomyślna, idąca za porywem serca, jak ty — drga w głębi duszy młodej kobiety.

— Nawet twoja bytność, jako istoty skompromitowanej i o niejasnem w świecie położeniu, mogłaby domowi jej uchybić!

Uśmiecha się gorzko. Myśli złe, zniechęcające tłoczą się ku niej.

. . . .

Nie wychodzi wcale z domu. Teraz, gdy świat cały dowiedział się o jej nieszczęściu, lęka się spojrzeć ludziom w oczy. Wszyscy są jej obcy, nie ma nikogo życzliwego. W tem wielkiem mieście jest zupełnie osamotniona. Przytem woli ukrywać się. Wszak ludzie mogą przypuszczać, że ona solidaryzuje się z postępkiem męża.

Tak, i o to mogą mnie ludzie pomówić. Nikt duszy mojej nie zna.

— Bo jeśli z wyboru, który uczyniłam, wnioskować mogą, to fatalnie sądzić mnie muszą.

— Więc?...

— Więc trzeba coś postanowić, by złemu o tobie mniemaniu kres położyć — szepcze jej rozsądek.

Tonie w ciągłych myślach. Po przez rozpaczne chwile, w których przewijają się przed nią wspomnienia jej niedawnego życia, tak krwawo rzucane jej codzień przez kartki plotkarskiego pisma, po przez lód, wiejący z listu ciotki, bie-

gną ku niej myśli, myśli przepojone chęcią wyjścia z tego fatalnego koła.

— Rozwód. Tak. Bezwarunkowo.

— Ależ gdzie się o to zwrócić, do kogo?

Ręce jej opadają.

A przecież trzeba, trzeba koniecznie!

. . . .

Skromna wizytowa karta. Na niej nazwisko:

Mortonowa.

— Mortonowa? — czyta zdziwiona, ujmując bilet. — Mortonowa — powtarza — czy to może która z lokatorek? — pyta podającej jej kartkę pokojowej.

— Nie, proszę pani, to jakaś obca.

Przebiegło jej w mózgu:

— Nie można przyjmować. Pewno znów jaka przykrość...

Myśli, a zmęczonym gestem daje do poznania służącej, że pani tej widzieć nie chce.

Lecz oto cicho po przez otwarte drzwi idzie już ku niej kobieta ubrana w kostyum z angielskiej wełny z wysoką bielą kołnierzyka. Bardzo *correcte,* lecz nie sztywna, z sympatycznym wyrazem twarzy, z oczami rozumnemi i jakąś nie konwencyonalną, lecz prawdziwą uprzejmością.

Janka podnosi raz jeszcze wzrok, odczytując trzymany w ręku bilet. Poza nazwiskiem »Mortonowa« drobnemi literkami widnieje: »członek redakcyi gazety *Brzask*«.

To dopełnienie nazwiska przykuwa ją do miejsca.

Stoi teraz, jak automat.

— Interwiew z żoną Reńskiego — błyskawicą przedziera się w jej mózgu.

Ból nią zatargał, wzdrygnęło się w niej wszystko.

— Jakto, więc tu nawet, w domu, chcą roztrząsać jej moralną nędzę!

Raz jeszcze czyta »członek redakcyi gazety *Brzask*«, a potem, zwracając się szybko ku Mortonowej, nerwowo mnąc jej bilet, wyrzuca ze siebie:

— Pani na mnie łaskawa. Czy to z polecenia redakcyi?

Tchu jej braknie, twarz jej oblewa się czerwienią.

Mortonowa dostrzega złe wrażenie, które wywarło miano jej godności literackiej; pełna ogłady i łatwości w sposobie bycia, oryentuje się łatwo w sytuacyi. Rzeczywiście delegowaną została dla zebrania dokładnych relacyi u Reńskiej; teraz jednak, gdy widzi zmienioną twarz Janki, reporterska żyłka opuszcza ją, ustępuje dziennikarka z urzędu — budzi się dobre serce.

— Ta kobieta musiała wiele wycierpieć — przebiega jej przez głowę; i już Janka zawładnęła jej sympatyą. Śpieszy więc z odpowiedzią:

— Moje przyjście do pani nie ma nic wspólnego ze sprawami redakcyjnemi — mówi, a wzrok jej ślizga się po rozrzuconej wśród puchu dywanu gazecie »Brzask«.

Przybliża się do Janki i, nadając głosowi swemu odcień serdeczności, ciągnie dalej:

— Jedynie chęć stania się pani użyteczną skłania mnie do odwiedzenia jej.

Janka zwraca się do niej zdziwiona. Pierwsze słowo przyjazne, pierwsza dusza interesująca się nią. Podchodzi więc, wyciąga ku niej rękę.

— Pozwoli pani, że się przedstawię sama — mówi łagodnie Mortonowa. — Szukałam kogoś ze wspólnych znajomych, kto mógłby mnie z panią zapoznać; nie znalazłszy niestety nikogo, czynię to sama. Nazwisko moje: Mortonowa.

Mówi spokojnie i ma w sobie wiele ujmującego wdzięku.

Janka, zdziwiona tą niespodzianą wizytą, rada, że przecież ktoś się o nią zatroszczył, chętnie słucha przybyłej; słowa jej robią na niej miłe wrażenie, spokój oddziaływa kojąco.

— W społeczeństwie zajmuję skromne stanowisko — określa swą socyalną pozycyę Mortonowa z wielką prostotą — pracuję na siebie w jednej z redakcyi. O sprawie, która pani dotyczy, słyszałam teraz tak wiele, i mam dla pani bardzo, bardzo dużo współczucia, rozumiem jej położenie. Przed dziesięciu laty owdowiałam, idę więc sama przez życie. I chyba nikt bardziej ode mnie nie odczuwa, jak to czasem bywa trudne, szczególnie, gdy się jest tak młodą, tak bardzo jak pani młodą.

Tu zwróciła się bliżej ku Jance, ujęła jej rękę serdecznie, a w głosie jej zadźwięczała nuta bardzo miła i bardzo dobra.

— Więc gdybym pani w czem pomocną być mogła?

Janka, widziana bliżej, ujęła ją bardzo i *intérieur* jej mieszkania zrobiło też dodatnie wrażenie. Mortonowa pamiętała dobrze podczas balów w karnawale tę dystyngowaną, ładną pannę, wyróżniającą się wśród innych wytwornem zachowaniem i gustownemi toaletami. W sprawozdaniach swoich zamieszczała z przyjemnością nazwisko panny Janiny Molskiej. Wzbudzała w niej zainteresowanie, lecz, nie znając osobiście, obserwowała ją tylko zdaleka. Teraz, widząc ją zblizka, zupełnie była oczarowana urokiem rozumnych oczu, które, jakby trwogą i lękiem zdjęte, ku niej się zwracały; podkrążone ciemną obwódką, wydawały się większe, pogłębione i pełne wyrazu, a wyraz ten płakał, łkał...

— To już nie dawna, wchodząca w życie dziewczyna,

to cała kobieta, strawiona męką życia — myślała Mortonowa, ze smutkiem wpatrując się w tę głębię zapadłych oczu, w tę alabastrową przejrzystość cery.

— To miesiące cierpienia wbiły szalony smutek w źrenice, to wszystko przeżyte ostatnią zda się kroplą krwi spłynęło.

Patrzy na Jankę. Patrzy...

I budzi się w niej coraz większe współczucie wśród całej gamy uczuć litosnych. Gdyby wyrwać nieszczęściu to biedne, młode życie. W zgnębionej, przybitej kobiecie widzi zanik energii; tę przedewszystkiem rozbudzić, do czynu powołać należy.

Ujmuje rękę Janki i otacza ją ciepłą, przytulną dłonią. Janka odczuwa ten delikatny ton dyskretnego współczucia i to zainteresowanie się nią, dalekie od zdawkowej jeno uprzejmości.

I wraz z dotknięciem miękkiej, delikatnej dłoni, głaszczącej ją mile, idą ku niej słowa dobre, serdeczne; jak wonne kwiaty ścielą się w złotawem świetle, wnikającem przez delikatną koronkę firanek.

Mortonowa mówi, a wyraz »energia«, niby przewodnia nić, wije się wciąż wśród jej słów. Dokoła nich obu wytwarza się atmosfera jakiejś chęci, mocy wyjścia z koła nieszczęścia i cierpienia.

— Wszystko przetrwać się musi, czy się chce, czy nie chce, wierzaj mi pani, a doprawdy lepiej uśmiechem łzy zdławić, niż truć się niemi.

Uśmiecha się mile.

— Główkę proszę podnieść i złemu losowi oprzeć się. Oto mądrość życia.

. . . .

Oto mądrość życia!

Jankę zdjęła radość.

Zdało się jej, że wyprowadzono ją z jakiejś ciemni, w której w męce i udręczeniu godziny całe spędziła. Zdało się jej, że chaos, co pustką swą i odmętem ogłuszał ją i pociągał w jakąś myślową próżnię, ustępuje precz, a oto wyłania się myśl nowa, rozjaśniona, jak ten oto dzień majowy, siejący tęczowe blaski i złoto promieni...

Zdjęło ją rozrzewnienie; w duszy jej wraz z uspokojeniem powróciła znów dążność do odzyskania spokoju w swobodzie, odnalezienia punktu wyjścia z tej strasznej sytuacyi. I prawdziwą wdzięcznością przepojone jest jej serce i w uśmiechu wybiega ona na usta, gdy pyta Mortonową:

— Lecz jak, jak?

— Przedewszystkiem powinna pani wystąpić ze sprawą o separacyę.

— O separacyę? — przerywa zdziwiona Janka. — Ja wolę rozwód.

— Jeszcze lepiej — odrzuca Mortonowa — w każdym jednak razie, czy obierze pani jedno czy drugie, trzeba już wystąpić ze sprawą. Ludzie dziwić się poczynają, że pani nic dotąd nie przedsięwzięła, coby ją w oczach świata usprawiedliwić mogło. Czy ma pani znajomego adwokata?

— Ani adwokata, ani nikogo znajomego nie mam w mieście.

Mortonowa myślała chwilę.

— Zatem postąpimy w ten sposób: uda się pani wprost do którego z księży, prosząc o wskazanie jej obrońcy konsystorskiego. Widzi pani, o informacyę ze strony księdza najlepiej postarać się dlatego, iż właśnie księża mają w konsystorzu adwokatów, którzy cieszą się ich względami, jako ludzie nieposzlakowanej uczciwości; na zdaniu ich i opinii

polegają; tacy panowie daleko łatwiej sprawy przeprowadzają. Zatem należy nam poszukać księdza. No, może pani odnajdzie choć jakiego znajomego w swej pamięci?

— Oprócz prefekta, który dawał lekcye na pensyi, nie znam żadnego — kłopocze się Janka.

— Jego nazwisko?

— Karowicz Michał.

Mortonowa klasnęła w dłonie.

— Doskonale! Przeniesiony przed rokiem do tutejszego konsystorza; znam go nawet: przezacny i przedobry człowiek. Zatem rzecz postanowiona. Musi pani iść do Karowicza. Mieszka w gmachu seminaryum przy dawnym kościele Benedyktynów na Senatorskiej. Tylko odważnie! tylko śmiało!

A widząc wahanie na twarzy Janki, mówi znowu:

— Moja droga pani! Zanadto młodą jesteś, abyś nie miała prawa walczyć o swą przyszłość, o swe szczęście; powinnaś i zrobisz to. Wszak prawda, że zrobisz? — dodała, uśmiechając się. — Widzę już nawet trochę energii, odwagi w twych czarnych oczach. No, dziś — dodaje, spoglądając na zegarek — do Karowicza już późno, ale jutro o szóstej koniecznie iść potrzeba; znasz go pani przytem, więc zawsze łatwiej to pójdzie.

— Rada jestem, niezmiernie rada, że przydałam się na coś — mówi serdecznie.

— A ja wdzięczna niewymownie za jej dobroć i taką zupełnie nieoczekiwaną pomoc.

Uśmiech wybiega na blade wargi Janki.

— Ten uśmiech, który widzę u pani, to moja nagroda.

Żegnają się. Mortonowa opuszcza mieszkanie.

— Jaka dobra, jaka serdeczna — powtarza wciąż Janka — a jaka energiczna!

I energia zdecydowana Mortonowej suggestyonuje ją. Dziwnie-bo kobieta ta odczuła jej myśli, pragnienia, nagromadzone zaraz po zaszłym fakcie. Przytłoczona tylko złemi warunkami, które od kilku tygodni ciężką chmurą dokoła niej i nad nią zwisły, teraz odżyła w pełni.

I z głową wzniesioną odważnie, pod wpływem energii tamtej, z całą wyniosłością szlachetną, pragnie iść ponad tem, co u stóp jej pełza nizkie i brzydkie.

Odrzuca precz gazety, przyrzekając do plotek tych nie zajrzeć więcej, a, tworząc plany jutrzejszej wizyty u Karowicza, u adwokata, wybiega myślą, jaką to formę zewnętrzną przybierze sprawa, której wynik wywiedzie ją z chmur teraźniejszego życia.

— Forma bezsprzecznie będzie niemiła.

— Tak, niemiła, ale to tylko forma, jakaś krótka formalność — pociesza się — naturalnie: wobec powodów, które posiadam, tylko formalność! Więc jutro do Karowicza, potem do adwokata...

I jakby niemą, lecz wymowną odpowiedzią rozkosznie zaśmiało się ku niej słońce. Gorąca, jaskrawa majowa fala muska, tuli, pieści promieniami swymi bratki, fiołki, anemony, hyacenty, ustawione w żardinierce. Kwiecia jest tu mnóstwo, każdy kąt saloniku osłaniają pęki zieleni; wszędzie wśród nizkich, miękkich, jedwabiem krytych mebli, palmy, filodendrony. Janka bardzo lubi kwiaty, i ten przystrojony nimi pokój jest miły i zaciszny. Nic sztywnego, nic ponurego, nic z treści, która banalna i smutna wypełniała salonik z ulicy Pięknej.

Janka opuściła dawne mieszkanie: zbyt smutne niosło jej ono wspomnienie; z każdego kąta wiał tam chłód, wyzierała rozpacz, targało nieszczęście. Przeniosła się do małego, z dwu zaledwie pokoików złożonego mieszkania. Salonik z bal-

konem i mała sypialnia, kuchenka dla Wikci — oto wszystko; kąt mały, lecz wesoły, jasny, słoneczny i urządzony tak ładnie, tak gustownie, tak bardzo z Janką zgodny.

Teraz więc, gdy po wizycie Mortonowej uwypuklają się przed nią kontury przyszłego postępowania, Janka niemal raźnie, wesoło patrzy przed siebie. Zaproszona przez służącą na obiad, z apetytem zjada przyrządzone potrawy; przez chwilę jakby z lękiem, z obawą ogląda się dokoła, pyta się jeszcze sama siebie, czy to nie dawna jadalnia z Pięknej.

— Tam i łyżki rosołu przełknąć nie mogłam — myśli.

I znów chwila złych wspomnień, a z nią smutek. Ale to tylko mgnienie oka. Spogląda wokoło siebie: to słońce, to kwiaty, to nadzieja uśmiechają się ku niej radością, a ona w uśmiechu, nadzieją swobody tchnącym, radość tę im odrzuca.

XIII

Długi, widny korytarz, podłoga błyszcząca woskiem, ani śladu pyłu, kurzu, doskonale utrzymana; chodnik z linoleum niby barwna wstęga wije się wzdłuż pasażu; kilkoro drzwi znaczy się biało lakierowanemi deskami; na nich mosiężne, świecące tabliczki z nazwiskami zamieszkujących te pokoje osób. Litery »Ks.« widnieją przed każdem z nazwisk. Widocznie duchownych osób dom ten jest siedliskiem. Tak, to mieszkanie księży; tu oni, przy dawnym kościele Benedyktynów, locum swoje obrali.

I właśnie do jednych z drzwi tych zmierza młoda osoba, idzie jakby lękliwie, trwożnie przez ten długi korytarz. Kroki, acz ciche, tłumione chodnikiem, wywołują jednak otworzenie

się trzecich drzwi na lewo; małe okienko, położone przy końcu korytarza, uchyla się także.

Z owych trzecich drzwi wyziera przez chwilę wygolona twarz. Na widok przebiegającej kobiecej postaci krzywi się niechętnie; pośpiesznie niknie we wnętrzu pokoju, a tylko wyraz oblicza zdaje się mówić:

— Znów jakaś dama! Skaranie boskie. Ciągle do Karowicza ze sprawami konsystorskiemi, jakby prosto do konsystorza ludzie trafić nie umieli; po protekcyę, uprosić przychodzą...

— A tylko niepotrzebnie się tu włóczą. Już chyba stanowczo Karowicza poproszę, aby raz te wizyty skasował. Spokojnie do siebie przejść nie dadzą.

A z okienka z końca korytarza wychyla się głowa lokaja Jana; ten, widząc gościa, wie z góry, o co chodzi i, niepytany nawet, rzuca:

— Drugie drzwi na lewo — i kryje się także.

I Janka na owych drugich drzwiach na lewo czyta istotnie nazwisko księdza, którego poszukuje.

Noc całą przebyła w jakimś półśnie. Sny wlokły za nią jej przeszłość, majaczyły złe, straszne; ucieka od nich, wstała wcześniej, niż zwykle: wytrzymać już w łóżku nie mogła. Jest ogromnie zdenerwowana i podniecona. Przecież to dziś ów dzień taki bardzo w życiu jej ważny; przecież to dziś właśnie rozpocząć ma starania o odzyskanie swobody, którą teraz dopiero, w nieszczęścia kilkomiesięcznego szkole, cenić się nauczyła. Chyba więzień nie wygląda tak gorąco chwili powracającej mu swobody, jak ona ukończenia tej sprawy; tylko prawda: ona jej jeszcze nie zaczęła...

— No, ale to tylko kwestya czasu, więc też najprędzej — aby czasu tego nie tracić — wziąć się do niej należy.

I raźno, a wciąż wspominając słowa Mortonowej, by dodać sobie odwagi, krząta się Janka po swej sypialni. Chwilami zdaje się jej, że już owym dokumentem rozwodowym, niby murem chińskim, odgrodziła się od swej przeszłości; już zdaje się jej, że ten papier drogocenny ma w ręku i napawa się rozkosznie każdą literą jego zawartości.

— Jak to ta sprawa prowadzi się? Ciekawam bardzo... Przypuszczam, że gdy dam upoważnienie adwokatowi, nie będę potrzebowała być nawet w konsystorzu — myśli sobie. — Przecież w sądach sprawy załatwiają się w ten sposób. Trudności mieć nie będę; moja sprawa taka jasna, taka przezroczo jasna...

I jest chwila, że Janka błogosławi tę złą myśl, którą Wyrwicz w popełnieniu owej defraudacyi prawdopodobnie podsunął Reńskiemu.

— Bo przecież mógłby mnie męczyć, dręczyć zupełnie bezkarnie, a ja, w jego ręku będąc, nie odważyłabym się wystąpić o rozwód; teraz, to zupełnie co innego, bo już i w oczach całego świata na opinii stracił i tem tak bardzo sprawę mi ułatwił.

— Napewno powrócę do mego dawnego nazwiska — mówi sobie Janka. — Będę znów Janką Molską.

— Że też ja nikogo nie znam, ktoby rozwodową sprawę prowadził!

Sięga myślą w przeszłość, przypomina sobie dawne koleżanki; trzy z nich poszły zamąż, ale wszystkie trafiły dobrze, są szczęśliwe, tylko ona, ona jedna!...

Przez serce przemyka znów żal. Odrzuca go śpiesznie:

— To nic — mówi, otrząsając zniechęcenie — to pomyłka, to minie!

Ubiera się śpiesznie, a Wikcia podaje jej kapelusz,

okrycie; dziewczyna rada jest niezmiernie, że pani wreszcie wyjść się odważyła.

— Do Karowicza iść jeszcze nie można: zajęty w konsystorzu — zauważa Janka, ale mimo to wychodzi, bo czuje, że tej szóstej w domu oczekiwać nie jest w stanie. Choć masa powietrza wpływa przez otwarte okna, choć wygodny fotelik nęci do wyjścia na balkon, ładnie powojem i zielenią przybrany, ona uczuwa, że jej w domu duszno, pragnie szerszej przestrzeni; nerwy jej nie znoszą w tej chwili spokoju; twarzyczka zarumieniona, oczy błyszczą, serce uderza niespokojnie. Śpiesznie zarzuca żakiet, kapelusz, wychodzi z domu i idzie, idzie wprost przed siebie.

Ruch robi jej dobrze; uspokaja się zwolna, a, wchodząc do ogrodu Saskiego, rada odpoczywa na jednej z ławek.

Od wiosny aż biło ciepłem i radością. Cudne majowe popołudnie wywabiło z domów masę spacerujących. I ławki zajęte i aleje zapełnione gwarnym, strojnym tłumem. Ciemna suknia Janki odcina się wyraźnie wśród jasnych lekkich toalet, a ona ciekawie wpatruje się w sylwetki tych ludzi wesołych, w te panie swobodne, zda się zupełnie szczęśliwe. Jedne uśmiechają się, flirtują zalotnie, zbierając spojrzenia pełne zachwytu towarzyszących im mężczyzn; inne, widać dobre mamusie, ochoczo zwracają się do dzieci, które całemi gromadkami biegają, rade ze słońca, motyli, kwiatów. Wszystkim dobrze, wesoło, swobodnie, tylko ona jedna niepewna, trwożna, smutna, zabłąkała się tu może niepotrzebnie. I gorycz i łzy ogarniają ją i szarpią znów jej duszę.

A jednak przypomina sobie:

— Za młoda pani jesteś, ażebyś miała nad niedolą swoją tylko ręce łamać i płakać; za młoda — mówiła wszak Mortonowa — masz prawo do szczęścia więcej może, niż kto inny...

Od słów tych ciepłem powiało na nią. Znów śmielej patrzy w uśmiechy i radość ludzką.

— Tak, szczęście należy do wszystkich, i ja ku niemu pójdę — uśmiecha się — już przecież od dziś idę...

I uśmiech ten łagodny, a nadziei pełen, to cudny kwiat, wykwitający na ustach odradzającego się człowieka.

Wśród słońca, zieleni, myśli jasne, jakby skąpane w ożywczej nadziei rosie, układają się jedne za drugiemi. Świat, ludzie, w tym blasku słonecznym, wydają się jej tacy dobrzy, tacy dla niej chętni. Jest jej wśród nich bardzo dobrze. Wpatrzona w ładny, sympatyczny obraz, wpada jakby w półsen miły i słodki.

— Będę tu siedziała — postanawia. — Tak mi tu dobrze. Doprawdy, nie byłam rozsądna, zamykając się tak w osamotnieniu.

Jest bardzo cicha, jakaś skupiona, ale spokojna i taka temu spokojowi, który nareszcie dotarł do jej wnętrza, rada.

Ławka, na której siedzi, trochę wsunięta poza grupę drzew, jest jakby na uboczu. Lecz oto zaszumiało tuż obok niej. Jakieś wysokie, jasno ubrane damy zmierzają ku obok stojącej ławce.

Janka patrzy na nie. Zdaje się jej, że twarze te widziała już kiedyś. Tak, niezawodnie, panie te zasiadały na wencie dobroczynnej; ona także brała w niej udział. Kioski ich ustawiono tuż obok siebie. Zamieniono nawet kilka słów uprzejmych.

Janka spogląda wciąż w ich stronę.

— Tak, to niezawodnie one.

Panie zajęte są ożywioną rozmową, nie patrzą na Jankę. Wymieniają zdania szybko, są całe zajęte sobą. Wreszcie przedmiot rozmowy, czy dostatecznie ogadany czy wyczerpany, bo spojrzenia ich, dotąd wyłącznie ku sobie zwrócone,

wybiegać tezaz poczynają w przestrzeń. Janka słyszy kilka ironicznych o przechodzących uwag. Panie wymieniają nazwiska spostrzeganych dam.

Jakaś biegnąca, drobniuchna, dziecięca figurka kieruje ich spojrzenia w stronę Janki. Teraz ona jest celem ich obserwacyi. Czuje się zmieszana pod ogniem spojrzeń osób, które dawniej ją spotykały, nie patrzy na nie. Znajomość, tak przelotna, nie obowiązuje ją do ukłonu, więc czeka, rychło li przegląd jej osoby ustanie.

Młoda dama z pewną dyskrecyą nachyla się ku starszej i robi jakąś uwagę. Ta ujmuje *face à main* i bez ceremonii lornetuje Jankę.

Biegnie szept młodszej:

— Niech mi ciocia wierzy, to ona.

Dama, umieściwszy oczy swe poza szybę szkieł, przypatruje się zawzięcie Jance.

— Mówisz: Reńska? Nie przypuszczam, aby odważyła się ludziom pokazywać po takim skandalu, *pas possible.*

— Jednak tak, to ona! — opuszcza więc szkła, bardzo zdziwiona i zgorszona.

Damy szepcą dalej, słowa jednak, acz ciche, biegną wciąż, wciąż...

I rzucane ironicznie frazesy wdzierają się w tę słodką zaporę, którą Janka wznieść usiłowała między przeszłością a obecną chwilą.

Złe słowa lodowym powiewem mrożą ją, a całe roje błyszczących gwiazd nadziei, tych, co przeszłość jej rozświetlały, ulatują gdzieś, zgaszone przez te dwie lekkomyślne kobiety.

Damy znów śledzić ją poczynają.

— Sto tysięcy!... Nieźle. Została dla niepoznaki...

Pewno niedługo połączą się za granicą — dochodzą urywane słowa.

— Co za podłość, co za podłość! — drga w duszy Janki.

I oto spokój jej znów poszarpany.

Wstaje z miejsca, odchodzi pod badawczym wzrokiem obu kobiet. Idzie z głową pochyloną.

— Po takim skandalu! — huczy wciąż w jej uszach. Skandal ten taranem grozy bije w nią, a chociaż do skandalu tego niczem się nie przyczyniła, to jednak świat każe jej znosić jego następstwa i w kornem pochyleniu głowy przed plotkującemi kobietami przesuwać się pokornie bez słowa.

Jankę przez chwilę ogarnia szalona chęć podniesienia hardo głowy i rzucenia słowa »kłamstwo« tym damom, które snuły siatkę, wiążącą ją ze złodziejstwem męża.

Milczy jednak, bo wnet narzuca się jej pytanie:

— A co zrobiłaś dotąd, by uniemożliwić mniemanie, że węzeł ten istnieje? Te damy mogą w dobrej wierze podejrzewać cię o solidaryzowanie się z mężem; gdzież dowód twej odrębności?

Zarzuty te ostre, a jednak zupełnie logiczne, akcentują silnie bierność jej dotychczasowego postępowania.

— Te kobiety mają racyę; dopóki nie rozpocznę sprawy, póty w oczach ludzkich jestem winna.

I tę swoją jakby winę przeogromniając, cofa się z przed spojrzeń świata, opuszcza bardziej uczęszczaną aleję, odchodzi w oddaloną część ogrodu. I wszystko, co było w niej radością, uśmiechem, nagle zszarzało, zaćmiło się, zamarło. Cisza i uspokojenie, te, co kojąco w objęciach swych tuliły ją przed chwilą, zamieniły się w siłę, moc, a ta gwałtownie

cisnęła ją w krąg nowy, w który jednak wejść pod grozą opinii świata musiała.

Pod wpływem uczucia tego opuszcza ogród, siła ta pcha ją w stronę kościoła Benedyktynów. Tam mieszka Karowicz; on wydaje się jej teraz nadzieją, ratunkiem, zbawieniem...

. . . .

Cała powódź jaskrawo wśród dziennego blasku igrających w zwartym szeregu, w złocieniach i malowidłach, ogników, istny gaj zieleni dokoła otulonego w misteryach, kryjących w sobie życie ducha, ołtarza. Cała fala dusz ludzkich, wyłączonych na chwilę tę z ciał, wśród tajemniczej świętości chwili. Delikatna woń kadzidła, podnosząca się w głębi świątyni. W rozsnuwającej się jej mgle zarysy wtulonej w zieleń i bzu kwiecie — Madonny.

Od niej słodycz, bezdenna dobroć, ukojenie.

Ku niej przesłodka, pełna prostoty, rozkwitająca pieśń majowa.

Z głębin dusz, idących w niezrozumieniu — więc smutnych...

Z głębin dusz, szukających pociechy w świętości tajemniczej...

Z głębin dusz, zapadłych w melancholię życia, wsłuchanych teraz w echa, wypływających pod łuki sklepienia, kornych, a dyszących żałośliwie ku niebu — skarg, westchnień, próśb.

I cała fala dusz ludzkich, co w ten tchnący świeżością dzień majowy spłynęła tu pod wysokie, mistyczne sklepienie, niosąc w sobie tragedyę życiowego losu, wśród łagodnej woni, płynącej z kadzielnic, rozświetla swój ból, swą roz-

pacz, swą beznadziejność — i zapada w uniesienie, radość, ekstazę...

Kontury ludzkie nikną, a tylko westchnienia i łzy kołyszą się w przestrzeni, zawodzą symfonie próśb i jęków — ona przebija przestrzeń i kona u stóp Madonny.

Promienie słoneczne ogarniają blaskiem tonące w kontemplacyi rzeczy świętych dusze, pełne już jakby uśmiechów, pewności, że stać się musi to, o co poza ścianą świata, wśród ciszy i oderwania żebrały.

Ukojenia, ciszy, spokoju.

. . . .

To nabożeństwo majowe uprzytomnia sobie Janka.

Ogarnia ją wielkie wzruszenie.

Widzi się dawną Janką. Oto stoi w korowodzie biało ubranych dziewcząt. Całe snopy narcyzów w ramionach każdej. I w jej rękach tych płatków śnieżysto srebrzystych moc wielka.

To ich, dziewczątek z pensyonatu, święto radosne. Ich własna, nie cudzą wolą i rozkazem wymuszona dewocya!

Orzucenie wonnem kwieciem stóp Najświętszej, co przez czas maja na ranne i wieczorne pacierze ich spogląda.

Pomysł Janki, trochę dziwny, egzaltacyi pełen, ale przez przełożoną akceptowany.

I co roku od lat siedmiu, to jest od przybycia jej do pensyonatu, ten hołd dzieweczki Najświętszej oddają.

Maj odchodzi. Zegar korytarzowy wydzwania północ. To sygnał.

Cały rój bieluchnych postaci, niby rój motyli, wysuwa się z ciemni korytarza i rozjaśnia swą bielą mrocznie. Tam, gdzie nisza, gdzie posąg Madonny w aureoli świateł, tam zabieliły się jasne dziewcząt szaty. Cisza, serc

zadumanie, z rąk tylko płyną kwiaty na fali ekstazy, zachwytu.

Jasne, śliczne, dziewicze, orzucają srebrem kwiecia posągu stopy.

I chwila ta, gdy z dłoni dziewczęcia pada do stóp posągu ten kwiat śnieżny, czystości jej symbol, to istny cud — poemat.

To spojrzenie, rzucone w radosnem, ładnem uniesieniu ku dziewiczym rysom Madonny, to nieskalane na życie wspomnienie.

To drgnienie serca, to oaza, wypoczynek w życiowej pustyni.

I jest to niby nic, jedna chwila, jedno okamgnienie, a jednak całą siłą odradza się teraz w tej ciemno ubranej kobiecie, co tam, wsunięta poza wysoką rzeźbę konfesyonału, pod ciężarem życia gnie się, upada.

Jest sama, nie masz koło niej białych towarzyszek. Jest ciemna, zgaszona, w rękach jej braknie śnieżystych narcyza płatków...

Lecz z dłoni kobiety wybiega teraz ociekłe krwią serce i purpurą bólu krwawi posągu stopy. Ciernie łez, bólów serdecznych kolce, padają ciężkie, ostre, tłoczące, przedzierają się przez kiście bzu, rozchylają srebrno białe narcyzy i każdym cierniem, każdym jego kolcem wołają:

— Ratunku, ratunku! Oto zapadam w ciemnię nieszczęścia, w zła grozę...

I z poza mrocznej nawy kościelnej, z pod kamiennych łuków, łzy, jęk spływają przeczystych brylantów rosą w ogólnoludzką łez falę.

I z poza mrocznej nawy kościelnej, z pod kamiennych łuków, głos cichy, korny, szepcze:

— Czystem było i jest serce moje, więc ratuj mnie, Pani!

A biel niewinna, dziewicza myśli i czynów ściele się ku stopom posągu.

Z poza mrocznej nawy kościelnej, z pod kamiennych łuków, biegnie myśl nieśmiała, lękliwa:

— I daj mi szczęścia, radości trochę... To nie zło, nie grzech.

Jakiś jaskrawy promień zachodzącego słońca, prześliczny w tonie, przedziera się przez kolorowy witraż okna gotyckiego i całą aureolą tęczy spływa po marmurze posągu. Różowy blask pada na skamieniałe rysy. Ożyły...

W świetle tem, bijącem z góry, twarz Madonny wydaje się Jance cudnem zjawiskiem, o oczach pełnych dla niej litości. Z ust delikatnie rzeźbionych, z wonią kwiecia, płynie jakby ku niej dobra odpowiedź:

— Tak, czyste jest serce twoje, więc dam ci trochę szczęścia, trochę życia, radości — bo to nie grzech, bo to nie zło...

Promień złocisty zbiegł teraz cały ku mrocznej nawie, ku łukom kamiennym, i w złotym swym pyle niesie ratunek, radość, szczęście....

Aureola tej słodkiej zapowiedzi spływa po zgnębionej postaci kobiety. Różowy blask pada teraz na zmartwiałe jej rysy. Ożyły...

I w tem świetle bijącem z góry, w tych tęczowych blaskach, drga nie z ust już, lecz niema prośba:

— Szczęścia, radości trochę, wszak to nie zło, to nie grzech!...

XIV.

I pada wielkie słowo, wymówione cicho, trwożnie. W sercu wre chęć obrony istnienia i chęć ta krystalizuje się w rzuconym ze zdławionej krtani wyrazie:

— Tak, rozwód.

Wysoki, szczupły, blady ksiądz spogląda na Jankę z wyrazem zdziwienia. Chwilę milczy, wreszcie odrzuca:

— W Kościele katolickim niema rozwodu.

Splata swe chude, kościste ręce; bieleją one na czarnej sutannie, jak dwie jasne plamy.

Głos jego jest spokojny, łagodny, jak i cała postać. Życzliwym wzrokiem ogarnia młodą osobę, siedzącą naprzeciw niego. Kobietę poznał odrazu: to jego dawna uczenica, Janka Molska. Pamięta ją doskonale, zna tajniki jej serca — penitentką jego bywała — dobre, złote dziewczątko. Teraz przyszła taka na nią bieda.

Karowicz obraca się w świecie, słyszał o kradzieży Reńskiego, wiedział, kto jest jego żoną. I oto teraz tu ona u niego, patrzy na nią.

— Co życie z ludźmi robi? Jaka ona smutna, zmieniona!...

W tej chwili jednak, pod wrażeniem ostatnich słów swoich widzi, że twarz Janki staje się trupio bladą, krew, widać, do ostatniej kropli uciekła do serca; oczy tylko wielkie, rozszerzonemi źrenicami patrzą na niego w lęku, przerażeniu.

— Niema rozwodu! — powtarza kobieta nieswoim głosem.

— Tak, jest tylko unieważnienie małżeństwa.

Słowa te wywierają wpływ magiczny.

Westchnienie ulgi dobywa się ze zmęczonej piersi i rozlega się wśród nizkich pokoików antresolki, zamieszkałej przez Karowicza.

— Tylko gra słów — przebiega Jankę — forma, nazwanie, ale rzecz sama istnieje.

Uspokaja się. Chce mówić dalej. Ksiądz poważnym wstrzymuje ją gestem.

— Moje dziecko! — mówi łagodnie — unieważnienie małżeństwa to rzecz bardzo trudna. Trzeba mieć odpowiednie do tego powody.

Janka nie czuje się tem zmieszaną.

— Ważniejszych, niż moje, już chyba być nie może.

— Nie znam ich, więc nie wiem.

Janka patrzy teraz pełna zdziwienia na księdza. Nic nie pojmuje. Przecież Karowicz, wprowadzając ją do siebie, tak życzliwie, tak łaskawie i z takim istotnym żalem powiedział, że wie o wszystkiem.

Więc jakże, co to ma znaczyć?

Pytanie ciśnie się na usta, wrodzona nieśmiałość nie pozwala jej pytać; w głowie jej powstaje chaos, zamęt. Milczy, tylko z wypiekami na twarzy siedzi z oczami wbitemi w ziemię, przeżuwając w sobie pytania, z któremi mogłaby wystąpić, lecz słowa konają wciąż na spieczonych wargach.

Ksiądz widzi jej pomieszanie, nie rozumie przyczyny, bierze ją z innego punktu widzenia. Jakaś niepewność, malująca się w twarzy Janki, wydaje mu się lękiem przed owem unieważnieniem małżeństwa. Właściwie swoje własne uczucia jej przypisuje. Karowicz, od niedawna defensor Sakramentu małżeństwa, za nic nie chciałby widzieć Janki między kobietami, sprawy konsystorskie prowadzącemi. Przedewszystkiem te nawet, których sprawy szczęśliwie się kończą, te nawet bywają tak umęczone, że rzadkie są wyjątki, któreby na całe życie smutnego przynajmniej wspomnienia nie wyniosły. Inne zaś, te, których proces dla niedostatecznych lub niewyjaśnionych powodów odrzucony został, te, to już wieczne męczennice żałobne po nieziszczonych swobody nadziejach.

Karowicz sam często cierpi nad nieszczęsnem położeniem ludzi, w bramy konsystorskie wstępujących, teraz więc całą siłą radby to młode życie od bram tych odciągnąć.

Milczą oboje, zajęci własnemi myślami.

Ona, przerażona koniecznością roztrząsania przeżytego, cofa się przed zanurzeniem znów w tej fali cierpienia. On, pomykający myślą w możliwe dla tej kobiety ocalenie.

— Na razie o pojednaniu, wskutek ucieczki męża, mówić nie mogę, — myśli — lecz będę działał na zwłokę. Może to się jakoś później ułoży.

I ruchem pełnym dobroci pochyla się ku Jance i nadaje słowom ton ciepły, łagodny:

— Moje dziecko! Lękam się, czy nie działasz pod pierwszem wrażeniem — mówi. — Widzisz, twój mąż jest tak młody... zapewne złe wpływy... on poprawić się może; i gdybyś ten trud skierowania go na dobrą drogę wzięła na siebie, byłoby to pięknem zadaniem.

Stara się nadać głosowi intonacyę przekonywającą. Udaje mu się to słabo. Właściwie sam w to, co mówi, nie wierzy. Słowa te narzuca mu jego powołanie.

Janka podchwytuje ton księdza, wyczuwa fałszywe jego brzmienie, odgaduje nieszczerość słów. To dodaje jej pewności.

— Ten człowiek nie poprawi się, ojcze — mówi, i drży cała.

Fala goryczy, którą przetrwała, bije znów o jej serce.

— A ja już tyle się wymęczyłam, że na dłużej sił mi nie stanie...

Łzy dławią ją.

Karowicz czuje, że należy wystąpić z koniecznością niesienia goryczy swego życia spokojnie i z rezygnacyą, więc znów głosowi nadając dźwięki łagodne, kojące, odzywa się:

— Dziecko drogie! Bóg zesłał istotnie na ciebie krzyż ciężki, ale widzisz, niema istoty ludzkiej absolutnie szczęśliwej; czy ten, czy inny smutek, każdego przygniata. Więc krzyżyk ten swój spokojnie dźwigać potrzeba.

Przerywa zdawkową pociechę, jest zanadto wzruszony, widzi, że ta spłakana istota, której on zaleca cierpliwość, rezygnacyę, to niemal dziecko, przed niem długie może lata... Czyż więc zapełnić je ma tylko cichem niesieniem swego krzyża? Czyż to ma być wszystko, co on jej powiedzieć może? Czuje, że to, co mówi, kobiety tej istotnie, rzeczywiście, pocieszyć nie może, ułożyć dalszego życia jej nie jest w stanie.

Staje przed życiową biedą: wobec niej on, znakomity mówca, profesor, na którego wykład klerycy cisną się z zapałem, człowiek niezwykle zdolny, szybko idący ku wyżynom w hierarchii duchownej — człowiek ten teraz wobec niej obcej, lecz blizkiej mu istoty, zastanawia się i już sam nie wie, co tu radzić. W poprawę takich ludzi, jak Reński, nie wierzy; jednak to właśnie mogłoby jedynie ocalić tę biedną Jankę.

— Tak, nic innego, niech czeka... może on się upamięta...

I w ślad za myślą idą słowa:

— Tak, dziecko drogie! Nie można z góry uprzedzać się, może mąż twój zmieni postępowanie, cierpliwie znoś tymczasem krzyż swój.

I wzrokiem wskazuje jej ciemny, z bronzu ulany, krucyfiks.

Janka poprzez łzy biegnie oczami za wzrokiem Karowicza, pokornie pochyla głowę.

— Wracam z kościoła — mówi — więc nie ma we mnie buntu przeciw Opatrzności. Ale chyba — dodaje już

z jakąś rozpaczliwą odwagą w głosie — chyba ani Bóg, ani ty, ojcze, nie poczytacie mi za złe, jeśli ja już nawet nie dla siebie, ale dla świata pragnę okazać, że nie solidaryzuję się z postępkiem mego męża.

Karowicz poczyna teraz słuchać z uwagą. Janka rozgorączkowana mówi dalej:

— Miesiąc cały nie wychodziłam z domu, unikałam ludzi, przypuszczałam, że mogą i mnie łączyć z występkiem. Ale to było przypuszczenie. Dziś mam już pewność...

Ksiądz podnosi głowę, pytający wzrok zwraca ku Jance.

— Tak, pewność! — Jakieś damy na mój widok rzuciły słowa złe, zjadliwe, ale były one głosem, idącym ze świata. Teraz więc — podjęła — głównie chodzi o zaakcentowanie mojej odrębności, a to chyba nie jest złe.

Karowicz słucha mocno zamyślony.

— Więc chyba terminowa separacya. Koniecznie terminowa, to jest: na pewien czas określony.

Separacya, ten wyraz nic nie mówiący, ten środek nic nie wyczerpujący, wpada w ucho Janki. Ogarnia ją straszny lęk. Ciężar jakiejś bezmiernie na jej słabe siły ciężkiej kuli uwiesza się u jej szyi, łańcuchem żelaznym skuwa ramiona. Wyprostowała się.

— Czy chcesz dźwigać taką kulę, czy chcesz skuć się w te kajdany, ironię swobody? — zahuczało jej w uszach.

I już najsubtelniejsza struna jej duszy woła, broniąc się, ku księdzu:

— Nie, nie, ja nie chcę separacyi, ja chcę rozwodu!

— Unieważnienia małżeństwa — poprawia znów Karowicz.

— Raz jeszcze od prób w tym kierunku przestrzegam cię, moje dziecko. Przyszłość swą obecnie powinnaś oprzeć na oczekiwaniu. Nie można z góry nic przewidzieć;

nie dziś, nie jutro, ale z czasem Reński wejrzeć w sumienie swe może. Czekajmy, dziecko, czekajmy! — mówił z prośbą w głosie.

To ciągłe namawianie jej do powrotu, do dalszego życia z mężem, zniechęca wreszcie Jankę. Duch zgody, przemawiający przez usta Karowicza, nakłada jej jakby pieczęć na usta. Nie czuje się zrozumianą. Nie chce już o nic pytać. Zesztywniała powodzi wzrokiem po filigranowym, czarnym garniturku mebli elegancko urządzonego mieszkanka. Wszystko tu, począwszy od małych, niziuchnych pokoi, przypominających pudełka, jakieś drobne, nikłe. Dziwny kontrast stanowi osoba Karowicza, wyjątkowo wysoka, chuda, tyczkowata. Wzrok Janki odbiega teraz od niej. Jej szczera natura dziwnie maluje swe wrażenia na twarzy. Teraz rysy jej odbijałyby zawód, może i niechęć. Pragnęłaby stąd odejść. Przypomina właściwy cel przybycia, podsunięty jej przez Mortonową i już w ton księdza uderzając:

— Więc gdybym tylko o ową separacyę udać się do konsystorza chciała — mówi z trudnością, bo wie, iż nie wypowiada prawdy — to do kogo z adwokatów mogłabym się udać? — zwraca się do Karowicza.

Na bladej księdza twarzy maluje się zakłopotanie.

— Czy ja wiem? — zamyśla się — chyba do Wirewicza lub Rówieńskiego. Ale Wirewicz teraz chory, więc Rówieński. Bardzo porządny człowiek — dodaje tytułem objaśnienia Karowicz — zaufania godny.

Rozmowa urywa się i już nie wiąże. Nowy interesant w osobie jakiegoś pana ułatwia Jance odejście. Karowicz wynosi z drugiego pokoju kilka książeczek, medalików.

— Oto w chwilach duchowej rozterki znakomite rozmyślania księdza Châlons. Czytaj i umacniaj twego ducha, moje dziecko.

Janka dziękuje ustami, zabiera dziełka, a myślą cała przenosi się do kancelaryi adwokata, którego adres wyniosła z bytności u księdza.

I tam, w tych nizkich antresolkach, w których wysoka postać Karowicza widniała przed nią, już duch jej stawiał zuchwały opór zgodnym namowom księdza, a później na proponowaną separacyę wzdrygnął całem jej jestestwem. Teraz, gdy, wyszedłszy na ulicę, wpadła w objęcia nastroju majowego, gdy ten ciepło, słońce roztaczał dokoła niej, dając jej chwilę radosną, łagodną i pełną ciepła, teraz Janka wybiega całą swą rozjaśnioną duszą ku swobodzie, szczęściu.

Chodnik zatłoczony jest spacerującymi. Cudny, rozpachniony wiosną dzień, wita po całodziennej pracy falangę zapracowanej rzeszy. O schyłku dnia ludzie ci wybiegają szerzej odetchnąć w świat boży, każdy biegnie ku słońcu, ku powietrzu, ku życiu.

I przez ten tłum zwarty z trudem przeciska się Janka ku swej wolności, ku swojej swobodzie, ku swemu życiu...

. . . .

Chwila smutku, zawodu.

— Pan mecenas nie przyjmuje — mówi lokaj — wyjechał.

— Kiedy wróci?

— Za miesiąc lub dwa... nie prędzej.

Drzwi zamknięto, Janka stoi na schodach, oddycha ciężko. Jest zdyszana: tak biegła, tak się śpieszyła!

A tu zwłoka, zwłoka dwumiesięczna!

To jutro świetlane, to jutro swobody pełne, zdaje się znów oddalać od niej.

— Dwa miesiące, to wieki całe! — myśli podniecona. Zwolna przychodzi uspokojemie.

— Ostatecznie dwa miesiące miną — dyktuje rozwaga — a wtedy, wtedy...

Znów uśmiecha się do swych myśli, tworzy plany, jedne piękniejsze, milsze od drugich.

Wzrok jej pada na śmiejące się, wesołe, pogodne twarze.

— Radują się z życia — myśli. — I ja też radować się będę; minęło, co było złem... minęło, nie wróci!

Przechodzi w Aleje. Wszechmocna siła życia chwyta ją silniej jeszcze w swe ramiona. Miasto ginie, zatraca się w cudnej oprawie młodziuchnej, jasnej, przezroczej jeszcze niemal zieleni. I ten wązki szmat ziemi, nie powleczony twardą asfaltu skorupą, bez wbitych weń ostrych kamieni bruku, przepachniony wonią rozkoszną wiosny, wionie ku niej prądem życiowym. W siatkach gałęzi, krzaków, wybiegają z poza sztachet parku pączki bzu, całe nabrzmiałe, kwiecia pełne, biją siłą, radością, uśmiechem. Jeszcze chwila, a już doskonałe w swej życiowej pełni osnują się przedziwnym cudem swego istnienia.

Natura jakby rzuca jej przed oczy perły swego istnienia, roztaczając dokoła z królewską hojnością ciepło, radość, całą piękność jasnego, wolnego życia.

I te wszystkie czary swoje, niby długi, miłosny pocałunek, składa leciuchno na ustach kobiety, a ona uścisk ten przyjmuje lękliwie, lecz chłonie urok jego cudny, gorący, płomienny.

I pełna jest rozmarzenia; wybiera dalsze ulice, by chwilę przedłużyć...

Poco wracać w te cztery puste ściany? Nikt mnie tam nie czeka, nikt radośnie nie powita!

Oczami błądzi po długiej, biegnącej przed nią alei, po

ludziach, tłoczących się obok niej, po tem wszystkiem, z czem dusza jej teraz się wiąże.

I nie chce wracać do własnego domu, nie chce wyrywać się z tego środowiska... Tam u niej tak pusto, tak smutno!

A wkoło niej zaczynają znów krążyć dawne marzenia, snują się rojenia — niespełnione! Tęsknota straszna dławi ją i nasuwa obraz szczęścia o rodzimych barwach i tonach. Mimo gwaru, turkotu, hałasu ulicznego, zdaje się jej, że jest stąd daleka, zupełnie wyodrębniona, dysząca rozkoszą i urokiem spokoju wielkiego w swej pewności szczęścia domowego.

I marzeń sieć cała opływa ją. Oto próg jej domu — ona powraca, widzi postać mężowską o dobrym, przychylnym uśmiechu, wyciąga ku niej ramiona...

— Śpiesz do mnie! — mówi.

Ona zarzuca mu na szyję ręce i przytula się do niego.

— Mój mąż, mój dom! — myśli.

Cudna chwila uroku i szczęścia pełna.

Idzie, jak zahypnotyzowana, oczy ma przymknięte. Ktoś ją trącił — podniosła głowę. Teraz dopiero spostrzegła, że jest już na Pięknej; ujrzała wysoką szarą kamienicę; powodzi po niej rozmarzonym jeszcze wzrokiem. Pobladła — to był jej dom!

Nie ten z marzeń, lecz własny, rzeczywisty dom.

Czar prysnął...

Jej dom, ta masa cegieł zimnych, niby mauzoleum grobowe jej rojeń, jej szczęścia. Wionęło od nich wspomnienie, i Janka zbladła, wyprostowała się.

— Nie chcę już o tem myśleć, nie chcę.

Brakło jej sił. Przez tygodnie całe nie wychodziła z domu. Uczuła, że tą kilkogodzinną po mieście włóczęgą

szalenie jest zmęczona. Fizycznych sił zabrakło. A doprawdy, sił tych ledwo w niej okruszyna.

Zwraca się ku domowi, który zamieszkuje. Zmrok zapada. Ten i ów za wolno idącą kobietą oglądać się poczyna. Zgrabna figura Janki frapuje. Nie jest wysoka, lecz smukła, zręczna. Ładnie osadzona mała głowa na smukłej szyi rysuje się wdzięcznie nad spadzistemi ramionami. Oczy ciemne, o wielkiej głębi źrenic, patrzą smutnie, lecz są pełne wyrazu. Ma w sobie delikatną gracyę, ani cienia lalkowatości, strojnej kokieteryi; zato nosi w sobie piętno uduchowionego wdzięku.

W ostatnich pobłyskach zachodzącego słońca widnieją jej rysy bardzo delikatnie wyrzeźbione, tylko nacechowane znużeniem, melancholią, zadumą. Dziwny czar skoncentrowany jest w tej smutnej twarzy kobiecej.

Spojrzenie jej pada na narożny balkon. Spowity w powoje i festony bluszczy zdaje się być zawieszonem w przestrzeni gniazdkiem. Kolorowe kielichy kwiatów w oświetleniu latarni ulicznej znaczą się niby barwne gwiazdki. Wygląda powabnie i wdzięcznie ten kącik, który wraz z mieszkaniem teraźniejszem urządziła sobie według własnego gustu. Nie brakuje, zda się, w nim niczego; wygody jest poddostatkiem, jednak...

Jednak jest i tu szalenie pusto i smutno. Nie tym smutkiem, w którym rozpacz podsuwała złe myśli, nie tym z Pięknej, wypełniającym dni i noce brutalnemi Reńskiego awanturami, ale smutkiem cichego, moralnego bólu, smutkiem dni i nocy samotnych, spalających tajnym pożarem wnętrze jej istoty, dni i nocy, narzucających nerwom jarzmo spokoju, w którem one prężą się jedynie całą siłą woli. Napozór jest spokojna, nawet podczas kilkomiesięcznej męki w sobie dławiła zgryzotę, na zewnątrz jej nie ujawniając, i teraz wlecze

ciężar swego życia znów naprzód spokojnie, rzeczywiście jednak jest jej źle i ciężko. Dziś szczególniej tęsknota nią zawładnęła, chce ją zdławić, oprzeć się jej — wprost nie może. Wraca z głową ciężką i pełną rozmarzenia. W głębi serca, w głębi mózgu, żyje w niej pragnienie szczęścia, radości, ciepła. Pod wpływem woni i świeżości powietrza, promieni złocistych, rozbudziły się w niej dreszcze młodości, życia, jak cień dokoła niej krążą. Janka, upojona niemi, idzie jak półsenna. To »coś« nieuchwytne snuje się ciągle za nią. Wchodzi w próg swego mieszkania. W saloniku pod oczy jej podsuwa się uśmiechnięta słodko markiza z ekranu. Uśmiech jej radosny wita pięknego markiza. Nić miłosna unosi się wśród delikatnego jak cień pastelu. Z kuchenki Wikci dochodzi szmer słodkiej rozmowy. To subjekt sklepu kolonialnego stara się o względy dziewczyny.

I tam słodko, miłośnie...

— Z bezczynności opadają mnie dziwne myśli — strofuje się Janka — zaraz jutro muszę się czemś zająć. Spróbuję utopić niepokój w jedwabiach, kanwach... Uspokoję się napewno.

Stara się zająć myślą o owej robocie, trwa to jednak tylko krótką chwilę. Znów fala gorąca zalewa serce.

— Nie, nie mogę, doprawdy dziś nie mogę — mówi żałośnie.

Chroni się w najciemniejszy kącik pokoju, opiera głowę na aksamitnym wałku ekranu i płacze.

Piękna, malowana markiza wdzięczy się wciąż zalotnie ku pochylonemu ku niej pudrowanemu markizowi. Z ulicy dobiega gwar wesołych głosów. W kuchence, rozmowa, utrzymana w dyskretnym szepcie, mogłaby wiele powiedzieć o uczuciach, które pan Antoni żywi ku pannie Wiktoryi. Wszędzie

bije pełna nuta wesołego, radosnego życia. Tylko z poza skrzydeł ekranu — i łkania i westchnienia smutne...

Czas mija. Zegar wydzwania dziesiątą... później wskazówka jego dobiega wpół do jedenastej. Janka odrywa wspartą o poręcz ekranu głowę, podnosi się, ujmuje lampę, przechodzi do sypialni.

W ciemni niknie piękna markiza; Wikcia, zapowiedzią przyszłego niedzielnego spaceru żegnana przez narzeczonego, zamyka drzwi balkonu; milknie zgiełk uliczny.

Cicho, pusto, samotnie.

Światło zabłysło w sypialni.

Janka stara się odciąć od opływających ją pragnień, które wrywają się wprost w jej duszę i serce.

Powoli myśl swą skupia ku temu, co ją w radosne koło życia wprowadzić może.

I gdy myśl jej krążyć w tem kole poczyna, w mdłem świetle nocnej ampli wysuwa się ku niej wyniosła postać księdza, później nieznany adwokat. Głównym jednak rysem jej myśli jest sprawa rozwodowa.

Nie boi się jej, nie przeczuwa w niej niebezpieczeństwa. Wie, że nie może doznać porażki.

— Żeby tylko prędzej rozpocząć — drga w niej — żeby tylko...

Coraz bliżej zarysowuje się przed nią wymarzony rozwód...

Synonim spokoju...

— Spokoju — powtarza. Czuje jednak, że treść tego słowa jakby w niej zmalała.

— Czyż spokój tylko jest istotną, słoneczną prawdą życia?

Znów powiało ku niej bujnością kwiecia, zieleni: urok zakradł się zbyt mocno snać w serce.

Ogarnęło ją dziwne wzruszenie, a myśl, której w słowa nawet oblecby nie potrafiła — drżała w niej słodka, tajemnicza.

Uśmiechnęła się do tej myśli swojej, poiła się pieszczotą jej barw, chłonęła cud jej woni.

Dreszcz rozkosznego oczekiwania przejął ją całą.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.

CZĘŚĆ II.

I

I stała się w życiu Janki rzecz zupełnie przez nią nieoczekiwana.

Nazajutrz po bytności u Karowicza, Rówieńskiego, rozbrzmiał w jej saloniku głos ciotki Wirskiej.

Głos ten o wyrazie ostrym, suchym, wyrwał ją z koła, które ustawicznie ją absorbowało. Myślą o rozwodzie przeżyła noc całą, obecnie snuła dalszą nić... A oto ten głos, głos ze świata, mogący znów cisnąć na nią całą masę zarzutów, wymówek...

Powtórzą się słowa, słyszane w ogrodzie, rozbrzmi znów skandal!...

Wiedziała, że przez ciotkę oszczędzana nie będzie: rozżalona za nieusłuchanie rad jej i uwag, da pewnie swobodny upust ironii i docinkom. Pani Wirska zatryumfuje na całej linii!

Tymczasem dama ta, rozpostarłszy fałdy swej alpagi, zasiada wygodnie w fotelu, i po uczynionym skrycie przeglądzie umeblowania saloniku Janki, wydobywa z *ridiculu* zwój gazet.

Godzina jest dość wczesna; Janka narzuca naprędce suknię; po przez drzwi przeprasza ciotkę za opóźnienie.

Wirska rozkłada dziennik. Trzymając go tuż przy oczach, szybko czytać poczyna. I oto na widok wchodzącej Janki woła:

— Znów nowe szczegóły w dzisiejszym »Brzasku« — podaje jej gazetę. — Co za skandal, co za skandal!

Nie wita siostrzenicy, a tylko lodowym powiewem skandalicznej plotki mrozi jej serce.

Janka usuwa się, nie bierze podanej gazety.

— Nie chcesz przeczytać, czy może już czytałaś? — pyta Wirska.

Głos jej ma w sobie cały zapas zdziwienia.

— Nie czytałam.

— Więc czemu?

— Zanadto mnie to boli.

Janka cofa się od wyciągniętej ręki ciotki.

— A — cedzi Wirska — musisz kochać tego gagatka. Wiadomo: wziął cię swoją urodą, bo mówiąc *entre nous,* jest on *beau garçon...*

— Ciociu! — zaoponowała.

Aż poczerwieniała ze wstydu i bólu.

Określenie jej małżeństwa: »wziął cię swą urodą« upokorzyło ją. Zdjął ją szalony żal do ciotki. Chciała powiedzieć:

— Nie, on ładną duszę mi kłamał, i tem mnie ku sobie pociągnął — lecz słów tych nie wypowiada, boi się dyskusyi, woli już milczeć.

Wirska składa przyniesioną gazetę.

— No, no — mówi z pobłażaniem — w twoim wieku taka omyłka, to do przebaczenia, ale Karol... — machnęła ręką — zmarnował ci życie...

Chowa teraz dziennik do woreczka.

— Skoro nie chcesz... Chociaż ja tylko przez życzliwość dla ciebie.

Patrzy gdzieś w przestrzeń, co jest jej zwyczajem. Z ust idzie słowo niby serdeczne — oschły głos przeczy treści; serdeczność zakrawa na ironię.

I właśnie w myśl owej życzliwości zabrzmiało:

— Należy coś z tobą zrobić. Czy do stryja wrócić się i teraz nie chcesz? — pyta.

Janka aż ręce z prośbą złożyła.

— Na wszystko proszę nie powadamiać go, proszę! — Zaakcentowała silnie ostatnie słowo.

— Czułostkowość. — Wirska wzruszyła ramionami. — Ale prosiłaś w listach, więc milczę, choć to głupio.

Nie rozumiała tych uczuć delikatnych, które wiązały Jankę ze stryjem.

— Więc już ja muszę zająć się tobą: niepodobna, abyś siedziała tu w mieście na pośmiewisko ludzkie.

Janka pochyliła głowę. Kolcem w sercu utkwiło jej owo »pośmiewisko«. Złość ciotki w pełnym biegu. Były już wymówki, skandal — teraz pośmiewisko.

— Tortury wśród serdecznej opieki — myślała.

Biegło dalej:

— Gdzieś pomieścić cię trzeba.

Janka poczyna słuchać pilniej.

Idą ku niej jakieś projekty — jakie?

Suchy, oschły głos mówi dalej:

— Pomieścić cię u siebie nie mogę: ptaki o twoim mężu, a więc i tobie śpiewają. Więc nie tu, w Królestwie, nie... — urwała.

— Możesz jechać do Ireny — rzuciła — a potem... Czy wiesz, ona już do Zakopanego nie jedzie.

Zdanie to wypowiedziane zostało w tonie o wiele żywszym, widocznie poruszyło się coś głębiej w Wirskiej. Nie czekała na odpowiedź Janki, nie dbała o nią.

— A tak, nie jedzie. Ten tyran, despota, zawziął się, by ją marynować w tem swojem Zaraniu!

Złości nuta dźwięczała w mowie.

— I to teraz, gdy Irena tak szalenie wypiękniała.

Zawiędłe w egoizmie serce poruszyło się na wspomnienie córki. Irena widać była jej słabą stroną.

— Powiadam ci, to zachwyt Krakowa! Wszyscy winszują mi córki.

Wirska zapalała się coraz bardziej.

— Jaką partyę mogła była zrobić. W Burgu znaleźćby się potrafiła, zrobiłaby tam furorę.

Z tonu Wirskiej wnioskowała Janka, że gdyby korona Habsburgów spoczęła na głowie Ireny, matka nie zdziwiłaby się tem bynajniej.

A tu tylko Zaruski, Zaranie!...

— To robota babki. Wiesz, byłam wtenczas w Görbersdorfie. List za listem: »partya dla Irenki... chłopiec zacny, bogaty«. Rzeczywiście zacny — roześmiała się — skąpiec, nawet żonie zabawić się nie dą!

Zła była na zięcia. Wspomniała scenę, którą mu z powodu Zakopanego zrobiła, jego zachowanie spokojne, ale stanowcze, rozbicie się letnich projektów...

Machnęła ręką.

— Ot, prosty szlachciura... *pater familiae* — westchnęła.

Myślą wracała znów do córki, otworzyła *ridicule,* szukała czegoś we wnętrzu.

— Nie, nie ma fotografii, szkoda, powiadam ci, co się z niej po dziecku zrobiło, istny cud: wyrosła, co za kształty!

belle femme co się zowie, a jaki szyk! A flirciarka — dorzuciła, uśmiechając się lekko zeschłemi kącikami ust.

— Rozbłyśnie znów w zimie w karnawale.

Tryumfy córki śmiały się do niej; rozweseliła się, obejrzała dokoła, wreszcie przypomniała sobie Jankę.

Wzrok jej przenikliwych, ostrych oczu spoczął na niej długą chwilę.

— No, dla ciebie Zaranie w sam raz.

W głosie czuć było jakąś pogardliwą litość: widać porównanie bujnej piękności córki z tęskną twarzą Janki. Zrodziło to głosu brzmienie.

— Pisałam do Ireny o twoim przyjeździe. Dziś lub jutro jedzie na tę pokutę; kostyumy jej wykończają. Wszystko modne, śliczne. Co z niej za elegantka!

Sucha, zawiędła twarz rozjaśnia się znowu.

Janka nie słucha już paplaniny ciotki; myślą biegnie ku owemu Zaraniu. Zaruscy mieszkają aż pod Krakowem, więc gdyby na miesiące letnie...

Wirska wyrokuje:

— Przesiedzisz tam przez lato... daleko, to i skandal cichszy. Jak wrócę z Zakopanego, to możesz przy mnie zamieszkać, bo zostanę na stałe w Krakowie.

Inwitacya mniej niż uprzejma przykro dotyka Jankę, wspólne zamieszkanie przeraża.

Zaruscy mieszkają aż pod Krakowem — powraca ku niej. — Tam ludzie na pewno mniej interesują się moją historyą, to pewna; byłabym swobodniejsza.

Wirska wyobraża sobie, że obowiązek względem Janki dopełniła. Nie pyta serdecznie o nieszczęsną jej przeszłość, nie zastanawia się nad przyszłością, ani słowa współczucia; ze zwykłą swą zimną, sztywną miną zabiera się do odejścia; Porządkuje coś w woreczku. Jedna z gazet wypada.

Janka podnosi, oddaje. Wzrok ciotki z poza okularów wbił się znów w jej twarz.

— Fatalnie wyglądasz — decyduje wreszcie, skończywszy oględziny. — Już to nigdy urodą zbytnio nie frapowałaś, no, ale teraz robisz wręcz przykre wrażenie.

Odwróciła się od Janki niechętnie, wybiega radą:

— Bierz pigułki jakie, czy żelazo; wreszcie poradź się doktora... Czy ja wiem zresztą co? ale możesz wpaść w suchoty.

Wzruszyła ramionami.

— Ot, urządziła sobie życie! Wszystko przez niesłuchanie dobrej rady. Jedź na tę wieś, może świeże powietrze...

Naciągała rękawiczki, raz jeszcze otworzyła *ridicule*.

— Masz przepustkę, bo to zagranicą; telegrafuj dziś jeszcze po konie.

Wstała.

— No, bywaj zdrowa! — dmuchnęła Jankę w policzek. — Nie mówię do widzenia, bo przypuszczam, że nie wychodzisz na ulicę. Ja na twojem miejscu nie pokazywałabym się ludziom, więc zwalniam cię z wizyty.

A na schodach rzuciła odprowadzającej ją:

— Robię dla ciebie, co mi serce i sumienie nakazuje.

Lecz w Jance przeczy coś okrzykiem buntu na takie serce, na takie sumienie. Przejął ją niepokój na myśl o tej podróży. Ireny nie zna, kuzynka wychowywała się u babki w Krakowie.

Jeśli taka, jak ciotka... — zamyśliła się smutno.

— To wtedy odjadę... teraz nie mam wyboru; trudno, jechać muszę.

Tak postanowiła.

Pod oczy nasunęła się jej przepustka Wirskiej.

— Konieczna — myśli — konieczna. Przecież prawo nie pozwala na wydanie żonie paszportu bez sankcyi męża. A mój mąż gdzie?

Reński i Wyrwicz, poszukiwani gorliwie, przepadli bez śladu...

— Zaraz należy wysłać depeszę o konie. Kilka słów. Adres: »Zaranie —. Zaruscy«.

— Zaruscy — powtarza Janka, wraz z nazwiskiem tem:

— Despota, tyran, skąpiec...

— Więc i tam niema szczęścia... biedna Irena!

...» A gdyby adwokat przyjechał, droga pani — pisze do Mortonowej — proszę zawiadomić mnie natychmiast, przyjadę bezzwłocznie...«

— Tak, jednej chwili do Warszawy wyruszę.

Teraz przygotowania podróżne. Kuferek rozwarty, zapełniać go poczyna.

Miejsce na suknie. Refleksya: co wziąć. Naturalnie suknie ciemne.

— W mojem położeniu, gdzie mnie do jasnych!

Przywykła do ciemnych kolorów teraz, zdaje się jej, że w nich staje się bardziej niewidzialną.

Tymczasem w otwartej szafie aż rozjaśniło się od barw jasnych; ładnych sukien wyprawnych mnóstwo, szlafroczki w sam raz, jak dla młodej mężatki, roześmiane, wesołe, wabne. Widnieje także lśniąca czernią aksamitu toaleta wizytowa, a modniarka przygotowała i kilka letnich sukien. Biały kolor przeważa.

— Bardzo modny — mówiła — a na upały konieczny.

— Miała racyę — myśli Janka — tak mi w tej czarnej sukni gorąco już teraz, a dopieroż później...

Z żalem spogląda na biel batystów. Takie są przytem ładne te sukienki, skromne.

Zdjęła jedną; rozłożyła na krześle. Lekka tkanina jakby uśmiechnęła się do niej. Ogromna prostota w fasonie, ale wiele wdzięku. Janka nie lubi przeładowania ozdobami — ma dużo gustu.

Mimowoli oczy jej ciągnie ta biel. Składa suknię — już jest w kufrze.

— Tam, na wsi — tłómaczy się sama sobie — to może mogłabym...

Już teraz, gdy pierwszy krok zrobiła, zauważa, że trzeba wziąć wszystkie.

— Zbrudzi się, a o pranie na wsi pewnie trudno... więc trzeba mieć więcej.

Slicznie stroją przegrodę kuferka te przezrocze, ładne batysty — przeważa jednak ciemna barwa innych sukien.

I ciemną tę barwę rzuca między sobą, a jaśnią tamtych...

Oblicza fundusze. Myśl staje się frasobliwszą.

— Właściwie, prawdziwym cudem mam te trzysta rubli.

Trzyma w ręku trzy storublówki: cały jej majątek, jak na tę chwilę.

— Gdyby nie ten lokator, co wręczył mi je na dzień przed rejentalnem zawiadomieniem o dzierżawie domu, co jabym zrobiła?

O zwiększenie tej sumy starała się, jak mogła. Próbowała sprzedać umeblowanie dawnej sypialni; było wytworne, kosztowało wiele. Prywatną drogą dawano za nie bardzo mało, tapicer zaś pieniędzy zwrócić nie chciał.

— Umebluję pani obecne mieszkanie w zamian za zwrócone mi rzeczy: oto wszystko, co mogę zrobić.

I urządził jej elegancko, gustownie salonik i sypialnię. Fundusze jednak nie zwiększyły się przez to.

Drogocenne trzysta rubli wkłada teraz Janka do zamszowego, na tasiemkach, podróżnego woreczka.

— Więc, choćby dla oszczędności, jechać muszę... Wszytko tak kosztuje... wydałam już sto: komorne, służba, życie...

Oszczędza się, jak może, a przecież pieniądze wychodzą...

— Później sprzedam kolczyki, a wreszcie powierzę i moje interesy materyalne Rówieńskiemu. I tak z żydami układać się on musi; mnie wyzyskaliby bez litości.

Składa woreczek z pieniędzmi na toalecie. Wiosenne słońce ukośnym promieniem wnika przez szyby i bije cudnym, złocistym tonem w obramowaną seledynem pluszu taflę lustrzaną.

Jance przebiegają w myśli słowa ciotki:

— Wyglądasz strasznie, możesz wpaść w suchoty.

— Suchotnica! — rzuca głośno.

Przeraża się. Wzrok jej zwraca się bezwiednie w kierunku swego w zwierciadle odbicia.

— Tak, prawda... jestem blada, mizerna, oczy mi błyszczą.

Dotyka ręki, jest rozpalona.

Cofa się szybko od lustra, chce uciec od swego widoku.

— Suchotnica! — brzmi jej wciąż w uszach. — Suchotnica!

Siedzi smutna, wystraszona.

— Brak ruchu, powietrza, stąd bladość; bo przecież nie kaszlę — broni się wyrokowi ciotki. Na wsi będę wciąż na powietrzu, tutaj wzbraniają mi wyjść. Mam się kryć przed ludźmi.

Zamyśliła się długo, smutnie.

— I dlaczego ja?... dlaczego?

Ogarnęło ją przygnębienie, pochyliło pod ciężarem opinii.

— Świat wydał na mnie dziwny zaiste ostracyzm.

Raz jeszcze zapytała:

— Ale czemu?

. . . .

I pod naporem opinii, niby godna winy, Janka, wyruszając do Zarania, okrywa twarz swą ciemną woalką, a osobę swą chroni przed wzrokiem ludzkim opuszczoną budą dorożki.

Gorzej rzecz się ma na samej kolei. Ruch letni, więc nadmierny, wagony zatłoczone, nie pomaga i skuteczna zwykle interwencya mamony; lokują pasażerów, jak mogą.

Janka siedzi w zapełnionym przedziale; jest w samym jego kąciku, zakrywa się książką; cieszy się, że nikt na nią uwagi nie zwraca. Z początku cała masa pożegnań, gdzieniegdzie nawet łzy, prośba o częste listy, później rozglądanie się, czy co z pakunków nie uroniono; zajęcie się dziećmi (wagon jest damskim przedziałem), później jeszcze troska o wygodę w podróży doskonale sekunduje Jance w jej serdecznem życzeniu, aby i nadal pozostała niewidzianą i nieobserwowaną. A już od granicy, gdy zdaje się Jance, że nikt jej tu nie zna, każdy krzak, każde drzewo, każdy zboża łan, oddzielający ją od Warszawy, wita radośnie, jakby nową zaporę, odgraniczającą życie od przeszłości.

Zmieniono wagony; nowi ludzie dodają jej śmiałości. Zdejmuje ciemną woalkę — nie lęka się wyjrzeć okienkiem. Wchodzi znów w świat, między ludzi.

Doznaje nadzwyczajnej ulgi — ciężar niepopełnionej

winy został jakby od niej daleko — ona czuje się lekką, swobodną.

— Tak mi dobrze — szepcze — jak dobrze teraz, tu, a potem, za tych kilka miesięcy, gdy będę rozwiedzioną — już wszędzie i zawsze.

Usta układają się słodko, mile.

Ładna, różowiuchna łuna pokrywa jej twarz, oczy uśmiechają się wraz z ustami bardzo jeszcze słabo, zaledwo, ale uśmiechają się. Nie jest w tej chwili ani chudą ani mizerną; nie nosi na sobie piętna suchotnicy!

Nadzieja stokroć widać jest lepsza, niż proponowane przez ciotkę Wirską ekstrakty, pigułki.

Nikłą, wątłą niteczką snuje się dokoła jej przyszłości, a przecież przeistacza ją, unosząc w inną sferę.

A tło, które przez okno wagonu wnika do jej duszy, tak różne od uprzedniego, bijące przepychem zieleni, niepohamowanej światłości i pełne potężnego natury wdzięku, mówi, że tam w przyszłości czeka ją jeszcze całe niebo cudnych wrażeń, a może i cały raj szczęścia.

Kobieta uśmiecha się wciąż ślicznie, łagodnie, a na usta rozchylone nadzieją, wybiega:

— Gdy będę rozwiedziona...

Słowa te powtarza ciągle, cichutko, lecz z uporem dziecka, ciągle, ciągle...

Jest teraz zupełnie sama. Wagon zwalnia biegu, kołysze się jakoś miarowo, rytmicznie.

Janka przysłania oczy powiekami. Główka jej sennie, marząco skłania się ku oparciu kanapki.

Wsłuchuje się we własne słowa:

— Gdy będę rozwiedziona...

II

— Zaruski.

— Reńska.

— Despota, tyran, skąpiec — przewija się w myśli Janki.

Relacya ciotki Wirskiej.

— Skandaliczna sprawa: kobieta, od której mąż ucieka — myśli Zaruski.

Słowa z krótkiego listu, odebranego wczoraj od żony.

Oboje nie usposobieni dla siebie dobrze, wyciągają jednak dłonie, by światowej grzeczności zadość uczynić. Oczy spotykają się, i w ślad z tem pomyka coś, jakby cień zdziwienia: zewnętrzna powłoka obojga nie usprawiedliwia w niczem opinii, którą świat im narzuca.

— Raz jeszcze pozory mnie mylą — uświadamia sobie Janka, idąc obok Zaruskiego. Ten też podejrzewa ją, iż wraz z przyjazdem do Zarania nałożyła na siebie maskę udawania i fałszu.

Po etykietalnem powitaniu nie zamienili z sobą jeszcze słowa, chyba krótkie: »Proszę panią o kwit na rzeczy«. Z jej strony: doręczenie kartki kolejowej. Później: »Służę pani«, rzucone bez spojrzenia w jej stronę.

Idą razem, mijają ładny pawilon w szwajcarskim guście, stacyjkę kolejową, na której widnieje napis tegoż samego co i wieś Zaruskich brzmienia: Zaranie. Mały domek, okolony zielenią, tonie w niej, niby w bukiecie. Zdala, w tajemniczej czarnej głębi widnieje ciemne poszycie lasu. Okolica bardzo malownicza: powierzchnia falująca, widać górzysta.

Wychodzą na podwórze stacyjne, stoi tam kilka bryczek — trochę na uboczu, w cieniu rozłożystego kasztana,

faeton, zaprzężony w dwa śliczne, rosłe szpaki. Janka dostrzega go.

Irena oczekuje mnie widać w powozie — myśli.

Przywykła ostatniemi czasy do życia bez ruchu, zmęczona jest drogą, idzie zwolna. Ogarnia ją niepokój.

— Jakież to życie oczekuje ją w owem Zaraniu? Miejscowość prześliczna, wprost nęci ku sobie, ale to przywitanie... bez źdźbła serdeczności, niemal niechętne. Smutno jej i przykro.

— Kuzynka powinna była mnie przyjąć.

Idzie dróżką obok Zaruskiego; ten wciąż milczy. Spogląda na nią tylko z pod oka. Zmusza się, by dopatrzeć w jej pozorach cechy kobiety, wywołującej skandal, kobiety, którą mężczyzna rzuca, nie mogąc znieść jej kaprysów, fantazyi w najlepszym razie.

— A może i inne jeszcze historye łączą się z tą panią Reńską — myśli Zaruski.

Nie zna zupełnie szczegółów zajścia między Reńskimi. Matka żony zapowiedziała przyjazd krewnej. »Opuszczona przez męża« — rzuciła krótko.

Dlaczego, co i jak? absolutnie nie wiedział.

I gdy patrzy teraz na tę smukłą, dziewczęcą postać, bardziej jeszcze w czerni sukni nikłą, nasuwa mu się myśl, że kobieta ta zdaje się być raczej uosobieniem słodyczy i pełnej wdzięku niemocy, że ta drobna postać szuka jakby podpory, która w życiu towarzyszyć jej powinna. Gdzież więc owa zuchwała fantazya, rwąca zapory i rzucająca ją na manowce skandalu?

Krótka, podróżna spódniczka, skromny żakiet, okrągły kapelusz, opięty ciemnym woalem, nie czynią jej strojną, bo w ubiorze tym niema ani śladu kokieteryi. Lecz słodycz rysów, smukłość postaci, ładna łabędzia szyjka, na której wznosi

się mała głowa, zdobna koroną popielatych włosów, elastyczność zgrabnego chodu, mimo jakieś zmęczenie, które owiewa całą postać, nadając jej ton smutny i sentymentalny, uderza Zaruskiego raz jeszcze, wytwarza w nim wrażenie osobiste, sprzeczne z relacyą, podaną mu wczoraj przez żonę.

— A jednak ta kobieta kłamie — wraca wciąż uparcie — awanturnica, umiejąca maskować się dobrze. I po co mi ją do domu narzucają? po co?...

Oboje milczą, zatopieni w myślach własnych.

Oto dochodzą do powozu: jest pusty.

Janka doznaje nieprzyjemnego zawodu. Na twarzy jej odbija się ze smutkiem pomieszane zdziwienie. Ma dziwnie mówiące rysy. Mimowoli, bezwiednie podnosi oczy ku Zaruskiemu. On odgaduje nieme ich pytanie:

— Ireny niema w domu?

— Niema — powtarza cicho — więc ja odjadę.

A tyle jest jakiejś cichej rezygnacyi, tyle biernego poddania się okolicznościom, że żal mu się jej robi.

— Irena w tych dniach już do domu przyjedzie — szybko pochwycił. — Proszę, niech pani wsiada — dodaje głosem, w którym dźwięczy zwykła, widać głosowi temu odpowiednia, szczera i serdeczna nuta.

I zabarwienie to lekkie podchwyciła Janka. Zrobiło się jej raźniej. Z wdzięcznością spojrzała na Zaruskiego. Stał tuż obok, podawał jej rękę i w chwili tej po raz pierwszy od poznania źrenice ich spotkały się w spojrzeniu jasnem, spokojnem, jakby życzliwem. Przyjęła podaną przy wsiadaniu pomoc, usiadła, on zajął obok niej miejsce.

Od strony stacyi biegł lokaj, niosąc odebrane gazety. Była ich spora paczka.

— W Zaraniu czytają widać pisma — pomyślała Jan-

ka. — Skąpstwo, o którem mówiła ciotka, nie ogarnia widać tej życiowej strony.

Lecz wkrótce wrażenia pochłaniają ją całą. Nie są one nowe. Te przestrzenie pól zieleniejących, które widnieją zdala, wybiegają ku niej wspomnieniem.

Ruszają. Stangret zachęca konie do jazdy. Znudzone długim odpoczynkiem wyborne cugowce pomykają raźno. Powóz zatacza elipsę dokoła klombiku stacyjnego i lekko, zwinnie, po przez małą górkę wsuwa się w tęgim kłusie koni na gościniec. Doskonale utrzymana droga jasnym szlakiem znaczy się, niby wysłana chodnikiem z płótna; drzewa, rosnące po bokach, rzucają na nią cień, stanowiąc ładną aleję. Łany wschodzącego jarego zboża obejmują ją łagodnie, miło. Teraz już przestrzeń zielonawa zamknęła Jankę w miłosnym kręgu jej dzieciństwa, ona też objęła ją pieściwem, pełnem czułości spojrzeniem. Rozpoznawała owies, pszenicę, ale z oddalenia niezupełnie dokładnie, więc aż wychyliła się z powozu.

Zaruski dostrzegł ten jej ruch.

— Panią to zajmuje? — zapytał.

— Odnajduję moich znajomych — odrzuciła Janka — tylko nie mogę dobrze rozeznać. Tu — wskazała ręką na zagony — to pszenica, prawda? tam dalej, to owies — roześmiała się — ale za to tam, gdzie baby bielą, to już napewno buraki.

Rozjaśniła się cała. Pod delikatną, białą, przezroczą niemal skórą twarzy wybiegła jasna zorza rumieńca.

Zaruskiemu znów przebiegło przez głowę:

— Tylko ładny, czysty duch odczuwa tak piękno przyrody. Więc jakże, jak? — zadźwięczało w nim pytanie.

A już głos Janki, bardzo miły i pełen prostoty, tłómaczył mu się jakoś szczerze, serdecznie:

— Widzi pan, tu dziecinne lata odnajduję. Matka moja

była nauczycielką na Litwie, ja przy niej, i przez te lat kilka strasznie zżyłam się ze wsią. Później pensya, więc miasto, a później jeszcze... — tu na chwilę zamilkła; Zaruski zrozumiał, że zamążpójście miała na myśli — choć rwałam się zawsze do wsi, ale składało się inaczej... mieszkałam w Warszawie. — Patrzyła znów dokoła, ale posmutniała; złe wspomnienia zacierały radosny nastrój.

Zaruskiemu opowiadanie to, trzymane w tonie prostym, niemal naiwnym, wydało się nad wyraz miłem, sympatycznem. Głos trochę cichy, lecz bardzo dźwięczny, pieściwie wnikał w jego ucho; przytem ten jej zachwyt dla wsi, którą on sam uwielbiał, obudziły w nim dla tej ledwo poznanej kobiety zainteresowanie, o przychylnym dla niej wyrazie.

I on pomknął za jej wzrokiem. Ogarnął to morze jasnej, przezroczej niemal zieleni; słońce łagodnie tworzyło ponad nią delikatną, świetlaną aureolę. Wpatrzony w to cudne przyrody zjawisko, zapadł i teraz w nie całem sercem, złączony z niem, zżyty, a odczuwający silnie tę potęgę upajającą, którą mu ono niosło. Ten szmat jego ziemi był mu krainą pełną czaru dla wyobraźni, warsztatem zaś owocnym dla jego społecznej, ogólno-ludzkiej pracy.

Więc też, gdy wzrok jego uleciał gdzieś tam, w te pola, w te lasy — wzruszenie zawładnęło jego sercem, a z ust, jakby bezwiednie, wybiegło:

— A przecież Irena wsi nie lubi. O ten przyjazd ledwo uprosiłem, ubłagałem...

Ze słów tych promieniował smutek, głos dźwięczał tęsknoty melodyą.

Janka wspomina ów projekt ciotki: wyjazd na lato do Zakopanego — dalszy ciąg:

— Tyran, despota, skąpiec! nie pozwala Irenie jechać.

— Jakże to pogodzić z usłyszanem przed chwilą: »uprosiłem, ubłagałem«.

Widzi, że Zaruski opuścił głowę. Płynie od niego prąd smutku. Po rzuconych tych kilku słowach zamilkł, zdania nie rozwija. W nagłem tem zamilknięciu Janka odgaduje, że myśli te, co z wewnątrz jego istoty wyrwały się, wypowiedział jedynie dla siebie. Może żałuje teraz, że ona je słyszała ?

To lękliwie wypowiedziane cierpienie ogarnia i ją smutkiem.

Czyżbym stanęła wobec wspólnego nieporozumienia? — myśli.

Na przekór temu, co słyszała, Zaruski wydaje się sympatycznym.

— Tak, bardzo sympatycznym — powtarza w duchu.

Tylko na usta wybiega gorzki uśmiech.

— Napewno znów pozory biorę za prawdę — odzywa się w niej. — Te panie znają go dobrze, one trzeźwo na świat patrzą, a ja?... ja tylko marzycielka niepoprawna — rzuca sobie jako wyrzut.

Droga jest jak obrazek. Jakaś przesłodka woń rozwijającej się wiosny opływa zieleń pól. Gdzieniegdzie rozsrebrzy się wody tafla. W oddali po przez siatki gałęzi drzew wyjrzą okienka wiejskiej chaty, w krzakach bzu znikające. Niebo rozczerwienia się, ku zachodowi zstępuje słońce, niezadługo zapadnie noc letnia, wczesnego lata noc.

Boczną ścieżką idzie gromadka ludzi. Na widok nadjeżdżającego powozu odłącza się z nich jeden; odziany jest w długie buty i czapkę. Zaruski dojrzał go także.

— Stań no, Mateuszu — zwraca się do stangreta. — Pani daruje kilkominutową konferencyę z rządcą.

Wysiada, idzie ścieżką naprzeciw. Przypatruje się ba-

cznie posiewom, śledzi je uważnie. Widać, że zadowolony, bo uśmiech okrasił jego usta.

Janka patrzy za nim i myśl jej znów mówi, że uśmiech to jakiś dobry, szczery.

On sam, orzucony płóciennym płaszczem od kurzu, wydaje się bardzo szczupłym i delikatnym. Rysy bardzo regularne, subtelnie wyrzeźbione. Złote fale włosów okalają twarz pociągłą, dziwnie nawet, jak na gospodarza wiejskiego, nieopaloną; cera biała, jakby w bladości trochę chorobliwa. Wśród spokojnej twarzy patrzą oczy szafirowe, bardzo wdzięczne, pełne dobroci i rozmarzenia.

Jankę uderza nietyle jego ładna uroda, ile wdzięk i łagodny wyraz oczu.

Oto żegna uprzejmie rządcę, już powraca, zręcznie wskoczył do wolantu, znów jadą. Zmierzch lekki zapadać poczyna. Trochę chłodu po dniu upalnym przenika powietrze. Wjeżdżają pod ogród. Ładna, w ażury zdobna brama otworzona. Zwartym szeregiem stare, wspaniałe kasztany, niby drogowskazy, prowadzą ku domowi. Czar woni kwiatów unosi się w przestworzu. W ciemni rysują się kontury całych krzaków, okrytych liliowemi gwiazdkami bzu. Jakaś olbrzymia jego kiść musnęła w przejeździe Jankę. Owionął ją zawrotny zapach, oszołomił, upoił.

A oto majaczą białe kontury domu, wśród zieleni ukryte zazdrośnie. Zdala już migocą jasno oświetlone punkty. Niby ogniki zdają się błyszczeć wśród zwojów dzikiego wina: to okna domu wyzierają jasnemi otworami i błyszczą światłem.

Cały dom oświetlony.

Na widok tej iluminacyi Zaruski roześmiał się.

— I wczoraj oświetlaliśmy dom. Sądziłem, że żona z dzieckiem przyjedzie. Dziś wyjeżdżałem znów na pociąg, nie odwołałem rozporządzenia, więc służba sądziła, że...

Powóz zatrzymał się u stopni podjazdu. Nie był to ani wspaniały, wielkopański pałac, ani stylowy, mały pałacyk, lub też jego nieudolna, w łatanej pompie imitacya, lecz dwór wiejski, szlachecki, zbudowany nie dla imponowania wykwintem budowli, lecz dla istotnej wygody ludzi, którzy od pokoleń już kilku w domu tym rodzili się, żyli i umierali.

Gniazdo to pieszczotliwie ujęte w festony wina i caprifolium, ucieka jakby z przed oczu ludzkich, ogromnie zaciszne i w starych tradycyach rozkochane. Już wchodząc do obszernego przedpokoju, Janka doznała wrażenia, że na tej wygodnej, z ciężkiego mahoniu kanapie, dużej i szerokiej, pokrytej ciemną ceratą, i babki i prababki Zaruskiego odpoczywały chętnie. Dwie ogromne, połyskujące takąż czerwienią drzewa konsole, zdobne lustrzanemi taflami, szereg wyprostowanych, mahoniowych, krytych ceratą krzeseł pod ścianami, nadawały przedsionkowi temu specyalnie sympatyczny, przeniesiony z dawnych czasów, staroświecki charakter.

Widać ktoś z męskich potomków rodu Zaruskich lubił uprawiać nemrodową zabawę, bo białe kły dzika w olbrzymiej jego paszczy migotały teraz straszliwie wśród ciemni obicia ściany; ówdzie znów czerep łosia bielił się gipsową swą maską; broniły go gałęzie rozłożystych rogów. Z wypchanych głów kozich patrzyły oczy szklane, martwe, nieruchome, jakby w jeden punkt zapatrzone. W kącie rozpościerał swą przeogromną kitę przedstawiciel chytrości rodu zwierzęcego, a z drugiego kąta rozdziawiał żarłoczną paszczę niestraszny teraz, bo ujarzmiony przez myśliwego lufę — wilk. Kolekcyi trofeów polowania dopełniał olbrzymi orzeł, który rozpostarł skrzydła, jakby ot już, już do lotu się zrywał. Przedstawiciel zwierząt, tym razem żywy, w osobie ładnego, rasowego pontera, przypadł w susach do nóg Zaruskiego,

a dobrze jakoś usposobiony dla Janki, nie szczekał na nieznajomą, lecz, łasząc się, prosił o pieszczoty.

Za psem dreptał stary służący.

Zaruski rozejrzał się dokoła.

— Czemu niema gospodyni? — spytał lokaja, pomagając Jance w zdejmowaniu żakieta.

— A u nas bieda, proszę wielmożnego pana, Bazylemu cości tam przy maszynie się trafiło. Pani gospodyni po doktora posłała, a teraz to już tam pewnikiem całą noc przesiedzi, bo tam jakaś kuracya, coby sobie Bazylowa rady nie dała.

Wnoszono kuferek Janki, drobne jej pakunki.

Zaruski obejrzał się ku Janowi z zakłopotaniem.

— Ano, proszę łaski pana — mówił służący, zbliżając się do Zaruskiego — skoro nasza pani nie przyjechała, to przecież można te rzeczy do pokoju pani — wskazywał drzwi, wychodzące do przedpokoju.

Zaruski aż się ucieszył z rady, poklepał Jana po ramieniu.

— Prawda — powiedział — doskonale, każ tam nieść.

Służący zakomenderował ludźmi, wnoszącymi rzeczy. Za chwilę znikli wszyscy za drzwiami pokoju.

Janka przed konsolowem lustrem zdejmowała kapelusz.

Zaruski zbliżył się do niej.

— No, w braku pani domu muszę robić honory, zatem — dodał, roztwierając drzwi, prowadzące do dalszych pokoi — służę pani. Choroba Bazylego trochę nam szyki popsuła. Gospodyni miała pani pomódz w rozlokowaniu się — mówił, wprowadzając Jankę do jadalni — a tak, proszę wybaczyć, że dziś ulokujemy się, jak można. Już jak Irena przyjedzie, wybierze pani pokój dla siebie odpowiedni.

— Janie! — zwrócił się do służącego — no, ale kolacyę dostaniemy?

— Migiem, proszę wielmożnego pana — zakrzątał się stary koło kredensu, wyjmował talerze, szklanki, ustawiał na stole.

Janka usiadła na kanapce pod ścianą.

Zaruski wypytywał o szczegóły wypadku z leśniczym.

Zmartwiony był rzeczywiście.

— To bardzo dobry człowiek — powiedział, podchodząc ku Jance — i doprawdy, gdybym się nie bał, że już na wstępie może uchybię formom światowym, to byłbym nieskończenie wdzięczny pani, gdyby nie wzięła mi za złe pozostawienia jej na chwilę samą. Zabiegłbym do chorego; on wart, by mu okazać życzliwość.

Janka poruszyła się żywo.

— Ależ, proszę pana, proszę nie krępować się mną wcale, a gdybym ja się tam przydać mogła — rzuciła za wychodzącym — to z całego serca radabym...

Odwrócił się.

— Serdecznie dziękuję, ale tam już jest pomoc kobieca...

Wyszedł drzwiami do ogrodu. Jan z talerzami wysunął się do kredensu.

Janka została sama. Rozejrzała się po jadalni.

Słowa: »przytulna, jasna, zaciszna« cisnęły się wprost na jej widok. Nie stylowa, więc nie zatopiona w półmroku dla nadania ciemnego nastroju, bez nadzwyczajnych rzeźb w meblach, tylko znów swojska. Wierny, niczem nieodskakujący ciąg dalszy ogólnego wrażenia domu w Zaraniu. Znów te same, wielkie, obramowane mahoniem kanapy, ciężkie krzesła, stół, kredens. Jedna ze ścian zawieszona portretami. Tu podgoleni panowie w czerwonych najczęściej kontuszach; tu

damy w kryzach — i tak cały rząd. Na przeciwległej ścianie widzi tylko Janka wspaniałe malowidło znakomitego współczesnego malarza. Obraz jest wielki, zajmuje całą niemal ścianę. I jest to jedyny artystyczny współczesny zbytek wśród zabytków przeszłości.

— Czyż prawdziwa jadalnia wiejskiego dworu obeszłaby się bez drzwi parapetowych, prowadzących na ogród, i to taka rzeczywista, jak w Zaraniu? — myśli Janka.

Ależ są, naturalnie. Oto rozpięły jakby swe skrzydła, rozwinęły je szeroko ku drzwiom i zieleni. I z objęć drzwi tych biegną ku Jance całe gromady jabłoni, śliw, grusz. A oto i szereg jabłoni rajskich, okrytych jeszcze kwiatem. Pnie giną w ciemni, a tylko bukiety słodkiego kwiecia, radosne z poczętego życia, wioną z siebie woń rozkoszną dokoła; zdają się być rozwieszone w przestrzeni, uciekające od siatki gałęzi i pni, ginących w ciemni. Jest w nich cała masa piękna, jakiejś weselnej, białej szaty, rozpostartej wśród cudu nocy wiosennej. Wesołym, jasnym szeregiem łagodnie falując, ustępują w dół, ku stawowi. Srebrzysto-błękitnawa ta fala przebija ciemnię, szemrząc delikatnie szmerem lekko kołysanegn oczeretu.

Sznur ogników otacza amfiteatralnie, wśród wyżyny, jasnemi światełkami, szybę stawu. To wieś rozsiadła się białemi domkami nad jego głębiną. Zwolna tu i owdzie światła zamierają, wieś gaśnie i niknie zwolna w ciemni. Janka stoi cicha, zdjęta nadzwyczajnem wzruszeniem, wrosła zda się w tę pieśń, co wspomnieniem dobywa się jękliwie z jej piersi. Harmonia chwili, odtrącona przez późniejszą dolę, zawodzi znów w jej duszy kochane, słodkie melodye.

I ogarnia ją wielka, niezmierna radość.

Odnalazła ten świat, ten czar, który mocen jest wyrwać ją z kręgu złych wspomnień, a w śnieżystej bieli osnu-

wającego ją słodkiego kwiecia ukazać świat nowy — świat szczęścia.

Zapada w zadumę nadchodzącej nocy, w tajemnicze, biegnące ku niej z głębi zieleni, szmery.

Ale jest jej dziwnie miło, a gdy głos Zaruskiego swem cichem, melodyjnem brzmieniem łączy się delikatnie z ogólnym nastrojem, wznosi się ku niej jakaś atmosfera uspokajająca, jasna, dobra.

Jan zaprasza na kolacyę.

Wracają do pokoju.

I tu urok nie pryska. Ta staroświeczczyzna, objęta także melancholią wspomnień, które do każdego tu sprzętu przywarły, jest dalszą nicią tych czarów, co duszę Janki tam, pod sklepieniem niebios, osnuły. Stara, odzywająca się w chwili jej wejścia pieśń, zatarta, trochę drżąca i nieśmiała starością szafkowego zegara, dawna widać wśród stołu rozstawiona porcelana, wreszcie przygarbiony, siwy służący, cudnie zespalają się z nastrojem.

— Spokój, zadowolenie i szczęście zda się tu obrały swoją siedzibę — myśli Janka.

Siada przy bieluchno nakrytym stole. Lampa, zwieszająca się nad nim, rzuca miłe, dobrotliwe blaski.

— Zasiedziałem się, a pani głodna — przeprasza Zaruski.

— Nie, nie — żywo odrzuca Janka — ani trochę nie głodna. Jestem taka nasycona — uśmiecha się słodko — urok waszej wsi nakarmił mnie.

— Tak, zwłaszcza na wiosnę ten żywioł wprost porywa. — W głosie jego drga szczery entuzyam.

— Ale nie każdy urok ten odczuć potrafi — dodaje po chwili z odcieniem smutku.

— A przecież to tylko patrzeć potrzeba.

— Tak, ale trzeba umieć wzrok od banalnych szablonów oderwać, trzeba umieć patrzeć, by odnaleźć prawdziwy ideał piękna.

Potarł ręką czoło, jakby chciał odpędzić jakąś natrętną marę.

To duchowe piękno ogarnia też Jankę, i ono staje się osią ich rozmowy. Oboje zwracają się ku wsi, widząc w niej czar, wdzięk przyrody, a i możność łatwiejszej, owocnej działalności.

— Chciałbym, by życie moje było pożyteczne — mówi Zaruski. — Zrobiłem już tu coś niecoś w Zaraniu, ale jeszcze wiele, wiele pozostaje do zrobienia.

Wymiana zdań jest ożywiona, swobodna. Łączność upodobań czyni ją łatwą i sympatyczną.

Janka zadaje mnóstwo pytań, czasem sama śmieje się ze swej nieświadomości; przecież wieś opuściła tak dawno, i była przytem tak małą. Jednak spostrzeżenia, które już z lat dziecinnych wyniosła, wydają się Zaruskiemu nader trafne; na wszystkie pytania rad odpowiada. Blask lampy rozjaśnia twarze ożywione, ładne w swych łagodnych, spokojnych spojrzeniach.

Atmosfera jest miła. Wiele w niej ciszy i szlachetnego spokoju.

Jan wnosi samowar, zabiera się do rozlewania herbaty. Robota niesporo mu idzie, ot, szklanka z drżącej dłoni wypada

— Pani gospodyni niema, ja takiej roboty niezwyczajny — tłómaczy się starowina skonfundowany.

Zrywa się Janka, nie zważając na perswazye Zaruskiego, już zręcznie herbatę nalała.

Oto stoi przed nim, sama szklankę mu podaje.

Wzrok jego z przyjemnością spoczął na niej.

W czarnym, ściśle opinającym drobne kształty staniku, w koronie popielatych *blond cendré* wieńczących głowę włosów, zarumieniona, z uśmiechem na ustach, a z wyciągniętemi doń ze szklanką rękami, wydaje mu się młodziuchną pensyonarką, która na wakacye z pensyi do domu przyjechała.

I niemasz w spojrzeniu, którem go obejmuje, ani odrobiny kokieteryi, ani śladu zalotności; w pełnem gracyi nachyleniu figury jest tylko ruch wrodzonego wdzięku, czyniący ją nad wyraz powabną i uroczą.

Myśli te przebiegają mu przez głowę, gdy teraz tak patrzy na nią, a ona wesoło odzywa się:

— No, przynajmniej przydałam się na coś — śmieje się ładnie.

Szklanka, którą przed nim postawiła, stoi właśnie w tem miejscu, gdzie wczoraj leżał list żony. I wczoraj czytał:

»Poco ta bohaterka skandalu warszawskiego, kobieta rzucona przez męża, narzuca się ludziom«.

Dziś wspomina te słowa, podnosi oczy i znów patrzy na tę kobietę, ciemno, skromnie ubraną. W pierwszym porywie wyrazy te oburzają go złośliwą jadowitością niebacznie przez drugą kobietę rzuconego wyroku. Choć sam prawdy nie wie, lecz odgaduje, wyczuwa, że podsunęła je złośliwość, istnie kobieca złośliwość.

— Nie zna, a sądzi i potępia...

— Tak, ale czyż wiem cokolwiek o całej tej historyi. Nic, absolutnie nic. Mąż porzucił ją, tak, ale czemu?

Zamyślił się.

Bądź co bądź takie rozstanie się z żoną po kilku, zdaje się, trzech miesiącach, dziwne, rzeczywiście dziwne. W czem to dziecko zawinić mu mogło?

Patrzy na nią, i znów jest pod urokiem jej słodkiej, niewinnej twarzy.

Jan wnosi gazety. Zaruski ujmuje kilka i podaje je Jance.

— Krakowskie, dla osób z za kordonu bardzo ciekawe — mówi uprzejmio.

Ona dziękuje, bierze podane dzienniki. Wzrok jej pada na feljeton: »Listy z Warszawy«. Czyta. Zlepek wiadomości doskonale jej znanych. To, co w mieście już przebrzmiało, tu zaledwo echem dochodzi. Lecz nagle zadrżała. Korespondent chce zabarwić suche podawanie faktów. W pikantnym sosie zwarł historyę defraudacyi Reńskiego. W szczegółach posłużył się wiadomościami o życiu jego z gazety »Brzask«, i wśród »ptaka niebieskiego«, »łowcy posagowego«, »*chevalier d'industrie*«, a wreszcie »zwykłego złodzieja«, przewinęło się i nazwisko panny, z którą obiecujący ten młodzieniec życie połączył.

I z pośród bukietów przesłodkiej woni, z pośród bieli bzów kwiecia, z pośród uroku cudnej nocy letniej wypełzła zdradziecko nieszczęsna żmija jej przeznaczenia, żądło swe w serce jej zapuściła, szarpnęła niem boleśnie, wyrwała zeń ukojenie, ciszę, spokój, zalała goryczą, a krwawy żal wybiegł ciemnią rumieńca na czoło, policzki.

Zadrżało w niej wszystko gorączkowem tętnem, ruchem bezwiednym odsunęła gazetę, czuła, że wypada jej sięgnąć po drugą — bała się.

— Może i w tej drugiej to samo, więc po co? po co?

Zaruski obserwował ją dyskretnie. Z początku, gdy Janka wzięła gazetę, czynił to z ciekawości: ot, chciał widzieć, co w niej zainteresowanie obudzi, na czem głównie uwagę skoncentruje; dopomogłoby mu to w jego nad nią spostrzeżeniach.

I oto widzi krwawą falę, co na twarz jej wybiegła, a w niej dostrzega przerażenie, lęk, trwogę, która bije z szeroko rozwartych źrenic. Nie pojmuje przyczyny, bezsprzecznie łączy się ona z przeczytanem. Pytać nie śmie, czuje tylko, że pod czernią tej sukni serce ludzkie kurczy się, targa, drętwieje. Ból mu zadany spływa do oczu, i oto nieśmiałe, gorące łzy bez łkania zalśniły na twarzy kobiety.

— Coś wdarło się w jej mózg i we łzach spłynęło — ogarnia go smutkiem.

Niby to czyta gazetę, lecz widzi, jak wzrok jej spłoszony pokornie podnosi się ku niemu; łzy szybko otarła, znaczą się tylko lekko, nieznacznie. Wzrok znów na litery gazety kobieta opuszcza.

— Lepiej jej będzie samej, wypłacze się, to jej ulży.

Zwraca się do Jana, pyta:

— Czy pan rządca przyszedł?

— Czeka w gościnnym.

Odłożył czytany dziennik, a udając dobry humor, podszedł do Janki.

— Ot i los obywatela wiejskiego — zaśmiał się. — Wieczorne dyspozycye. Pan Zapałkiewicz do dnia wstaje, wyspać się musi należycie, zatem nie mogę go zatrzymywać.

Janka podniosła się również. Wyciągnęła ku niemu rękę. Była bardzo smutna i niepewna.

Żal mu się jej zrobiło.

— Pani też należy się wypoczynek. Widzę, że pani drogą zmęczona — uścisnął podaną rękę. — Dobrej nocy pani.

Wyszła.

— Janie — rzekł lokajowi — powiedz panu rządcy, że idę do kancelaryi.

III

Ale tam nie poszedł.

Za wychodzącą Janką zamknął drzwi jadalni, szybko podszedł do stołu, odnalazł gazetę, tę właśnie, którą ona czytała. Wziął dziennik, w owej korespondencyi wzrok swój zatopił.

I uniosła się kurtyna zamkniętego dotąd przed nim dramatu życia Janki. Orszakiem szarpiących nerwy scen, przesunęły się dzieje tej kobiety o spłoszonym, smutnym wzroku, która, dźwigając na sobie ciężar skandalu, lękliwa, niepewna, przed chwilą rękę do niego wyciągnęła.

— Tej kobiety, rzeczywistej ofiary, nad którą jednak przestępstwo męża pastwienie się świata wywołuje — myśli. — Tak, dość przypomnieć słowa: »bohaterka skandalu, kobieta, którą mąż rzucił«.

— Lecz za jakąż winę słowa te ciskają na nią inni?

— Za ból jej chyba cichy, za mękę ofiarną, za te łzy?

Współczuciem rozegrało się w sercu Zaruskiego, sercu pełnem delikatnych uczuć, zmieszanych z falą sentymentalizmu. Łagodny nastrój jego duszy, owiany szlachetnością wrażliwą, subtelny był na ból i cudzą niedolę. Już w chłopięcych latach, tam, w gimnazym, później na kursach agronomicznych, chwilą błogą w jego życiu było udzielanie materyalnej lub moralnej pomocy kolegom. Serce i kieszeń otwarte były na ich potrzeby. To też zawsze po kilku biednych chłopców dzieliło przysyłany mu przez rodziców zasiłek. Sam obywał się małem, często wyzyskiwany — nie odmawiający nigdy.

Prowadził życie ciche, pogrążony w abstrakcyi; dawało mu to piętno duchowego piękna i siłę wzgardliwą dla bru-

talnej rozpusty i poziomych miłostek kolegów. Coś czystego, doskonałego wypełniało mu serce i duszę. Przechodził koło pożarów, w których popielały ich pragnienia namiętne, gasły porywy szlachetniejsze, szybując wzrokiem ponad Minny, Fanny i Pepi. Stał ponad niemi.

Chciał upajać się czarem piękna, uczuwać drżenie serca, i wśród gwiazd odnaleźć wyśniony ideał, promienne bóstwo. Przefiltrowane w sentymencie idealizmu zmysły drętwiały w bachicznych orgiach, lecz w marzeniach płonącej wyobraźni, przez błękitnawe mgły, opary, w rozwiewnym akordzie, drżącym ciekawością i pragnieniem, zmysły te rozświetlały jego młodość pożądaniem owego bóstwa, ideału, kobiety.

I kobietę mglistą, spowitą w tysiączne zasłony, iluzye, widział zawsze, jak w sennej wizyi. Pieścić się pragnął przeczuciem jej piękna, zarysami jej tylko. Miłośnie zwolna rozsuwać chciał zasłony owe. Szedł więc w życiu ponad purpurową falą żądz ognia, w krystalicznych sferach cichych, różanych poblasków.

Kobieca to była natura, żądna pieszczoty, upojenia w uścisku delikatnym, czystym, niewinnym niemal. Burza, wir, szał, co targał brudnem życiem Reńskiego, wybiegające z kart dziennika, wstrętem przenika go.

Serce jego, rzucone w bagnisko moralnego tego człowieka upadku — strząsnąć chce z siebie to brudu trzęsawisko.

Cyniczny opis miłostek Reńskiego dusi go wprost moralnie.

Pragnie odrzucić ten zgrzyt brutalny.

Wysuwa się na ogród.

Kasztany, lipy, poruszanemi przez wiatr lekko liśćmi, odezwały się do niego miło, łagodnie. Szmer ten pieściwie

obejmował mu zawsze duszę. Znów świeże, ładne uczucie wypełniło mu serce.

Lecz oto głośniejszem echem rozniosły się szmery w powietrzu. Zaruski zwrócił się ku tej stronie.

To okiennicę rozwarto w sypialni, a powoje senne, okalające białą ścianę domu, pod jej dotknięciem zaszemrały. Z okna wypłynęło łagodne, mdłe światło. I ku tej jaśni Jerzy zwolna posuwać się zaczął.

Z opalowej światła toni, pełne jakiejś nieskończonej powabności, zwracają się ku niemu Janki oczy. W oczach tych zbiera on ten sam lęk, którym żegnała go; teraz wciąż drga on w wyrazie jej wejrzenia.

Bo ona wie, bo pewna jest tego, że on tam po jej wyjściu z jadalni odczytał gazetę. Teraz wie już wszystko, co przed nim tajono, może teraz nie zechce mieć jej pod swym dachem, może...

I troska, wizya zła, ból targa znów jej duszą.

— Pani jeszcze nie śpi?

Drgnęła. Zdało się jej, że w brzmieniu jego głosu odczuła nutę miękką, serdeczną. Spojrzała na niego pełna wdzięczności.

— Jakże w taką noc spać można? chyba w mieście, gdzie prócz skrawka nieba nic nie widać. Ale tu — wychyliła się przez okno, ręką powiodła dokoła — patrz pan tylko, co za cuda, więc jakże spać, jak?

W geście jej prawdziwa gracya, błogie rozmarzenie wybiegało na twarz.

Jerzy zbliżył się ku oknu. Delikatny wzrok jego zapadł w jej źrenice. Patrzył w nią długo, przeciągle.

— Więc pani tu dobrze, lepiej niż w mieście?

Spojrzeniem szczerem, powabnem odpowiedziała mu tylko.

Spojrzenie to było tak wiele mówiące, że zdał sobie sprawę ze stanu jej duszy. Zrozumiał niemą odpowiedź.

— Ja szczerze tem się cieszę, proszę mi wierzyć. I... — urwał.

— I?... — podjęła znów ośmielona.

— Dziś jeszcze napiszę do redakcyi pism krakowskich, aby się historyą, łączną z panią, tak bardzo nie zajmowali. Mam tam znajomych; wszelkie wzmianki nadal usuną.

Nie odpowiedziała nic, tylko dwie czyste łzy stanęły w oczach i potoczyły się po bladych licach. W sercu Janki, mimo łzy te, rozjaśniło się. Z serdeczną też ufnością wyciągnęła obie ręce ku Zaruskiemu. Ujął drobne, lekko zaróżowione dłonie, łagodnie je uścisnął. Łzy, niby czystej wody perły, spływały ciche, łagodne. On wzrokiem szedł śladami tych łez, co znaczyły się wśród bladej, przezroczej twarzy.

— Tylko proszę nie płakać. I teraz łzy, i tam, w jadalni...

Pogoda przemknęła w jej źrenicach.

— Teraz, doprawdy, to łzy dobre. Z niemi gorycz uchodzi, — uśmiechała się przez nie — bo pan taki dobry, taki dobry...

A on wyczuwał, że słowa te, to nietylko dźwięki, lecz że są to prawdziwe, szczere słowa.

— Więc proszę nie płakać. Pani była nieszczęśliwa, to prawda, ale to minęło, zapomnieć trzeba. Pani będzie jeszcze szczęśliwa.

Ona patrzy w jego ciemne, szafirowe oczy, a z ust pije błogość, ukojenie.

— Tak, tak, minęło — powtarza za nim — teraz wszystko się zmieni.

Pochyla głowę ku ramie okna. Padają na nią lekkie, modre tony ampli, stoi nieruchoma, tylko w ledwo dostrze-

galnym uśmiechu kształtuje się w niej przeczucie możliwego szczęścia.

Cudna woń kwiecia unosi się od ziemi, opływa ją, a ona nadzieją przyszłego szczęścia rozmarzona, tuli w zwojach winnego krzewu swą delikatną twarzyczkę.

Jest śliczną, pełną blasku i niewinnego wdzięku. A gdy lekko zwróciwszy się w stronę pokoju, ogarnia go wzrokiem, a później oczy ku Zaruskiemu zwraca, bije z nich rozrzewnienie słodkie, a słowa: »Tak, i ja będę szczęśliwą, będę nią, tak, jak jest nią Irena, bo ile ja tu widzę starania, ile myśli o niej, o dziecku«, biegną ku niemu w cichym, miękkim szepcie.

Jest cały pietyzm w słowach tych, pietyzm, wywołany widokiem szczęścia, o którem zawsze śniła, marzyła. Lekka smuga światła, bijąca z pokoju, zarysowuje delikatność jej kształtów; przezrocza zieleń młodych liści splotła jakąś aureolę dokoła jej głowy, a ona, przeżywając rozkosz szczęścia tego, powtarza znów:

— Tak, ile tu starania, ile myśli o niej, o dziecku.

. . . .

Ile tu starania, ile myśli o niej, o dziecku!

Dawna sypialnia rodziców Zaruskiego, te same stylowe, nizkie łóżka, matczyna tualeta, klęcznik, na nim Dunin w starej, zniszczonej oprawie, stolik do robót. W wazonach na oknach, na wystawie kominka, stolikach, kiście bzów, bukiety konwalii. W powietrzu cała fala pogodnej, domowej atmosfery, którą komnatka ta długie, długie lata dyszała.

Tuż obok pokoik dziecinny, bieluchny, czysty. Na jego środku to, co stanowiło oś szczęścia jego rodziców — kołyska. Mahoniowa, na pasach, bujająca kołyska. Teraz w niej

grzechotki, przeróżne dla dziecka zabawki. Pół otwarta komoda, w szufladach stosy pieluszek, kołderek.

Tak, starania, myśli tu wiele, wiele.

. . . .

Szafir oczu Zaruskiego pociemniał, gdy i on wzrok swój utkwił w głębi pokoju tego.

— Rodziców moich sypialnia, później nasza. Trochę ją odświeżyłem, trochę dodałem, ot tam, te bagatelki. Pragnę, aby Irena czuła się tu dobrze.

Zdało się Jance, że w słowach tych, poza szczerością, biła jakaś potęga smutku. Miała wrodzoną subtelność w odczuwaniu sytuacyi. Zaruski obudził w niej całą życzliwość, więc też pełna dobrotliwego wdzięku uśmiechnęła się do niego mile, serdecznie.

— A ja życzę, aby pragnienie pana spełniło się, życzę z całego serca.

Zamiast odpowiedzi Zaruski pochylił się nad klombem, rosnącym tuż pod oknem, zrywał pęk kwiecia konwalii. W srebrnem księżyca świetle, całe w rosie skąpane, lśnią się, niby brylanty.

— Niech kwiat dziękuje za dobre słowa.

Wzięła białe wonne dzwoneczki.

— Smutny mi pan kwiat daje, łzami ocieka.

Łagodnie odebrał jej konwalie, otrząsł z rosy.

— Zdjąłem łzy z jej płatków, patrz pani, niemasz w niej już smutku.

Podawał wiązankę. Wybiegło na jej usta niby proste, a ogromnie ładne i prawdziwe.

— Zdjął pan z niej łzy teraz — a moje przed chwilą.

— To były jednakie łzy, bo pani i kwiecie, to jedno...

Nie był to banalny komplement salonowy, komunał, lub wymuszona chęć starania się o względy, nie! W tym cichym, wiejskim zakątku, w srebrze księżyca, w kwiatów woni, był to hołd złożony kobiecie, od której szedł urok, biegł czar.

Wsłuchała się w słowa, wpatrzyła w kwiat.

— Dziękuję za kwiaty, i dobranoc!... — wyrzekła miękko.

— Dobranoc, do jutra!

— Do jutra! — powtórzyła.

A bzy, narcyzy, w ślicznie wykrojonych swych płatkach, konwalia w swych wonnych dzwoneczkach, wszystkie cuda majowej przyrody rozdźwięczały się słodko, mile:

— Do jutra!...

IV

I dotrzymał widać obietnicy w napisaniu listów do redakcyi pism krakowskich.

Nad ranem dobiegły do uszu Janki słowa:

— Listy te oddasz fornalowi; gdy będzie jechał na stacyę, niech je sam wrzuci do wagonowej skrzynki.

Głos był miły, spokojny, dźwięczny. Poznała głos Zaruskiego.

Zbudziła się właśnie ze snu mocnego, krzepiącego, czuła się silną i dziwnie orzeźwioną.

Spojrzała dokoła siebie.

Pokój objęty był wprost olśniewającą jasnością. Powstrzymywana zaledwie cieniuchną storą, wnikała wspaniała w swej zuchwałej jaśni. Zalewała całe wnętrze, kąpała w swych blaskach niziuchne mahoniowe łóżko, a pieszczotą promieni

miłośnie tuliła rozbudzoną Jankę. I dobrze jej było w tej pieszczocie, w tem cieple i w tej życzliwej atmosferze, która po wczorajszej rozmowie obejmowała ją ciągle. Znikł zimny konwenans światowej znajomości, ustąpił miejsca życzliwości dobrej, kochanej, niemal braterskiej.

Bo przecież ta chęć dopomożenia w jej smutnem położeniu i prawdziwe współczucie...

A potem to:

— Pani była nieszczęśliwa, ale może być jeszcze szczęśliwa...

— Czyż to nie echo moich własnych myśli?

— I będę do tego szczęścia dążyła całą siłą — mówi sobie. — I właśnie do takiego jak to, które mnie tu otacza.

— Przeciwieństwo Pięknej — myślała — a nawet i późniejszej mej egzystencyi. Mieszkanko mam ładne, gustowne, a przecież jaką czuje się w niem pustkę — westchnęła.

— Te nieszczęsne wieczory! Ot ten, przed bytnością ciotki Wirskiej — cały przepłakany.

I przesunął się jej w pamięci szereg takich samotnych, sierocych wieczorów.

Tu w oczy jej biegnie cały szmat szczęścia rodzinnego. Tu kobieta, którą los rzucił, nie tuli się w kąt ciemnego ekranu, by we łzach do twardej jego poręczy opadać. Nie, tu ona ma szczęście całe, żywe, kochane. Tu, w zgodnym, miłosnym duszy i ciała uścisku, łączą się wspólne przyszłości pragnienia. Szczęście spokojne, pełne poezyi i sentymentu, rozkwita w czarze tych cudnych promieni słonecznych, które teraz oblewają ją, pieszczą, całują...

Pociąga ją to wnętrze, przykro jej się zrobiło, że z tego przychylnego kąta ustąpić będzie musiała.

— Naturalnie, i to już nie długo, wszak Irena w tych dniach już ma przyjechać.

Raz jeszcze rozejrzała się dokoła, żal nią owładnął.

— Dlaczego inna to ma, a ja nie? Dlaczego tak? dlaczego?

Zamyśliła się, a odrobina niechęci ku tej innej, szczęśliwszej powstała w niej. Lecz wnet rozjaśniła się przypomnieniem:

— Ale pani będzie szczęśliwa.

Roześmiała się do słów tych i uciekła od złych myśli pod rozłożyste, rozzielenione drzewa, pod roziskrzone słońcem niebo.

A już weszła zupełnie we wczorajszy nastrój znów serdecznem:

— Dzień dobry! Czy też pani dobrze wypoczęła? — witana.

Altana wybornie zacieniona, stół zastawiony przysmakami wiejskiemi. Śmietanka, o jakiej się w mieście nie śniło, chleb domowy, piramida złocista zarumienionych bułeczek. Zaruski podaje, zaprasza, wreszcie sam na talerzyk nakłada.

— Trzeba anemię wypędzić, ucieknie od słońca i wiejskiego jadła — mówi.

— No, ale jeśli mam zjeść tę porcyę z talerzyka, to potem chyba do Marienbadu jechać — odrzuca wiośniano, dziecinnie.

— Nie, nie. Smukłość linii zachować należy; tylko krwi, krwi jaknajwięcej. Pani sił brakuje, to widać odrazu, a siły trzeba mieć — łagodnym głosem, uśmiechając się, dorzuca — dla przyszłości.

Słonecznie wita Janka te słowa. One ją znów wprowadzają w świat jej marzeń. Zaruski odczuwa, że ten temat

rozmowy będzie teraz najbardziej pożądany, nadzieją chce zacierać złe wspomnienia.

I w jasnej, niby kwiat wonnej, smudze lepszej przyszłości, nadziei, tajemniczo, lękliwie nachyla się Janka ku Zaruskiemu, mówi, a raczej, jakby bojąc się słów tych, szepcze:

— Ja się rozwiodę.

Obejmuje ją wielka radość, że wreszcie biały cień ten, co jak blask złotawy wnosi światłość w jej życie, rozsnuć przed kimś może.

Jemu ten wyraz »rozwód«, wymówiony przez tak młodziuchną kobietę — dziecko niemal — dziwnym się wydaje.

Widać tylko, że dziecko to, poza uśmiechem, którym ku nowemu życiu wybiega, ma już twarzyczkę wymizerowaną, zmęczoną, jakby pożarem smutku objętą; ma oczy strwożone, pod iskrą dobrego słowa odżywające dopiero weselem.

— Byłam już u adwokata, ale wyjechał. Wróci za dwa miesiące, wtedy rozpocznę moją sprawę. Za kilka tygodni uzyskam rozwód i wreszcie będę miała prawo być szczęśliwą...

Spojrzała na niego pewna, rozweselona, promienna.

— O sprawach rozwodowych pojęcia nie mam, ale w warunkach pani, warunkach tak niezwykłych, rozwód naturalnie musi być tylko kwestyą czasu — potwierdza Zaruski.

— Tak, tak, naturalnie. Trzeba mieć tylko cierpliwość.

Opowiada o poznanej niedawno Mortonowej, o swej bytności u księdza Karowicza. A on patrzy w jej zaróżowioną, jakby jutrzenką nadziei obleczoną twarzyczkę i słucha słodko, wdzięcznie powracających wciąż słów:

— A gdy będę już rozwiedziona...

O udręczeniach uprzednich, tych, które lękiem i smutkiem odbijają się w toni oczu ciemnych, kobieta ta nie mówi mu wcale; nie skarży się, nie obwinia męża, nie szuka współczucia, nie opowiada szczegółów niedoli, która była jej udziałem, nie każe roztkliwiać się nad przeżytemi w smutku dniami, ale, nie wiedząc o tem, zyskuje stokroć więcej współczucia, właśnie w tej swojej szlachetnej dyskrecyi.

Rozpacz dni minionych zamyka w sobie, lecz w spojrzeniu jej dobrem, choć smutnem, gdy o przeszłości wspominać musi, idzie ku Zaruskiemu całe wyznanie dni złych, dręczących, ponurych.

O treść ich nie śmie on pytać. Rozumie, przez jaką mękę serce to co chwila wleczonem być musiało.

— Nie mam prawa wdzierać się w tajniki jej życia — myśli. — Niech lepiej zapomni o tem, co było, to najważniejsze. Niech zapomni, niech się uspokoi...

Cisza wielka otaczała ich dokoła.

A oto w ciszę tę wpadł odgłos kościelnego dzwonka. Na Anioł Pański zadzwoniono. Po przez sztachetę zarysowały się gromadki ludzi; pędzono piękne, rasowe okazy krów.

— To południe — mówi Janka. — Wszak o tej porze ludzie idą z roboty, wraca bydło z łąk?

Wstała i wybiegła ku ogrodzeniu.

Wysmukła jej, ciemno odziana postać wykwita jak czarny irys na ażurach sztachet; łagodnym uśmiechem swym, wybiegającym do życia, do istnienia, harmonizuje wybornie z tą falą, która rozlała się pełnym potokiem tam, poza strzałami barjery. Słychać głośną rozmowę, turkot wozów, porykiwanie bydła. Ona stoi wpatrzona w ten gwar, w ten ruch, rękami osłania twarz od natrętnych promieni złocistych, taka rada, promienna, jak gdyby znalazła się w krainie, do której była przeznaczona. Zdaleka woła ku Jerzemu:

— Mam złudzenie, że jestem tą małą Janką, co tam, na Litwie, o południu, zawsze swej przyjaciółki Rudej wyczekiwała.

Odcień miłej wesołości, wrodzonej jej usposobieniu, jest tak silny, że zło przebyte nie zdołało go zabić; i teraz, cała pod urokiem miłego jej widoku, odzyskuje swobodę myśli, a ta w lot projekty snuje.

— Muszę sobie kupić wieś — postanawia, wracając do altanki — i będę miała dużo, dużo Rudych.

Zamyśla się, a po chwili znów rzuca:

— A u mnie to będzie wszystko tak, jak tu, w Zaraniu!

I poczyna układać plan swej przyszłej wsi, rozkoszuje się myślą nowego życia. Złote plamy słońca przedzierają się przez siatkę rozpiętego wśród szczebli altany groszku, zuchwałe południową siłą, oświetlają wdzięk kobiety i przedziwnie miękką jej uczuciowość, gdy snuje przędzę wyśnionej sielanki.

Zaruskiemu ta pochwała jego wioski nad wyraz jest miła.

— Właściwie pani dotąd w Zaraniu mało jeszcze widziała, dwór tylko i część ogrodu. Pójdziemy w stronę wsi, dobrze?

Ucieszyła się bardzo.

— Oprowadzę panią po kobiecem gospodarstwie.

— Wejdziemy w królestwo Ireny — zaśmiała się.

I idą teraz wspaniałą aleją, wysadzoną kasztanami. Poważne są to drzewa, dobrze snać wrosły w grunt tutejszy, bo ogromnemi konarami szczelnie chronią od upału. Idą wciąż w ich ciemni, rozkoszując się spokojem, który bije od tych wspaniałych, o posągowych jakby kształtach drzew. Wiodą one długim szeregiem aż ku bramie ogrodowej. Przy niej stoi

mały domek stróża. Kilkoro czysto ubranych dzieci podbiegło ku Zaruskiemu. Wszystkie znają go widać dobrze, bo zamiast lęku na jego widok przygarniają się do niego, coś mu opowiadając. On gładzi je po jasnych główkach, dobywa z kieszeni marynarki karmelki, daje je malcom.

Oto są już za bramą; tu rozczerwieniło się od płaskich dachów, krytych czerwonawą blachą kilku budynków większych, murowanych, obok nich mniejsze, drewniane. Ludzi mnóstwo, wszyscy biegają pospiesznie, ruch koncentruje się dokoła obory, bo oto krowy wróciły właśnie z pastwiska. Już ostatnie wchodzą do budynku; idą ciężkie, przepełnione mlekiem, rasowe, dystyngowane Oldenburgi. Dziewczęta już ich dobiegły, wprowadzają do zagrody. Rozpoczyna się wstępna pertraktacya, mająca na celu gwarantowanie pewnej czystości udojów.

I oto wchodzącą Jankę dochodzi tłuczenie kopyt, brzęk łańcuszków, porykiwanie czasem łagodne, znów czasem gniewu pełne. Widzi masę cielsk krowich z ich łagodnem, dobrem spojrzeniem, jasne lub kraśne spódniczki dziewcząt pochylonych nad niemi; szkopki, wiaderka i przeróżne drewniane statki zapełniają zagrody obory. Duża jest ona i nad wyraz czysta, doskonale wentylowana i oświetlona. Wszelkie wymagania hygieny mają tu dla bydła zastosowanie.

Janka rozgląda się ciekawie dokoła, jest zachwycona.

— Jak salon — śmieje się.

Zaruski uśmiecha się — także zadowolony.

— W tym roku postawiłem — mówi, kontent widocznie.

Dziewczęta skupiły się, coś radzą, wreszcie jedna z nich, widocznie śmielsza, podeszła z dwoma kubkami; perlą się pianą ciepłego, śnieżnego mleka.

Janka, oparta o jedną z zagród, pije z przyjemnością

wyborny napój; patrzy w wesołą, roześmianą twarz dziewczyny, czekającej na kubek.

— Jak ci na imię, duszko? — pyta.

Całym rzędem perłowych zębów rozbłysło w koralach ust dziewuchy.

— Marysia — zachichotała

— Dziękuję ci, Marysiu. A jutro znów zaproszę się tu na mleko.

Dziewczyna całuje ją w rękę. Janka mile się do niej uśmiecha.

— Znajdę tam ładną wstążkę, to przyniosę. Poznajomię się tu z wami wszystkiemi — rzuca głośno do dziewcząt, które z szeroko rozdziawionemi gębami przypatrują się pani.

Zaruski chodzi, zagląda wszędzie; podchodzi do centryfugi. Dzwoniąc kluczami, nadbiega gospodyni Żabczyńska, kłania się dziedzicowi.

— Ano, wpadłam od Bazylego. A to tam trzeba ich pilnować — tłómaczy swą nieobecność — bo kompresów nie robią, jak doktór kazał.

Widzi, że Zaruski przygląda się centryfudze.

— Doskonała, nacieszyć się nią nie mogę.

Skłoniła się Jance, zwraca się znów do Zaruskiego.

— Bazyli nagadać się nie może, że to go taki honor spotkał. Pan dziedzic tylko z kolei i zaraz do niego. On cały dziś w bandażach, jeszcze mu tam doktór ich narzucił. Ot, nieszczęście! — wzdychała.

Zaruski zbliżył się do Janki.

— No, napatrzyła się pani dosyć swoim Rudym, to chodźmy dalej.

Wychodzą. Janka obejrzała się raz jeszcze; szeregi łbów

białych, czarnych, łaciatych zamajaczyły z oddali, a z ust jednej z dziewek wybiegło:

— Ot, dziedziczka, i ładna, i dobra.

— Nie dziedziczka — odrzuciła Żabczyńska — to kuzynka dziedziczki, jakaś panienka. Widać odrazu, co młodziuchna, zaś gdzie po dziecku... panienka, widno odrazu.

Mówiła głośno, zajęta robotą, nie uważając, że państwo oglądają jeszcze cielę, co tam w ostatniej zagrodzie stało. Zaruskiego słowa dochodzą doskonale, uważa, że i Janka usłyszeć je musiała także, bo widzi, że zmieszanie wybiegło na twarz jej różowymi płomieniami. Idzie ku drzwiom zarumieniona, oczy ma spuszczone i przysłonięte rzęsami.

Przechodzą do innego działu gospodarstwa. Po ziemi snują się plamy słońca i mienią się olśniewającem złotem; niby roztopiony metal błyszczy ono wśród olbrzymiej klatki, orzuconej siatką drucianą; to ochronna forteca drobiazgu ptasiego przed zaborczym dziobem jastrzębia.

Hufiec wojujących indyków, gniewnych i nastroszonych, w pojedynkę znów sunące gęsi, stado gołębi i masa przeróżnego ptactwa zaludniały inną część dziedzińca, stanowiąc niewyczerpaną zdaje się kolekcyę królestwa — jak je nazwała Janka — Ireny.

Ona podziwia nagromadzone bogactwo kobiecego gospodarstwa, ogląda, rozpytuje; wciąż jednak na ustach ma niewymówione pytanie:

— Dlaczego dziewczęta te wzięły mnie za Irenę, czyżby jej nie znały?

I nie zdaje sobie sprawy dlaczego, ale pytania tego zadać Zaruskiemu jakoś nie może.

Rzecz sama na pozór mało znacząca, ale w gruncie dziwna, nad wyraz dziwna.

— Bo jakże — przemyśliwa Janka — przecież wieś swoja i ludzie swoi, więc jakże, jakże?

I myśl swą obleka w dyplomatyczną formę pytania, właśnie w chwili, gdy gęsiarka trąca w bok małego chłopca, widać swego pomocnika.

— Patrzaj ino Walek: dziedzicka.

Oboje zapatrzyli się na Jankę. Gęsi wędrują gdzieś bez dozoru.

Janka rada jest, że Zaruski uwagi tej już nie słyszał. Właśnie wezwany, na chwilę odszedł.

Powraca. Janka widzi, że idzie raźno, wesoło, zadowolenie tryska mu z oczu; z przyjemnością ogarnia czystość, ład, ogólny porządek. W myślach Janki zarysowuje się nieznana jej osoba Ireny.

— Wprowadzi ją tu z dumą niezadługo — myśli — by pochwalić się ulepszeniami, rozwojem swego gospodarstwa.

Wątpliwość, nasunięta w oborze, przychodzi znowu.

— Tylko, czy ona tem się zajmuje, skoro czeladź nie zna jej; przecież po ślubie mieszkała tu osiem miesięcy.

I, by raz rozstrzygnąć to pytanie, rzuca:

— Czy te dziewczęta z obory są nowo przyjęte i z cudzej wsi?

Zaruski spojrzał na nią uważnie. Mimowoli zarumieniła się, wstydząc podstępu; zrozumiał treść pytania.

— Nie, to córki tutejszych gospodarzy i dawno już u mnie pracują — mówi wolno, jakby ociągając się. Oczy jego uciekają od jej spojrzenia, są smutne, a on traci humor, pewność siebie, gaśnie mu w źrenicach wesele.

Janka czuje, że to pytanie na duszy jego smutkiem zaciężyło; radaby je cofnąć, gdy widzi, że w słowach jej, których istotę treści odgadł, zawiera się jakaś tajnia duszy jego. Ona zuchwale odkryć ją chciała, popełniła niedelikatność,

więc powstaje w niej rozgoryczenie, źle jej jest. Cień pokrył ich twarze; zapanowało milczenie.

I gdy mijają bramę, zawierającą się za ową własnością Ireny, imię jej, nie wymienione już więcej przez Jankę, opada chmurą ołowianą nad ich głowami.

Postępują w milczeniu. Przepyszne, a w całej swej chwale cudne, wzbiło się roziskrzone słońce, i nagle orzuciło promieniem wysoką dzwonnicę wieży; oślepiającem srebrem zabłysło serce dzwonu.

Spojrzeli oboje w ten blask.

Zaruski dłoń skierował w stronę promienia.

— Nasz kościółek — powiedział.

— Obok plebania — wskazał bieluchny, nizki domek.

Lecz oto dały się słyszeć wesołe okrzyki; gromadka wiejskich malców, bardzo czysto i schludnie odzianych, rozświergotana, niby ptaków stadko, wybiega z poza krzaków bocznej uliczki. W oddali, na ścieżce tej, zarysowały się kontury pokaźnego budynku.

— Szkółka — objaśnił Zaruski. — Mam doskonałą nauczycielkę, wzorowo wykład prowadzi. — Znów jakby się rozchmurzył; i Jance zrobiło się weselej.

Spojrzał na zegarek.

— Dzieci idą ze szkoły. Ale czemu tak wcześnie? — zdziwił się. Zrównali się z idącą gromadką. Spytał jednego ze starszych chłopców.

— Pani chora: i wczoraj przyszliśmy później; zwolnili nas wcześniej — odpowiedział.

— Ot, bieda!

Janka żywo zawołała:

— A, żadnej biedy niema, szkółka, to moja specyalność.

Zwracając się do dzieci, powiedziała:

— Jutro przychodźcie wcześnie, jak dawniej.

Elementarze, książki, tabliczki szyfrowe, wraz z ich właścicielami, pomknęły dalej w podskokach.

Janka czuła na sobie pytający wzrok Zaruskiego. Spojrzała na niego wesoło.

— A tak, moja specyalność — powtórzyła i roześmiała się. — Prowadziłam w Warszawie szkółkę. Do ostatniego dnia przed moim — zająknęła się — ślubem — słowo to wymówlła już prędko i cicho — tak, prowadziłam dwuklasową szkółkę. Właściwie zwało się to ochronką. Z dziećmi szło mi wybornie.

Ładna jasność jej duchowej istoty oświetlała ją wdzięcznie...

— Cieszę się bardzo, że tutaj przydam się nauczycielce. Niech podczas lata trochę wypocznie. A przytem chłopiec mówił, że chora.

Już, już miała powiedzieć:

— Z Ireną rozłożymy sobie zajęcie... — ale instynkt ostrzegawczy wstrzymał ją w porę. Nie chce już o niej mówić, z nią idzie zawsze smutek.

Stoi przed zagadką, ale przecież spostrzega ją, więc milczy. Wracają do domu inną drogą. Przechodzą wązką nad stawem ścieżynką. Janka idzie po stromej pochyłości; płynie ku niej delikatny wietrzyk, niosąc szmer wody; trzcina kołysze się lekko. Ona bardzo zręcznie utrzymuje się na falującej powierzchni, wiotka i zgrabna.

Na zakręcie drogi, pytając:

— Czy tędy? — zwraca twarzyczkę ku Zaruskiemu. Z pod długich rzęs patrzy wesoło, promiennie.

Wydaje mu się nieskończenie dziewiczą.

Złociste światło oblewa ją całą.

A w myśli Zaruskiego przebiega:

— Ogromna harmonia ciała i duszy. Linie ładne i pro-

ste. Wiosna w niej cała, a jednak tkwi i myśl poważna. Ciekawym z tą szkółką... czy dotrzyma obietnicy? — Zamyśliła się.

A w niewymówionem pragnieniu idzie ku niemu:

— Ot, z tobą słodką, dobrą, pracować; a o zmroku przytulić, przygarnąć, szczebiotu słuchać.

Potarł czoło ręką, a patrzył wciąż na idącą przed nim kobietę.

Zatrzymała się nad taflą stawu, drobną postać pochyliła nad wodą, tuż obok zwieszonych gałęzi srebrzystej wierzby. Dziecinnym śmiechem rozdzwoniło się w przestrzeni.

— Wiejskie lusterko! — zawołała, zwracając się do Zaruskiego.

W odbiciu przezroczystej wody wybiegł uśmiech radosny, nieświadomy swego uroku i czaru.

V

Deser.

Koniec obiadu. Kryształowy półmisek osypany piramidą soczystych poziomek, krem z doskonałej śmietanki, góra śnieżnego cukru.

Janka przyrządza poziomki dla obojga. Zapytuje o gust Zaruskiego:

— Czy dosyć poziomek? A może więcej śmietanki? Taka pyszna!

— Bo to od Rudej! — śmieje się Zaruski.

— Naturalnie — odcina się Janką. — Wiadomo, od Rudej...

Jest im ogromnie i nad wyraz miło.

Turkot wozu, zajeżdżającego tuż pod bramę ogrodu, przerywa wesołą rozmowę.

— Co tam? — zrywa się Zaruski.

Janka podąża za nim. I widzą wóz ogromny, naładowany w dwa piętra przynajmniej jakąś masą trzcinowych przedmiotów.

Trzcina w najłagodniejszych cieniach zieleni, przechodząc w coraz ciemniejsze zabarwienia w świetle słonecznem, ślicznie się mieni, niby opale, niby szmaragdy w niej grają. A lekkie to, a ładne, a piętrzy się gdzieś wysoko swemi filigranowemi spojeniami.

Chłopców wiejskich dokoła wozu całe mrowie. Twarze roześmiane. Wszystkie spojrzenia ku Zaruskiemu.

— To my już dziś skończyli, proszę pana dziedzica, i zaraz tu przywieźli, tak, jak wielmożny pan kazał. Ilu ma nas przyjść do opakowania?

— Sześciu wystarczy — mówi Zaruski. — przychodźcie zaraz pod ganek. Trzeba się, nie zwlekając, zabrać do roboty.

I każdy z chłopców radby stanąć do pracy.

Zaruski rozsądza:

— Ci pójdą do roboty, co przeszłym razem nie pakowali. — Pamięta doskonale, którzy byli wówczas. Pogodzeni z musu. Wybrani zostają, inni odchodzą.

Chłopaki poczynaja owe trzciny wydobywać z wozu.

Aż zazieleniało na ścieżce od ustawianych przedmiotów.

Teraz dopiero Janka rozeznaje kształty. Widzi, że są to meble.

— A co? — woła Zaruski. — To zostawiłem, jako niespodziankę. Umyślnie nie prowadziłem pani stroną od łąki.

Leżaki, stoły, stoliki, krzesła, fotele, przewijają się w rę-

kach chopaków, i ładnemi, wzorzystemi deseniami rozwijają się w świetle.

Zaruski ogarnia je ruchem ręki.

— Wyroby mojej szkoły koszykarskiej — mówi z pewną dumą.

Chłopcy prostują się także, radzi, że przed tą ładną panią mogą popisać się ze swą pracą.

Janka przysiadła na leżaku, ogląda krzesła, stoły.

— Jaka porządna robota — mówi — i w Warszawie lepszych niema.

Nadchodzi rządca, ten sam, którego Janka przy swym przyjeździe na drodze już widziała; ładny chłopak, rosły, tęgi i zdrowy; ubrany, jak do gospodarstwa: kurtka, długie buty.

— Pośpieszyli się z robotą — mówi. A w tem »pośpieszyli« Janka uważa, że tkwi jakby trochę niezadowolenia.

— A no, do zysków im spieszno — śmieje się Zaruski; pomaga chłopcom w zdejmowaniu mebli. Mówi do Janki:

— Pierwszy nasz towar na sprzedaż, już zamówiony i zadatkowany: to obstalunek dla doktora Laskowskiego z Ossowa do damskiej i męskiej leżalni.

Wspina się zręcznie na drabinki wozu, pracuje wraz z chłopcami, nie oszczędza się w robocie. Rządca pomaga z całym zapałem, ale Janka widzi, że oczy biegną mu ciągle w stronę drogi. Jest coś, co go od roboty odrywa. Wreszcie to »coś« z kurzem i turkotem daje znać o swojem istnieniu: kilka bryczek, naładowanych zwłaszcza kobietami i dziećmi, pstrzy się kolorowemi sukniami i parasolkami wśród siedzeń wehikułu.

— A to co? — zapytuje Zaruski, nie ustając na chwilę w robocie.

— Majówka, a raczej czerwcówka — wybiega wes-

tchnieniem z pod kamizelki, a z głębi tłustej piersi pana rządcy.

Zaruski spogląda na niego z pod oka.

— A czemuż tak grobowo? — śmieje się.

Nadjeżdza znów nowa bryczka.

— Aha, to pani aptekarzowa na tej oto bryczce i najmłodsza jej córeczka, a pan Stanisław uwięziony... stąd ten smutek!

Pan Stanisław czerwieni się po uszy. Janka z uśmiechem przypatruje się ładnemu chłopcu.

Krwiste kolory rządcy zwracają też uwagę Zaruskiego. Zakłopotany mówi:

— Doprawdy, aż mi przykro, ale bez pana nie poradzę sobie; we dwóch robić musimy.

— Trudno!... obowiązek przedewszystkiem.

»Obowiązek« mówi, a w duszy mu aż wyje ze złości.

Odczuwa to Janka. Widzi, że ręce mu się trzęsą, a na twarzy to aż się mieni na widok nadjeżdżającego szarabana. Pasterka z niebieskiemi puklami wybiega chabrem oczu młodziuchnej panienki ku piwnym źrenicom Zapałkiewicza.

— Widzi pan — mówi po namyśle Zaruski — już i tak i tak kombinuję, chcąc dogodzić panu.

Chłopak się ukłonił.

— Ale cóż? tu zrobić przecież ja muszę wszystko dokładnie, obejrzeć, posortować, ponalepiać na każdej sztuce kartki, a pan znów odpowiednie rubryki w podwójnych księgach wypełnić, kwity napisać. Robota musi iść razem i jednocześnie. Odłożyć w żaden sposób nie można, bo terminowa.

Rządca przestępował z nogi na nogę.

— Pierwsza służba — mamrotał, a oczami gonił bryczkę z jej cenną dla niego zawartością. Oto zrównała się już

z bramą ogrodową. Janka, zbliżywszy się do sztachet, dostrzega teraz widocznie, że pasterka dominuje nad innymi kapeluszami pań. Panienka uniosła się aż na siedzeniu, chcąc bardziej zaakcentować swoją w wehikule obecność.

Janka podchodzi do panów.

— Roboty pana Zapałkiewicza ja się podejmuję. A panu — dodała, zwracając się do rządcy — należy śpieszyć się, bo tam ktoś strasznie wygląda.

Piwonią pokraśniał chłopak, spojrzał na Zaruskiego.

— Ale jakże pani — oponował, lecz bardzo słabo.

— Proszę się nie namyślać — nagliła Zapałkiewicza Janka — i iść prędzej. Tam czekają — wskazywała ręką drogę.

Uradowany, nie wiedział już, jak słowami dziękować, tylko z komiczną śmiałością porwał obie rączki Janki i wycisnął na nich siarczysty pocałunek. Aż się rozległo od serdecznego całusa. Potem już, nie czekając na oficyalną sankcyę chlebodawcy, puścił się pędem ku bramie. Migały tylko wysokie buty, jasna marynarka, zsunięta czapka. Machał rękami w stronę bryczki — dopędził — wskoczył do niej w biegu.

W ogrodzie śmiano się na widok tej zapamiętałości: aż biło od młodości, zapału miłosnego.

— Uszczęśliwiłaś go pani — zwrócił się ku Jance Zaruski. On sam rad był niemniej od Zapałkiewicza. Myśl, że pracować będą wspólnie, była mu nad wyraz miłą. To też wesoło zawołał:

— No, panie pomocniku, do roboty.

Chłopcy zatoczyli wózki na kółkach, rozpoczęli tryumfalny pochód, obwieszani na wszelkie możliwe sposoby leciuchnemi wyrobami; ginęli osobami swemi w natłoku piętrzących się krzeseł, stołów, etażerek, koszyków. Procesya ta ro-

biła komiczne wrażenie, zdawało się, jakby meble posuwały się same; tylko ociężałe, szerokie leżaki, podobne rzymskim biesiadnym łożom, rozwalały się na wózkach poważne, swą przyszłą godnością dumne.

— Pierwszy obstalunek, z Ossowa — cieszył się Zaruski. — Sława nasza rozejdzie się po świecie; tam masa kuracyuszów przyjeżdża.

Dochodzili do dworu od tylnej jego części.

Długa oszklona weranda, raczej szeroka galerya, ciągnęła się wzdłuż domu. Zajęto ją teraz całą przyniesionemi meblami. W kąciku ustawiono stolik. Zajęła miejsce przy nim Janka. Zaruski oddał do jej dyspozycyi dwie duże księgi. Znaczyły się czerwonomi rubrykami; te, według informacyi Zaruskiego, wypełnić należało.

I robota rozpoczęła się już teraz na dobre. Migały tylko pospiesznie figury chłopców, przynoszących Zaruskiemu sprzęty. Ten rzucał Jance nazwę, kategoryę i numer kartki, ona ją wypełniała, oddawała znów chłopcom i zaraz w obie księgi wpisywała już uporządkowany przedmiot. Praca szła składnie, z pedantyczną ścisłością, akuratna i wytrwała. Mimo gorąca i upału nie odpoczywano; dziś jeszcze należało wyprawić cały transport. Chłopcy postanowili uprzedzić nawet termin, aby wywiązać się godnie z danego im obstalunku. Pracowali zapamiętale, choć byli czerwoni od gorąca, a pot spływał im z czoła. Zaruski też czuł się zmęczonym. Janka fizycznie nie pracowała, więc też ciało jej utrudzenia nie doznało. Cierpiała tylko nad upałem, który tu, w samym kątku tej okrytej zewsząd szybami galeryi, dawał się uczuwać dotkliwie.

Dwie godziny zeszły na robocie; wreszcie radosny głos Zaruskiego przedarł się ku Jance, po przez całe stosy piętrzącej się meblowej trzciny.

— No, ostatnie krzesełko za numerem sto dwudziestym: leżalnia męska.

Janka zapisała.

— A teraz, Walek, ruszaj do kucharza. Powiedz, żeby zaraz ukręcił puszkę lodów i wysłał do lasu na tę czerwcówkę. Niech powiedzą, że to pani ze dwora przysłała.

— Pani dziedziczka? — zapytał chłopak.

— »Pani ze dworu« niech powiedzą, już pan rządca będzie wiedział. A wy, chłopaki, do pani Żabczyńskiej na kufel piwa i przekąskę.

Był w doskonałym humorze. Przy robocie spoglądał raz wraz w stronę galeryi, gdzie czernił się stolik, a nad nim widniała pochylona nad księgami główka Janki. Śliczny kolor jej popielatawych włosów, w tonie nadzwyczaj delikatnym, mile pieścił jego oko. Spokojny ich układ, niezgodny z nastroszonemi w niesmacznem rozwydrzeniu fryzurami teraźniejszemi, dobrze świadczył o niepoddawaniu się wymaganiom nieestetycznej mody.

— I ładna i rozumna — uświadomił sobie Zaruski — i pracowita — dorzucił. Zadowolony był i bardzo rad z Janki, z siebie i ze wszystkiego, co go w tej chwili otaczało.

W promieniach tej wesołości spieszył do kącika, gdzie wciąż wtulony siedział jego pomocnik.

— Dla spacerowiczów lody, dla chłopaków piwo, a nam co w nagrodę? — stanął przy krześle Janki. Spojrzał na nią, dostrzegł, że była znużoną, a w galeryi, w miejscu, gdzie siedziała, odczuł zupełny brak przewiewu.

— Ależ tu upał — zauważył. — Trzeba było pani przenieść się gdzieindziej. — Obejrzeli się dokoła i roześmiali. Galerya była tak zatłoczona meblami, że i kawałka miejsca swobodnego nie było. Usuwał szybko sprzęty, torował jej ku drzwiom drogę.

— Tak, tak, tu niech pani odetchnie. Ale bo też i ta ciemna suknia na taki upał! Dlaczego? poco?... A może żałoba?

— Nie — odpowiedziała.

— Więc pocóż ubierać się tak ciemno — ponowił pytanie.

Nie było odpowiedzi.

— Czyżby po tem, co było?... — rzucił — za wiele honoru. I właśnie proszę się zaraz przebrać. Ja proszę o to koniecznie. Czy dobrze? — spojrzał na nią prosząco.

— Dobrze — odrzuciła z uśmiechem. — A teraz ja dla siebie obmyśliłam nagrodę: powiezie mnie pan łodzią po stawie. Co, czy dobrze? Teraz ja z kolei proszę — złożyła ręce prawie pokornie. Śliczna była w swojej prośbie.

Miał szaloną chęć pochwycenia tych rączek. Nie śmiał.

Zapałkiewicz przecież ucałował je — on ująć nawet nie śmiał.

— Dlaczego?

Zrozumiał przyczynę; dla chłopaka tego Janka była niczem — jemu stawała się czemś blizkiem, serdecznem, kochanem...

Upajająca potęga, jaką ma w sobie łącznia duchowa dwojga ludzi, ten niewidzialny, a potężny, duchowy fluid ciągnie go ku niej dziwną siłą.

Przez rozpachnioną wiosnę, przez zieleń lekko szumiących liści, przez wonie róż, jaśminów, rezedy, heliotropów, snuje się ku niemu nić, zniewalająca go ku niej cudnym bukietem z uśmiechów duszy jej splecionym.

. . . .

I wśród blasków jasności miesięcznej, w białawej mgle, przeszytej srebrnemi promieniami księżyca, mgle, unoszącej

się, niby przezrocza gaza dokoła i ponad brzegami wody, w chwili, gdy świat, nawpół orzucony zasłoną, tonął w czarze obumierającej nocy, zeszła do łodzi jego Janka, w melodyach słowików, w pieszczotliwem świetle księżycowego blasku. Na ustach jej, gdy schodzi po światłością zalanej ścieżynie, falującej łagodnie ku stawowi, kwitnie śmiech. Drobniuchna mgła zroszonych drzew osiada niedostrzegalnym pyłkiem na jedwabiu jej miękkich włosów, a ona, promienna i dziwnie jasna w zwojach białego muślinu, zdaje się być ideałem niewinności i piękna.

Zaruski z głębi swej łodzi patrzy zdziwiony, zmieszany. tak bardzo mu ona dostraja się do skarbów, rzuconych w tej chwili z nieba ku ziemi.

Świetlana, jak nagle rozbłysły srebra promień.

Powolna życzeniu jego zeszła mu teraz na wodę biała i jasna, taka właśnie, jaką on w swych wizyach o marzonej kobiecie roił.

I niesie mu to uczucie, to wzruszenie w każdem swej twarzy drgnieniu, w lekkiem unoszeniu swej piersi, w śnieżnych zwojach tkaniny, co niby puch, skąpany łagodnem światłem nocy, okrywa jej spokojne, słodkie kształty.

Osnute w tysiączne iluzye.

Spowite w osłony mgliste.

Za niemi czar rozwiewnych, subtelnych wdzięków.

W tę noc zachwytów, marzeń pełną, on odgaduje je, pieści się niemi, a z warg jej spija uśmiech, co wciąż niby lilii kielich ku niemu cud swój rozchyla...

Ni słowo, ni szept z ust ich nie pada. Milczą, rozsrebrzeni księżyca i swych własnych marzeń światłem.

W tę noc księżycową!

Pełną czaru, rozkoszy, zachwytu... noc księżycową.

VI

A gdy codziennie jaśnieje swą delikatną urodą, w obramowaniu zieleni altany, i białemi rączkami rozlewa w filiżanki kawę przy rannem śniadaniu, on patrzy wciąż na nią, jak na ów wyśniony kobiecy ideał. Czar nocy nie prysł, nie uleciał. Choć podniecenie egzaltowane, wywołane cudną nocną dekoracyą minęło, pozostała urocza, uspokajająca rzeczywistość pełnej powabu kobiety. Z wdzięcznym uśmiechem spełnia ona rolę gospodyni domu, codzień też Zaruski patrzy radośnie, gdy troszczy się o kożuszek, którym filiżankę jego okrywa, o pieczywa świeżość. Jest już w doskonałych stosunkach z Zabczyńską, która ją inaczej, jak »złotą panienką« nie nazywa. Stary Jan wodzi za nią tylko oczyma.

Wniosła ze sobą uśmiech bardzo delikatny, ale ładny i za serce biorący. Od tygodnia dworek ożywił się; rodzinne życie w nim zawrzało; i w chatach odczuto, że pani do dworu zawitała. Zaruski spotkał kilka kobiet, szły do dziedziczki, tak Jankę nazywały. Zapałkiewicz, który od czasu czerwcówki gotów jest za panią Reńską w ogień wskoczyć, sprowadził na prośbę Janki z miasteczka rabarbar, chininę, ipekakuanę i inne domowe środki. Teraz jest już apteka w porządku. Janka rozdaje, objaśnia, co i jak dawać należy. Jakiś niepotrzebny pokoik na ten cel wyznaczyła. Tam też ludzie ze wsi do niej przychodzą. Już ją biedna bardzo dziewczyna z miasta, nieszczęściem przygnana, na chrzestną uprosiła. Teraz w ręku Janki miga igła, jakaś maluchna koszulka nabiera coraz widoczniejszych kształtów.

Zaruski i administrator z Ossowa, który dziś dla uregulowania rachunku przyjechał, zajęci są bardzo rozmową. Z zakładu proponują umeblowanie pawilonu letniego w lesie;

znów lekkie trzcinowe meble są potrzebne. Zaruski waha się nieco, nie wie, czy dostanie na czas odpowiednią ilość materyału. Przytem tu wykończenie ma być już bardziej wyszukane, boi się odpowiedzialności. Janka zachęca go spojrzeniem, wreszcie mówi stanowczo:

— Nie, nie można odmawiać obstalunku. Firma młoda musi dać się poznać — tłómaczy z całą powagą, a zwracając się do pana z Ossowa:

— Przyjmiemy — mówi — będzie na czas i ślicznie, gustownie odrobione.

Panowie śmieją się. Kwestya przecięta. Należy iść tylko do szkoły i warsztatu dla omówienia szczegółów. Idą razem, tylko poza bramą odłącza się Janka.

— Pani dokąd? — pyta Zaruski.

— Do szkółki.

— A więc pani nie zapomniała?

Spojrzała na niego zdziwiona.

— Przecież obiecałam — mówi.

A Zaruski, słysząc tę odpowiedź, tchnącą pełną prostoty szczerością, aż wstydzi się, że mógł choć na chwilę wątpić o trwałości jej postanowień.

Rozstają się.

— Którym pociągiem Irena dziś przyjeżdza? — pyta Janka.

— Wieczornym, o ósmej.

Jasna sukienka znika w drzwiach szkolnego budynku.

. . . .

Upał znalazł ujście w deszczu, rzęsistą też ulewą polał się w ziemię, spełniając rolę dobrego i troskliwego ogrodnika. Z drzew spływają strugi wody. Klomby zatopione są niemal. Jance żal białego róż kwiecia, co pod naciskiem

siły bijącej z wysoka opada zmoczona i płatki pomięte bielą swą zwiera z potokami deszczu.

Pochyla się nad rozwartym kufrem. W bocznej przegródce z poza osłon bibułki zamigotał leciuchny, niby z mgły utkany, wachlarz ogrodowy. Dobywa go. Zatrzepotały w powietrzu dwa motyle skrzydła, nadzwyczaj subtelne ich malowidło zadrgało opalem, błękitem, szmaragdem.

— Prezent dla kuzynki.

Podeszła do stoliczka.

— Ot, tu położę.

Układała śliczne cacko.

Zaturkotało w pobliżu.

Zbliżyła się do okna, odgarnęła firankę. Znany jej powozik, zaprzężony w parę szpaków, zajechał przed ganek. Z domu wyszedł Zaruski.

Nie wsiadł, lecz szedł w stronę okna, w którem ją dojrzał.

— Proszę ze mną, jadę po żonę.

— A nie, nie.

Spojrzał zdziwiony.

— Czemu?

Chwilkę zawahała się, wreszcie:

— Byłabym tam niepotrzebna.

Niewymowne zdziwienie odmalowało się w oczach Zaruskiego. Nie odchodził... czekał wyjaśnienia.

— Czemu? — powtórzył.

— Widzi pan, ja nie wiem, ale przynajmniej ja to tak rozumiem, że to pierwsze po długiem niewidzeniu spotkanie, to taka cudna chwila, że nawet życzliwych wtedy nie potrzeba.

Była wzruszona.

— Powinniście być sami — zaśmiała się, maskując pomieszanie.

A w głębi jej śpiewało coś ową pieśń przywitania, ten uścisk dłoni, co na śmierć i życie gotowe są iść razem, ten ust pocałunek; na niego nikt, nikt patrzeć nie powinien.

Widziała to tak jasno, tak wyraźnie.

A męska postać, jakby przywarła do ramy okna; deszcz spływał po fałdach płaszcza, po rondzie kapelusza, a mężczyzna stał, jakby wrósł w ziemię, oderwać się nie mógł.

Od powozu doszło wołanie:

— Proszę wielmożnego pana, spóźnimy się, już bardzo późno.

Odszedł zwolna.

— Po żonę — myślała. — Więc są ludzie, którzy mają własne gniazdo, rodzinę.

— I wprowadzą ją tu zaraz... A ty będziesz musiała stąd odejść — pomyślała z goryczą.

Pustka ogarnęła ją.

— Bo to nie twoje... ty jesteś sama!... sama!...

VII

Przeżyła długą jeszcze gorzką chwilę, wreszcie wspomniała, że jej stąd wynosić się należy. Złożyła rzeczy do kuferka, zamknęła go.

— Tylko pościel trzeba usunąć z łóżka i przenieść — powiedziała sobie.

— Ale dokąd? No, to już Irena obmyśli, byle nie te gościnne pokoje, takie ciemne, ponure.

Weszły wiejskie dziewczęta, dudniąc bosemi nogami. Gospodyni wskazała im usunięte wczoraj pod ścianę łóżko,

sama znosiła pościel. Dziewuchy podjęły ciężki mahoń, niby piórko, i przystawiły obok łóżka, na którym wczoraj Janka spała. Ona przypatrywała się ich sile fizycznej z przyjemnością. Jedna z dziewcząt ładna, dobrze rozrośnięta, z uśmiechem białych, zdrowych zębów, zsunęła oba łóżka blizko, bliziuchno...

Błysnęła oczami ku towarzyszce, roześmiała się ordynarnie, głośno, ta w odpowiedzi zachichotała, wreszcie rzuciły sobie coś w ucho, aż się zaniosły od śmiechu.

Powiało trywialnie zmysłami. Janka odwróciła się z niesmakiem od gorsetów, białych koszul i czerwonych spodnic.

Ktoś zawołał z okna na dziewczęta. Wybiegły, brzęcząc koralami, za niemi wysunęła się i gospodyni. Janka przysiadła na brzegu łóżka, czekając ich powrotu.

Zdjęta jej pościel leżała na krześle, przygotowany do wyniesienia kuferek stał już tuż przy drzwiach.

Siedzi bardzo smutna, żal jej tego kąta.

Przenika ją jakaś beznadziejność, pustka jej istnienia staje się bardziej dojmującą. Serce drga całą gamą wrażeń. W nich zarysowują się kontury nieznajome, osoba Ireny koncentruje najbardziej jej uwagę. Stara się ją sobie odtworzyć. Usłyszane — trwoży ją, lęka się tej kobiety, nie może stłumić złego przeczucia.

Dziewczęta po rzeczy jej nie wracają. Janka lada chwila spodziewa się usłyszeć odgłosy kół, zatapiających się w rozmiękłym gruncie, pluskanie kopyt w kałużach deszczu, a we drzwiach ujrzeć już rzeczywistość, a nie rojenie. Chciałaby jednej chwili usunąć ślady pobytu swego w tej sypialni, ale dziewczęta nie wracają.

Ich niema, ale za to już szpaki wysunęły się z ogrodowej bramy; są już u stopni podjazdu. Powóz stanął, a z pod spuszczonej budy wysuwa się jakaś postać. Janka

nie rozpoznaje osoby, a tylko bijące serce przyciska ręką, i myśli:

— Co mi też ta kobieta przyniesie ze sobą, co?

Serce bardzo niespokojnie kołacze się ptakiem spłoszonym w piersi.

Słyszy głos w przedpokoju, głos Zaruskiego, słyszy tupot bosych nóg Kaśki i Maryśki; stoi wciąż trwożna, niepewna. Wreszcie przemaga się, otwiera drzwi.

— Dziewczęta — woła — zabierajcie rzeczy!

Wychyla się i widzi Zaruskiego, który rzuca na ręce Jana zmoczony płaszcz, kapelusz.

Jest sam, a ona bezwiednie doznaje szalonego uczucia ulgi.

— Nie przyjechała — myśli, i dziwnie jest uspokojona, choć nie zdaje sobie sprawy z tego wrażenia.

Dziewczęta wbiegły do pokoju, ujęły kufer, już są w progu, wynoszą.

Zaruski zwraca się ku rozwartym drzwiom sypialni.

— Czemu wynosicie?

— Pani kazała.

— Wnieście napowrót.

Mówi wbrew swemu zwyczajowi krótko, oschle. Janka uczuwa ten ton; w głosie jest jakieś zdławienie, wyrazy z krtani idą gwałtem rwane, urywkowe.

Dziewczęta zawracają z kuferkiem w głąb pokoju. Janka stoi w progu; uderza ją coraz silniej ta zmiana, jaką obecna chwila sprawia w Zaruskim. Delikatna skóra twarzy, przez którą przebiega siatka niebieskawych żyłek, drży nerwowo, usta, gdy mówi do dziewcząt, drżą, głos mu drży i całe wnętrze jego istoty drży widać także; szafir oczu stał się prawie czarnym, i maska cierpienia objęła jego twarz pobladłą.

Zbliża się do drzwi sypialni. Janka cofa się do wnętrza.

— Czy można — pyta.

Chce powiedzieć: »Przecież pan jesteś u siebie«, ale ból jego, ból, którego przyczyny nie zna, wrzyna się jej w serce i gasi swobodę słów.

— Proszę — mówi cicho.

Pytać o Irenę, o jej przyjazd nie śmie. Usuwa tylko leżący na krześle neseser, zarzuca łóżko białym muślinem kapy. Stara się być spokojną. Ujmuje robotę — igła wypada jej z ręki. Delikatnie, dyskretnie, nie patrzy nawet w stronę Zaruskiego, usuwa się w głąb pokoju; słyszy tylko jego kroki; mężczyzna chodzi szybko. Mija długa chwila; deszcz żałośnie pada wciąż poza oknami, w akordzie melancholijnym spływa tęskną nutą w smutne też wstrząśnieniami życiowemi dusze. Powoli, to, co było nerwowem podnieceniem w Zaruskim, odchodzi. Janka widzi, że nagle zatrzymuje się jakby znużony, wyczerpany, gorączkowy, ogień źrenic przygasł, tylko głęboka zmarszczka przecina mu czoło. Stoi u okna, światło pada na jego twarz, objętą szarzyzną cierpienia.

— Pani daruje, — mówi zdławionym głosem — że mącę jej ciszę, ale... — głos mu się rwie.

Janka odczuwa, że ból tłoczy go, gniecie. Bez szelestu przesuwa się koło niego, podsuwa fotelik. To zainteresowanie się nim, to zalęknione jakby spojrzenie, którem go obrzuca, koi go i uspokaja. Przyjmuje niesioną mu pomoc, osuwa się w krzesło, a jakby chroniąc się przed cierpieniem, patrzy w pobladłą twarz tej kobiety, która tu stoi obok niego i trwożnym swym wzrokiem bezwiednie łączy się z jego trwogą i bólem. Wdzięczny jej jest za to delikatne staranie i za milczenie w nierzucaniu mu imienia żony.

Kurczowo zaciśniętą dłonią mnie ćwiartki przepojene heliotropem; zamiast siebie Irena mu je rzuciła. Wreszcie od-

dziera z nich jedną i miast słów, elegancką, wonną Jance podaje.

»Cofam przyrzeczenie przebycia w Zaraniu aż trzech miesięcy, przyrzeczenie, które wymogłeś wprost na mnie«, czyta Janka cicho, przerażona już początkiem. »Miesiąc, oto wszystko, co na tę sielankę przeznaczam. *Pas plus,* to moje ostatnie słowa. Przyjechać jeszcze teraz nie mogę; kiedy — czy ja wiem — póki modniarka nie przyszyje ostatniego wolantu, ostatniej riuszy przy mojej spódnicy. Chcę przybyć do Zarania w całym rynsztunku elegancyi i mody, aby zakasować te zadomowione wiejskie gęsi. Zatem baw się tymczasem wesoło! My tu wciąż w kinematografie i kabarecie. W powietrzu amatorski kabaret, ale *rien de sûr,* może dopiero w jesieni. Pa, pa, pa!«...

Zimne, niesmacznym żartem tchnące słowa i jej ból sprawiły; zdrętwiała. On jakby czekał jej słów, gdyż czuła wzrok jego na sobie.

— Co mu powiem? — myślała.

Widziała jego twarz trwożną, oczy wystygłe, wbite w nią teraz, odczuwała, że ona powinna powiedzieć mu coś, co osłabiłoby tamto wrażenie, coś, co staćby mu się mogło oparciem.

Czuła, że w tej trudnej dla siebie chwili on tego od niej pragnie, pożąda, czeka. A jednak milczała, nie znajdowała żadnej obrony dla tej kobiety.

Przed chwilą chciała nawet rzucić słowa:

— To kobieta zła i bez serca.

Lecz nagle porwało ją przerażenie. To potwierdzenie jego myśli, wtedy, gdy on pewno chce od niej choć złudzenia, chce z ust jej usłyszeć, że się myli, bo pewnie on chce tego, chce napewno...

— Zrobiłabym rzecz złą, niszcząc tę niepewność, która cieniem błąka się w nim jeszcze.

I głosem, któremu starała się nadać pozór lekki i bynajmniej nie smutny, z twarzą spokojną, zwróciła się teraz ku Zaruskiemu.

— Irena jest trochę lekkomyślna, przyznaję — rzekła, składając liliową ćwiarteczkę. Mówiąc to, wydobywa ze swej głębi cały zapas spokoju i pewności, urwała jednak, bo zacisnęło ją coś w gardle i mówić dalej nie pozwalało.

Przemogła się. Zrozumiała, że chodzi tu o dalsze życie tego człowieka. Za wszelką cenę chciała, aby wyraz cierpienia zszedł z twarzy jego, za wszelką cenę chciała wlać w duszę jego trochę ukojenia, nadziei.

Podeszła ku niemu. Siedział w foteliku, z głową opuszczoną na poręcz. Czekał na to, co mu powiedzieć jeszcze miała.

Blade już tylko blaski uchodzącego dnia padały na twarz jego przezroczą, białą; oczy ciemnego szafiru, zgaszone, smutne, zapadały w nią pytające.

Mrok ogarniał pokój. Kształty mebli zatarły się w ciemności, tylko jasna u okna zasłona bieliła się koronką przezroczej tkaniny, muślin orzucony na błękicie atłasu kołdry znaczył się białym obłokiem; róże wybiegały z kryształu kielichów, majacząc w ciemności łagodną barwą kwiecia. Z szeroko otwartych okien szła przedziwna czystość powietrza, orzeźwionego letnim ożywczym deszczem.

Ogromnie o tej wieczornej godzinie jest w komnatce tej miło, ogromnie zacisznie i przytulnie, tylko ta kartka...

Ta mała, nieszczęsna kartka.

Z nią szum wolantów, riusz, które tam modniarka przyszywa...

Z nią bezmyślne, głupie, trywialne koncepty kinematografu...

Z nią *cake walke* tancerzy kabaretu.

Z nią ta dziwna bladość, z nią tragiczny szafir oczu tego męża pięknej żony, spędzającej życie wśród troski o stroje, kinematograf, kabaret!...

A przecież tu, w tej komnatce, o tej wieczornej letniej godzinie, tak miło, tak przytulnie, tak zacisznie...

. . . .

I w ciemni głos obija się o niski jej sufit.

— Zdawało mi się, żem przekonał, uprosił wreszcie, czy ja wiem, zdawało mi się...

Głos jest nabrzmiały nutą żalu, zniechęcenie odbija w końcu wymówionego zdania.

Ta mała kartka przeczy temu, co głos ten mówi, przeczy brutalnie, głośno, stanowczo.

Niesie cały tragizm dwóch nierozumiejących się istot.

— Tragizm życiowej fatalnej omyłki — myśli Janka. W ślad za tem biegnie:

— Jak u mnie, jak u mnie...

I teraz, wśród tej małej świątyni życia rodzinnego, tej sypialni z kołyską u boku, Janka czuje, rozumie, że wchodzi w tajnię życia, które, jak i jej własne, rozpoczyna się tragicznie.

Żal i smutek, którym tchnie Zaruski, ciągną ją ku niemu; cała drżąca zbliża się, a pochylając, łagodnie, miękko :

— A ja, ja... czy niczem dopomódz nie mogę? — pyta.

I bardzo subtelna, bardzo wdzięczna w swej białej sukni, niby dobry, miły duch, mądre, ciemne oczy z prośbą serdeczną w jego szafirach topi.

— Może ja, jako kobieta, prędzej wniknę w jej serce, zrozumiem je, złagodzę...

Janka stara się wydobyć z siebie całą kobiecość słodką, a jego prąd ten ciepły, z drobnych ust ku niemu idący, znów uspokaja, koi, utula.

Ujmuje rękę, którą na poręczy krzesła złożyła, i ciepłą dłoń tę swą zimną, nerwowo drżącą ręką ogarnia.

Janka rękę swą w dłoni jego zostawia, bo czuje, że człowiekowi temu, który nigdy słowem się przed nią nie skarżył, a tylko głos i oczy stawały mu się na wspomnienie żony smutne, źle musi być bardzo.

— Smutno mi i źle bardzo — mówi, jakby odgadując myśli jej. Milknie znowu. Jance zdaje się, że więcej mówić nie zechce, i że znów mgłę milczenia rozciągnie między sobą a żoną.

A czuje ona, że mgła ta dusi go, męczy.

Więc znów pochyla się łagodnie, nie mówi, a szepcze prawie:

— Ona jest tylko płocha, nic nadto, otoczenie, miasto, i dlatego...

— Tak i ja myślałem — odpowiada cicho, jakby własnym myślom — dlatego ten przyjazd wyprosiłem, a tu — wskazuje papier listu.

I teraz już cały zwraca się ku Jance i ogarnięty dawno tłumionym żalem:

— Szczęścia i jej i sobie chciałem — mówi — i tem chyba zawiniłem. Szczęścia widać na świecie niema — dodaje, smutno pochylając głową. — A może tu, w Zaraniu, istotnie tak źle? Tak źle, że wprost wytrzymać nie można? Może to jest prawda, a ja tylko inny, niż wszyscy? Powiedz mi pani, proszę, powiedz szczerze — prosi, tuląc wciąż w swej dłoni rękę Janki.

I słodki szept jej niesie mu:

— W Zaraniu jak w raju!

— Więc...

— Co powiedzieć — myśli Janka — co?

Ratuje się krótkim tu Ireny pobytem.

— Tak krótko tu była, nie zżyła się jeszcze ze wsią.

— Jakto? Mieszkała osiem miesięcy.

— Nie wiedziałam — dziwi się.

Nić rozmowy nawiązana. W Zaruskim poruszył się jakby bunt, pragnienie wylania żalu swego.

— Osiem miesięcy — powtarza.

I myśl jego krąży wśród tych dni, co miast słodyczy niosły mu niechęć, znudzenie i apatyę.

— Panią zastanawiało, że ludzie na wsi Ireny nie znają. A przecież to zupełnie naturalne: wszak ona ani o nich, ani o nic, co ją otaczało, nie troszczyła się zupełnie, nic ją to nie obchodziło.

Wsparł głowę na ręku, milczał chwilę, wreszcie rzekł:

— Bo domek ten nie stał się jej światem i dlatego wyszła z niego radosna, powraca zmuszona... I to na miesiąc!...

Ból wewnętrzny, który gnębił go moralnym ciężarem, objął go teraz cały w swe posiadanie, hart duszy, jakby odszedł go, nie starał się już okryć milczeniem smutnego do żony stosunku.

I cały żal do tej kobiety za nieumiłowanie tego, z czem jego istota związana była, wezbrał w nim i wylał się straszny, bezpamiętnie smutny.

. . . .

Ciemnia zapadła już zupełna, cisza była dokoła, tylko duch ludzki rozdarł milczenia szatę, i księga życia otwierała się przed oczami Janki.

— Wziąłem ją z domu babki — mówił Zaruski — zdała mi się tą niezapisaną kartką, na której pod moim wpływem zapełnią się stronice życia. Była jakby trochę bierna, anemiczna, kładłem to na karb pobytu jej w klasztorze. Babka ślub przyśpieszyła, w miesiąc też po zapoznaniu się naszem ślub odbył się. Do Zarania przyjechaliśmy razem.

Przerwał, westchnął.

— Tu przekonałem się odrazu, że wpływu mieć na nią nie będę. Ciągle chmurna, niechętna, i mnie, i wszystkiemu, niewiadomo dlaczego i za co, stwarzała ciężką atmosferę. Doktór pocieszał mnie, że stan jej zdrowia jest tego przyczyną...

Czekałem...

Wlokły się dni posępne, ponure, złe. Trwało to miesiące całe...

Janka w głosie Zaruskiego czuła nutę wielkiego znużenia; ją też ogarnęły wspomnienia, i ona czuła się zmęczoną, jak on, zmęczoną życiem. Myśl jej powtarzała:

— Dni posępne, ponure, złe... jak u mnie, jak u mnie.

— Pani Wirska po powrocie z zagranicy przyjechała do Zarania. Poznałem ją dopiero wtedy. Zabrała córkę do Krakowa: o pomoc lekarską tam łatwiej. Miałem pośpieszyć za niemi, tymczasem u mnie wywiązał się silny bronchit, zabroniono mi wyruszać z domu, posłałem więc do Krakowa tutejszego lekarza — mam do niego zaufanie.

— Dziecko przyszło na świat. Irena w krótkim bardzo czasie miała się doskonale, prosiłem o powrót. Zawiadomiono mnie o konieczności jakiejś specyalnej kuracyi. Nasz lekarz uważał ją za niepotrzebną. Ustąpić musiałem, sam chory i nie w stanie jechać.

Roześmiał się gorzko.

— Kuracya — to były bale, koncerty, zabawy.

Głos mu się rwał smutkiem.

— I wtedy to żona moja zmieniła się dziwnie. Apatya przerodziła się w niepohamowaną żądzę zabawy, anemia w bujność zdrowia. Gdy przyjechałem wreszcie do Krakowa, znajomi nazywali mnie mężem patentowanej piękności, królowej balów krakowskich.

— Jak pani myśli, czy to było to, o czem marzyłem? — zwrócił swą bladą twarz ku Jance.

Ta milczała.

— Czy te rozwiane jej marzenia były także tem, o czem ona marzyła?

Oboje do głębi, do egzaltacyi, tulą się do cichego domowego istnienia; jakieś siły nieuniknionej konieczności, fatalizmu, rwą ich poza próg domu, w wir, w świat...

— A gdy nie bale były i są celem mego istnienia, więc gorąco przekonywałem, prosiłem choćby o kilkomiesięczny pobyt na wsi.

— I — wskazał kartkę — oto rezultat.

Oczy ich obojga spoczęły na liliowym welinie, a potem spotkały się pełne bólu i cierpienia.

Wzrok Janki biegł z całą najszczerszą chęcią dania ze swego ducha cząstki, która człowieka tego mogłaby wyrwać z rozpaczliwej toni cierpienia.

I powoli, cicho, zaczęła znów mówić o możliwości rozciągnięcia dobrych na Irenę wpływów. Nie wierzyła bardzo w możliwość tę, lecz bezbrzeżna litość podsuwała jej słowa szlachetne i piękne.

On słuchał, milcząc, i w duszę swą i w serce chłonął wpływ łagodny jej słów.

W niej zwolna wraz z dobremi słowami skojarzyła się myśl, że może rzeczywiście kobieta ta, której przecież nie zna, tak zupełnie zła nie jest, i zdejmowała ją szalona ra-

dość na myśl, że może w te miłe, ciche progi zawitać spokój i szczęście.

Pochyliła się nad fotelem Jerzego.

— I wierzaj mi pan — rzekła — wszystko wróci do tej linii, jaką pan sobie w życiu zakreślił.

Patrzył uważnie w jej oczy, bardzo zamyślony, lecz jakby mniej posępny.

— Czy mówi to pani szczerze?

— Tak... jestem zupełnie szczera.

A w słowach jej jest całe morze chęci przelania przekonań swych w duszę jego.

— Nie było w niej życia radości — mówi znowu — teraz jest radość istnienia, tylko źle skierowana. Dawniej niezdrowie fizyczne, teraz moralne. A my ją wykurujemy.

Uśmiecha się, sili na dobry humor, i drżącemi usty powtarza.

— I właśnie my ją wykurujemy.

Jerzy nie przeczy. I w nim rozjaśniło się od tego czaru który od niej biegnie.

Gdy patrzy w tę młodą, pełną ślicznego wdzięku i rozumu kobietę, sam poddaje się złudzeniu, i cierpienie cofa się przed urokiem jej słów.

— Kto wie, kto wie? Taki cud, jak ona, to i cud sprawić może...

A Janka, nadzwyczaj łagodnym, pieszczotliwym głosem dodaje:

— Zakradnę się do jej serca. Zobaczy pan, jak się pokochamy. A wtedy i pocałunkiem i słowem myśli moje przelewać w nią będę.

Z radością widzi, że Jerzy poddaje się widocznie wpływom, i ożywiając się, mówi dalej:

— Obronimy ją przed złym powiewem rozbawionego świata. Pokocha wieś i to, co my już kochamy.

Aż rozegrało się od cudnej barwnej kolorami tęczy nadziei. Wśród niej, niby śnieżny posąg w swej bieli, wykwitała Janka, biała, delikatna, a skrzydłami ukojenia, błogości, obejmowała Jerzego. Oczy jego prowadziła źrenicami swemi ku barwom wysnutej przez siebie tęczowej przyszłości przędzy, a źrenice jej, pełne blasku, gasiły smutek w zastygłych przed chwilą jego błękitach.

I długa ta, a serdeczna rozmowa, to szczere, wreszcie ufne wypowiedzenie się Jerzego, sprawia im wielką ulgę. Znika zupełnie chmura, co przyćmiewała zupełne ich zrozumienie. Życia ich wraz z całym bólem stoją przed niemi otwartą kartą, a oni błąkają się wśród nich, niby wśród złego cmentarzyska, szukając obrony, ratunku.

I raz jeszcze słowa kobiety oddalają żałobną krepę — delikatne, miękkie.

— Razem konspirować będziemy i zwyciężymy.

Słowa te padają zwycięzkie i dają poczęcie, jakby z m a r t w y c h w s t a j ą c e m u s z c z ę ś c i u.

Patrzy na niego wciąż słodko, przyjacielsko, serdecznie. Ujmuje jego dłonie i mówi:

— Tylko proszę rozchmurzyć się.

A wdzięczna prośba drga w jej głosie.

— Tu, na tem samem miejscu, ktoś prosił mnie o to — dodaje, uśmiechając się figlarnie. — Ja usłuchałam, więc...

Ma swój odrębny, ogromnie wdzięczny sposób przemawiania, prosty, ale słoneczny, i ten wdzięk tkliwy, co zbolałą duszę Jerzego pogrąża w jakiejś złotawej jasności.

Zanika rozpaczliwy wyraz oczu, czoło wygładza się, i w blasku jej słonecznym rozpływa się wolno zło, a uśmiech ulgi wita jej słowa.

A ona, radosna tą zmianą, która smugą szczęścia i jej chwilę rozjaśnia, rączkę swą wsuwa pod jego ramię.

— Teraz proszę pamiętać, że się jest gospodarzem — woła wesoło — i nie pozwalać, aby gość z głodu umierał — śmieje się i pociąga w stronę drzwi.

— Tu, jak przystało na konspiratorów, knuliśmy spisek w ciemności — dzwoni głos jej srebrzyście — teraz należy nam się herbata i dużo, dużo światła.

Zwracają się oboje ku jasnemu kręgowi, który lampa jadalni roześmiany, wesoły na spotkanie ich wysyła. I zaraz, aby utrzymać miły, dobry nastrój, Janka przekomarza się ze starym Janem, kraje, przygotowuje, nalewa. Jest jej tu w całym pokoju pełno. Głos miły, dźwięczny, ma w sobie przedziwną melodyę, ruchy miękkie zataczają łagodne linie, a sukienka jej skromna, biała, czyni ją podobną do kwiatu, pełnego woni i blasku.

Oko Zaruskiego śledzi doskonałą harmonię tej kobiety. Jest ona skończenie idealnym typem, i tam, gdy mu dawała całą cudną gamę przedziwnych wzruszeń wśród księżyca blasku, subtelnie rozkoszna i poetyczna — i tu, w chwili smutku, cierpienia, gdy jak przyjaciel dobry, serdeczny, kojąco wnika w jego duszę.

Odrzucić chce od niego znękanie, nie dać dostępu wątpliwości, odgraniczyć swą czarodziejską mocą od zła, gdy ujmuje szklankę i nie siada na zwykłem, trochę oddalonem miejscu, lecz obok niego. Jest to śliczny gest, w nim odzwierciedlenie bardzo ładnej i słodkiej natury

I przed zaklęciem tem uchodzi w dal, zaciera się, maleje brzydota zła. Dusze wkraczają w krainę piękna, i ono już niepodzielnie w atmosferze spokoju ujawnia się w tych obojgu.

Jemu wydaje się ona uosobieniem spokoju i piękna.

I nigdy może Janka nie harmonizowała mu bardziej z otoczeniem, w jakiem przebywa.

— Jak kobieta ta, każdej chwili pełna przedziwnego wdzięku, łączy się, zespala instynktownie, tajemniczo z tem, co ją otacza — snuje w myślach Jerzy. — Jaka harmonia, jaka doskonała, niczem niezamącona całość.

— Cudnie dostraja się do tradycyi tego domu, orzucając go radosnem, łagodnem ciepłem.

Mimowoli, gdy patrzy na nią, usta jego układają się do uśmiechu, a ona za uśmiech ten płaci spojrzeniem łagodnem, przyjaznem.

— Poczyta mi pan dzisiaj? — pyta.

Czytają Baudelaire'a:

Natura jest świątynią, kędy słupy żywe
Niepojęte nam słowa wymawiają czasem.

. . . .

Płynie łagodny, nizki, o bardzo wdzięcznych modulacyach głos Zaruskiego.

Lekki sentymentalizm i smutny nastrój wieszcza-poety, ulubionego ich autora, zdaje się pogrążać oboje w delikatnej jego subtelności.

Tworzą śliczny obraz.

Janka w białych muślinach, bardzo rozwiewna, w aureoli rozwichrzonej nad czołem mgły włosów, on ogromnie miły, łagodny, szczery, w swej delikatnej urodzie pociągający.

Poezyi perły płyną w przestrzeni, szemrzą lekko, uderzając delikatnie o serca struny, a oto jakiemś oddalonem marzeniem rozszumiała łagodna w nastroju starego gawotu melodya.

— Cyt! — prosi Janka. Opuszcza robotę i delikatna,

smukła, prostuje się, nasłuchując fali cichej, zatartej. Biegnie z wnętrza starego zegara.

Są to jakby echa dawnych dźwięków. Melodya jest tęskna, urywa się; oto zawisła gdzieś w przestrzeni.

Oboje słuchają w słodkiej zadumie, a te ciche, drżące dźwięki splatają siatkę, łączącą ich ukochaniem starej tradycyi domu, która ciepło, miękko ogarnia ich tą jasną, łagodną melodyą.

Potem znów:

Człowiek wśród nich przechodzi, jak symbolów lasem,
One zaś im spojrzenia rzucają życzliwe,
Jak oddalone echa, wiążące się w chóry.

I chwile nie idą, lecz płyną, cudowne w swym łagodnym uroku, a w sercach tych dwojga rodzi się uczucie, pewność, że biorą oni z chwil tych, co stanowi dusz ich miłowanie.

VIII

Gdy przejeżdżał około zabudowań kobiecego działu, zdało się Jerzemu, że mignęła mu sylwetka Janki.

— Niepodobna — pomyślał — godzina taka wczesna.

Spojrzał na zegarek.

— Zaledwie siódma, zdawało mi się tylko pewnie.

Mimo to zatrzymał konia, zeskoczył z siodła. Odbywał swą codzienną gospodarską inspekcyę, objeżdżał, doglądając robót, gospodarstwa.

Dziś ożywiony cudnym czerwcowym rankiem, jego czystą jasnością, zdawał się uosobieniem młodości uśmiechu. Dusza rwała się ku przepychowi zieloności, światła, które

zalewało horyzont. Odczuwał to orzeźwiające uczucie; dawało mu ono nieskończoną błogość.

Żabczyńska przebiega drogą z pełną konwią mleka.

Jerzemu mignęła znów w oddali jasna sukienka Janki.

Skierował się w tę stronę. Spotkał ją w pół drogi. Cofnęła się, a była niezmiernie wiośniana i młoda w krótkiej *princesse* i niebieskim fularze, obejmującym jej włosy, spuszczone w dwa grube warkocze. I zmieszanie, i wstanie ranne, wywołały na twarz jej różany obłok zorzy. Cała objęta jego odblaskiem, w smudze opływającej ją jaśni, była jak kwiat rozkwitający, a w rozkwicie tym zapowiadający się cudnie. Ranna toaleta, nieukończona fryzura zdawały się ją niepomiernie trwożyć. Stała chwilę zalękniona, wreszcie szczera jej natura odniosła górę: roześmiała się serdecznie.

— Ani myślałam pana tu spotkać. Żabczyńska upewniała mnie, że rano pan tu nigdy nie zachodzi. I prawda, bo przecież już tydzień tu gospodaruję, i nie spotkaliśmy się dotąd...

— A mnie ani przez głowę nie przeszło, że pani tak wcześnie tu przychodzi. Dziś wypadkiem, jadąc w pole tą drogą, dojrzałem panią zdaleka i oczom wierzyć nie chciałem, że to pani tu tak wcześnie — dziwi się. — A włosów proszę nie chować — mówi wesoło, widząc, że Janka, jak może, usuwa je pod okalający błękit chusteczki — proszę nie chować, i tak widziałem: śliczne są i długie.

Znów różowa jutrzenka na policzkach. Jerzy patrzy w nią z radością.

— Otóż to, otóż to, wieś robi swoje. Już się pani w oczach poprawia, wiosna na twarzy.

A ona coraz bardziej płoni się i śmieje miło ku niemu.

Stoją przy furtce.

Dokoła nich słońce, zieleń, błękit nieba, szum niedale-

kiego stawu, w nich radosne uczucie zakradającego się szczęścia w blasku tych złocistych promieni słonecznych.

Zaruski z trudnością utrzymuje konia, ten bije kopytami, mądremi oczyma wzywa pana na dalszą przejażdżkę.

— Rozumne zwierzę — mówi Zaruski — wie, że nie wszystko jeszcze dojrzane.

Dosiadł konia.

— A, żeby pani wiedziała, jak teraz tam w polu! Takich wczesnych żniw, jak w tym roku, nie pamiętam. Zaledwie koniec czerwca, a łany już wprost złote. Dziś tam idziemy po obiedzie, dobrze?

Pochyla się do niej z konia.

— Czy pani chce? — pyta.

— Chcę, bardzo chcę — odrzuca Janka.

Raz jeszcze w słońcu uśmiechy ich biegną ku sobie. Jego szybko uniósł zniecierpliwiony koń ku pękom złotego zboża, ona dalej bacznie ogląda i w pamięci notuje szczegóły gospodarcze.

— Skoro Irenę mam z niemi zapoznać, muszę we wszystko gruntownie wejrzeć — myśli.

I oto od dwóch tygodni wstaje bardzo wcześnie i zapoznaje się z całą pracą gospodarczą. Roboty ma dużo, bo wszystkie działy prowadzone obszernie, a że wgląda we wszelkie szczegóły, drobiazgi, więc zajęta jest ogromnie. W notesie ma już wszystko zapisane, co i ile czego, nawet niektóre uwagi gospodyni zanotowała. Misya wprowadzenia Ireny w krąg jej zajęć pochłania ją.

— Bieda tylko, że Irena nie przyjeżdża. Już drugi tydzień od czasu jej listu, a jej niema — myśli Janka.

Ranki biegną szybko. Gospodarstwo, potem szkółka, to jej wydział. Jerzy po powrocie z pola idzie do warsztatu szkoły koszykarskiej, gdzie z dostawionego materyału, pod

jego dozorem, nabierają już kształtów przyszłe Ossowa meble. Schodzą się przy dobrze zapracowanym obiedzie, a później wielka za pracę nagroda — przejażdżka łódką przy księżyca blasku.

Teraz znów zapowiedziany spacer w pole.

Tak się już unormowały ich dni. Ranne przy gospodarstwie spotkanie, to jutrzenka codziennego obcowania, ostatnie promienie zachodzącego słońca, to słodkie: »do jutra«, rzucone ku nim od pól, od łąk, od zbóż.

. . . .

Cała masa bławatków, maków, w aureoli złocistych kłosów, cały czar przepojonego wonią pola i łanów chlebnych powietrza.

Wieś tryumfuje w apoteozie swej promiennej gloryi, w złoconych pasmach zbóż jasna, wspaniała.

W przepaści wyzłoconej, objętej płomieniem czerwonych maków, wąską małą ścieżynką, idą Janka i Jerzy. Codzień nad wieczorem wchodzą w tę falującą przestrzeń, co szemrze tajemniczo dokoła nich jakąś tkliwą kołysankę.

Najczęściej milczą, a tylko wzrokiem obejmują rozchwiane kłosów złoto, na których zachód rozpala iskry strojne we wszystkie barwy, począwszy od jasnej czerwieni, przechodzące aż w tragiczną purpurę.

I oczy ich wybiegają ku sobie pytaniem:

— Czy to nie piękne?

A usta uśmiechają się do tej płomiennej, miłości żarem bijącej przyrody. I to wspólne w niej rozkochanie jest owem tłem, wśród którego wije się doskonała harmonia splotu ich uczuć, pragnień, myśli.

Cicho wymawiane, krótkie słowa rzucają tylko, lecz w nich jest cały poemat, cała pieśń.

Nie wybiegają poza chwilę obecną. Ona w słońcu dzisiejszem topi ciemnię przeszłości, on żyje różanym poblaskiem tej chwili. Przyszłość, gorące promienie teraźniejszości okrywają mgłą — on rozrywać jej nie chce.

I jest sen, złudzenie, szczęścia złudzenie.

Na usta ich dotąd nie wybiegło słowo miłosnego wyznania, lecz drży ono, jak rosa, wśród spojrzeń, nieświadome, jasne, jak czystej wody kryształ, przezrocze. I te niewyraźne uczucia, nieskrystalizowane marzenia, to »coś«, z czego oni sobie sprawy nie zdają, obejmuje ich mglistą szatą wielkiego szczęścia. Żadna fałszywa nuta, żaden dysonans nie wdziera się w stworzoną przez nich krainę blasku i woni.

I właśnie w złoty łan pszenicy, w czerwień zachodzącego słońca, w snop bławatków i kłosów, które Janka tuli w ramionach, wdziera się słowo:

— Kuryerem.

Krótkie słowo.

To Ireny przyjazd.

Chłopak zdyszany przyniósł Zaruskiemu tu, na pole, depeszę.

— Przynieśli ze stacyi — mówi. — Jan kazał do pana prędko, a Marcin to konie zakłada. Mówią: »Pewnikiem pani, a to z depeszą się spóźnili«.

Jest jakieś uradowanie w głosie chłopca, gdy mówi: »pani«.

— Radośnie ją tu czekają — myśli Janka.

Stara się też okazać swą radość, lecz znów chmura, owita smutkiem, w której czerni, niby cień groźny, idzie Ireny imię, robi słońca purpurę ciemną, złowróżbną; sposępniało łanów złoto, przybladł turkus bławatków, odeszła od tych dwojga aureola miłosna, dusz cudna ekstaza.

I zaległa ciemność zła, przygnębiająca, zagadkowa, tajemnicy pełna.

Uleciało szczęścia marzenie, w mroku skryła się życia radość.

— Kuryerem — mówi jak przez sen Zaruski.

Głos jego pomyka tak cicho, iż zdaje się, że dźwięki te drżą po przez szum trzcin, po przez szmer wód.

— Kuryerem — powtarza Janka.

Mgła melancholii wzbiła się w przestworze.

To ptak o ciemnych skrzydłach przesunął się nad słodkim ich sentymentem.

W niewyrażone słowem uczucia, w nieskrystalizowane marzenia, w krainę ich blasku i szczęścia wtłoczył tragiczną grozę rzeczywistości, nutę złą, lodowatą, bolesną.

IX

Przez szklane drzwi, łączące jadalnię z przedpokojem, widzi Janka wysoką, okrytą *cache poussière*'m postać kobiecą. Idzie ona ku sypialni, za nią nikła sylwetka Zaruskiego. Ostrożnie trzyma długą poduszkę, w której spoczywa senne, bezwładne ciało dziecka. W pochyleniu nad niem widnieje miłość i wzruszenie, którego snać doznaje on na widok córeczki.

I oto Janka odczuwa, że w progach tego domu wznosić się poczyna świątynia cicha, błogi rodzinnego szczęścia zakątek.

Jej marzenie stłumione, w początku życia tak mozolnie przemęczonem, jej rojona w dalszem, zapowiadającem się przed nią życiu — przyszłość.

Zaruska otwiera drzwi, zatrzymuje się na progu sypialni. Janka uważa, że coś mówi, nie słyszy słów. Wchodzą oboje.

Witają się tu u siebie, w swoim kącie.

Ogarnia ją dziwne wzruszenie.

— Jak im musi być miło — szepcze sobie — jak miło.

Drzwiami z ogrodu wchodzi nieznana dziewczyna. Młoda, ładna, ubrana po krakowsku. Janka odgaduje w niej mamkę małej. Ogromnie strojna, o spojrzeniu zuchwałem, narzucającem się, doskonale zbudowana, tęga. Fizycznie zdaje się Jance, jak stworzona na karmicielkę, moralnie — wstrętna.

Głosem pewnym pyta:

— Gdzie pokój dziecinny?

Janka wskazuje w stronę przedpokoju. Dziewczyna znika.

Janka patrzy za odchodzącą.

— Nie wzięłabym jej do swego dziecka — myśli.

— Do swego dziecka — dźwięczy jej w uszach.

— A tak, do mego dziecka — powtarza, płoniąc się dziewiczo, — bo tak, gdy się rozwiodę, to i ja będę miała i dom, i męża, i dziecko. Będę miała — powtarza, patrząc zamyślona w stronę sypialni.

Lokaj wnosi samowar, nakrywa do kolacyi.

Janka przypomina sobie narwane kwiaty. Chwilę namyśla się, czy wazonów nie ozdobić ogrodowemi kwiatami, cudne jednak w swej naturalnej prostocie, przyniesione z pola kwiecie, zwycięża, i oto wśród wybiegających dumnie złocistych kłosów marzący bławatka turkus, krwawy rubin maku, niesie w sobie czar sielskich klejnotów. Powiało wonią pól, przesyciło nią powietrze.

Lecz oto Zaruska wchodzi.

Lampa rzuca jasny refleks na osobę kobiety.

Janka wtulona w kąt, niewidziana, obserwuje.

Wchodząca robi na niej wrażenie dziwne. Zdaje się, że do pokoju tego weszła wielka lalka; i z za witryny sklepowej, z której jakby przed chwilą wyszła, wnosi ze sobą ostrą smugę perfum, szelest jedwabnej spódnicy, fryzurę pysznie ondulowanych, złocistych włosów.

Istnie lalkowata zewnętrzność.

A pod wpływem tego pierwszego wrażenia rodzą się i inne.

— Ona jest piękna — uświadamia sobie Janka — bezsprzecznie piękna; ale to nie człowiek, to tylko wabiące całą masą zmysłowości zwierzątko.

Obserwacya jest ogromnie trafna.

Ta piękna kobieta — w uśmiechu, w ustach, w spojrzeniu, w ciele, zaklętem w mąrmur, — ma charakterystyczne cechy kobiety-zwierzęcia.

Z czarującego przepychu jej ciała bije kult piękna, lecz o kształtach czysto zmysłowych.

Wzrost imponujący, wyniosły. Linie ramion, bioder, rozwinięte, wspaniałe, jakby żądne namiętnych uniesień. Zuchwałość przemożna, pokus pełna, wybiega z pod ociężale, sennie opadających powiek ócz fiołkami. Na twarzy zmysłowa maska oczekującej rozkoszy kobiety, zwarta w rubinie ust nęcących żarem pocałunku.

Z ducha niema nic w tej kobiecie, bodajby atomu.

Wchodzi obojętna, zda się, jakby nie do własnego domu. Rzuca wzrokiem po jadalni.

Janka widzi, że niesmak wykrzywia jej usta, ramiona podnoszą się z niechęcią, wreszcie:

— Stare graty, stęchlizna, *toujours la même chanson* — rzuca przez zęby.

Janka śledzi jej ruchy i słowa.

— Obca tu jest wszystkiemu — myśli. — Nie umie wyczuć, ile skarbów nagromadzono tu... ile uczucia skarbów.

Ona przechodzi obok nich w swej perfum smudze, w szmerze jedwabnych spódnic — żądna wiecznego podziwu, ciągłej adoracyi. Tutaj niema nikogo, więc w przeczuciu śmiertelnych nudów poczyna opływać ją cała fala złego humoru. W kaskadzie fularu domowej szaty przesuwa się przez pokój ruchami miękkimi, trochę leniwej kotki, i zbliża się ku zwierciadłu. Z chwilą tą ożywia się nieco, wszak widzi siebie w jego odbiciu, siebie, w całym majestacie wdzięków i piękności. Pyszne rubiny krwawią się, niby dwa ogieńki w uszach, igrając płomykami we fryzowanem złocie włosów.

Rzuca spojrzenie na strój negliżowy, poprawia koronki, robi prędki przegląd całej swej osoby; wzrok jej pada nawet na nóżki, wysuwające się w pąsowych pantofelkach, z pod falban. Czuje się zupełnie, skończenie piękną... tylko, niestety! nie podziwianą. W lekkiem ziewnięciu, Janka dostrzega zapowiedź ogarniających kobietę nudów.

Odchodzi od lustra, jeszcze jedno ku sobie w uwielbieniu spojrzenie, i coś, jak przebłysk zdziwienia.

W tafli dostrzegła teraz drugie jeszcze odbicie, siedzącą w kącie Jankę.

Podeszła ku niej z ciekawością.

— Przyjechałaś? — wyciągnęła na powitanie długą, białą rękę, osypaną brylantami. — No, *ma chère,* powinszować gustu: dobrowolnie zakopać się w takiej dziurze — ręką ogarnęła pokój — przecież to istna rozpacz.

Przygryzła usta ze złością kobiety, spragnionej zabawy, kobiety przeciętnej.

Janka milczy, a Zaruska trochę arogancko przygląda się jej z wielką uwagą.

— Prawda, mama mówiła, że nie masz wyboru; uciekasz od skandalu!

Patrzy na nią wciąż uporczywie.

Janka zadrżała. Krew spłynęła jej do serca, zatargano jej bólem szorstko, okrutnie, niemiłosiernie.

Elegancka *face à main* uczepiona na złotym sznurze, a znaczona monogramem, opadła z rąk Zaruskiej w fałdy fularu. Niepokojąca myśl, czy aby ta druga nie stanie się rywalką jej urody, ustąpiła zupełnie. Kobieta tryumfowała w blasku swej piękności.

Ciało nie dojrzało ducha.

— Strasznie nędznie wyglądasz — powiedziała z jakąś litosną ironią — blada jesteś i bardzo szczupła.

W uśmiechu wybiegły jej usta ku swojej urodzie.

Mą poraz pierwszy cudowne, koralowej barwy kimono. Koronki tegoż odcienia opadają wężem dokoła wycięcia u gorsu i spływają aż ku ziemi.

Wygląda nadzwyczaj efektownie. Wie o tem, ale któż ją ma tu podziwiać?

Czy ta czarno ubrana kobieta? Albo ten mąż, co roztargnionym wzrokiem spogląda na nią, jakby jej nie widząc, a na kimono raczył powiedzieć:

— Za jaskrawe.

Jest zła, a tylko ten marny wygląd Janki poprawia jej nieco humor. Układa się wygodnie na kanapie, jedwabiu fałdy opływają ją miękko, rękami mnie delikatną tkaninę — sprawia jej to pewną rozkosz — wreszcie przeciąga się, zakłada ręce wysoko po nad głową, ramiona oswobodzone, nagie bieleją w płomieniach fularu. Przechyla się nieco, a tors wygina w miękkich liniach.

Patrzy znów na Jankę i z ust jej pada strasznie złe i nizkie:

— Może on dlatego uciekł od ciebie, żeś ty taka nieszczęsna.

Urywa, spogląda szydersko z całą złością złej i nizkiej duszy.

— On podobno tam coś okradł... jakiś bank, czy coś, słyszałam. *Qui sait* — zamyśliła się. — Może dla kochanki? — rzuca po chwili z ironią w głosie, a z uśmiechem na ustach. — Prawdopodobnie on musiał ją mieć.

Jak płomienny wąż przegina się na kanapie.

— I to w moich oczach rehabilitowałoby go: biegł za czarem. Widzisz, moja droga, nie umiałaś widać zadowolnić jego upodobań. To źle, to źle.

Wstaje, prostuje się w swem czerwonem kimonie, królewska, wspaniała.

— Rysy masz nawet regularne — taksuje urodę Janki, — ale niema w tobie werwy, życia, a za tem mężczyźni przepadają.

Uśmiecha się, cały poemat pobudzonych tym uśmiechem zmysłów aż drga w powietrzu.

Jankę uśmiech ten aż boli, taki jest w swej cielesnej piękności duchowo brzydki, tak samo, jak bolą rzucone jej słowa, od których wstyd ją za tamtą kobietę ogarnia.

Nie chce szukać odwetu za przykrą chwilę, którą przebyła. Milczy. Irena zaś wciąż z uśmiechem podchodzi ku niej, dotyka jej ramienia:

— Galateo! poszukaj Pigmaliona i obudź się, a wypiękniejesz!

Zaśmiała się ostro, trywialnie.

Podano kolacyę. Wchodzi Jerzy.

Irena zwraca się ku niemu.

— Więc jakże? — pyta z pośpiechem.

— Dziecko zasnęło w kołysce, niepodobna go przenosić...

Cały prąd złości biegnie ku Zaruskiemu.

— Niepodobna, zapewne niepodobna — mówi — rozkrzyczy się w nocy, spać nie będę mogła!

Zaruski milczy. Smutny wyraz okala jego łagodne usta.

Irena rzuca nóż, widelec, gwałtownym ruchem odsuwa talerz.

— Miła perspektywa — irytuje się — oka nie zmrużę.

Nerwowo mnie koronkę szlafroka.

— Nie zasnę, naturalnie nie zasnę, całą noc spać nie będę!...

Pod wybuchem jej złości staje się smutno, ciężko, duszno. I w tę atmosferę przytłaczającą biegną znów słowa, zwrócone już z wyrzutem ku Zaruskiemu:

— Bo też to koncept, pokój dziecinny urządzić obok mojego. Doprawdy, znakomity pomysł!

Patrzy w męża uparcie, szuka widocznie sprzeczki, lecz on milczy, spogląda tylko na nią smutno.

Spojrzenie to rozdrażnia ją bardziej jeszcze, porywa się i wybiega z pokoju.

Z przedpokoju słychać otwieranie drzwi sypialni, głośną rozmowę, drzwi zatrzaśnięto znowu. Cisza.

Zegar w jadalni przejmującym, cichym dźwiękiem wydzwonił swą srebrną melodyę, a tych dwoje tu u stołu siedzą nieruchomi, boją się wprost spojrzeć na siebie.

Dysonans, rozdźwięk, zgrzyt zaćmił zda się to mistyczne światło, które płynęło całą falą, wśród ścian tych.

Janka przeżywa słowa, co werżnęły się w serce jej, okrutne, groźne, złe.

Jerzy przechodzi raz jeszcze ciężką chwilę rozbicia snów, dawniej w mgłach, rojeniach widzianych. I wydarcie

już na zawsze tej kartki z życia swego, kartki szczęścia — spływa ciężkiem z piersi westchnieniem. Twarz jego jest bardzo blada i bardzo zmęczona.

Jankę ogarnia większa litość nad nim, aniżeli nad sobą.

— Ostatecznie ta kobieta dla mnie jest niczem, dla niego musi być wszystkiem — myśli. I określenie tej niedoli wydziera się z jej oczu wielką siłą; ta w oczach jego odbija się, wytwarzając jakiś promień, łączący źrenice ich.

W pierwszej chwili zdejmuje go tylko uczucie niewypowiedzianej jakby ulgi, potem ogarnia jej spojrzenie i dostrzega, że i w niem promieniuje wiele smutku.

Zbliża się do niej.

— Pani smutna? — mówi powoli.

Janka siedzi z głową opuszczoną.

— Smutna... nie — odpowiada — tylko zamyślona.

Na usta wywołuje pogodę.

— Zamyślona — powtarza Jerzy — może, ale bądź co bądź, to zaduma smutna.

Słowa te na pozór nic nie znaczące, w treści jednak rodzą spójnię, która w chwili smutku tego łączy ich, zespala...

Jest znowu spokój, cisza.

Na chwilę powraca tchnienie ciepła, miłe, przytulne. Są znów sami wśród cudnego czerwcowego wieczoru, przepojonego tchnieniem wiosny, uroku, spokoju, czaru...

Nagle ostra woń perfum, szelest jedwabiu, brzęczenie całej masy breloków.

Irena wraca.

I niemasz już upojenia natury, powiew jej odleciał; oni to odczuwają i, budząc się z rozmarzenia, zdjęci są wielką przykrością i trwogą.

Pięknej pani humor lepszy widać powrócił, bo patrzy

łaskawiej, weselej, niesie wielką tekę w ładnej skórzanej oprawie. Składa ją na stole.

— Poczciwa Zuzia jakoś tam poradziła. Zastawi drzwi szafą, choć nie wiele to pomoże, krzyk będzie. Przynajmniej odczuję rozkosze rodzinnego dachu! — rzuca z ironicznem lekceważeniem w stronę męża.

Aż w przestrzeni zadrgało od nędzy tych słów.

— Tak, tak, rodzinny dach — powtarza Irena raz jeszcze — opromieniony wrzaskiem dziecka. Niema to, jak angielskie »nursery«, zupełnie oddalone. Tak też urządziłam się w Krakowie.

Naciska klamrę teki, wyrzuca zawartość: rozsypały się kolorowe grawiury.

— A co! — woła tryumfująco — ostatnie paryskie. Kryńska przywiozła; według nich robiono mi toalety wiosenne. Chodź do mnie — zwraca się ku Jance. — Nie byłabyś kobietą, gdyby cię to nie interesowało.

Janka powolna jej wezwaniu, podchodzi bliżej; wzrok kieruje ku rycinom. Przenoszą ją one w świat sztucznych, nadzwyczajnych strojów, dziwacznych kostyumów, okryć oryginalnej formy, kapeluszy o kaskadach lśniących egret, dziwnych skrzydeł, piór, tęczowych gaz, kwiatów. Oczy jej błądzą po całym tłumie umalowanych kobiet. Ich figury o nienaturalnych, karykaturalnie powyginanych liniach rażą ją; wydają się jej przeciwieństwem piękna. Kobiety te dobrowolnie pozbawiają się ideału doskonałości swych kształtów, zatracając je w zuchwale niszczących harmonię linii gorsetach, sznurówkach.

— Brzydkie i nieestetyczne! — oto, jakie wrażenie odnosi Janka.

Irena, za to, jest dopiero w »swoim świecie«. Pławi się

rozkosznie, zanurza chciwie w tej atmosferze strojów, mogących wdzięk jej i piękność bardziej uwydatnić.

Rzuca na Jankę spojrzenie, w którem drga:

— A co, prawda, wspaniałe?

Zeszyt przejrzany. Piękne strojnisie powracają w nim już ze spacerów, balów. Praca dnia ukończona, bo oto drugi, a w nim:

— Nocne toalety! — woła Irena.

Tu zanik piękna może mniejszy: ciało, wyswobodzone z żelaznych obręczy, zbliża się bardziej ku ideałowi, który w sobie nosi; zato wśród delikatnego, jasnego obłoku tkanin, *peignoir*'ów, negliży, *sauts de lit* — nie masz opalowego rozmarzenia, miłosnej nocy zadumy, choć kropli brylantowej zalęknienia rosy.

W ryzykownym kroju tych szat jest tylko wezwanie do szalonego pocałunku; w opadającym z ramion jedwabiu — obłok zmysłów, podniecenia, sztucznego zapału.

Już teraz oczy Ireny zamglone, utonęły w ciągnącym ją ku rozkoszy fluidzie.

— Prababka Ewa kłania się swoim następczyniom — śmieje się — tylko ona była szczerą, my hipokrytki! Bo patrz tylko uważnie: przecież to właściwie pajęczyny — wskazuje rysunek. — Ot tu, ta szata związana wstążkami od góry do dołu, rozumiesz, *ma petite: c'est piquant, n'est ce pas?...*

Jak ćma, zbłąkana w wieczystym namiętności ogniu, snuje wciąż jedną myśl, jedno pragnienie.

A tym, co żądni są ładnego rozkochania, słowa jej sprawiają nieskończony ból, rzucają ich sercom stęsknionym obelgę.

Z cienia, w którym Jerzy ukryty stoi, biegnie drżący głos jego:

— Ireno, proszę cię, przestań!

Słowa są proste i krótkie, lecz pieczęcią milczenia pragną zamknąć chaos brzydkich pojęć i uczuć. Jest w nich gest ducha, nakazujący milczenie ciału.

— Co, co takiego? — woła Irena strojna, wonna w swem roześmianem ciele — mam milczeć? czemu? Czy to przez wzgląd na Jankę?

Odrywa oczy od żurnali, spogląda w stronę siedzącej obok kobiety.

— Prawda, ma minę zawstydzonej pensyonarki. To zabawne, jak ona się rumieni! A co, rozruszałam Galateę — śmieje się. — Przypomniała się noc poślubna, co? A teraz żal za minionem. No, pociesz się, mała, nic straconego, mówiłam ci: szukaj Pigmaliona!

Janka w swym gładko opadającym w prostych fałdach muślinie, pełna niezwykłej skromności w układzie ciała, nosiła w sobie rzeczywiście artyzm posągu, tylko pod bielą draperyi poza wytworną pięknością kształtów, jej duch subtelny, przejrzysty, oplatał ją tym czarem, który murem odgraniczał ją od zmysłowych porywów tamtej.

Zamyka się w dumnem milczeniu.

Irena odgaduje pustkę, co wytwarza się dokoła niej. Kobiety tej nie znęci ku sobie nutą rozpasanej swawoli, różna jest od niej. I to wytwarza ku niej niechęć.

— Patrzysz bez uwagi — rzuca jej zła i urażona, — niema w tobie kobiecości, mówiłam.

Odsuwa żurnale, zagłębia się wygodnie w fotelu, po chwili wstaje, poczyna chodzić po pokoju.

Ogarnia ją wielkie znudzenie.

— Jak tu nudno! — mówi.

Janka zbliża się teraz do niej.

— A przecież gdyby kuzynka tylko zechciała...

— To co? to co?

— O nudach nie byłoby wspomnienia. Proszę mnie posłuchać.

I z łagodną mocą, jaką pragnie narzucić jej własne myśli, otacza ją swem ramieniem.

Idą teraz razem.

I wdzięczna Janki natura rozświetla swe jasne wnętrze, gdyż chce, mimo wszystko, aby jakieś lepsze prądy przebiły się przez ciemny chaos, górujący w tamtej kobiecie.

Bardzo delikatnie, z uśmiechem, wnika do jej duszy.

— Tu, kuzynko, tak wiele u was na wsi zrobić można. Stosunki całkiem od naszych różne, aż się dusza rwie do pracy. A i lud chętny.

Zaruski rozmowie przysłuchiwać się poczyna.

— Dla dworu bardzo przychylny. Twego męża kochają tu wprost. Wdzięczni mu bardzo za garnięcie chłopków do nauki, do koszykarstwa. Czy wiesz, ja mam plan. Takam ciekawa, co powiesz? A może miałaś już ten projekt? — pyta ożywiona i teraz bynajmniej nie uśpiona.

Przygarnia Irenę ku sobie, jakby chciała oddzielić się z nią od świata i radośnie:

— A ty założysz szkółkę koronkarską — rzuca. — Przyznam ci się, że, chcąc sprawę przyśpieszyć, pisałam już nawet do Zakopanego, pytając, czy mogliby nam przysłać nauczycielkę z tamtejszej szkoły.

W głosie jej czuć wielkie zadowolenie, a entuzyazm przechodzi z myśli w słowa. Koniecznie pragnie, aby siła jej przekonań przeszła w Irenę; wtedy obowiązki jej objawią się już jasno, wyraźnie.

Łagodnie garnie się ku niej.

Przypuszcza, że milczenie Ireny, to jest wsłuchanie się rozumne, wnikające w treść jej słów. Twarzy jej nie widzi,

bo zakryła ją lekkim wachlarzem palmowym, ale to, co ją ogarnia, powinno objąć i tamtą; więc wciąż w łagodnym tonie głosu, w czarze ślicznego uśmiechu, snuje nić zamiarów, projektów.

Lecz oto nasuwa się dział gospodarczy.

Przez chwilę nie wie, czy wobec tak wspaniałej damy wolno wspomnieć o zajęciach gospodarczych, ale nie chce pominąć niczego, więc wesoło dodaje:

— A w twojem królestwie, kuzynko, kobiecym kąciku, to krzątam się już od dwóch tygodni. Toż to istne cuda! Nie widziałaś jeszcze nowych zabudowań. To salony, zobaczysz sama, że nie przesadzam. A bydło — rasowe okazy. Na pierwszej wystawie spodziewaj się złotego medalu.

Przechodzą około drzwi balkonowych. Janka wskazuje ręką klomb.

— Na tę rabatę mam już rysunek. Będą cudne z kwiatów desenie. No, od kwiatów do dzieci nie daleko — śmieje się — więc i w szkółce zaprezentuję ci moje uczenice i moich uczni.

— Wyręczam trochę nauczycielkę — objaśnia.

— Co to za dzieciaki, aż miło z nimi pracować: dobre, miłe, posłuszne...

Wreszcie uporczywe milczenie Ireny zaczyna ją niepokoić.

— Co, Irko, widzisz, o nudach mowy nie będzie, prawda? — pyta, starając się dojrzeć Irenę z poza osłony wachlarza.

I zasłona palmowa opada.

Ciemne fiolety oczu zaciskają się, jak węże zimne, okrutne, dokoła źrenic Janki. Chłód, bijący z nich, gasi ich ciepło i iskrę dobrą, serdeczną. Ramiona kobiet rozplatają się, a one oddalają się od siebie. Cień pokrywa twarz Janki, dalsze słowa zamierają. Wbite w nią teraz z nietajonem szyderstwem

oczy kuzynki, demonicznie nęcące, a drgające śmiechem złym, mrożącym, usta, odrzucają jej w ironii swą odpowiedź.

W jednej chwili nić złota dobrych chęci zrywa się, a tylko smutek opływa serce.

I dusza Janki nakazuje jej już tylko milczenie, bierność zupełną.

— Interwencya moja tu nie ma miejsca; tu już bez zaprzeczenia, wobec ironii, nic naprawić się nie da.

Milczy, a tylko mrozi ją wciąż nieznośne spojrzenie Ireny.

Brzydkim, złośliwym gestem ujęła ona *face à main* i przez szkła wpatrzyła się w Jankę.

— No, no — rzekła wreszcie — jak ty to wszystko pięknie opowiedziałaś, bardzo, bardzo, z zapałem i uczuciem oddane — roześmiała się.

— Doprawdy, że, jak na dzisiejsze nudy, to była dobra rozrywka.

Opuściła lornetkę, a wachlując się lekko, rytmicznie, mówiła dalej, bardzo wesoła i rozbawiona.

— Apostolstwo ludowe — to przebrzmiała dla mnie piosenka pana Zaruskiego, przebrzmiała, bez echa... Tak, tak, moja mała, bez echa.

— Z Maćkami i Kaśkami nic mnie nie łączy. Co zaś do gospodarstwa, to mam klucznicę; ten złoty medal chętnie jej ustąpię.

Lekko dotknęła wachlarzem ramienia Janki.

— No, nie patrz tak tragicznie i pociesz się tem, że już jutro napewno nudzić się nie będę. Przyjadą moi znajomi, a ci nudę wypłoszą.

— A teraz, aniołku — przesłała jej od ust całusa — śpij miło, grzecznie, a jutro odwiedź krówki, wieprzaczki, ucz swoich Maćków, Kasieczki...

Zebrała fałdy jedwabiu, ujęła je zręcznym ruchem, przeszła ku Jerzemu; przyzywającym, wabnym gestem, rozkoszna w uśmiechu, skłoniła ku niemu swą strojną, złotą głowę. Lecz zbliżenie jej płomiennej piękności nie zdołało zatrzeć brutalności słów. Lodem spłynęło serce Jerzego; targał nim tylko ból bezsilny, a w oczach zwarła się trwożliwa żałość.

Irena odcień smutku dostrzegła, zrozumiała go na swój sposób.

Zdało jej się, że pożądanie odnajdzie we wzroku tym. Pod wpływem drażniącej myśli pochyliła się ku Jerzemu bardziej.

— Czy zły jesteś, żem odesłała twą pościel do kancelaryi? — spytała zalotnie.

Usta jej spoczęły prawie na jego twarzy.

— Widzisz, taka małżeńska sypialnia, to nie w moim rodzaju — szepnęła. — Miłosna awantura musi iść na lekko, wesoło, nie jak z żoną, o nie, tylko jak z zuchwałą kochanką!... Możesz przyjść dziś do mnie — rzuciła.

Iskierki padały jej z oczu, purpura warg zmysłowych rozchylała się, białe perełki połyskiwały za nią.

— Pocałuj mnie! — rzekła, podając mu krwistą falą ognia oblane usta.

Płomienna szata pieszczot zarysowała się przed Jerzym; twarz jego owiewał żar miłosnego pocałunku, jakby wróg czyhający na uśpienie jego lepszej natury; wybiegły ku niemu rozkoszne kobiety dreszcze.

Lecz dusza jego przebiła się przez zmysłów upojenie, dążąc wciąż tam, wysoko, gdzie nie w płomieniu, lecz w krystalicznej czystości światła odnaleźć mogłaby swój ideał, swoją rozkosz...

I nie porwane żądzą ciało spoczęło beznamiętnemi ustami na rozchylających się ku niemu ustach kobiety.

Odczuła chłód.

— Nie umiesz całować — zawołała gniewnie. — Co to za całus? Nie masz temperamentu, a krwi to ani za centa! To mi mąż! — westchnęła i zwróciła się ku Jance:

— Nie masz mi czego zazdrościć, wierz mi na słowo. Ot, dola! — zaśmiała się.

— A jak pomyślę, że w dodatku mam spać na tym łóżku prababek, dreszcz mnie przejmuje — wstrząsnęła się — zbiegną się do mnie łyse i bezzębne!

Wyszła.

Tylko jak złe tchnienie, jak wizya, błąka się jej duch, z nim fatalne przygnębienie.

Jerzy stoi wciąż przy oknie, wpatrzony w blask księżyca, w którym tonie cały ogród. Z klombów, osypanych różami, występują one w świetle jasne, śnieżne, promienne. Jest wprost zziębły, cierpi moralnie.

Janka zdjęta smutnem uczuciem rozbicia swych chęci, nie chce nawet myśleć o poznanej Irenie.

Machinalnie przerzuca leżące na stole żurnale.

— Karykatury ludzi tu na papierze — myśli, a w ślad za tem nasuwa się jej:

— A tam, za drzwiami, karykatura istoty ludzkiej, człowieka.

A potem myśl odrywa się od szpetoty ludzkiej i biegnie ku stojącemu nieruchomo mężczyźnie.

Rozumie, co dzieje się w sercu jego, odczuwa tę rozpaczliwą pustkę, co duszę jego przeszywa. Taka czarna opona i jej serce niegdyś zalegała, gdy w niezrozumieniu życiowem rwała duszę swą na strzępy.

I bezmiar smutnych pytań opływa ją.

— Czemu jednak ludzie są tak poziomi, nizcy, i czynią życie tak ciemnem i brzydkiem, gdy przecież mogłoby być ono jednym ciągiem radości, słodyczy.

I myśl jej wyłącza ją w tej chwili z pospolitego tłumu, przepełniając ją poezyą, harmonią.

Przymknęła oczy i łagodnie poddaje się ładnej złudzie.

Lekki powiew powietrza kazał jej unieść powieki. Dwa przezrocze motyle, wachlarza skrzydła, muskały czoło jej. Trzymała je w ręku stojąca obok Irena.

— To bardzo ładne, Janko. Dziękuję ci — mówiła. — Widzisz, znalazłszy to cacko, choć rozbierałam się już do kąpieli, ale przyszłam podziękować ci.

Była już na wpół rozebrana. Narzucone zaledwie kimono nie zakrywało opadającej z ramion koszuli, ażurów gorsetu i przezroczej, z wstawek i koronek uszytej halki.

Całe *dessous* trzymane w ponsowym tonie, połyskujące jedwabiem, wytworne było nad wyraz.

Janka, zażenowana, oczami wskazała służącego.

— *Grande affaire!* to nie mężczyzna, a tylko lokaj. Zresztą — roześmiała się Irena — jest na co zwracać uwagę. Widzisz — dodała, oddając Jance mały, żółty tomik — w zamian za twoją uprzejmość masz tu doskonałą powieść, a przytem bajecznie ilustrowana!

Otworzyła książkę w miejscu, w którem widniał rysunek.

— Przejmij się tylko, to krew rozpala.

Pochylona nad grawiurą, wpatrywała się w nią łakomie.

Janka wyrwana z delikatnego pastelu swych marzeń zapatrzyła się teraz w Irenę. To ponsowe zjawisko przywiodło jej na pamięć inną chwilę.

Z tamtych dni złych, minionych, z owej fałszywej na Pięknej egzystencyi.

Z papierów Reńskiego, wśród których wówczas szukała zwoju nut swych, wypadły fotografie. Zbierając je, dojrzała na kartkach tych ot, taką samą, jak ta stojąca przed nią w tej chwili istota: takież jaskrawe jedwabie, takaż fryzura stroiły kobietę z fotografii, bardzo uczesaną, ufryzowaną, lecz bardzo mało okrytą.

»*Jour et nuit d'une cocotte*« widniał napis na każdym obrazku.

— Identyczny typ — wydziera się z jej piersi porównanie.

— Tylko tam, w tinglu lub buduarze, dziewczyna ta była na właściwem miejscu, ale ta, tutaj?

I duch myśli tej, duch pełen bólu i roztęsknienia budzi też z zamyślenia Jerzego.

I jego oko ogarnia żonę. Zamyka instynktownie oczy, stoi bierny z opuszczonemi rękami.

Nuta szampańskich pawilonów, od których stronił, zamigotała mu z nią rozpasana, płomienna, a teraz jemu wstrętna.

Już jej niema, już znikła — a jeszcze stare przodków portrety, stare sprzęty, ściany starego dworu, ze swych płaszczyzn starych, zatartych, rwą się strwożone, zdziwione.

— Skąd ta tutaj? — powtarzają.

Janka spogląda ku pozostawionej książce. Leży rozłożona na stole; grawiura, polecona jej gorąco przez Irenę, rzuca się jej w oczy.

W śmiałym rysunku brutalny uścisk dwojga istot, w zmysłowym swym szale zwierzęcy, nieestetyczny w swym hymnie rozhukanych żądz — wstrętny. We wzroku ludzi tych Janka widzi tylko błyskawice namiętności, burzę, wir, szał...

Pocałunków takich, które krwawe stygmaty zostawiają po sobie, ona nie pożąda; duch jej nie odczuwa pragnień namiętnych, więc oczy swe odrywa od pożaru zmysłów, odwraca je od płomiennych pieszczot.

Cichy, niespostrzeżony stanął obok niej Jerzy.

Dostrzegł rysunek — ową płomienia falę.

— Czy oddasz mi, pani, tę książkę?

Bez słowa podjęła Janka żółty tomik.

— Weź ją, pan, proszę.

Ujął, spojrzał na tytuł.

— Wstrętny jad, ulubiony romans mojej żony. Wyrzucałem to z domu kilkakrotnie. Uparcie mi wraca.

Zwrócił się pytaniem ku Jance:

— Powiedz mi pani, ale szczerze, otwarcie, czy bez żalu wyrzekasz się tej książki?

— Bez żalu — odpowiedziała, jak echo.

Doznał wielkiej ulgi.

Zrozumiał, że jest na świecie kobieta, dokoła której roztaczają się podobne jemu duchowe tęcze, pełne niewypowiedzianych snów, czarów.

Coś, co niemal nie istnieje, niepochwytne, a przecież bardziej tryumfujące w swej czarownej treści, aniżeli dyszący rozpaczliwem pożądaniem namiętny rysunku uścisk...

I kobieta, którą tu jak zadumany biały posąg ma obok siebie, on czuje to, w tej chwili łącznie z nim drży cicho, łagodnie, lekko, w rozkosznem, delikatnem uczuciu.

Ją unoszą ku sobie kielichy, osypane brylantową, miłosną rosą — tamta rwie się na skrzydłach bachicznego szału.

I jest mu wstrętna. A przecież jest jego, jego żoną!...

. . . .

Z sypialni dochodzi łoskot przesuwanej szafy. Ponad nim góruje głos Ireny.

— Bliżej, jeszcze bliżej — niecierpliwi się — a od góry załóż poduszką.

Przez myśl Janki, przez jej myśl serdeczną, przebiega gorące pragnienie, aby jakaś kamienna przegroda nie dała dosłyszeć Zaruskiemu słów tych, ale ta nie istnieje, przez drzwi jadalni idzie wyraźnie, ostrym głosem rzucane:

— Bliżej, bliżej! — Właściwie znaczy to dalej, od dziecka dalej.

Janka oddycha ciężko, mimowoli zwraca się ku Jerzemu. Oczy ich spotkały się, tai się w nich przerażenie, w źrenicach drżą całe pasma smutku.

To, co dziś rzuciło się im przed oczy, przejęło ich serce i duszę dziwną goryczą, grozą. Zdało się być gromem, rozbijającym szczęsną egzystencyę tego domu.

Zasłonę przyszłości uchyla ręka szorstka, bezlitosna.

Ładne serce Janki probuje mimo wszystko:

— Zwolna, bardzo zwolna trzeba postępować, i już nie słowami, ale codziennem życiem wciągać ją do obowiązku.

Łoskot przysuwanej szafy, zamykanie drzwi, przestrogi rzucane Zuzi, aby robiła, co chce, byle dziecko nie krzyczało, grają wśród słów Janki. Druzgoczą, niweczą to, co czysta jej dusza wnieść znów ukojeniem w serce mężczyzny pragnie.

— Tak, zwolna — płynie znowu — trzeba ją wciągnąć w ten krąg rodzinny.

Głos jej drży, czuje na sobie przejrzystość źrenic Zaruskiego, cały ogrom ich smutku ogarnia i ją takim tęsknym lękiem, że z jakąś rozpaczą już w głosie rzuca:

— I tak będzie, tak być musi! — A już potem, objęta niepohamowanym wybuchem szczerości, woła:

— Bo dlaczego pan miałby być nieszczęśliwym? dlaczego? pan taki dobry, taki pełen dla niej najlepszych chęci!

Lecz oto widmo niedoli dni jej własnych, minionych, stanęło przed nią, rozwlókł się cały sznur dni tych, cała poniewierka jej własnych dobrych chęci.

Męka przeżytego gorącym ołowiem zalała jej serce.

Jak przez mgłę zadrgało:

— A pani?

Zmęczona, pochyliła głowę.

— Pani miałaś piekło i ból, a czy zasłużony?

Patrzyła na niego załzawionemi oczami.

Oparł głowę na ręku. Bezdenny żal powlókł twarz jego jasną.

— Fala życia bywa niemiłosierna: jednych pochłania, drudzy uchodzą jej. Z tego składa się istnienie.

Chmura przesunęła się po jego twarzy.

— Pani wolno jeszcze poszybować ku szczęściu, mnie już nie.

Całą beznadziejności głębią aż zadrżało w przestrzeni. Twarz miał szarą, jak popiołem przysypaną, oczy okolone siną obwódką.

Kwiat nadziei, kwiat szczęścia uchodził gdzieś pod ciężki grobowiec życia, co tłoczył jego młodą duszę i ciało.

Postarzał jakby nagle.

Ta kobieta, która przeszła tędy, stała się owym ciężarem, co pochylił jego plecy, a na oczy rzucił ten nieskończony smutek.

Jankę, patrząc na ból, który skoncentrował się w całej jego postaci, zimno przejęło.

— Dziecko — szepnęła, szukając ratunku w tem małem, niewinnem ciałku.

Nie odpowiedzial zrazu, tak, jakby chciał zarysować sobie dalszy cel życia dla tej małej istoty, dla jej szczęścia.

Wreszcie:

— Tak, dziecko, i to córka. Ona matkę mieć musi!

Zapanowało milczenie.

Dokoła mieli ściany tegoż cichego, miłego im dworku; z poza okien srebrny księżyc modrem swem światłem wesoło zagląda, ale tu w jadalni cicho, milcząco.

Nuta smutku rozpływa się w przestrzeni.

Coś zgasło, coś zmartwiało, jakiś okres życia zawarł się w żałobie.

Tylko poprzez całun żałobny, co zaległ na bladej twarzy mężczyzny, wybiegają słowa:

— Dziecko! Trzeba wlec się dalej, właśnie dla dziecka.

X

Wciśnięta w fotelik wstawiony między dwoma szafami (dzisiejszą noc przebyć miała w pokoju tak zwanym szafowym), Janka siedzi wciąż nieruchoma.

Pokój ten graniczy z kancelaryą Zaruskiego. Słyszy jego nerwowe, niespokojne kroki. W uszach jej dźwięczą słowa Ireny:

— Możesz przyjść do mnie.

Łączy się z niemi: — Trzeba wlec się dalej... dla dziecka...

A potem jeszcze: — Pani wolno szybować ku szczęściu.

Wszystko to zespala się w jakąś jedną całość.

Czemu?

Ona nie wie. Ale zdaje się jej, że owa fala życia, co teraz jakiś ciemny, przepaścisty krąg swój tu roztaczać poczyna, ją w wir swój porwie i jej los z tej posępnej ciemni, niby motyl, wzbije się do lotu.

Myśli te, przeczucia, przedzierają się w duszy jej ci-

chutkim szelestem, niepokojącemu szumowi odległego lasu podobnym, migoczą ku niej niepewnemi, drżącemi liniami, ale są, istnieją.

Te dni ostatnie składały się z dziwnych chwil, momentów cichych, pajęczych, przetykanych zadumą melancholii, orzuconych różami nieuświadomionych uczuć.

Chwile te niosły w sobie jakąś nieziemską symfonię harmonii. Skąd ona płynie? Kto ją stwarza?

Nie uświadamiała sobie tego jeszcze dokładnie Janka.

To wszystko przedstawia się jej tylko, jakby z posępnego jej życia wysuwały się cienie przyszłości, i te miały wziąć w posiadanie duszę jej, serce, ją całą.

I dlatego, wszystko, co powiało ku niej tego wieczoru, łączy się z istotą jej jakimś bezpośrednim kontaktem.

Lecz ciągle powracają słowa Ireny. Te idą wciąż za nią, niby dręczący ją cierń, górują ponad wszystkiem, jak czarny welon rozciągnęły się nad nią i męczą.

— Wolno ci przyjść do mnie.

Tak, męczą.

— Czemu?

Pytanie zawisło nad nią, jakby chciało wyprowadzić ją z ciemni, w której się błąkała.

— Bo właściwie przecież tak być powinno — myśli Janka. — Życie wchodzi we właściwe swe łożysko, więc tak być powinno.

A przecież, gdy kroki szybkie, urywane, wciąż uszu jej dobiegają, radosny skurcz przenika jej serce.

Czuje, że owo »tak być powinno« wymawiają usta — serce przeczy im.

I znowu wraca:

— Czemu?

— Czy nie chcesz, by rozkoszny uścisk tamtej zmącił swym cielesnym szałem duchowy wasz nastrój?

— Czy lękasz się, by cud karnacyi i linii jej ciała nie spłoszył natchnienia sentymentu?

— Czy tego się lękasz? powiedz! — woła w niej obudzona do życia istota.

Ona boi się dać odpowiedzi — zrozumiana, pojęta, przez to swoje drugie »ja« odczuta.

Zadrżała, przebiegł ją delikatny dreszcz zrozumienia, w sercu prześliznęło się raczej, niż przebiegło światełko miłosne, muśnięciem cherubina skrzydła — olśniło, upoiło.

Uczucie to spadło na nią, jak lawina róż. Poddała się przez chwilę jej tchnieniu.

Jedna chwila, bo potem lekkie uchylenie drzwi sąsiedniego pokoju, zamarcie kroków, cisza tam, pustka...

A z nią...

Rozwiana przed chwilą osłona różana — znów mrok, cień...

— Poszedł — zapadło w duszę — poszedł do niej.

Ogarnęło ją wielkie rozgoryczenie.

— Przez wzgląd na dziecko — mówił — muszę wlec to życie. Tak — mówił.

A przed oczami Janki migają fosforycznym blaskiem silnie, narkotycznie w Jerzego wpatrzone źrenice Ireny.

— Nie chce dla dziecka zrywać z żoną.

Czepia się tej nadziei.

— Czarem swym ogarnie go, uśpi mu ducha, wytworzy inną łączność, harmonię. I w niej będzie jej tryumf, zwycięstwo!...

I oto fala tego nowego tu życia nurtami swemi zgasiła świątły nimb jej egzystencyi. Co migotało — zgasło, omdlało, odeszło, w nicość się rozniosło.

Trwa cisza zupełna, tylko zdala zwycięzki duch tamtej ciemnemi skrzydłami swemi odtrąca ją od szczęścia, dławi, rani.

— Wyjadę — myśli Janka.

Zdaje się, że znajdzie w tem spokój, zadowolenie.

— Zatrzyma go wśród pieszczot do rana — idzie mimowoli ku niej.

Siedzi wciąż nieruchomo w nieokreślonem oczekiwaniu.

I po raz pierwszy w życiu jakieś najtajniejsze, dotąd uśpione fibry jej istoty targać, uderzać w jej sercu poczynają.

To groźna, nieubłagana miłości towarzyszka — zazdrość, wbija się w ledwo poczęte miłosne promienie.

I ból ten nowo poznany w cierpieniu ostrem, przenikliwem, ogarnia ją, męczy.

Oczy ma utkwione w tarczę zegara. Posuwa się tak wolno, tak wolno. Z wywołaną przez napięte nerwy nadczułością rozpoznaje wśród ciszy nocnej delikatny szmer kołyszących się sennie, leniwie, trzcin wodnych, szepty, niby tęsknej melodyi, drzew liści, jakieś rozwiewne, drżące w przestrzeni akordy ciche, uchwytne tylko jej płonącej wyobraźni.

Cała uwaga jej koncentruje się w tych idących ku niej objawach życia. Lecz nagle drgnęła cała. W szmery, szepty, podmuchy wbiegły, złączyły się z niemi kroki lekkie, podłożem piasku tłumione.

Ból serca opuścił Jankę. Odetchnęła. Zdjęła ją niewypowiedziana ulga.

Stoi oparta o ramę okna, ukryta za firanką; wsłuchuje się w odgłos kroków, co wstrząsa nią, wywołując silne wrażenie.

— Nie zatrzymała go przy sobie. Wyrwał się spełnionemu obowiązkowi...

I w duszy swej Janka uczuwa cały świat szczęścia, że to, co było piękne, dobre, pozostało i nadal czyste, nieskalane.

Myśl wyjazdu opuściła ją.

XI

O południu, na drodze ode wsi, spotkała się Janka z Zaruskim.

Powracali od codziennych swych zajęć. Ona ze szkółki, on z koszykarskiego warstatu.

Południe jest cudne, aż bije majestatem jaśni.

Idą teraz razem cicho po żółtym alei piasku, kroki ich giną prawie bez odgłosu. Są na pozór spokojni, lecz to »wczoraj«, o różnorodnych wrażeniach, nie ujęte jakby jeszcze w skończoną formę, niepokoi ich i bólem przeżytym i cieniem nadziei.

Teraz tęcza kolorowo złocista wyrywa dusze ich z bólu; odrzuca precz sieć, co plątała ich nerwowem szarpaniem się wczoraj, rozprasza to, co ich męczyło, a łagodnie, zwolna rozsuwa nad głowami ich dawną, ładną, szlachetną chwilę.

Powraca też dawny nastrój.

— Było mi dziś smutno przy śniadaniu — mówi Jerzy, jakby z wymówką, a ładna twarz jego zwraca się ku Jance. — Dlaczego pani nie przyszła? — pyta.

Serce Janki przebiega wielka radość.

— Zauważył mą nieobecność — pomyślała; z odpowiedzią zwleka. Nie chce, by w to miłe wrażenie wbiło się Ireny imię; a wszak stanowi powód nieprzyjścia jej do jadalni. Więc milczy.

Stoją tuż przy wspamiałym jaśminu krzaku. Woń upa-

jająca całą strugą biegnie ku nim. Światłość, złote promienie słońca grają wśród gwiazdek wonnego kwiecia, a ciche, pełne uroku pytanie Jerzego drży znów w powietrzu.

— Dlaczego?

I w krótkiem tem słowie snuje się ku Jance srebrna nitka rozkoszy, serce jej wysunęło się już wczoraj z mgieł i mroków. W poczętem, a zrozumianem przez siebie uczuciu daje jej całą błogość, kołysze ją słodko, cudnie.

Słucha głosu tego, co wraz z wonią słodkiego kwiecia rozlewa się w jej duszy niewypowiedzianie kojącą ulgą.

Omija imię Ireny, gdy mówi:

— Wczoraj, pamięta pan, zauważono, że lepiej aby śniadanie roznoszono po pokojach, chciałam zastosować się, i właśnie dlatego...

Z chwilą, gdy zrzuciła z siebie trudność wypowiedzenia, kto ów projekt podał, rozjaśniła się znów, i oczy jej podniosły się ku Jerzemu swobodne, błyszczące silnem uczucia światłem.

I on rozjaśnił się, tylko we wzroku jego odbiła się prośba:

— Nie, nie! — zawołał żywo — ja tego nie chcę. Niech zostanie coś z dawnych dni, naszych dobrych dni, pani Janino.

Pierwszy raz wymówił jej imię, pierwszy raz zadźwięczało ono w jej uszach tak miękko, tak miło.

Tam, »na Pięknej«, jak określała zawsze swe miesiące poślubne, nie nazywano jej nigdy po imieniu. Zawsze owo »ty« niechętnie i ironicznie jej rzucano.

Teraz to imię Janina, wypowiedziane delikatnie, łagodnie, zdało się jej jakąś cudnie brzmiącą melodyą pieszczoty, dzwonem srebrnym, rozkołysanym wśród martwoty jej istnienia.

— Ma pani dziwnie ładne imię i dziwnie do pani dostosowane. Bardzo delikatne i bardzo subtelne. Zdaje mi się, że należy wymawiać je cicho, aby owej cichej Jani nie spłoszyć.

Słowa te wzbudzają w niej jakby zalęknienie. Nie odpowiada nic; i on milczy. Odczuwają, że po tem, co on wyrzekł, nie powinni na razie nic do siebie mówić.

I pierwsza, jakby miłosna już chwila, ładna i szlachetna, wykwita jak kwiat mistyczny cicha i niezmącona; opływają ją tylko cudne barwy i wonie, a dokoła niej snują się nieziemskich dźwięków tony.

To imię, które harmonijnym, śpiewnym niemal głosem zawirowało wśród szmeru liści drzew, zdało się jasnym słońca błyskiem, co rozpłomienił szmaragdu zieleń, i wszystko dokoła przystroił w szatę piękniejszych barw i linii.

To ciche, słodkie imię!

Oboje są jakby pod urokiem, spokojni w uczuciu niewypowiedzianie błogiem, tylko w duszach swych, sercach, przeżywają słodkie rozmarzenie — świadomość poczętego uczucia. Nadzwyczajne wrażenie melancholii czyni ich w chwili tej spokojnymi, bez zewnętrznych szamotań. Dusze ich są jak przezrocze wód tafle, ciche, radosne, gdy przyjmują w głębię swą odbicie srebrzystej, spowitej w mgliste osłony miłości gwiazdę.

Gwiazda ta przebija brylantową tęczą i całą aureolą jasności otacza ich głowy.

Lecz na skrzydłach myśli garnie się ku nim groźne, że przecież ta cudna, migocąca ku nim brylantem gwiazda, zostać musi zawsze lśniącą łzy kroplą. Miłości tej nie wolno ujawnić się bodajby spojrzeniem, słowem. Muszą liczyć się z warunkami bytu; lecz drży ona jak harfa w przedziwnej, wirującej wśród nich czystej melodyi; nuta jej drga w błę-

kitnych zadumy eterach. I łagodnie też objawiła się im ona teraz, cudnie do stanu dusz ich dostosowana. Przyjmują ją, jak piękno promienne, co nieuchwytne płynie dokoła nich wraz z cichem, ulatującem w dal słów echem:

— Jania! — to ciche, słodkie imię...

. . . .

Przez kępy zieleni, przez ciemne atłasu liści drzew płatki, przez barwne klomby nasturcyi, ametyst aksamitu ciemnych bratków, przez czary jaśminu i róż wonie, dochodzą ich wyraźnie głosy podniesione od strony ganku.

Sopran kobiecy, trochę piskliwy; nizki, dźwięczny, metaliczny baryton, wreszcie gardłowe trochę dźwięki Ireny głosu.

Od domu idzie powiew rzeczywistości. W jasną poezyi smugę wdziera się:

— Jakto? wy pieszo? Co za myśl, Helo!

— Zapowiedziani goście — mówi Janka.

— Tak, niezawodnie.

Oboje wyrywają duszę z marzeń koła, by zanurzyć je znów w odmęcie życia.

Jerzy przypatruje się wchodzącym na werandę. Na ładną twarz jego wybiega wielkie niezadowolenie.

— Tak, goście, ale jacy niesympatyczni — mówi. — To pani Kryńska, zwana w Krakowie »breloczkiem« dla swej filigranowej urody i nieustannego rozdzwonienia osoby. Typ dla mnie brzydki i nieestetyczny, a przy dłuższym z nią pobycie — męczący.

— A ten pan? — pyta Janka.

— To zło jeszcze gorsze do przełknięcia. To pan Włoszyński.

— Karol Włoszyński? Czy ten malarz znakomity?

— Tak, to on. Talent niezwykle oryginalny, ale człowiek też oryginalny, tylko w ujemnem słowa znaczeniu.

Stali teraz na zakręcie drogi, zakryci przed oczami gości wysokim, rozłożystym krzakiem.

Jerzy widzi, że Janka zawraca ku domowi.

— Czy pani już chce wracać? — pyta z żalem. — Czy pani do nich tak śpieszno? Bo — mówi powoli — mnie tam iść się nie chce. — I po chwili dodaje z wielką prośbą:

— Siądźmy tu, na tej ławeczce. Może jestem zbyt wybredny w żądaniach, ale choć przez chwilę pragnę jeszcze uniknąć widoku tego, co stanowi kontrast z mojemi upodobaniami.

I ładnym ruchem wskazuje darninę, z której urządzona ławeczka bardzo jest wdzięczna i delikatna.

Janka kiwnęła głową. Zostali.

Kącik zaciszny, okolony drzewami, pełen spokoju i cienia. Tylko teraz mącą jego ciszę owe ludzkie głosy roześmiane, bardzo hałaśliwe. Po przez gałęzie krzewów wybornie widać osoby, ich ruchy; słowa dochodzą z wielką ścisłością.

— Szalona, jak zawsze — mówi mężczyzna — wlecze mnie tak od stacyi! — Zwrócony ku podającej mu rękę Irenie, stoi wprost twarzą ku Jance.

Jasne oświetlenie dnia słonecznego uwydatnia rysy ogromnie wydatne, pełne energii w rysunku kształtnego orlego nosa i podbródka, w wargach ironicznych i zmysłowych. Oczy, które zwraca teraz ku Irenie, wydają się bardziej jeszcze czarne, przepaściste, pełne ognia i blasku, w matowej białości twarzy, okolonej kruczym, krótkim zarostem.

Niewysoki, raczej średniego wzrostu, doskonale zbudowany, ma w sobie całą masę energii, którą, widzi się, że

umie teroryzować. W postaci dominuje wyraz silnie zaakcentowanej dezynwoltury, samowoli i pewności siebie.

Dwa kilometry w sam upał zmęczyły go widać niemało, bo ponsowym fularem ociera twarz, jasną panamą chłodzi się.

— Ledwo żyję, a to wszystko przez was! — śmieje się ku Irenie.

Jance zdaje się, że w głosie jego jest swawola, która graniczy z lekceważeniem.

Nie zważając, że obie panie stoją, osunął się w trzcinowy fotel, rozłożył wygodnie, niedbale.

Kostyum jego jasny, letni, doskonale skrojony, kształtnie odziewa go, czarny, szeroki pas odcina się ciemną smugą od jaśni koszuli. Zasuwa się bardziej w krześle. Wyjmuje ładną, gustowną papierośnicę, zapala papierosa.

— Ledwo żyję — powtarza. — Mieliśmy jechać dopiero popołudniowym.

Irena stoi przed nim, słucha; z chusteczki swej złożyła rodzaj wachlarza, śmiejąc się, powiewa dokoła mężczyzny.

— Nie wierz mu ani trochę — woła, podbiegając Kryńska. — Przecież ja, wstając tak wcześnie, zrobiłam istną, ofiarę ale powiadam ci, ledwo wytrzymał do dzisiejszego ranka.

Bardzo mała, ów »breloczek« krakowski, w pikowym białym kostyumie, mówiąc, kręci się jak laleczka na sprężynie.

— Cały wczorajszy wieczór był wściekły, nie mogłam go nigdzie wyciągnąć. Na mnie wyładowywał swój miły humorek, więc też dziś wybrałam się o świcie. I co — zwróciła się do Włoszyńskiego — źle ci teraz, co?

Irena słuchała jej rada bardzo, śmiała się także, wesoła, rozbawiona.

Włoszyński z poza kłębów dymu połyskiwał cudnie białemi zębami w uśmiechu, rzucił zgasłego papierosa, wyciągnął rękę, ujął dłonie Ireny i przyciągnął ją ku sobie tak blizko, że aż pochylić się ku niemu musiała.

— Może i ta mała kobietka ma racyę — mówi. — Może do owego Zarania śpieszno mi było. — A potem słowa jego ściszone nie dochodzą, tylko on wstaje, a ręka jego wciąż poufale trzyma w swych dłoniach rękę Ireny. Mówią coś z cicha.

W wesołej rozmowie wybiegać poczynają znów oderwane słowa.

W odcieniu pewności siebie, cechującej Włoszyńskiego, Janka odnajduje nietylko ową oryginalność, tak względnie mu przez Zaruskiego przypisaną, lecz ponadto dużą dozę zuchwałości i dziwnego względem kobiety zachowania. W Irenie nie widzi zakłopotania, a tylko gorączkowe podniecenie.

Kryńska jest zachwycona. Choć zostawiona na boku, śmieje się, trzpiocze, niemal tańczy. Lecz oto w ślad za zdejmowanym z furmanki kufrem, wbiega w głąb domu.

Janka lęka się, by rozmowa tamtych z werendy nie doszła tu do nich znowu, więc, nie pytając już o zgodę Zaruskiego, podnosi się z ławeczki i zwraca ku domowi. On, milcząc, idzie za nią, ręką tylko wskazuje jej boczną, prowadzącą ku tylnemu wejściu dworu, ścieżkę.

Stają u progu wejścia. Janka, mijając Jerzego, widzi jego twarz zgnębioną; chciałaby mu dać dobre słowo.

— Lecz jak, jak ująć myśl moją, by go nie urazić? — myśli. Więc tylko, niby na rozstanie, podaje mu rękę; uścisk jej wyraża to, czego nie śmiały wypowiedzieć usta.

A zimna dłoń Jerzego w serdecznem jej cieple ożywa i życia nabiera.

Wchodzą między ludzi swawolnych, roześmianych, odosobnieni, zamknięci w sobie. Tamto brutalne życie rozchichotało się i tłoczy się dokoła, lecz nowe, spromienione w nich uczucie rozciąga niewidzialną, a przecież potężną w swej mocy zaporę, która oddziela ich od tamtych.

XII

W godzinę po przyjeździe Kryńska we dworze jest już jak u siebie. Teraz właśnie przebiega korytarz, biegnie, jak zawsze, drobniuchno, prędko; ledwie nadążyć za nią może pokojówka, zarzucona batystami; muślinami. Koronki, wstawki leciuchną falą opływają ją całą.

Maleńka, fertyczna wpadła na Zaruskiego, gdy ten przemykał się do kancelaryi.

Uniosła ku niemu kredowo ublanszowaną twarzyczkę, a zaglądając mu w oczy swemi czarnemi, jak tarki, oczkami, filuternie wdzięcząc się, woła:

— A, nieproszeni goście — podaje obie, obwieszone brzęczącemi *porte-bonheure*'ami, rączki — a może i niemili, co? — pyta, śmiejąc się, kręcąc ruchami starszej, a udającej psotną dziewczynkę, kobiety.

— Pani z Ireną jest w tak ścisłej przyjaźni, że rad bardzo jestem jej przyjazdowi — odpowiada, ściskając jej rękę bardzo lekko, a słowa są ogromnie nieszczere.

Kryńska nie odczuwa, czy nie chce odczuwać ich właściwego brzmienia, bo znów, by zrównać się z Zaruskim, unosi się na swych bajecznie wysokich obcasikach i poczyna flirtować.

— Co tam przyjaźń z Ireną! — woła. — Ja w panu oddawna się już kocham, a — z żalem dodaje — jak dotąd,

napróżno. No, ale już teraz — śmieje się — przypuszczę szturm ostateczny.

Maseczka biała, nienaturalna, przecięta ukarminowaną, wązką linią ust, w grymasach uśmiechu podnosząca się ku niemu, wydaje się Jerzemu niesmaczną klowna twarzą. Wzbudza w nim, jak zawsze, niesmak i obrzydzenie. Pomija też ku sobie zwrócone afekty. Myśl jego wybiega ku Włoszyńskiemu. Jest pewny, że przyjazd jego, to jej robota.

I z nieukrywaną już niechęcią mówi:

— Po co pani tego Włoszyńskiego przywiozła?

Kryńska tak bardzo zdumiała się, że aż ręce opuściła.

— Jakto, po co? Taki talent, taka sława!

— Nie przeczę, ale z jego talentu tu korzystać nie zamierzam, a towarzystwa bynajmniej nie pragnę.

Kryńska zdawała się urażoną; odbiegła ją nawet na chwilę mania trzpiotowania i flirtu... spoważniała.

— Najpierwsze domy w kraju ofiarowują letnią gościnę malarzom, literatom; to zupełnie przyjęte, a pan? — wzruszyła ramionami.

— I ja nie jestem wyjątkiem — bronił się Zaruski. — Proszę mi przywieźć tuzin literatów i malarzy, przyjmę ich najchętniej, ale proszę mi zabrać jednego Włoszyńskiego!

Oczy Kryńskiej zabłysły, purpurowa ust linijka zaśmiała się złośliwie.

— Zazdrość — zawołała. Ogromnie była rada, aż podskoczyła lekko, w dłonie klasnęła.

— Zazdrość — powtórzyła.

I znów zalotnie rzuciła:

— O mnie, czy o Irenę?

— Wykluczmy, droga pani, z naszej rozmowy ten temat. O rzeczach poważnych nie zwykłem rozmawiać ze śmiechem.

Kryńska przygryzła usta; zła była, całą masę niechęci budził w niej ten nudny sensat.

— Więc czegóż pan właściwie od Włoszyńskiego chce? W czem on panu zawinił? Czy pan mi każe, abym mu powiedziała: »Pan Zaruski pana sobie nie życzy, więc wynoś się!« Czy pan chce tego odemnie? — wołała zła i podrażniona.

Zaruski, nie stropiony bynajmniej jej wybuchem, mówił spokojnie:

— Tego pana spotkałem raz jeden w Krakowie w restauracyi. Zaznajomiono nas. Otóż przyznam się pani, że jego sposób zachowania się raził w męskiem towarzystwie, cóż więc tu będzie?

Kryńska, już uspokojona, zawołała z pośpiechem:

— To panu o to chodziło?

Była już znów wesoła po swojemu.

— No tak, rzeczywiście, przyznaję, zwykłemu człowiekowi jego maniera nie uchodziłaby; ale on nie może być traktowany, jak ktoś przeciętny. I dlatego jemu wszystko wolno.

Widząc, że Jerzego argumentem swym zupełnie nie przekonała, gdyż spogląda na nią jednako niezadowolony, łagodzi:

— *Już ja mu nagadam, i on powstrzyma swoją brzydką buzię*, bo to tylko pozory; wierz mi pan, to najlepszy pod słońcem człowiek. Poznacie się bliżej i polubicie.

Zaruski mimowoli uśmiechnął się; owo polubienie wydało mu się tak komicznem.

Kryńska dostrzegła uśmiech i uszczęśliwiona uczepiła się teraz jego ramienia.

— Śmiejemy się, to już dobrze, doskonale, i bardzo panu z uśmiechem ładnie — chwaliła, — więc przynajmniej

ze mną będąc, proszę zawsze śmiać się. — Sama pokazywała swoje ząbki, wiedząc, że są drobne i białe.

— Oni tam przy przekąsce — paplała — ja kilka ciastek z kremem, *en passant,* porwałam. Dla takiego, jak ja, drobiazgu — mizdrzyła się — to dostateczne. Co, prawda?

Zadzierała wciąż głowę ku znacznie wyższemu mężczyźnie, rozświergotana, rozbawiona...

— A teraz muszę zobaczyć osobliwości prawdziwej wsi. Podobno ja tego nigdy nie widziałam. Włóczę się zawsze po Szwajcaryi i po przeróżnych badach, ale takich cudów wiejskich nie znam zupełnie.

— Więc od czego zaczniemy? Może od ogrodu, dobrze?

Pociągnęła Jerzego w stronę drzwi.

Zwrócili się ku ogrodowi, mijając bokiem werandę.

Irena i Włoszyński siedzieli przy stoliczku, zastawionym naprędce podaną przekąską. Bieli się porcelana, połyskują kryształy, srebrne nakrycia błyszczą w słońcu.

Malarz kończy właśnie zdanie, gdy Kryńska z Zaruskim przechodzą poza festonami dzikiego wina.

— Więc — mówi swym dźwięcznym, miękkim barytonem — kiedy kobieta podoba mi się, to nie bawię się w ceregiele i oczy moje mówią jej wyraźnie: »pożądam cię!«

W źrenicach skoncentrował się cały wyraz namiętny, cała treść wymówiona. Słowa akcentował silnie, nadając im moc znaczenia.

Kryńska uznała za stosowne przejść szybko; zdanie jednak doszło ich wyraźnie; jednocześnie dostrzegli po przez ścianę dzikiego wina, że Janka, siedząca dotąd na uboczu z robotą w ręku, powstała i odeszła.

— Pełna taktu — wskazywał ją Kryńskiej Zaruski. — Irena zrobiłaby naturalnie to samo, ale, jako go-

spodyni, zmuszona jest dotrzymać towarzystwa temu oryginalnemu panu.

Na wzmiankę o Irenie Kryńska odwróciła się, taki pusty śmiech ją ogarniał.

Zeszli ze stopni, znikli w gąszczu zieleni.

Jasna sukienka Janki zabieliła się teraz wśród jednej z ławek ogrodowych; dojrzał to Włoszyński. Osoba jej zafrapowała go widać, bo za schodzącą z werandy odwrócił się z fotelem i ścigał ją wzrokiem.

— Tej pani widać było wśród nas niewygodnie; poszukała samotności — zauważył, patrząc wciąż w stronę siedzącej w ogrodzie kobiety.

— Wzbudziła w panu zainteresowanie? Czy to na jej cześć — zapytała Irena ironicznie, — na cześć owego wymokłego śledzia, był ten frazes o pożądaniu i kobietach? — W głosie jej drżał gniew.

Włoszyński na razie nie odpowiedział. Wciąż bacznie obserwował Jankę, która, powstawszy z ławki, zrywała jaśmin, układając bukiet. Blask słońca padał na jej twarz bladą i oświetlał duże, ciemne oczy. Oparta o drzewo, zdała się cieniem jasnym, spokojnym, w ładnem oświetleniu: łagodna i przejrzysta!

Włoszyński patrzy w nią wciąż i nie daje Irenie odpowiedzi. Właśnie, gdy narwawszy dużo jaśminu, Janka ze swym srebrno białym ciężarem znikła, zwrócił się do Ireny:

— Czy na jej cześć? — spytał — ani trochę. Zresztą po co ta pomiędzy nami komedya? Wiesz, do kogo mówiłem. Oczy moje taką pieśń do ciebie już wyśpiewały...

Nachylił się ku niej i półszeptem rzucił:

— Wyglądasz mi dziś tak, że aż mię dyabli biorą gdy tu, na tym fotelu, tak siedzieć muszę...

Patrzy na nią, oddycha ciężko, ognie palą mu się w źrenicach.

— Fantazyą przenoszę się w puch twego ciała i tam tonę...

Zajrzeli sobie w oczy, źrenice ich stopiły się w zmysłach. We wzroku jego był taki żar pocałunku bez tchu, bez pamięci, że zabójczy jego szał zmusił ją przed płomieniem pożaru tego oczy spuścić.

— Od tego dnia, pamiętasz, u Kryńskiej, widzę tylko ciebie; nie pracuję, nic robić nie mogę. Ty i ty! i w pracowni, i na płótnie!...

Oczy Ireny rozbłysły, przeciągnęła się rozkosznie, uśmiechając się ku niemu.

— Więc mię wymaluj! — zaśmiała się.

— Licha tam malowana, ja wolę naturę! Po to też przyjechałem.

Zachichotało śmiechem, zadźwięczało brelokami, rozszumiało jedwabiem podszewek. Kryńska i Zaruski nadchodzili. Panowie witali się. Kryńska po swojemu, patrząc teraz na Włoszyńskiego, głośno, prędko paplała:

— A tak, właśnie mówiłam przed chwilą panu Jerzemu, że Feldowa zaklinała pana, abyś ją w tym miesiącu w Zakopanem portretował, a pan, ze względu na zaproszenie w Zaraniu, odmówiłeś.

W dalszym ciągu mówiła już zwrócona do Zaruskiego ciszej; doszły tylko słowa:

— Kolosalny był obstalunek...

Włoszyński pochylił się ku Irenie:

— Kosztujesz mnie drożej, niż metresa! Trzy tysiące guldenów za Feldową przepadło; pal dyabli pieniądze, wolę rozkosz!...

Podszedł teraz ku Zaruskiemu.

— U was jest tu podobno Trendowski. Mówili mi, że go pan kupiłeś. Chciałbym zobaczyć.

Zaruski otworzył drzwi do jadalni, przepuszczając Włoszyńskiego.

Stanęli przed obrazem.

— Tak, ten umie malować — odezwał się malarz po długiej chwili.

Wpatrzony w obraz był bardzo poważny i bardzo skupiony. Odeszła go na tę chwilę wszelka swawola. Artysta wziął górę nad szaloną zmysłowością, która rwała go wciąż w ramiona kobiet. Opinia świata, powtarzana przez Zaruskiego, opinia skończonego hulaki, rozpustnika, tym razem była zupełnie słuszna. Wiedziano ogólnie, że dla zadowolenia przelotnej bodaj żądzy nie krępował się żadnymi względami. Wiedziano, że nasycenie instynktu rzucało nim z szaloną zaciekłością. Znany był z talentu. Prawdziwa iskra Boża gorzała w nim całą pełnią, znany był też ze szczęścia u kobiet; brał je sławą, oraz zmysłowym sposobem obejścia się z niemi; drażniąc, działał podniecająco na ich zmysły i nerwy. Mówił językiem brutalnym, bezczelnie śmiałym, cynicznym, na jaki nie pozwoliłby sobie żaden ich adorator. Z jego pełnych, czerwonych, namiętnych ust, wyrazy, które do kobiet padały, nie obrażały, raczej upajały, ciągnęły niezdrowym, lecz nieprzepartym fluidem. Rozlewał się on w ich żyłach niby lawa płomienna, rozpalał krew i, rozszalałe żądzą rozkoszy, pchał ku niemu.

Lecz teraz, gdy stoi przed obrazem kolegi, wszelkie jasno-, ciemnookie, różowouste znikają. Sztuka władnie artystą bez rywalek.

Zaruski z przyjemnością odnajduje w nim człowieka. W oczach jego widzi zapał, myśl.

— Tak, ten umie malować — powtarza znów Wło-

szyński. — Patrz pan — mówi, wskazując osoby obrazu — co za boskość, co za uduchowienie w twarzach? No, to jego specyalność! Gdyby mnie kazano to malować, to figury te byłyby, tak mi się przynajmniej zdaje, drewnianemi lalkami. Piekło, dyablicę mi dajcie!... namaluję wam — woła.

Zamilkł, myślał przez chwilę, wreszcie rzekł:

— Choć może i ja potrafiłbym, czy ja wiem? Nie próbowałem tych słodyczy, bo mnie to nie ciągnie...

Mignęła mu przez okno Janka. Wyjrzał, patrzył uważnie na nią.

— Ta pańska kuzynka, to właśnie taki słodki typ: ideał, sentyment, melancholia...

Wpatrywał się w nią. Przystanęła, rozmawiając z Kryńską i Ireną.

— Czekajcie, spróbuję. Pani Hela! — zawołał głośno z okna.

Porwała się Kryńska, przybiegła.

— Przynieście-no mi z mojego kuferka, tam z pokoju, parę szmat płótna, wiechcie i farby.

Podawał kluczyk, Kryńska ujęła go, wyszła.

Zaruski patrzył i słuchał, znów niemile dotknięty sposobem jego obycia.

Włoszyński teraz żywo wyszedł na werandę.

— Przyjdźcie-no tu, moje panie — zawołał ku Irenie i Jance. Szedł do pokoju. Kryńska już była z powrotem. Irena i Janka wchodziły.

Włoszyński objął je tak razem idące.

— Kontrasty! — zawołał wesoło. — Dobrze — zatarł ręce. — Jestem w usposobieniu, mam ochotę tworzyć, bo grunt bogaty!...

Podszedł do Janki. Posadził ją na krześle, głowie nadał odpowiedni zwrot. Ogarnął ją szybkiem, inteligentnem, bacznem

wejrzeniem. Ujął płótno, pendzel, począł kreślić szybko, sprawnie kreski, narzucił plamy farbą; nie wyszło pół godziny, jak z płótna wyjrzały śliczne, idealnie niewinne, zapatrzone w dal rysy twarzyczki Janki — ona sama, taka, jaką w głębi duszy była. Charakter słodki, melancholią owiany, wszelkie cechy tej prostej, szczerej natury wśród tła błękitnawej tęsknoty, wydobył Włoszyński w szkicu na jaw mistrzowskiem pociągnięciem pendzla. Rzuca je niby klejnot oszlifowany ręką mistrza w nadzwyczajnem podobieństwie duchowem i fizycznem. Energicznem pociągnięciem pendzla nakreślił: »Duch«.

Rad jest z siebie.

Chociaż przez chwilę tę pracował w nieswoim żywiole, to jednak talent uniósł go na wyżyny; stworzył rzecz dobrą. Czuje to i ocenia. Teraz jednak, gdy Irena zajmuje miejsce Janki i on obejmuje tę zwichrzoną masę złocących się ogniem metalu włosów, te biegnące z pod nich fiołki ciemniejących pod wzrokiem jego oczów, te usta, które czekają tylko, rychło li zawrą się w dzikim, zawrotnym jego pocałunku, to całe ciało, objęte teraz barwnym, o mieniących się kolorach wężowej łuski, fularem, teraz dopiero i w nim grać zaczyna jakaś szalona podnieta. Pendzel drży mu nieco w dłoniach, krew zbiega, bije do głowy; sam, jak i ta kobieta, drży ku niej cały; w lubieżnem odczuciu dobywa z niej wstrząsające dreszcze i w liniach, plamach, rzuca ten rozhukany wicher zmysłów w szatańsko pięknej, szalejącej pożądaniem głowie Ireny.

Jest sobą, odnalazł się. Chwilowe zaparcie się swej natury w łagodnej linii Janki, zemściło się wylaniem całej olbrzymiej siły w tym, zrodzonym z rozpasanych zmysłów poemacie. Namiętne, gorące, przywarły one na tym szmacie płótna, a on, w szalonem napięciu grających nerwów, wpija

się w nie wzrokiem. Oczy błyszczą mu fosforem, twarz w plamach krwistych, dzikiem podnieceniem drży cały.

Kryńska zna ten jego stan; nie chce, by Zaruski widział go takim.

— Odejdźmy — mówi. — On jest zmęczony, musi odpocząć. — A potem, tryumfująca, zwraca się ku Zaruskiemu:

— Co, żałujesz pan teraz, że go przywiozłam? Geniusz, talent, cud, wszak prawda?

Jerzy milczy. Chyba nigdy bardziej smutnym nie był. Rzucony mu przed oczy kontrast dwu kobiet, z których jedna musi być jego już na zawsze, a druga na zawsze niedoścignioną pozostać, zakuwa go w kajdany wiecznej niewoli, obrzuca mrokiem chwilowo w jasność zapatrzone jego oczy...

Kryńska radosna, zwycięzka, czeka odpowiedzi; milczenie bierze za przyznanie się do winy, i już bardzo rada, zwraca się znów z kokieteryą do Zaruskiego:

— A teraz pokaże mi pan konie; pasyami je lubię. Oto ze mnie sportsmenka! Musi pan mieć i wierzchowce? Będziemy jeździli konno!...

Nie czeka i teraz odpowiedzi, ujmuje go pod ramię i w tanecznem *pas* pociąga za sobą. Przebiegając koło Ireny, rzuca jej w ucho:

— Zdaje mi się, że doskonale wchodzę w swoją rolę. Akaparuję twego męża zupełnie, możesz liczyć na dobrą godzinę swobody!

Biegnie znów dalej, żartując; płonie chęcią ujrzenia Zaranieckich rumaków.

Odchodzą.

Zostaje się tylko tych troje, i te dwie patrzące z płócien kobiety.

Janka przygląda się swemu szkicowi.

— Włoszyński odgadł moje usposobienie — myśli, — to prawda, ale ogromnie mnie upiększył...

Rada jest, że ma swój portret. Właściwie, to szkic tylko, ale szkic Włoszyńskiego! Przed nim samym, przed jego oczami, których spotkania unika, bo są dla niej oczami drapieżnego ptaka, skryćby się rada, ale dzieło podziwia, uznaje w nim mistrza.

— Gdyby tylko malował, ale nie patrzył i nie mówił! Będę go unikała — postanawia.

I teraz chciałaby wyjść stąd jaknajprędzej; lecz oto Irena zbliża się do niej i dziwnie, jak na nią, uprzejmie mówi:

— Wiesz, Janko, tak jeszcze nie weszłam w rolę gospodyni, że chcę dziś być tu jeszcze gościem.

Przyciąga ją ku sobie, wpół obejmuje i z ładnym uśmiechem pyta:

— Czy zechcesz zająć się, aby tam wszystko przy obiedzie było jak należy? Co, moja mała, wyręczysz mnie, dobrze?

Głos jej miły, tchnie uprzejmością.

Janka spogląda na nią zdziwiona. Takiej intonacyi w brzmieniu jeszcze u niej nie słyszała. Wszak wczoraj mówiła ironicznie, lub gniewnie, a teraz... Nie pojmuje, co to znaczy.

— Najchętniej — odpowiada i, rada z pretekstu, wysuwa się szybko z pokoju.

Włoszyński, zasunięty w głąb kanapy, z przymkniętemi oczami, zdaje się nie słyszeć rozmowy. Z pod opuszczonych jednak powiek wodzi zamglonemi oczami za Ireną.

Widzi jej ruchy trochę ociężałe, gdy zbliża się do Janki; owiewa go ciepłem jej pełne ramię, obnażone z pod szerokiego rękawa, soczyste i ciałem różowem jędrne; widzi głębokie wycięcie u gorsu, lekko ażurem koronki orzucone.

Szponami swego pożądania chce to wszystko mieć przy sobie; nabiegłemi krwią wargami gnieść w pocałunku kobietę, co nietylko przyjmuje uścisk miłosny, lecz potrafi wzniecić purpurową ognia falę, doprowadzić go do szału, upojenia, zmienić w niepohamowany, szaleńczy taniec zmysłów.

Z objęć jej wyszedł już raz spalony, półprzytomny. Teraz znów ona stoi przy nim, ciągnie go w ten wir, w to piekło, w ten żar...

Dyablica z płótna i ta, wychylająca się z łuski mieniącego się węża kobieta, ogarnia go niepohamowanym już obecnością ludzi, wbitym weń krwawym wzrokiem. A on ciągnie ją ku sobie.

— Chodź do pokoju Kryńskiej — szepcze zdławionym namiętnością głosem.

. . . .

Dom opustoszał.

Zaruski z Kryńską w stajni. Janka w oddalonej spiżarni; służba domowa w kredensie, zresztą wszyscy zajęci — dzień powszedni.

Cisza dokoła wielka.

Tylko od łąk, od pól płynie rozgrzane wonne powietrze; tylko kwiaty, omdlałe upałem, zwieszają sennie główki; tylko złote promienie słońca grają w zieleni drzew; tylko błękit nieba, odbijający się w zwierciedle stawu, zadumany jest i rozmarzony...

I przed ślicznym, słodkim pocałunkiem dnia letniego opuszczają się szybko we dworze Zaranieckim żaluzye dwóch okien...

Opadają szybko, gorączkowym rzutem ręki szarpnięte...

. . . .

— Doskonała klacz, ot ta, ta izabelowata — mówi Kryńska. — Musi mi pan dać ją dziś nad wieczorem. Pojedziemy razem, dobrze?

Stajnia obszerna, tak, jak i wszystkie w Zaraniu budynki, widna, wentylowana. Pomieszczenie wprost wytworne. W przegrodach konie rasowe do wyjazdu i wierzchowe. Kryńska upatrzyła już sobie klacz.

— Pieszczotka — mówi — ślicznie się nazywa, a i sama jest śliczna. — Gładzi delikatną, jedwabistą sierść konia. Lubi konną jazdę o tyle, o ile to daje jej możność flirtowania z towarzyszącym jej mężczyzną; pozatem nie odczuwa żadnego upodobania w pięknie konia; blaguje tylko, chcąc wzbudzić zajęcie w Zaruskim i zatrzymać go jaknajdłużej zdala od domu.

— Więc dziś nad wieczorem gdzie wyruszymy? — pyta, przyglądając się siodłom, uprzęży.

— To siodło wybiorę — mówi, wskazując damskie, turkusowym pluszem okryte.

Zaruski zdejmuje je, Kryńska chwali.

— Trzeba wybrać drugie damskie — mówi Zaruski. — Zapewne Irena i pan Włoszyński pojadą z nami także.

— Irena? — odrzuca Kryńska — ona? ależ nie, za leniwa na to. Sportów, oprócz tańca, i to w wirowych nie kręci się, ona zupełnie nie lubi. A Włoszyński, ten znów miał wypadek niedawno: upadł, czy coś podobnego, jeszcze odrobinkę kuleje. Inwalida! — śmieje się, — my tylko jedni dzielni i młodzi. Więc gdzież pojedziemy?

— Jest ładna droga do leśniczówki w chłodzie, lasem.

— Doskonale! zabawimy się wybornie; a tamci niech się nudzą. To trudno, skoro tacy niedołężni!...

. . . .

A tam, pod gorączkowym rzutem ręki, opadły ciemne żaluzje okien, zgrzytem rozbrzmiał obrócony klucz w zamku.

I zapadł zmrok.

W ciemni zagrało żywiołem.

Rozpętały się zmysły, rozkoszą zawrzały ciała. Żar powiał, palił, przepalał bujnością zwierzęcego życia.

Szał kipiał, zmysły odbierał.

Płomieniem, ogniem zalane źrenice zmagały się z sobą łańcuchem iskier. Dreszcz rozkoszy stał się w tragizmie napięcia bólem, męką. Pasya szalejąca furyą zaciekłości, zaciskać kazała zęby.

I nadeszła chwila, gdy:

Rozkosz stała się cierpieniem...

Miłość przerodziła się w nienawiść...

A przecież...

Żywiołowy podkład natur, co kłębi się, wiruje, wyje żądzą brutalną, porwie ciała te i, mimo wszystko, pociągnie znów ku sobie, by w rozwichrzonym, zwierzęcym uścisku drżeć rozkoszy dreszczami...

XIII

Zaruski padł teraz ofiarą jakiejś gorączkowej chęci pani Kryńskiej przejażdżek konnych, to znów długich pieszych, lub powozem, spacerów. Breloczek, będący uosobieniem dobrego humoru, stał się niemal jego cieniem. Czepia się też wciąż jego ramienia i układa nowe wycieczki. Nazwaćby ją można ustawicznym ruchem, ciągnącym za sobą umęczonego nią, lecz z musu grzecznego Zaruskiego.

Kontrastem jej są: Irena i Włoszyński. Ona, jak mówi, zmęczona fatalnemi upałami, w swej luźnej, domowej szacie,

przepędza dni całe na leżaku; on skarży się, że ból w nodze nie pozwala mu towarzyć Kryńskiej i Zaruskiemu w ich codziennych popołudniowych wycieczkach.

Stąd wyradza się podwójne życie.

Kryńska wdzięczy się do swego *cavaliero servante* tylko »*par amour d'art*«. Nie ciągnie ją nic ku niemu, zresztą możeby i pociągnęło, to nawet pewne, gdyby choć odrobina zachęty od mężczyzny wyszła.

Stworzone przez nią sam na sam nie zbliżyło ich ani trochę, Zaruskiego bardziej chyba jeszcze od niej oddaliło. Taką pustką moralną, okrytą łachmanami ażurów i zefirów, od Kryńskiej wiało, że Zaruski pocieszał się myślą, iż przecież kiedyś, a może i niezadługo, ten, narzucający mu się gość krakowski, oswobodzi go wreszcie od siebie.

Niestety, nie zanosiło się na to! Kryńska i Włoszyński czuli się w Zaraniu, jak mówili, zupełnie dobrze...

I w starym dworku tryb życia kompletnie się zmienił; ruch rozpoczyna się dopiero w południe.

Kryńska zajęła sypialnię Zaruskich. Irena przeniosła się do obok położonego pokoju, tego właśnie, który na dziecinny był przeznaczony.

Śniadanie roznosi się po pokojach. Obiad, wobec spóźnionej wstawania pory, został przeniesiony na godzinę czwartą. Do południa też służba zapowiedzianą ma surowo niezakłóconą ciszę; nawet Janka i Zaruski, którzy na śniadanie schodzą się po dawnemu w jadalni, rozmawiają stłumionym głosem.

W tym przyciszonym niemal szepcie jest ogromnie wdzięczna struna. Jakaś delikatna gra dźwięków wśród wonnej fali sentymentu.

Dziwnie potrafili wyodrębnić się wśród teraźniejszego istnienia.

Na pozór przyjmują w niem udział, właściwie zaś poza światem własnym nie widzą tych, którzy dokoła nich się przewijają. Wszelkie iluzye co do wyrwania Ireny z kręgu jej upodobań zerwane. Wiedzą o tem oboje; nie rzekłszy nawet do siebie ani słowa, rozumieją, że ich świat nie jest jej światem, i w krainę przez nich ukochaną, niby do jakiejś świątyni uroczystej, ona nie wejdzie.

Stać zawsze będzie tylko w przedsionku, niegodna wejść do samego przybytku. Ta lalka, o porcelanowej cerze i porcelanowej, bezmyślnej duszy, ta lalka z fryzyerskiej witryny, stała się im obojętną, cudzą, obcą!...

Zaruski wdzięczny jest nad wyraz Kryńskiej, że zająwszy sypialnię, uniemożliwia mu bliższe z żoną stosunki. Irena, wbrew zapowiedzianym w sąsiedztwie wizytom, nie wyrusza nigdzie. Zwiozła całe kufry stroi; prezentuje jednak tylko dziesiątki jaskrawych, efektownych negliżów. Nadzwyczajne są też hafty, koronki spódnic i halek; w rozrzuconych lekkich szatach znaczą się one bardzo wyraźnie. Pod ażurem jedwabiu króciuchnych skarpetek widnieje różowe ciało stóp, zaledwie okrytych podeszewkami sandałków. Upał wygnał rękawy, kołnierze: połowa biustu, ramion zaledwie orzucona koronką. Płachta lekkiego jedwabiu rysuje wybornie, zaledwie batystem okryte, pełne kształty.

Rozkosznie, niby kotka, etaluje je Irena w ogrodowym hamaku, lub na kozetce w swym pokoju... Podziwia ją Włoszyński i Kryńska.

Zaruski, Janka, przechodzą obok tej wystawy wdzięków obojętni już teraz.

Z początku sprawiała im ona ból, teraz przeszła w obojętność...

. . . .

To, co zaszło wczoraj, przejęło serce Janki wielką radością...

Irena i jej goście siedzieli późną godziną na werandzie. Zaruski konferował z Zapałkiewiczem. Ona wracała właśnie od dziecka, które grymasiło dziś trochę przed spaniem. Przechodziła przez werandę. I oto głos Ireny, kołyszącej się w fotelu na biegunach:

— Zatem ułożone, zostajemy jeszcze kilka tygodni, — a zwracając się do siedzącego obok Włoszyńskiego:

— Dobrze nam tu, prawda, *mon ami*? — pyta.

Oparł poufale rękę na poręczy jej krzesła, ogromnie pewny siebie, zwycięzki.

— Niezgorzej.

Wzrok jego pałający, namiętny, przeczy skromnemu określeniu.

Miesza się do rozmowy Kryńska.

— Tylko nie wiem, co dla mnie? Już mi te spacery i piesze i konne dokuczyły. Upał, gorąco, a ja muszę latać! — skarżyła się. — Doprawdy, i przyjaźń ma swoje granice!

— Cicho, mała, cicho! — upomina Włoszyński, rzucając w nią kawałkiem ciastka. — Pozwalamy ci bezkarnie flirtować, a tej jeszcze i tego mało!...

Rozmowa kończy się żartami, śmiechem, lecz Janka nie zwraca na nią uwagi. Przywykła do jej banalnej bezmyślności, słowa też obijają się, a uszy nie wnikają w ich treść. Tylko to pierwsze zdanie:

— Zostajemy jeszcze kilka tygodni.

Zdanie to odgradza ją od późniejszych i wprowadza w świat czarowny.

Każdego wieczora, powracając do swego pokoju, lękała się, aby to nie miała być ta ostatnia noc tu spędzona.

Miesiąc przeznaczony na ową sielankę, jak Irena pobyt swój w Zaraniu nazywała, dobiegał, zatem i na rozjaśniony błękit jej nieba zapaść powinna chmura wyjazdu, na delikatne, jasne słońce jej upaść łza rozstania.

I oto posłyszała, że ci ludzie doznają tu miłych wrażeń, że pobyt przedłużyć pragną. Przez chwilę przebiegła myśl:

— To jednak dziwne: ci rozhukani światowcy i ta cicha wieś, co mogą mieć wspólnego ze sobą? co?

Lecz wnet uchodzi w cień przed wizyą kilku tygodni utkanych z marzeń, co płaszczem, gwiazdami lśniącym, odrywa ją od rzeczywistego życia.

Odchodzi od niej tęsknota, co dławiła ją tak strasznie. Odchodzi ból, ulatuje cień. Błękit nieba bez chmur ciemni. Znów słońce w jutrzence jasności dokoła duszy.

I nastrój, od którego uleciała niepokoju burza, owiany pryzmatem chwilowego bodaj jeszcze szczęścia, sprawia, że oderwana od rzeczywistości istota z wnętrza swej duchowej świątyni wyrywa się zdziwiona ku głosom realnego świata, które na radosnych skrzydłach, jak pisze Mortonowa, pragnie jej ona przesłać:

— »Adwokat wrócił. Wiem, jaką radością przejmie to panią!«

— Radością — wyszeptała.

Ten list, którego od początku bytności swej w Zaraniu wyczekiwala, ten list nadszedł...

A przecież...

— To miało skruszyć moje okowy, więc było światłem, ognikiem, które ciągnęło mnie ku sobie...

A dusza jej szczera, prosta, kazała powtórzyć:

— Ciągnęło mnie ku sobie...

Drgnęła nerwowo.

— Lecz teraz... — zawołało w niej głośno, wywołując analizę uczuć, — teraz tu twoja radość, twoje światło...

Przesunęła ręką po czole. Jakaś natrętna mara majaczyła wśród radości, wśród światła.

Bo nić złota, wyśniona, miłości kochanka, idąca ku niej wśród mgieł na tle miłosnej melodyi, musi płynąć tylko oddalona, jak niedościgniony, wiecznie w opalowych rozmarzenia snach widziany miraż.

. . . .

To uczucie smutku, które naszło na Jankę, objęło też i Jerzego.

W szczery, ładny uczucia uśmiech, za którym lata całe tęsknił i w nim wreszcie kołysze teraz swą duszę, w ten uśmiech, który śliczną linią z ust Janki ku niemu biegnie, w ten czar, w ten wdzięk, w ten promień, w to upojenie — wdziera się też mara, — mara rzeczywistego życia.

— Wyjedzie jutro, a może już i dziś!? — zakrada się pytaniem w serce Jerzego.

List Mortonowej, znaczony blankiem gazety »Brzask«, przeszedł przez jego ręce.

Rozkoszna, cicha atmosfera, jak mgła poranna, uniesie się, uleci mu wraz z nią w niedoścignioną na zawsze krainę. I ból i trwoga duchowego niepokoju na myśl o pustce, która ogarnie go, tworząc mu nadal życie szare, beznadziejne, targa mu duszę i krwawi serce.

Przez te tygodnie, świat, w którym przebywał, składał się, acz z niewyrażonych, mglistych, lecz cudnych linii tonów.

— A teraz — mówi sobie — ona odejdzie, odejdzie do szczęścia, do radości, do życia...

Myśl przebija ciemną mgłę i wydobywa z rozmarzenia toni owe wspólne w źrenicach odnajdywane nastroje, owe

delikatne zbieganie się oczu, niby w cichem, sennem upojeniu, owe przeczucia uczuć, osnuwające ich wspólne istnienie tkanką o różowo złotawych poblaskach.

Te myśli, co biegły wspólnym duchowym kontaktem łączone, te dziwne, wśród delikatnie jaśniejącej chwili, zarysowujące się podobieństwem duchowem ich linie — myśl, rzuca mu, wdzierając się w ciemną smutku mgłę.

Rozproszyć jej nie może.

— Gdybym nawet we wzroku jej znajdował idącą ku mnie sympatyę — myśli, — to, mimo bólu duszy mojej, nie wolno mi uczucia tego rozwinąć. Niech odejdzie stąd bez zranienia serca w szeroką przestrzeń spokojna, a w przyszłości szczęśliwa...

. . . .

Janka i Jerzy siedzą, jak codziennie, pijąc poranne śniadanie. Są w tej samej zacisznej jadalnej salce.

Przez otwarte drzwi balkonu wpływa znów złote, przezroczyste światło, wijąc się cieniami wśród jasno żółtego tła alei piasku. Aksamit winnych liści i powoi okala zieleni falą wejście domu i balustradę ganku.

Stolik, na którym zastawiono śniadanie, objęty jest także tą złocistą tonią. Zapala ona iskierki we włosach Janki, migoce w liliowej jaśni batystu jej sukni.

Niewypowiedzianie jest tu słonecznie, radośnie, miło. Tylko dziś zaróżowienie jutrzenne z twarzy znikło. Jakiś cień opadł na oczy.

— Pani miała wczoraj list od pani Mortonowej? — zapytał Jerzy cicho.

— Tak — biegnie krótkie, jakby przymusem tchnące.

Coś bardzo tęsknego przebiegło w jego źrenicach, opadło smutkiem w łagodnych ustach.

Grę świateł, krajobraz słoneczny zaległa melancholia milczenia.

Oboje cofnęli się w głąb siebie, milczeli.

Wreszcie krótkie, urywane:

— Adwokat przyjechał?

— Tak.

— Pani odjeżdża?

— Nie.

Znów nastało milczenie.

Owo »nie« zadrgało całą struną serdeczności, w niem objawiło się serce całe, szczere.

— A przecież, choć mi ona szczęściem najwyższem — myślał Jerzy — moje serce odezwać się do niej nie powinno, nie może. Gdybym powiedział, że ją kocham, byłoby to dla niej zniewagą!...

Więc na to promienne ujawnienie się jej uczucia smutek, który przeciął głęboką bruzdą jego czoło, był odpowiedzią. Bardzo był blady i strwożony.

Duch jego pragnął z nią świata. Wrota istnienia takiego były przed nim zamknięte...

. . . .

W domu służba przesuwa się na palcach.

— Tamci państwo śpią — upomina stary Jan.

I sama pani domu liczy się do grona »tamtych«. Dawny sługa, Żabczyńska, nie odczuwają, aby gospodyni weszła w progi tego domu; po za słowami rzuconemi Jance w dzień przyjazdu Włoszyńskiego: »dziś chcę tu być jeszcze gościem«, poza słowami czyn nie nastąpił.

Oto rozległy się dzwonki, sygnał śniadań.

Porywa się Janka od stołu. Mimowoli musiała objąć

rządy domowe, a te, teraz, z przyjazdem tych państwa, są dość uciążliwe.

Odchodzi za Janem, lecz oto odwraca głowę ku Zaruskiemu, i w ślicznem, pełnem wyrazu spojrzeniu ciemnych oczu swych zostawia wrażenie istoty miłej, kochanej.

. . . .

Dla pana Włoszyńskiego ogromny płat krwawej polędwicy. To jego pierwsze śniadanie...

— Posila się intensywnie — uprzedza Kryńska — i jest bardzo wybredny. Polędwica, ale koniecznie z rusztu — mówi do gospodyni. — Proszę uprzedzić kucharza!...

Jacenty, którego z roli kuchcika Zaruski awansował na kucharza, bardzo w swoim fachu zresztą uzdolniony, zna polską kuchnię doskonale; krwawe jednak rostbefy nie są jego specyalnością; ów ruszt napawa go rozpaczą!

Żabczyńska nie jest mu pomocą, więc Janka przypasuje fartuszek i staje do smażenia sławetnego śniadania — śniadania dla mistrza!...

— Znakomitego masz pan kucharza. Nie pamiętam równie dobrych rostbefów — mówi Włoszyński Zaruskiemu,

Wieś, jak twierdzi, oddziaływa na niego doskonale, i w zgodnem z Ireną i Kryńską trio zgadza się na zabawienie w Zaraniu jeszcze kilku tygodni. Odpoczywa zupełnie. Pendzla nie bierze do ręki. Jest w wybornym humorze. Przy Zaruskim trzyma się nieco na wodzy. Jego sposób wyrażania się, nazwany przez Kryńską »brzydką buzią«, odnajduje się w pełni wobec pań. Bawi go niezmiernie i rad pije zmieszanie z twarzy Janki.

— Pani się gorszy? — śmieją się do niej jego pełne usta, — bo pani żyć nie umie! Jesteś ładną lilią, ale ja li-

lii nie lubię. Więc nie bój się, nie będę tym, który cię żyć nauczy!...

Janka dyskretnie usuwa się.

Wogóle z Ireną i Kryńską są zupełnie zdaleka. Antypatya jest wspólna. Ona usuwa się instynktownie, nie chcąc białej lilii swej szaty w zetknięciu z niemi zabrudzić. One, płomienne centyfolie życia, zazdroszczą może tych śnieżnych płatków, a może nudzą je one swą bielą. Więc też poza światowym konwenansem niema między niemi żadnej łączności. Za to Włoszyński i Irena, począwszy od ukazania się przy obiedzie, są nierozłączni. Po południu Kryńska władnie już niepodzielnie Zaruskim. Nie sprzykrzyły się jej przejażdżki konne. Zapoznała się z jedną z dam sąsiedztwa i tam Zaruskiego za sobą ciągnie. Rzadki jest wypadek, by mu popołudnie darowała. Dziś tylko jest bardzo cierpiąca: zęby dolegają strasznie.

— A właśnie — zwraca się do Zaruskiego — musi mnie pan dziś zastąpić. Liniecka (owa sąsiadka) pragnie zwiedzić szkółkę koszykarską. Musi pan po nią jechać i zawieźć do warsztatu. Zajmie to panu czas do wieczora; w towarzystwie fertycznej blondyneczki nie znudzi się pan... poflirtujecie! — śmieje się, wdzięczy, żartuje.

Pobiegła do stajni, wydała rozporządzenie, aby o szóstej zaprzężono. Żali się, że ząb coraz gorzej ją boli, grozi chusteczką na twarzy. Trzyma się za zęby, grymasi jak małe dziecko.

— I upał mnie męczy, zamykam się w swoim pokoju i proszę zapomnieć, że egzystuję.

— Irena jest wyjątkiem — mówi. — Zresztą i ona pewno nawet na ogród nie wyjdzie, chyba wieczorem..

— Będziesz się pan nudził — zwraca się Irena ku

Włoszyńskiemu, — bo rzeczywiście i ja nie czuję się zdrową i na mnie upał fatalnie oddziaływa...

Towarzystwo rozdziela się.

Irena odchodzi do siebie. Kryńska dopilnowuje, aby Zaruski do Linieckiej pojechał. Z chwilą, gdy powóz znika jej z oczu, a ona przestaje powiewać ku odjeżdżającemu chusteczką, dziwnie prędko opuszcza ją ból zębów. Wesoło powraca do domu i niezadługo z książką i pudłem cukrów zanurza się w sznurach wysłanego puszystym pledem hamaka. Rozłożysty kasztan chroni ją od skwaru; zajada się smażonemi owocami; od czasu do czasu rzuca filuternie wzrokiem w stronę domu.

— I poświęcenie dla przyjaciółki ma swoje granice — mówi, oglądając końce lakierowanych pantofelków. — W taki upał taszczyć się do tej Linieckiej... miła perspektywa! A tak, doskonale, pojechał sobie sam, wróci wieczorem dopiero. *C'est tout ce qu'il faut!*

Odwróciła się na bok, przeciąga, spojrzała znów w stronę domu.

— Dobre mają tam chwile — uśmiechnęła się, schrupała pomadkę, — *ma foi!* wiem i ja coś o tem!...

Po wyżwirowanej ścieżce, tuż poza krzakami, lekko przesuwają się koła dziecinnego wózka; między gałęziami rozbłękitniało. To materya opuszczonej budki przesłała słońcu niebieskawe tony. Śliczna, haftem zdobna kołderka, wysuwa się z wózeczka, na niej srebrnym połyskiem migocze grzechotka.

Janka w blado-kremowej sukni idzie tuż obok; mamka z miną znudzoną i niechętną wózek posuwa.

Nienawidzi tej nowej pani. Inszy obiecywała sobie na wsi pobyt.

— Ta śledzi mnie bezustannie, na pięty nietylko w dzień, ale i w nocy następuje. Ot, znalazła się dla dziecka opie-

kunka — skarży się Zuzi, garderobianie Kryńskiej. — Nie było to, jak w Krakowie. Wyszło się na planty, cały dzień wolno było siedzieć, pies się o dziecko nie zatroszczył!... a tu, co?

— Rzucić do licha! — doradzała Zuzia.

Ta wyprawa, a prócz tego ciągłe fatałaszki, które sprytna dziewczyna od Ireny wyłudzała, były magnesem, dla którego mamka znosiła, słuszne zresztą, wymagania Janki.

Przesunęły się po żwirze koła wózka, znacząc lekkie ślady, znikł śliczny odcień, poczerniały jeszcze przez chwilę długie wstęgi krakowskiego kostyumu mamki, wreszcie wszystko znikło z przed oczu Kryńskiej.

— Rozczulająca rzeczywistość, dzieciątko! — zaśmiała się — a jak pomyślę o mężulku, pędzącym do Linieckiej, umieram ze śmiechu!...

Zachichotała, przyszła jej na myśl zwrotka z operetki o mężu, »co to ma rożki dwa«.

Zanurzyła oczy i rękę w pudle owoców; wahała się przez chwilę: czy gruszeczkę osmażoną, czy jakbłuszko rajskie? Wybrała jabłuszko, pogrążyła w nie zwolna ząbki. Czuła się bardzo upałem zmęczona, jakby senna. Drzemała...

XIV

Zaruski wraca do domu, wraca o wiele wcześniej, aniżeli ogólnie przypuszczano. I na panią Liniecką gorąco oddziałało fatalnie, nie jest w stanie ruszyć się z domu.

— Pańszczyzna mnie ominęła — myśli Jerzy, rad serdecznie, że oględziny szkoły odłożono na dzień inny.

Podjeżdża pod wieś, wysiada, konie odsyła do stajni. Wstępuje sam do szkoły koszykarskiej. Żal mu chłopca, który

z powodu oczekiwanej wizyty siedzi w warsztacie. Zwalnia go więc ze stanowiska, zamyka budynek, powraca do dworu. Gospodarze witają go serdecznie; rozmawia z nimi przez chwilę, wreszcie wchodzi w aleję kasztanową; już jest niedaleko domu.

— Ot, byłbym zapomniał! — Wydobywa z kieszeni płaszcza maluchną, ciemną buteleczkę z płynem.

— To pani Liniecka dała dla Kryńskiej niezawodny środek na ból zębów.

— Czy dwie krople, czy trzy na watę? — usiłuje przypomnieć sobie Zaruski.

Szereg wielkich, wspaniałych, rozłożystych kasztanów zamyka już jakby sklepienia, które konary nad głową Jerzego tworzyły. Już płomień i biel róż, liliowe, wonne heliotropu kwiecie, złocisty szmaragd rezedy śmieje się do niego z klombu przed domem; a on, rad z nieudanej wycieczki, idzie wprost ku oknom pokoju Ireny.

— Tą drogą najlepiej będzie — mówi sobie. — Te panie są zapewne u siebie, wstawię flaszeczkę przez okno Ireny i objaśnię o co chodzi.

Niezapuszczone sztabki żaluzyi, a tylko zwieszająca się ku dołowi materya story, zdaje się temu projektowi sprzyjać.

Oto delikatnie ujęta ręką Zaruskiego osłona uchyla się dyskretnie; ku niej zmierza ręka jego, z ciemnym, małym flakonem; lecz nagle zielona tkanina opada szybko, ręka cofa się i opada też ku dołowi.

Jerzy odchodzi... raczej zatacza się, jak pijany. Opiera się o pień drzewa, stoi zmartwiały.

To, co widział, kłębi się, wiruje w jego mózgu, ginie na chwilę, zapada gdzieś, by znów całe, zuchwałe, jako fakt, drgać przed oczami jego duszy.

Drgać, jak obraz z piekła wyjęty.

Stoi z oczyma szeroko rozwartemi, wbitemi w ten świat, co niby fala kamienna zapadła w jego oczy i wali się na niego.

Jęk wydziera się z piersi. Ciało, oblane żarem i potem, całym ciężarem opada na drzewo. U stóp sączy się cieńkim sznureczkiem czerwony płyn flakonu, niby krwista wśród jaśni piasku struga. A on stoi.

A on, on stoi... wśród huraganu, co wyje kłamstwem, a podłością szarpie mu duszę.

— Podła, podła! — woła głąb jego czysta, szlachetna. — I to tu, tu, pod moim dachem!...

. . . .

— Pod moim dachem!...

Słowa te padają w obronie tych cichych, świętych, spokojnych, tradycyą poświęconych ścian tego dworku, w obronie świętości małżeńskiego związku, co teraz, w zgniliźnie cudzołożnego istnienia zatruty, cofa się gdzieś w głąb przed wężem zła, który wpija się tam w syku i jadzie rozpusty tych splecionych w brutalnym uścisku istot.

. . . .

A jest to jedyna myśl, która w człowieku łamiącym się pod jej naporem drga, obija się całą rozpaczną męką.

Z cierpienia samca, któremu własność jego bezsprzeczną drugie ludzkie zwierzę odbiera, niema w nim ani trochę. Ta bezczelnie naga kobieta, prężąca się rozkoszą pod pieszczotą tego drugiego, bielą swego ciała odpycha go wstrętem, odrazą.

Stargały się w nim nerwy, zawrzały grozą: tylko jedna myśl rozbija mu się pod czaszką, zalewa serce:

— Z pod tego dachu precz z niemi... precz!...

I gdy dostrzega przekradającą się Kryńską, która przerażeniem na jego widok objęta, stara się, unosząc tren sukni, przebiegnąć poza osłoną krzewów, nie jest w stanie podejść do niej; ruchem tylko przywołuje ją tu, do siebie.

A tyle jest grozy w podniesionej dumnie jego ręce, tyle strasznej energii w wyrazie twarzy, że Kryńska nie śmie oprzeć się jego wezwaniu.

I na nią z poza blanszu i pudru wybiegają krwawe rumieńce.

Czuje z pod wbitych w nią źrenic pogardę, biegnącą ku niej; mimowoli zimno ją ogarnia; opuszcza strojną w kokardy i wstążki głowę.

Idzie pod piorunem jego wzroku, upokorzona nim, ugięta. A on podnosi teraz oczy ku zasłonionym storami oknom. I przed oczami jego drga mu znów nieubłagany, piekielny, rzucony mu przed chwilą obraz.

Porywa się, jakby dotknięty rozpaloną do białości żelaza sztabą.

— Precz z niemi, precz z wami! — dławi się słowami — zaraz, teraz — za pół godziny pociąg!

Blaski grają mu w oczach. Wszystko w nim drga. Odwraca się od wzrosłej jakby w ziemię kobiety.

— Bić się z tym nie będę. Ona ma dziecko, więc żadne nazwisko! rozumiesz pani? Tylko niech precz mi jedzie i on i ona... wy wszyscy...

Słowa kłębią mu się, pchają, tłoczą:

— Precz zaraz, inaczej wyrzucę!

Odchodzi.

Kryńska patrzy za nim chwilę. Widząc, że nie powraca, odzyskuje wrodzony tupet.

— No, przeszłam ciężką chwilę, to pewna — myśli. —

Ale złość go tak dławiła, że nie bardzo mi nawymyślał, i tak dobrze, jako tako udało się!...

Pomyka szybko w stronę domu, już lekko puka do drzwi pokoju przyjaciółki.

W złocistej aureoli rozpuszczonych włosów, przez uchylone drzwi, ukazuje się twarz Ireny. Ręką przytrzymuje miękkie zwoje białej materyi narzuconego na prędce negliżu. W Kryńską bije jej demoniczna piękność. Nie czas na komplementy, uderza niby taranem odrazu:

— Wieczna wasza nieostrożność! żaluzye niezapuszczone... on widział! — rzuca groźnie.

Irena otwiera już całe drzwi; w fałdach śnieżnych, zaledwie kryjących jej rozkoszne kształty, patrzy zmieszana, strwożona na Kryńską. Nie spodziewała się tego. Przez kilka tygodni te sam na sam udawały się wybornie...

— Twoja wina — rzuca z wyrzutem Kryńskiej. — Twoja wina... nie chciałaś z nim dziś jechać...

— Twoja nieostrożność! — odrzuca jej Kryńska, zła, bo czuje, że rzeczywiście popełniła przez lenistwo winę.

Włoszyński słyszy rozmowę; nie jest nią strwożony; pewny, jak zawsze, siebie, odsuwa Irenę od drzwi, sam przechodzi do sypialni Kryńskiej.

— Więc ten zdechlaczyna widział — mówi spokojnie, zapalając papierosa. — To dobrze. Mógł się nauczyć, jak się rozkosz daje, i jak ją taka cudna kobieta, jak Irena, bierze — roześmiał się.

— Dajcie-no mi papieru — zwrócił się do pań — będziemy się bić z tym cherubinem!

— A właśnie, że nie — przerwała Kryńska śpiesznie — kazał mi uprzedzić, że bić się nie będzie ze względu na dziecko, że to byłby skandal!...

— Wszystko mi jedno. Znam swój obowiązek. Dawajcie papier!...

I już napisał kilka słów:

»Na pańskie usługi«... podpis.

— Dać Zuzi, niech odniesie! — komenderował Kryńską. Odwrócił się do stropionej tą historyą Ireny.

— A ty, moja piękna, nic się nie bój. Strzelam doskonale, a biała broń, to też moja specyalność!...

I bardzo piękny, podbijający w swej męskiej dzielności, przygarnął kobietę, odrzucił draperyę, pokrywającą ramię, spalił je oddechem wrzącego pocałunku.

— No, z tej słynnej awantury mam tę korzyść, że w zwykłych warunkach miałbym cię znów dopiero jutro, a tak, noc jeszcze nasza! — zacisnął jej rękę kurczowo w swojej silnej dłoni — rozumiesz, nasza!...

Nasycenie instynktu zabiło w nim wszelką lepszą myśl. Zdolny byłby do zbrodni, gdyby mu w tej chwili usiłowano odebrać to cudne ciało. Zmysłowe, pożądliwe wydęcie ust, rozdęte, jak u szalejącego konia, nozdrza, oczy płomienne — robiły go w tej chwili żądzy strasznym. Burza jednak rozpętana jego zmysłów rozpalała pożar, ku niemu rwący. Więc i on, i Irena, choć w przededniu jakiejś krwawej katastrofy, nie widzą krwi, która stopy ich zbroczyć może...

Oczy ich szukają się wzajem, stopione w spojrzeniu namiętnem, zawrotnem.

Zuzia przynosi odpowiedź:

»Żądam wyjazdu — zaraz!«

Litery krzywo rozrzucone. To »zaraz«, dodane z całym bólem, krzykiem serca, co precz ich stąd wygnać pragnie.

Zaraz!

Lecz słowa tego, co jak ptak płomienny wybiegło z mózgu, nie zrozumiano tu, nie doczuto...

— Cherubin podszyty tchórzem! Deklamacya o dziecku, skandalu! — dowcipkuje Włoszyński, rwąc papier.

Kryńska, uspokojona, zbiera drobiazgi. Irena, zajęta już podróżną toaletą, ubiera się pośpiesznie.

Rzeczy zbierze Zuzia i jutro rannym pociągiem przyjedzie.

W lustrze odbija się postać dwu kobiet; są znowu wesołe. Kryńska rada, że misyę swą, która ze względu na nudną osobę Zaruskiego niezmiernie ją męczyła, uznaje za skończoną. Irenie uśmiecha się miłość ognista Włoszyńskiego, wyjazd do Zakopanego i dalsza, wesoła, już bez męża, egzystencya.

Włoszyńskiego pochłania jego obecna pasya. Przez chwilę nie przeżywa męki, co wrzyna się w duszę i serce skrzywdzonego przezeń człowieka, tego, który podwoje domu swego przyjacielsko mu otworzył. I tak już jest zawsze; talentem swym i własnem »ja« idzie zwycięsko wśród życia, zmiatając niepotrzebne na drodze pionki.

Niejednego męża zdystansował!...

— Niech się pilnują — śmieje się cynicznie. — Szanse nasze jednakowe!

I teraz wychodzi z cichego tego dworku, rad, że uwozi ze sobą rozkosz i radość!...

. . . .

— Tamci — mówi służba — odjeżdżają...

Nikt nie śmie pani żegnać; nie rzuciła im nigdy dobrego słowa; przechodziła obok wyniosła, dumna, jakby nie widząc ludzi, którzy przecież jej wiernie służyli.

Odjazd trochę dziwaczny: mąż i gospodarz domu nie żegna żony, gości. Lecz ci troje, ani odrobiny tem nie zakło-

potani. Kryńska znów wybielona, ruchliwa, fertyczna, wesoło wydaje Zuzi ostatnie co do rzeczy rozporządzenia. Irena upomina, aby nie gniotła sukien, pakując.

Włoszyński dopomaga wsiadać tym paniom do powozu; zupełnie jest swobodny i bardzo wesół. Konie parskają; on woła, machając swą panamą:

— *Salve dimora casta e pura!*

Przedziwnie początek tej aryi wiąże się, zespala z tym oblanym ostatnimi promieniami słońca cichym ogrodem, z białemi ścianami tonącego w winogradowej zieleni i zwojów powoi dworku Zarania.

Czysta, spokoju pełna atmosfera.

Wbiega w nią nuta ogrodowej Fausta aryi, w metalicznym, aksamitnego brzmienia pełnym barytonie Włoszyńskiego. Jest coś z djabelskiego, ironicznie rozchichotanego szyderstwa w tym śpiewie!...

Urywa go i, zwracając się do śmiejących pań, rzuca:

— Odrobinkę skalaliśmy czystość tego skromności przybytku!...

I zaraz myśl jego zwraca się ku dalszej, rozkosznej egzystencyi.

— Przyjmiesz nas dziś do siebie, Mefistofelku? — pyta Kryńskiej, połyskując białemi, jak u wilka, zębami.

— Najchętniej. Wypijemy szampańskiem zdrowie młodej pary, gdzie w jakim gabineciku, a potem ja znikam; wracajcie do mojego gniazdka!...

Śmieje się, ściska Irenę.

Z omdlewających żarem, spiekotą dzienną kielichów kwiecia wypływa woń odurzająca, rozkoszna.

Konary kasztanów spływają majestatyczne, wspaniałe, rozpraszając wśród siatki swych liści ostatki słonecznego poblasku.

Sad tchnie całą słodyczą letniego, cudnego wieczora. Od pól i łąk biegną ku ścianom dworku Zarania wonie słodkie, czarowne...

XV

Właśnie w chwili, gdy powóz, odwiózłszy »krakowskie państwo«, powracał drogą ode wsi do stajni, Janka uznaje, że pora dziecku przed zachodem słońca znaleźć się w domu. Wracają z pola. Ogromne pęki rozwiewnych traw uzbieranych zaściełają wózeczek. Bławatki oczu Halinki, jakby wyjęte z twarzy ojca, śmieją się do Janki i do kwiecia. Maleństwo bieluchno ubrane, wśród drżących traw, wygląda jak kwiat wśród nich rzucony.

Ma śliczne, dziwnie, jak na dziecko, ukształtowane, drobniuchne rysy. Miniatura Jerzego, okolona złotemi kędziorkami, wijącemi się wdzięcznie dokoła bladawej buzi. Drobne rączki igrają w delikatnych płatkach. Ogromnie maleństwo to pokochało Jankę.

Codziennie u kołyski Halinki łączą się jej i Jerzego dusze. Przy kołysce tej ciche, zaledwie im dosłyszalne o dziecku słowa, łączą ich w serdecznej trosce o maleństwo. A chwile te, niby sny, przemykają ciche, tajemnicze...

Gdy Janka wchodzi do ogrodu i dostrzega po przez strzały bramy wracającą parę szpaków od strony kolei, ogarnia ją wielkie zdziwienie.

Przez kratę rzuca furmanowi pytanie:

— Kto odjeżdżał?

— Ci goście — odpowiada stangret, skręcając ku stajni.

— Czyżby Kryńska z Włoszyńskim? — formułuje się w myśli Janki. — Co to znaczyć może?

Dochodzą do domu.

Przez otwarte okna sypialni widzi teraz porozstawiane kufry, kosze, pudła. Dokoła tych podróżnych przyborów kręci się Zuzia. Na łóżkach porozrzucany istny magazyn stroi, okryć, kapeluszy, parasolek. Nie brak i walizy Włoszyńskiego. I jego garderoba rozrzucona na krzesłach.

Złe przeczucie, przeczucie grozy obejmuje serce Janki. Zwraca się do pokoju — pusty. Tylko wśród nieładu jedna Zuzia. Ku niej też zwraca się przelękniona Janka.

— Kto wyjeżdżał? — pyta dziewczyny.

Zuzia wynurza się z kufra, w którym zapadała, a objęta muślinami, jedwabiami negliży, w uśmiechu i dwuznacznem spojrzeniu rzuca:

— Ano, nasze panie i ten pan malarz.

A potem dodaje ciszej, jakby tytułem objaśnienia:

— Była awantura z panią Kryńską w ogrodzie. Słyszałam. Pan coś tam przez okno dojrzał — zaśmiała się. — No, pora, już chyba wszyscy o tem wiedzieli!...

Słowa te, rzucone w złośliwym uśmiechu, co rozbawiony drga w kącikach ust dziewczyny, tu, w tem środowisku szlachetnych i czystych horyzontów — idą ku niej brudne, potworne.

Rozrzucone materye, podobne wężom i gadom, snują się dokoła, roniąc ze siebie jad i męty. Płomiennie czerwony krawat Włoszyńskiego wdarł się tu zuchwały, cyniczny. Zda się tu drwi, szydzi, chichocze...

Fakt woła głośno o sobie; Janka zaprzeczenia rzucić nie może dziewczynie. Ta patrzy na nią z tryumfem. Pod wzrokiem jej opuszcza sypialnię. W przedpokoju spotyka się z wejrzeniem mamki. Karmicielka rozweselona jest i nad pojęcie rada, że przecież i państwo poawanturowali się z sobą. Ponad tą radością, w oczach dziewczyny błyszczy i nadzieja

wydobycia się z tej klasztornej klauzury; rozwydrzonej naturze tej ciasno tu i strasznie nudno. Dziewczyna słyszała rozmowę, bo zatrzymała wózek przy drzwiach sypialni; łakomie ogarnia bogate stroje, pożądliwie wchłania ciekawą nowinę.

— A ze mną co będzie? — pyta.

— Pan rozporządzi.

To »pan rozporządzi« nie podoba się snać miejskiej damie, bo odyma usta, chmurzy po swojemu twarz, i wroga, niechętna, pcha z nieukrywaną złością wózek ku dziecinnemu pokojowi.

Janka, mówiąc »pan rozporządzi«, sama nie zdaje sobie sprawy, jak w domu tym dalej życie iść będzie. Wie tylko, że to, co ciemnią powlekało czoło Zaruskiego — wspomnienie Ireny — teraz, przy ukazaniu się jej samej, nagromadziło całe zastępy ciemnych, gradowych, nieszczęściem nabrzmiałych chmur.

I oto teraz, na jasne, pogodnie roześmiane Zaranie, pada oślepiający błyskawicą ognia — zygzak!...

W ślad za nim huk, grzmot, ryk nieszczęścia.

— Jak u mnie, jak u mnie!...

Dusza jej wymawia znów te słowa, z niemi pędzi posępny orszak wspomnień złych, dręczących, dziwną analogią z obecną chwilą łącznych...

Wdarły się znów w jej serce. Goni je precz od siebie. Ten powrót adwokata odegna je z życia na zawsze, na zawsze...

— To u niej...

— Ale tu?

Pytaniem zawirowało w mózgu, spłynęło do serca, i serce zawołało nieśmiało, cicho:

— Ależ i tu, i tu także.

Porwała się ku myśli tej z szeroko ku szczęściu rozwartemi oczami.

Jak objawienie rozbłysło to przed nią.

— Więc, gdyby i tu — powtórzyła śmiało, radośnie.

. . . .

Odjechać musi.

W żałobny welon krepy, w świeżo usypaną cmentarną mogiłę, w zgliszcza, z których dobywa się jeszcze dym spalonego pożarem domowego życia — nie rozpiął się jeszcze tęczowy łuk, lśniący brylantami czaru — słowa:

— Kocham!...

Tylko jak anioł, czuwający u grobowca, światłem, którem promienieje, rozchyla zasłonę przyszłości i w mglistej jeszcze fali, delikatnie, pieściwie migocze kwiatem jakiejś możliwej, ukochanej chwili — tak i słowo to drga w przestworzu dostojnie, miłośnie.

Biała postać Janki zdaje się tylko na krótką chwilę ulatywać ze ścian domu tego. Oczy jej ogarniają dwór, sad, pola, łany — mówią im słodko, łagodnie:

— Do widzenia szczęście me, życia mego radości!

Potem wzrok jej biegnie ku temu, który, oszołomiony jeszcze uderzeniem piorunu, zatrzymuje teraz na niej jakby zalęknione, lecz czarujące źrenice oczów swych i w ciemni wzroku jej szuka raz jeszcze słów tych, co lękliwe, urywane, lecz wymówione, padły mu tak drogie, miłe, kochane.

Patrzy w usta, co wyszeptały słodko, łagodnie:

— Pan był nieszczęśliwy, lecz jeszcze życie uśmiechnąć ci się może...

Jego własne, wśród szmerów liści i księżycowych blasków nocy, mówione do niej niegdyś słowa.

Teraz jej usta mu je szepczą, a on ku jaśni, którą mu ona lekko, delikatnie odsłaniać poczyna, zmęczone, oślepione błyskawicą życia oczy swe zwraca.

I ledwie dostrzegalne kontury przyszłości rysować się im w poblasku różanej jutrzenki poczynają. Przez piekło i ból piekielny przewija się ku nim cud piękna harmonii. Nadmiar szczęścia, upojenia ogarnia go całego.

W radosnem zadziwieniu spostrzega, że stoją w tem samem miejscu, gdzie po raz pierwszy dawał jej słowa przyjacielskie, łagodne.

Teraz ona idzie ku niemu, niosąc mu je z całą powolnością — czarująca, wymarzona w swej idealnej kobiecości. Niesie mu cień, promień, ognik nadziei, płonie mu, jak gwiazdka świetlana, kojąca.

. . . .

W ściany dworku, w złote pól łany, w jasną zieleń łąk, w kryształy stawu, w melancholię życia — biegną tęskne z olśnieniem idące:

— Ona tu na zawsze, na życie całe!...

Ku ścianom dworku, ku złotym pól łanom, ku jasnej zieleni, ku kryształom stawu, w melancholię życia — płynie tęskne, wraz z olśnieniem idące:

— Do zobaczenia!

Janka, cudne zjawisko, biała, jasna Janka, odbiega stąd na chwilę... tylko na chwilę!...

. . . .

Tylko na chwilę!...

Bo zapadnie w nicość fałsz, kłamstwo, zło...

Opadną dźwięczące jeszcze na Prawdzie kajdan okowy...

Ona — Prawda — cała, pełna w uosobieniu swej doskonałości, a szczęściu tych dwojga — rozwinie się cudna w tryumfalnym łuku tęczy brylantami sprawiedliwości lśniąca.

I dlatego wyraz jej — »oni«, w swych przeczystych uczuciach Prawdą tą tchnących, radośni, szczęśliwi, wniebowzięci, w przyszłość swą wierzą!...

Świt szczęścia przedrze się przez złość ciemności.

Przedrzeć się musi, bo tak chce Prawda.

Więc przecież... tak być powinno!!

KONIEC CZĘŚCI DRUGIEJ.

CZĘŚĆ III.

I

— Na wczoraj było naznaczone spotkanie nasze w konsystorzu.

Westchnienie.

— Powiadam pani, co mnie to kosztowało! Kroki pojednawcze: forma, ale dla mnie męka!...

Młoda blondynka denerwuje się wspomnieniem owego »wczoraj«.

A potem głos drugi:

— No, ja jestem wolną od podobnych historyi. Mój były mąż jest *contumax*'em!

Na twarzy ma jednak wypieki krwiste; przed chwilą ukończyła konferencyę z adwokatem.

W drugim kącie pokoju inna, przyciszona rozmowa:

— Do ekspertyzy wyznaczono mi dwóch doktorów, Braciszewskiego i Narskiego.

— A ileż ma być tych »mądrych pań«?

— Zdaje mi się trzy, czy cztery, i tak zwana »matrona«. Boże, jak ja się boję!

Milczenie.

Po chwili podniecony głos kobiety:

— A przecież przejdę przez to piekło, bo muszę być wreszcie wolna!

Ekspertyza robi jednak swoje: kobieta kurczy się, trwoży, męczy.

Tłumione dźwięki biegną teraz z poza rozłożystej palmy:

— Od ostatniego wypadku z tą metryczką strasznie uważają.

— Z Milą Porycką?

— No tak! Rozwód udzielony, już zapowiedzi z Czerskim wyszły, aż tu Karowicz otrzymuje metryczkę jej dziecka z Poryckim! Co, *tableau?* bo przecież uznana za pannę, i stąd rozwód!...

Wybuch srebrzystego śmiechu.

— A pamiętasz Koreckich, co to sobie świadków dopożyczyli? Wiesz, w tej sprawie na punkcie przymusu.

Znów gama wesołości.

— Paradne! No, tylko to nie z Rówieńskim historya. U niego musi być sprawa czysta, jak łza.

— Pareński, to tam rozmaicie; ot, Murskiego haniebnie podeszli, byle go złapać *in flagranti!*

— No, moja droga! ludzie rozmaicie sobie radzą.

— Czy to uczciwie?

— Nie sądź innych, bo nie wiesz, co zrobiłabyś sama w ich położeniu.

— Dobrze, że choć my jesteśmy z prawem w porządku.

Uśmiechają się do siebie pogodnie, wesoło.

Lecz wyrazy: »ekspertyza«, »matrona«, kontumaks«, rwą się wciąż z ust, spieczonych gorączką, trawionych niepokojem, grozą.

Wyrazy dziwaczne, niezrozumiałe, straszne, dochodzą do uszu Janki.

Przyszła do adwokata zaraz nazajutrz po swojem do Warszawy przybyciu.

Salonik zapełniony. Przeważają damy; kilku panów odosobniło się, szukając miejsca na oszklonym balkonie. Ci milczą. Panie natomiast widać znają się, bo rozmowa ogólna.

Janka z przestrachem słucha zdań, które padają; przerażają ją, oszałamiają.

Oczy ma spuszczone, dostrzega jednak, że kobiety te są dziwnie zdenerwowane.

Wydaje się, jakby szły w jakąś walkę zaciętą, w bój jakiś, jakby na przebój zdobyć chciały to, co im na gwałt również odebrać się starają. Tworzą obraz ogromnie sprzeczny: młode są, a w wyrazach, które z ust ich idą — stare życiowem doświadczeniem.

I znów rozbrzmiało w saloniku.

— Więc jaki skład księży?

Potem nazwiska, objawy zadowolenia lub niechęci. Rady, zachęty, słowa współczucia. Niedola łączy kobiety te w jakieś bractwo nieszczęścia.

Życie nie udało się im.

Czemu?

Wyciągnęły zły los na jego bezmyślnej loteryi.

I dlatego są teraz tak zdenerwowane.

Inne, często niedorównujące im w moralnej wartości, grzeją się w cieple rodzinnego ogniska.

Te są spokojne, zrównoważone, ustami spieczonemi gorączką nie dławią słów: »kontumaks«, »matrona», »in flagranti«.

Tym życie udało się!...

Jance w gronie tych niespokojnie gestykulujących kobiet jest dziwnie przykro, smutno.

— Czy i ją czekają te krwiste wypieki, to szamotanie się z mocą, idącą wszelkiemi przeciw niej siłami?

Chwilę myśl ta błąka się w niej, ale tylko chwilę.

— Nie, nie, ze mną będzie zupełnie inaczej!

Twarze zarumienione majaczą ciągle przed nią, a oczy wystraszone zbiegły się teraz ku niej. Widziana jest tu po raz pierwszy. Sprawia zaciekawienie.

Wysoka, bardzo elegancka, o kolorze silnie mahoniowo rudych włosów, zaczesanych kunsztownie, w modnie skrojonej, fiołkowej etaminie, stojąca przed lustrem dama rzuca w jej stronę pytanie:

— Wszak pani tu po raz pierwszy?

Ceremoniał zapoznawania się wykluczony. Wspólne nieszczęście starczy za nazwisko.

— Tak! — odpowiada Janka.

— Separacya, czy rozwód? — pyta znów dama, zdejmując z kaskady mieniących się włosów tok, osypany fiołkami.

— Naturalnie rozwód.

I słowo, i sposób jego wymówienia pewny i stanowczości pełny, wywiera wpływ magiczny.

Te biedne, wymęczone łzami i trwogą oczy, zawisają teraz na nowo przybyłej. Zgarnia spojrzenia tchnące zazdrością. Nawet jedwabne, paryskie fiołki zadrżały niespokojnie w rękach rudej; wspaniały tok opadł z rąk na marmur konsolki lustrzanej.

Chciwie patrzy w wybladłą twarz Janki, coś dusi ją widać w krtani, bo gorączkowym ruchem rozluźnia *tour de cou*. Cała postać jakaś wyniosła, harda, zastyga w usłyszeniu:

— Naturalnie rozwód.

Wypełza ku niej ogromny żal i ciśnie w szponach swych pierś opiętą modnym *droit devant.* Oczy patrzą w Jankę nienawistnie. Trwa to chwilę. W nienaturalnym śmiechu rzuca:

— A ja tylko o separacyę!...

Mimo śmiechu jest w słowach tych tragedya. Bóg jeden wie, ile męki!

Drżącemi rękami upina znów na głowie powódź fiołkową, zręcznie poprawia rudą falę swych włosów, maluchnym puszkiem okrywa niedostrzegalnym pyłem twarz swą, a mimo te wszystkie o piękność swą zabiegi, to: »ja tylko o separacyę« promienieje rozpaczą, łączy się nierozerwalnym łańcuchem z dosłyszanem przed chwilą: »naturalnie o rozwód«.

Janka przygląda się chwilę tej pięknej postaci kobiecej, owianej teraz, mimo świetne pozory, wyrazem cierpienia. W śmiechu przebija ironia, szyderstwo, co pokrywają, maskują żal, łzy.

Z pod ciemnych, gęstych, zsuniętych brwi tamta odczuwa wzrok jej, zgaduje w oczach Janki pytanie.

— Czemu? — wyrzuca.

— Tak, czemu? — powtarza cicho Janka.

— Bo nie mam odpowiedniego punktu — a głos jej brzmi fatalnie, ostro — nie mam go. Dla owego punktu łamią mi życie. Co, prawda, to zabawne?!

Cała moc rozpaczy zalała jej czarne, błysku pełne źrenice. Stała wyprostowana, groźna, rzucając słowa, co rozrywały w tej chwili udręką czaszkę, okrytą farbowaną, barwy miedzi fryzurą.

Wyrwał się z niej bunt, pragnienie normalnego istnienia. Krzyk istoty, która woła, że istnieje, i że istnieć ma niezaprzeczone prawo.

Chwila buntu straszna, okrzyk prawie dziki zakuwanego w pęta stworzenia!

A potem jeszcze jedno konwulsyjne zaciśnięcie dłoni, jeszcze jeden skurcz twarzy, jeszcze jedno szarpnięcie się — i cisza...

Kajdany przygięły twardy kark, stłumiły buntu krzyk! Żal, ból, rozpacz, cichym już łez strumieniem uciekły w kąt serca. Na zewnątrz, wyrwał się rwący rozwichrzoną wesołością i cynizmem potok słów.

Kobieta woła: »Prawda, to zabawne?«

I na grobie własnego życia, brzęcząc kajdanami, przez łzy śmieje się już.

. . . .

Od czasu do czasu uchylają się drzwi gabinetu, i na tle japońskiej, barwnej portyery rysuje się sucha, zawiędła figura Rówieńskiego. Na szmer uchylających się podwoi pośpiesznie powstaje któraś z dam, znika, a później już z objęć jaskrawej portyery wysuwa się postać, jakby zmalała, zmęczona, oczy zaczerwienione, chusteczką łzy ociera. To już nie dziwi nikogo, to objaw tu zwykły, codzienny.

A z przedpokoju jeszcze dzwonek. To klientka zapóźniona.

— Przed letniemi feryami sprawy idą w pośpiesznem tempie — rzuca jedna z pań w odpowiedzi na drgające jeszcze dźwięki dzwonka.

Janka oczy w mówiącą wpiła.

— Przed feryami?... Zatem i w konsystorzu są ferye?

Przeraziła się. Może sprawa jej nie będzie wniesiona przed owemi feryami.

Myśl ta, niby cień, stanęła przed nią, aż od niej po-

ciemniało. Serce jej bije z niepohamowanej trwogi. I cicho lękliwie pyta:

— A kiedy te ferye?

— Za sześć tygodni.

Ciężar spada z serca

— Sześć tygodni. No, do tego czasu wyrok będę miała w ręku.

Jest zupełnie uspokojona.

Przedziera się ku niej wątpliwością nieszczęsny, rozpaczliwy krzyk rudej damy.

— Nie mam punktu i życie mi łamią!

Wołanie to groźne zbiegło przed nią. Myśli jej, chęci stają w obronie swej sprawy.

— Musiała dla błahego nieporozumienia żądać rozwodu, więc odmówiono. Ja co innego!

Poza słowem »ja« otwiera szeroko swą duszę ku drugiemu istnieniu, które też zawrzeć chce złą kartę życia; odgradza się od zgromadzonych tu ludzi, wybiega ku Zaraniu zapada weń duszy spojrzeniem świetlanem, serdecznem miłości pełnem...

W nagromadzonem w duszy swej cieple zdaje się jej, że już oboje wyrwali się z koła złych dni i niosąc w sobie całe fale szczęścia, idą swobodni, weseli wśród życia.

I z serca jej biegnie cicha, tajemnicza radość!...

Promienie światła zalewają salonik adwokata.

Jance zdaje się, że ten krąg gorący obejmuje ją, pieści, śpiewa cudną melodyę przyszłości.

Wpatruje się w mający i dla niej otworzyć się gabinet, i duch jej tęskny wybiega ku oczekującej ją dobrej wieści...

. . . .

— Pan mecenas ma określoną ilość osób, które przyjmuje.

— A więc ja siądę tu, choćby w sieni; czekać będę póki nie wyjdzie.

W przedpokoju od chwili toczy się istna walka.

Tyle jest stanowczości w nowoprzybyłej, że lokaj konkluduje:

— Niech pani napisze kartkę do pana mecenasa, a ja mogę mu ją oddać.

Do saloniku szybko wchodzi dama. Nietylko głos jej wzburzony, ale i ona cała, w narzuconym w nieładzie płaszczu, skrzywionym kapeluszu, niesie całą masę pośpiechu i podrażnienia.

Widoczne jest, że z domu wybiegła nagle; adwokata wygląda jak zbawienia. Nie zwraca uwagi na śledzące ją wejrzenia, miętosi chustkę, nie płacze, tylko co chwila rękę do rozpalonej głowy podnosi, i z wbitym wzrokiem w zamknięte drzwi gabinetu patrzy.

Wreszcie służący przynosi papier, ona pisać poczyna. Napisała już kilka wierszy, lecz odrzuca je, na drugiej kreśli; tę lokaj odnosi.

Argument zawarty znać silny, bo barwna portyera uchyla się, a dama nie idzie już, lecz biegnie ku ukazującemu się Rówieńskiemu; ten gestem zaprasza ją do wejścia.

Znów cisza.

Janka spogląda dokoła. Kobiety wydają się być teraz zmartwiałymi posągami. To, co stanowi oś ich myśli, wyczerpane na razie, banalna rozmowa w naprężeniu ich nerwów niemożliwa. Zmęczone, wyczerpane, omdlewają. Czekają dalszej, rozpacznej walki. Siedzą smutne, zgnębione, nieszczęśliwe.

Jance robi się coraz smutniej, głowa jej opuszcza się.

Oko pada na pozostawioną przez damę niedokończoną kartkę. Machinalnie wzrok swój na niej zatrzymuje. Słowa kartki przykuwają ją.

»Otrzymałam rejentalne zawiadomienie, abym jutro stawiła się w miejscu zamieszkania męża, inaczej grożą mi dostawieniem przez policyę«.

To przeczytane, dzikie, barbarzyńskie, okrutne, porywa się, niby nieodgadniona zagadka przed oszołomioną. Ciska ją w odmęt jakiejś upadlającej niewoli, stawia w rzędzie przedmiotów martwych. Tak, martwych. Policya ma prawo oddać kobietę w ręce prawego właściciela.

Siedzi teraz z oczami utkwionemi w te słowa.

Zamknięte księgi kodeksów otwierają przed nią swe wnętrze; od sądu tego aż bije niesprawiedliwością i brutalną przemocą silniejszego!

Powracają ku Jance słowa Szarskiego.

»Rozbój moralny, ale przez prawo sankcyonowany«...

Ta, która przed chwilą z tragicznym akcentem darła swą duszę, ta piękna ruda siedzi tuż obok. Janka podsuwa pod jej oczy ten dokument, ten wytwór mądrości ludzkiej.

— Tak to się dzieje, prawo tak każe...

To »prawo« obiega teraz całą zebraną tu gromadkę.

Naleciał pędzący z tajni wyroków ludzkich zły wicher; obija się z łomotem o wystraszone kobiet serca.

I pochyla znów boleśnie głowy, co pod uderzeniem jego rozwichrzonych razów zamieniły się już w martwe automaty, ku innym rzuca groźny pomruk nadchodzącej burzy.

A wśród łomotu wichru, poświstu życiowej nawałnicy, wśród chmur ciemni przedziera się sznur duszę kaleczących słów.

— Kobietą tylko jesteś — praw człowieka nie będziesz miała!

II

— Nazwisko pani?

Rówieński nie patrzy na klientkę, pochylił się nad rozłożoną książką, ujął pióro.

W Jance masa różnorodnych uczuć. Podnieca ją myśl rozpoczęcia sprawy. Usłyszane przed chwilą przeraża — teraźniejszość, niby jakaś fala, toczy się ku niej z szumem i łoskotem.

Przysiadła na brzeżku krzesła.

— Pyta o nazwisko — uprzytamnia sobie. Cichym, zdławionym głosem odpowiada:

— Reńska.

Z ponad wielkiej księgi unosi się ku niej apatyczna twarz adwokata.

— Reńska — powtarza, przypatruje się jej chwilę. — Czy żona Władysława? — rzuca.

Głowa Janki wykonywa ruch machinalny.

Zainteresowanie chwilowe Rówieńskiego już minęło. Wpisuje nazwisko w odpowiednią rubrykę. Nie odrywa pióra od papieru, chce już pisać dalej.

— Sprawa o separacyę? — mówi, stawiając pierwsze litery.

Uczucie trwogi przeszywa Jankę.

— Ależ nie, nie! — woła gwałtownie — ja chcę rozwodu.

A przejęta zrodzoną w sobie niepewnością, wybiega niecierpliwie.

— Wszak ja rozwód dostanę?

Patrzy mu w twarz. Chce z rysów nieruchomych, nic

nie mówiących, wydrzeć myśl, która niepewnością swą dławi, męczy.

Nieokreślony uśmiech zdziwienia wypełzł na usta Rówieńskiego.

— Mniej logiczna jeszcze, niż inne — myśli.

— Nie znam sprawy — mówi szorstko, — więc jakże mam wyrokować o wyniku?

— Nie zna sprawy — powtarza w niej głucho, — nie zna sprawy.

Zdobywa się na szalony wysiłek.

— Wszak pan pytał, czy jestem żoną Władysława Reńskiego?

Zniecierpliwienie ogarnia adwokata.

— Temu nie przeczę.

— Więc...

Słowo to pada w zobopólnem niezrozumieniu. Milczenie zalega pokój. On odczuwa, że wzrok kobiety przylgnął do jego źrenic.

— Wynik sprawy zależy od punktów wskazanych mi. Jeśli będą zgodne z prawem kanonicznem, w takim razie unieważnienie małżeństwa możliwe.

Rozpoczyna indagacyę.

Janka przeżywa chwile, co w taflę jej życia werżnęły się boleśnie, głęboko.

Pytania padają suche, obojętne. Bryłą lodu mrożą jej wnętrze. Ostatkiem sił zaspakaja potrzebne wiadomości. Ułożone są w jedną całość, spisane.

Teraz Rówieński odsuwa księgę. Zagłębia się wygodniej w fotelu. Spojrzenie badawcze, przenikliwe, surowe niemal, zatapia w jej twarzy.

Ona czuje, że teraz staje przed idącą ku niej prawdą.

Wreszcie owo niewiadome, ów sfinks mistyczny oblecze się w kształty. Nie oddycha prawie, drżąca, przerażona.

I rozlega się straszne, choć niby w prostocie słów zupełnie naturalne, a właściwie bezwzględne, straszne, okrutne pytanie:

— Na jakim punkcie praw kanonicznych opiera pani swe, co do unieważnienia małżeństwa, żądania.

— Punkty?

Jakto, czyż i tu, względem niej, wdzierać się ma silny, z artykułów prawa spleciony kodeks? Czyż tu sercem nie wnikają w moralną nędzę ludzi, a podciągają dolę ich pod punkt prawa?

Okrutnie, brutalnie narzuciło się jej myślom.

I, jakby łańcuchem przykuta, myśl ta drga ciągle:

— Punkt, punkt!

Janka zakryła twarz rękoma, milczy.

Pytanie Rówieńskiego powtórzone zwisło znów nad nią. Nad męką jej, nad bólem.

— Na jakim punkcie kanonicznego prawa.

Czyż ona wie?

Oczy adwokata utkwiły w niej z baczną obserwacyą. Nie może znieść dłużej tego świdrującego ją spojrzenia, tkwi w niem jakby jakaś zasadzka. Pochyla się, a cichym, stłumionym jękiem wydziera się z jej piersi:

— Przecie pan wie już wszystko, ja wszystko już powiedziałam.

Tak, na pytania jego rzucała mu w odpowiedzi najsroższe tortury swoje, z ust jej rwała się opowieść, co szarpała godziny, dni jej życia.

Widział twarz jej zalaną łzami, zmienioną, tragiczną. Tu, przed nim, rozpaczliwie serce się jej prężyło.

A przecież choć z całą siłą wybuchła przed nim groza jej nieszczęść, on pyta:

— Na jakim punkcie prawa kanonicznego?

Przestrach ją przejął i groza; fatalne przeczucie zimnym dreszczem owiało ją całą. Czuje, że to, co stanowi rdzeń jej obrony, przechodzi pod chłoszczącą obojętnością tego człowieka, że słowa jej nie mają tej mocy, by złamać okowy wiążącego ją łańcucha.

Oczy adwokata tępe, obojętne, uderzają w nią sztyletami zrozumienia, że prawo zaciśnie się dokoła niej splotem zagadkowych kanonicznych punktów, tego »Niewiadomego«, na którego łaskę lub niełaskę rzucona jest teraz. Wybladła, strwożona, o podciętych skrzydłach swej pewności, drga raz jeszcze słowami:

— Przecież ja panu już wszystko opowiedziałam.

Przez chwilę tę zamiera.

Rówieński porusza się w fotelu.

— Ja pytam o punkt — powtarza dobitnie.

W głosie czuć nieukrywane już zniecierpliwienie.

Janka zmartwiała szepcze:

— Ja o żadnych punktach nic nie wiem.

— Przecież pani tak stanowczo stawiała żądania unieważnienia małżeństwa, że sądziłem, iż pani przychodzi z jasno określonym punktem — tonem wymówki mówi adwokat.

Janka już nie przeczy, patrzy na niego zbłąkanym wzrokiem.

Przez myśl jego przesuwa się:

— Nie ma pojęcia o sprawie, trzeba zaczynać od początku.

— *Primo:* Czemu pani nie poprzestaje na separacyi? Ta daleko łatwiejsza.

Rówieński woli prowadzić separacyjne, aniżeli rozwo-

dowe sprawy. Jednostka, która się doń zwraca, obchodzi go li tylko jako klient, lub klientka. W życie istoty tej duszą, sercem nie wnika, stanowi ona tylko jedną ze stron sprawy. I dlatego, gdy doręcza wyrok separacyjny, nie myśli, jak jednostka ta poradzi sobie w życiu dalej.

Więc też i teraz z lekkiem sercem rzuca słowo:

— Separacya.

. . . .

Separacya — jej synonim — życiowa pułapka!

Jeśli kobieta w nią wpada, to dyskretny, lub mniej dyskretny szept idzie za nią:

— To ta X lub Y, to ta separatka!

W ślad za tem uśmiechy...

Dalekie, ostrożne stosunki pań z »separatką«.

Narzucające, śmiałe zachowanie się względem niej mężczyzn.

— Mamy nową separatkę — mówią oni sobie, — kobietę zamkniętą w złoconej klatce spokoju. Praw mąż do niej już nie ma, a ponieważ wyjście ponowne za mąż jest jej wzbronione, więc — logiczny wywód — więc my mamy wszelkie szanse!...

I gdy ludzie są tylko ludźmi, gdy natury nie wszystkie do ascetyzmu nagiąć się zdolne, więc rozumowania męskiej połowy rodu ludzkiego są w tym razie zupełnie słuszne i z życiową logiką zgodne.

Jaka szkoda, że pan adwokat, jaka szkoda, że osoby, podpisujące wyrok, orzekający tylko separacyę, nie wybiegną szerszą myślą w prawa życia..

Jaka szkoda!...

. . . .

— Separacya — odrzuca Janka Rówieńskiemu — nie, ja jej nie chcę! To spokój w niewoli, ja chcę swobody, ja chcę rozwodu!...

Ogarnia ją rozpaczliwa energia. Chce, musi walczyć o swoją przyszłość. Zrozumiała, że tu z dobremi chęciami nie wychodzą naprzeciw niej; że i tu, jak w życiu, szarpać, wyrywać trzeba będzie szczęście.

Przeczuwa te całe zastępy kobiet, które tu tak, jak ona, wyciągały ramiona ku przyszłości, młodych, mających prawo do miłości, kochania. Zastygła w zimnych prawach osoba Rówieńskiego zmuszała je do przyjmowania separacyjnych wyroków — grobu szczęścia.

I dlatego ból rozpaczy roztargał się w słowach:

— Ja chcę swobody, ja chcę rozwodu!

A jednak twarz adwokata pozostała nieruchoma; ni zdziwienie, ni współczucie nie wybiegło nań wyrazem.

Do słów takich, które w okrzyk rozpaczy przechodzą, przywykł, i do twarzy tych zgorączkowanych, i do łez ich przywykł. Okrzyk ten obija się ciągle o ściany jego gabinetu, do serca jego nie dociera.

— Nielogiczni ludzie chcą niemożliwości. Prawo dla wszystkich jest jedno, żadnych wyjątków...

On wie, że koledzy jego, wzruszeni często nieszczęsnem położeniem jednostek, wchodzą czasem w kompromisy z własnem sumieniem. Wie, że przy dobrej ich woli martwa litera prawa staje się bardziej elastyczną, giętką i ciężarem swym nie druzgocze wtedy ludzkich egzystencyi. Wie o tem.

Lecz poczucie obowiązku względem praw kanonicznych bierze u niego górę nad wszelką subtelnością uczuć innego rodzaju. I dlatego, gdy wnosi do konsystorza swą sprawę, księża z góry przekonani są o bezwzględnej jej czystości.

Szczyci się mianem adwokata nieposzlakowanej uczci-

wości, przechodzi wyższy ponad okrzykiem, który wyrywa się z krtani Janki:

— Tak, chcę rozwodu! Życia chcę całego, pełnego!

Spojrzenie zimne, obojętne Rówieńskiego przywodzi ją do rozpaczy.

— Życia — powtarza, — nie wegetacyi, szarej, bezbarwnej wegetacyi!...

A widmo to ciągnie ku niej ten człowiek, ona to przeczuwa, gdy sztywnym, zimnym głosem:

— Jeśli pani obstaje przy unieważnieniu małżeństwa... — cedzi.

A każde słowo nabrzmiałe nieszczerością, bez odrobiny dobrej chęci, niby jakieś ukąszenia, wgryza się w jej serce.

Gabinet ponury, ciemny, nie zdaje się nieść ludziom, którzy tu wchodzą, światła nadziei — raczej grób jej im niosą. W tym posępnym nastroju widnieje postać Rówieńskiego, niosąca w sobie dziwną apatyę czy niechęć. Dziwna w nim też i podejrzliwość. Owa uczciwość, którą nosi, niby sztandar, wysoko ponad swą głową rozwiany, przeradza się w istną *idée fixe.*

Każdy, każda, chcą go podejść, oszukać.

I teraz, gdy patrzy na tę kobietę, tak bezbronnie ku niemu zwróconą:

— Będzie kłamała — myśli, — ale ja się nie dam oszukać.

— Przedewszystkiem proszę, niech pani zaniecha używania terminu »rozwód«; należy mówić: »unieważnienie małżeństwa«.

Powtórzenie słów Karowicza, owa gra słów.

Janka pragnie teraz słuchać mowy adwokata, słuchać jego wyrazów, odgadywać ducha jego myśli.

Rówieński milczy chwilę. Cisza...

Z saloniku dochodzi przesuwanie krzeseł, zamykanie drzwi, wejście widać nowego klienta.

Wreszcie monotonny, suchy głos, latami widać nawykły do powtarzania jednych i tych samych formułek:

— Kościół przychyla się do unieważnienia małżeństwa wtedy, gdy ono właściwie zawarte nie zostało.

Spojrzenie Janki biegnie spłoszone, niepewne; trwoga niezmierzona obejmuje jej serce, kombinuje w swym mózgu usłyszane słowa:

— Gdy małżeństwo zawarte nie zostało? Ależ w takim razie, któż chciałby je zrywać?

I pytanie to rzuca adwokatowi.

Ten przygryzł usta, a jakby słów nie słyszał:

— A nie zostało dlatego, że właśnie przy zawieraniu małżeństwa znajdowała się przeszkoda, która dopełnienie Sakramentu czyniła niemożliwem.

W sercu Janki zerwała się nić nadziei.

Wszak przy jej ślubie nie było żadnych przeszkód. Gromy, co padały na nią, szły w dniach poślubnych...

Reszta siły woli, którą od wejścia do tego gabinetu gnębiono, wbija się w rozpoczętą alokucję Rówieńskiego.

— Moje nieszczęścia rozpoczynają się po ślubie, przecież panu już mówiłam.

W głosie czuć niepokój do przeniesienia ciężki.

— Nieszczęścia, o których pani mówiła mi, nie łączą się z unieważnieniem małżeństwa.

Całe morze zagadek objęło Jankę. Ogarnęło ją rozpaczliwe zdziwienie.

— Jakto? podstęp, którym mnie zjednano, najgorsze obejście, złodziejstwo wreszcie — rzuca, — to wszystko nic nie znaczy?

Zapłonęły ku niemu jej rozumne źrenice.

— A nic — odrzucił przez zaciśnięte zęby.

— Nic? Więc cóż znaczy?

Twarz jej ściemniała, wykrzywiona boleśnie od targającego nią cierpienia.

Rówieński ziewnął lekko, dogasającego papierosa wrzucił do popielniczki, przytłumił go zupełnie.

— Znaczą tu owe przeszkody, o których wspomniałem, i te właśnie, ujęte w pewną ilość punktów prawa kanonicznego, dają nam możność wystąpienia do sądu konsystorskiego z prośbą o unieważnienie małżeństwa.

Dłuższą chwilę milczał.

Pragnął, aby ten pierwszy rozdział istoty owego unieważnienia wraził się jej dobrze w pamięć. Umilkł więc, a bębniąc palcami po blacie biurka, zwrócił oczy w stronę okna. Ściemniło się raptownie i deszcz ciężkiemi kroplami padać począł.

Ciężko też opadły słowa jego w duszę Janki.

Owo morze zagadek wzbierało coraz bardziej, a ona, bezbronna, szła ku niemu w majestacie swej nędzy.

Falami głosu Rówieńskiego chłonęło ją. Milcząca, z ciemnią zapadłych w głąb duszy oczu, siedziała naprzeciw niego.

Z głębi fal tych dobywać się poczęły owe punkty, bo z ust adwokata szły słowa:

— Przechodzimy teraz do owych punktów. Przedewszystkiem, by czasu daremnie nie tracić, pominę te, które do małżeństwa pani przystosować się w żadnym razie nie dadzą.

Przed rozbolałą wyobraźnią Janki przesuwa się, że on nie ma zamiaru wtajemniczania jej we wszystkie punktów tych arkany; widocznie śpieszy się, a także zmęczony uprzedniemi konferencyami, pragnie w duszy pozbyć się jej jaknajprędzej. I chwila ta, która w wyobraźni rysowała się jej serdecznem,

szczerem, życzliwej przyjaźni pełnem zwierzeniem, przerodziła się w ciążącą im obojgu konieczność.

Rówieński głosem uroczystym mówi:

— Przedewszystkiem zastrzegam w odpowiedziach bezwzględną prawdę. Ja tylko zupełnie czyste sprawy przyjmuję, proszę o tem pamiętać.

Prostuje swą nikłą figurkę, podnosi głowę, napawa się niezmąconą, nieskazitelną cnotą — pozuje przed kobietą pół-żywą.

— Zastrzegłszy się tedy od wprowadzenia w błąd konsystorskiego sądu, przystępuję do pytań:

— Czy powinowactwo, lub pokrewieństwo nie łączy panią z mężem?

Janka przeczy tylko ruchem, chaos ma zupełny w głowie.

— Proszę zebrać wspomnienia i odpowiedzieć mi jasno i wyczerpująco. Czy przy zawieraniu małżeństwa nie działano na panią przynaglająco, a nawet groźbą nie zmuszano do połączenia się z panem Reńskim?

Cały prąd przerażenia wytryska teraz z oczu Janki; z ust jej wydzierają się słowa:

— Skąd takie przypuszczenia, skąd? Byłam kochana, pieszczona, stryj mnie nie zmuszał, sama wybrałam.

Rówieński widzi, że kobieta ta nie będzie przed nim kłamała, nie wprowadzi go w błąd; a jest to myśl, która absorbuje go najbardziej. Jest też już prawie spokojny.

— Upada więc przymus tak fizyczny, jak i moralny; należy przejrzeć papiery ślubne... zdarzają się czasem nieformalności.

Ani źdźbła chęci dodania odwagi, nadziei, tej zasuniętej w fotel kobiecie. Nie patrzyłby na nią nawet, gdyby nie punkt właśnie praw kanonicznych, który wzrokowi jego każe się na niej zatrzymać.

I Janka widzi szarawe źrenice Rówieńskiego, obejmujące całą jej osobę bardzo przenikliwie. W spojrzeniu tem dostrzega jakiś dziwny przegląd całej swej postaci.

W ślad za tem idą słowa, jakby do siebie wymówione:

— To rzuca się w oczy, i mnie odrazu zafrapowało, no, ale z tym punktem poczekamy.

Nie mówi Jance, co ma na myśli, nie objaśnia owej nadziei, a tylko:

— Zgłosi się pani do mnie jutro. Dependent przejrzy papiery ślubne.

Spogląda na zegarek. Tem niedwuznacznie jakby do drzwi ją prowadzi.

A przecież ona stoi, nie odchodzi.

Słów kilka, które on, jakby mimochodem, sobie rzucił, podsuwają się pod jej serce. Ogarnia ją rozpaczliwa chęć dowiedzenia się, czy właściwie jest jakaś nadzieja przystosowania jej osoby do tego punktu.

I ów punkt jest zagadką, ale może w nim zbawienie?...

Więc rwie się ku niemu, usta jej zadrgały pytaniem:

— Co pan miał uprzednio na myśli?

Adwokat chwilę milczy, widać myśl jego poszybowała gdzieś już dalej. Z ręką, którą ujął za dzwonek, by oznajmić lokajowi możność dopuszczenia przed oblicze nowej osoby, zbiera rozproszoną uwagę.

Janka zwisła na jego ustach. Mięśnie twarzy jej drgają, oczy błagalne, proszące, zatapia w twarzy Rówieńskiego.

— Pani pyta o to, co miałem na myśli, patrząc na nią — mówi wolno, jakby zwlekając, — o tem objaśni ją doktór, do którego pani, po wyczerpaniu wiadomości o formalnościach ślubnych, zechce się udać.

Stojąc przy krześle, z którego już wstała, Janka, jak oszołomiona, opiera się o nie. Nie rozumie, czy w głowie jej panuje chaos, nie dający zrozumieć właściwych słów adwokata, czy też on bierze ją za chorą, którą wprzód lekarz leczyć powinien.

To wmieszanie w jej sprawę doktora uderza ją takiem nieprawdopodobieństwem, że przypuszcza nieporozumienie słuchowe.

— Do kogo mam się udać? — pyta, wytężając słuch ku odpowiedzi.

Rówiewieński przesuwa właśnie wspaniałą bronzową statuę, wyobrażającą Sprawiedliwość. Na głos Janki zwraca się ku niej — usłyszał pytanie.

— A później, mówiłem przecież, do doktora.

Wybiegło do niej znów to samo.

— Do doktora. — Słyszała więc dobrze.

Niepojęta rzecz, niepojęte słowa.

Rówieński wyraźnie chce się jej pozbyć. Ujmuje już po raz wtóry za dzwonek... wyczekuje pożegnania.

Lecz Janka uparcie chce rozprószyć zaklęcie wątpliwości, pod jaką zostaje.

— Ja chora nie jestem — mówi, — więc pocóż ten doktór?

— On to pani wytłómaczy.

Dzwoni. Ukazuje się lokaj.

— Prosić następną osobę.

Zwraca się do Janki:

— Więc jutro zechce pani przyjść, nie wcześniej, niż o szóstej.

III

— Zresztą, wszystko mi jedno, co czynić mi każą — myśli Janka, — byle dojść do celu, byle dojść...

Bo teraz przebywam w jakimś chwilowym »świecie«, muszę w nim być, a potem otworzy się przede mną... nie — poprawia się, a prąd ciepły, bijący z listu, który dziś otrzymała, każe jej mówić: — przed nami, prawdziwy, rzeczywisty, cudny świat!

I równocześnie przeogromna słodycz, co serce jej na myśl tę ogarnia, szepcze jej, że spełni wszystkie wymagania adwokata.

Prąd, bijący z listu, uspokaja ją, nadaje jej energię, by w tym »chwilowym świecie« szła spokojna, wsłuchana wciąż w czarujące odgłosy, z których z poza świata tego idzie ku niej chęć, moc, siła.

I to sprawia, że w nadzwyczajnej pokorze składa u stóp wyśnionych swych marzeń całą mękę dzisiejszą, a pod stopy ich rzuca promień słodkiej nadziei.

Owiana jest nią cała.

Początek rozmowy z Rówieńskim zmroził ją, — końcowe słowo, to łagodne, niewyraźne, lękliwe, lecz uchwytne swobody kontury.

Idzie wśród wązkiej ścieżynki, pnącej się ku górze.

Oko jej i serce tak zżyły się teraz z szeroką przestrzenią pól, łąk, z ich jasną zielenią, że wybiegła poza miasto, pragnąc wyrwać się z tej powodzi murów, kamieni, wreszcie z gromady ludzkiej natłoczonej tu.

Oto jest w parku Łazienkowskim.

Nie czuje jednak tego węzła, któryby ją łączył wspomnieniem z Zaraniem; ogromnie tu modnie i światowo.

Wyciągniętym sznurem, zwolna, wśród konkurencyi o piękniejszy zaprząg i toalety, ciągną się powozy, amerykany, breki tutejszego *high-life'*u i finansów.

Pora wyścigowa, karnawał warszawski, ten czerwcowy! Wszystko aż kipi od nerwowej siły życia i chęci błyszczenia.

Lecz dusza Janki wyrywa się z tego miasta, przeniesionego pod szafirowe niebios sklepienie, odwraca się od sztucznych, mieszanych w swej modnej zabawie ludzi, posuwa się w głąb parku, ku tej, nieujętej w formę piękna ludzkiego, przyrodzie. Jest tu sama, rzeczywiście sama, ogarnięta puchem murawy, kępami drzew, krzaków.

Zamyka oczy, suggestyonuje myśl, że to Zaranie, i w półśnie, nieruchoma, przywołuje ku sobie Jerzego.

Pragnienie to jest tak silne, tak serce w niem zatonęło, że przed oczami wykwita jej »on«, słodki, łagodny, kochany...

Srebrną linią wybiega ku niej dłoń jego i idą oboje złączeni, jak dwa kwiaty, w tym szmaragdowym, cichym świecie, tak pełni słodyczy, z piękna wyczutemi wrażeniami, jak tam, w Zaraniu, wśród zbóż złota i księżyca blasków.

Na ścieżynce tej zaginionej jest cała łagodna świeżość wsi, cała złuda chwili minionej. W zachód słońca wbija się czerwień, ta orzuca ten kątek cichy tętnem życia, rzeczywistości.

I w sen marzeń, rojeń, we wdzięk, w myśl czarowną wbija się też radosna nadzieja szczęścia; z abstrakcyi życia wchodzi w rzeczywistość.

Całe sznury cudnych chwil przeszłych przesuwają się przed olśnionemi oczami Janki. Z rozkoszną wytwornością układa je w bukiet przyszłości — dokoła niej radość, pogoda...

— Tylko te formy, to nieszczęsne unieważnienie!...

Ciemnieje ono na dnie jej źrenic, na dnie jej duszy. Lecz znów uśmiech, zdjęty, jak rosa, z kwiatów szczęścia przyszłego bukietu, wybiega ku niej uspokajającem:

— Minie to wszystko, minie...

W ten ciernisty szlak, rozścielony przed ich krainą blasku, ona już weszła.

I z ciemnej głębi smutnej konieczności życia wyniosła już nieco uczucia bólu; cierń kolca zmieszał się z delikatną uczuć falą. Lecz róże, z których cudną girlandą wykwitał dalszy szlak ich życia, rozkoszą swą i cierń i kolce precz usuwały.

Pod sentymentem czystym, doskonałym, co wypełnia całą jej istotę, idzie więc tą dalszą, choć ciernistą drogą, znów uśmiechnięta, radosna.

I tylko jaknajprędzej pragnęłaby wydostać się na swobodną przestrzeń. Jaknajszybciej przebyć te »formy«, o których, choć mówiła: »miną«, niemniej mąciły jej harmonię wrażeń.

Ona dziś spotkała się z niemi. Jerzy wyrwać się do Krakowa, do adwokata, jeszcze nie może. Dziecko odwiózł do matki. Jej, jak pisze, tymczasową nad Halinką powierzy opiekę. Matka zatrzyma się w Wiedniu na tydzień (wraca z Karlsbadu), pragnie zasięgnąć porady profesora.

A potem Jerzy w liście swym powtarza raz jeszcze wdzięcznie: »Tymczasową opiekę«. »Czy ty rozumiesz to tak, jak ja, słodka moja Janiu? A może za śmiałość moją, która rwie mnie ku wyżynom dalszego z tobą życia, potępisz zuchwałość moją. Rzucam ci słowa te, wyjęte z serca mego, jak pokorny kwiat, jak skrzydło ptaka, który bez ciebie błądziłby tylko po świecie, zraniony i nieszczęsny«.

W zadumie pogrążona spoczęła na pniu drzewa. U nóg jej rozsnuwają się delikatnie całe pasma mchów i trawy.

Jasny dzień zebrał już ostatnie promienie słońca i rubinowemi tylko strzałkami zabarwia srebrno-perłowe fałdy sukni Janki. Siedzi zupełnie sama, odosobniona od ludzi, w nastroju radosnym; to daje jej rozkosz i zadowolenie.

— Dobrze mi tu — szepczą jej usta, — będę tu często przychodziła.

Pustka zupełna. Ten stok góry, na pozór opuszczony i dziki, nie nęci spacerowiczów. Leciuchno tylko dochodzi szum ludzkiego gwaru, wrzawa życia. Smugi światła sztucznego poczynają słać się w oddali.

Ona wciąż siedzi zadumana — a dusza jej wybiega w krainę jaśni, radości, wesela.

IV

Te chwile, spędzone wśród kontemplacyi przyszłości, oddziałały na Jankę wybornie.

Więc też nazajutrz, gdy wchodzi powtórnie w schodową klatkę, wiodącą ku apartamentom mecenasa Rówieńskiego, przyjmuje tę swą tu bytność, jako rzecz nietylko konieczną, ale wkłada i cały pośpiech, aby konieczność tę przyśpieszyć.

Owe nieformalności ślubne wydają się jej coraz bardziej możliwe.

— Wszak mieszkaliśmy na wsi, a ślub mój był w Warszawie — myśli.

Idzie po puszystym pluszu dywanu wyściełającego marmur schodów. Tak jej śpieszno, że radaby dostać się jaknajprędzej. Ale przeszkoda — musi usunąć się na bok.

— Przepraszam — mówi lokaj, prowadzący pod ramię jakiegoś pana.

Janka ustępuje, przepuszcza idących.

Mężczyzna, widocznie chory, uczepiony ramienia służącego, z trudem wstępuje na stopnie schodów. Janka przez chwilę spogląda na nogi idącego: podskakują w nienaturalnych ruchach. Wydaje się to jej dziwne. Lecz myśl powraca do dawnego.

Doprawdy, coraz bardziej wydaje mi się możliwe, że stryj nie miał upoważnienia od naszego proboszcza, bo zupełnie nie przypominam sobie, aby była o tem mowa...

Raduje się, a wzrok jej znów spotyka drgające nogi owego postępującego przed nią pana.

— Jak on dziwnie idzie — myśli, i mimowoli patrzy wciąż na bezład w ruchach mężczyzny.

Jest to człowiek młody, strasznie wyniszczony, wprost skóra, ledwie pokrywająca kości. W ruchach zgnębienie i widoczny ból. Wchodzenie po schodach powoduje widać dojmujące cierpienie, bo oto zatrzymał lokaja. Syk bólu — odpoczywa... Posuwają się znów dalej. Ręką wskazuje służącemu drzwi Rówieńskiego.

Uprzedzili Jankę. Już dzwonią.

— Nie będę pierwsza. Widać i ten pan naznaczone ma widzenie już po ukończonem przyjęciu.

Wchodzi do salonu. Zdaje się on Jance dziś o wiele weselszy, aniżeli wydał się jej wczoraj. Zapełniony przez smutnych ludzi, niósł w sobie morze bólu i cierpienia; dziś pusty wprawdzie, lecz nie drga tu łza. Smutek jakby odszedł od ścian tych.

I tylko wchodzący tu nieszczęsny, powłóczący nogami blondyn, wciąż zwieszony ciężko na ramieniu służącego, wnosi znów w tę spokojną, pogodną atmosferę, przykry dysonans życiowy.

Janka dyskretnie obserwuje teraz ruchy jego rąk bardzo białych, starannie utrzymanych. Ręce te, w chwili, gdy wysuwa z portfelu bilet wizytowy, drżą mocno. Skóra na twarzy wydaje się być już niemal przezroczą, biały jest, jak opłatek, i widać mocno zmęczony. Z trudnością, przy pomocy lokaja usuwa się w fotel; nogi sztywne, niby jakieś odrębne od całości członki, wysuwają się długie, drewniane.

Janka na chwilę zapomina o sobie; nędza tego człowieka przykuwa ją ku niemu.

Lecz oto nadchodzi Rówieński. Janka pragnie całą swą wolą wyczytać z twarzy jego, czego po owych »nieformalnościach« spodziewać się może. Próżne złudzenie. Maska jego twarzy zwarta w nieruchomości. Ukłon pod jej adresem, nic więcej.

Pedant, jak zawsze, pilnuje kolei. Ten pan jest pierwszym klientem, oczekuje zatem, aby lokaj przeprowadził go do gabinetu. Po chwili służący wychodzi, opuszcza też salon, już czeka w przedpokoju.

Ceremonia wprowadzenia chorego powoduje niezamknięcie drzwi. Draperya tylko japońskiej makaty przedziela oba pokoje. Słowa wśród uroczystej ciszy salonu drgają wśród fal powietrznych.

Janka mimowoli wdziera się w tajniki dusz innych. Pierwsze słowa rozmowy, zatarte przejściem przez salon lokaja, uleciały już.

— I widzi pan, w jakim stanie wróciłem — brzmi głos zupełnie matowy, bezdźwięczny.

— Jakież zdanie lekarzy berlińskich? — rzuca pytanie Rówieński.

— Skonstatowanie faktu, że polepszenia spodziewać się nie powinienem. Wobec zachowywanych przepisów, wegetacya

za to może być jeszcze bardzo długa. Tak pocieszył mnie profesor specyalista. — Chory roześmiał się sucho, szydersko.

— Pan rozumie: bardzo długo! To ma być pociechą dla mnie, ale co dla niej, co? — wybuchnął gwałtownie.

— Powinna pana żona pielęgnować. — Dziwny, zmieniony głos wydarł się z za japońskiej makaty.

— Nie na szarytkę, nie na siostrę miłosierdzia szła ona ku mnie. Żoną mi być miała!...

Za japońską tkaniną zaległa cisza.

A potem:

— Ja chcę ją od siebie uwolnić — wykrztusił wreszcie chory.

Duszę zatargały widać w nim okrutne kleszcze, bo w zbudzonej w sobie duchowej przewadze zawołał:

— Ja muszę ją od siebie uwolnić!

Janka z całem natężeniem wsłuchuje się teraz w głuchy jęk, echo okrzyku tej duszy.

I cichy, zdławiony głos, drgający odczuciem bólu, mówi dalej:

— Przywlokłem się do pana, nie chcąc bytnością jego u mnie zwracać podejrzenia żony. Proszę podjąć się rozwodu. Ja nie powinienem wlec ją w życie, co mnie swojemi szponami ogarnia.

Umilkł.

— Niech będzie jeszcze szczęśliwa — idzie szlachetne, ładne, wspaniałe.

W wyrzeczeniu się własnego »ja« drga nuta miłości, przywiązania do tej, co młode swe lata z nędzą obecną dni jego złączyła.

— Taka młoda, dziecko prawie, niech będzie szczęśliwa! — powtarza.

I cały wysiłek woli, całą rozpacz swoją zamyka w słowach tych.

Niesie kobiecie w ofierze cały szereg dni samotnych, by promieniem szczęścia rozjaśnić jeszcze jej dolę.

Jest to wspaniały dar, ta chęć przywrócenia do życia, do szczęścia istnienia, które bezpodzielnie jego jest własnością, jego niezaprzeczonem prawem.

A przecież mąż ten zrzeka się prawa więzienia przy sobie kobiety, nie chce zamknąć jej w swoim szpitalu, nie śmie przeciąć jej praw do życia, do szczęścia!...

. . . .

— I dlatego zechciej mi pan przeprowadzić rozwód — idzie raz jeszcze ogromnie dobre, poczciwe, choć w męce z wnętrza dobyte.

A w cierpienie bezcenne, straszne, które w człowieku tym wzrasta do wyżyn tragicznych, wbiegają słowa:

— A na jakim punkcie praw kanonicznych opiera pan swą, co do unieważnienia małżeństwa, prośbę?

Wbiegają, by zamknąć w nieziszczalnym marzeń kręgu to, co szlachetne, poświęcające swój własny egoizm, gaszące w sobie wszelką radość, wszelkie do szczęścia porywy.

— Na punkcie mej nieuleczalnej choroby!

— Zrozum pan, że niezdolność fizyczna wynikła u pana dopiero teraz; przy ślubie byłeś pan zdrów, obowiązku małżeńskiego dopełniłeś, zatem małżeństwo zostało spełnione, gdzież więc mowa o unieważnieniu go.

Złość owładnęła adwokatem. To ustawiczne tłómaczenie ludziom, niezdolnym do pojęcia takich jasnych punktów, ta ich nielogiczność w żądaniach — do rozpaczy go doprowadzała.

A człowiek, nielogiczny według martwej litery prawa, logiczny zaś wielce w swych życiowych żądaniach — odrzuca:

— Panie! tu rzecz zbyt poważna, by podciągać ją pod zdawkowe formułki; tu o życie ludzkie chodzi. Tu należy odrzucić prawa z życiem niezgodne, a wniknąć w potrzeby ludzkie.

W głosie drga ból, który pod jego niezrozumieniem przerodzić się może za chwilę w tragedyę.

Człowiek stara się być spokojnym: narzuca pęta na płomień, co drży w nim, i całą siłą woli przemawia do rozumu, do serca owego wykonawcy prawa.

— Ja nie mam na to żadnej rady, nie ja stanowiłem prawa.

Mrozem ścięło od słów tych:

— Niema rady!...

Mężczyznę owionęła stęchlizna i biurokratyzm wielkich foliałów praw, bijących zimnem niezrozumieniem praw ludzkich. Czarną masą swych nabranych czcionkami artykułów zwaliły się na niego.

I z pod utkanego z praw cielska szło już ku niemu jego własne widmo — smutne, fatalne, w mgłę spowite samobójcy widmo. Oto widzi je zaklęte w milczeniu, niby sfinks, stojący na straży szczęścia żony.

— Bo przecież rady niema!...

Ktoś ustąpić musi...

Prawo z formułkami swemi, a sercem kamiennem, zamkniętem na to, co ludzkie, stoi twardo, niewzruszenie.

Dlatego człowiek ten cierpi tak bardzo. Cierpi fizycznie i moralnie.

I w cierpieniu tem czuje i słyszy tylko jedną myśl:

— Tylko przez śmierć moją idzie ku żonie mej szczęście, wyzwolenie...

I wije się z bólu, że odejść musi gdzieś, w dziedzinę mitów...

Bo mimo ból cały i nędzę swą, tli w nim iskra zwierzęcego do życia przywiązania.

I pragnienie tego konania po trochu, codziennie, jest tak silne, że lufa śmiercionośna wypaść może mu z ręki.

I oto nadejdzie dzień, że w serdeczną ranę, którą w sobie nosi, wedrze się cichy zrazu jęk umęczonej wytrwaniem, cierpliwością pseudo-żony; potem w ranę tę godzi już krwią zmarnowanego życia broczące przekleństwo na los swój, na dolę!...

I zapadają oboje w piekło, z którego niema wyjścia...

A przecież...

Gdyby tam wśród foliałów prawa zamieszczono jeden punkt jeszcze:

»Nieuleczalna choroba unieważnia małżeństwo«.

Tylko tych słów kilka!

A nad biednym kaleką pochyliłaby się w codziennej serdecznej pogawędce oddana mu wdzięczna, radosna przyjaciółka, nie z konieczności przykuta do szpitalnego łoża — żona...

Jasny kwiat przyjaźni opadłby w łzy, w cierpienie. Czy nie byłoby tak lepiej?

. . . .

Rówieński zatrzymał się w progu. Teraz dopiero zauważył otwarte drzwi, któremi wprowadzał swych klientów.

Powiódł wzrokiem po saloniku. Dojrzał Jankę. Z pod oka spojrzał na nią. Zauważył, że widać scena słyszana podziałała na nią bardze przygnębiająco.

Podniosła ku niemu swe czarne, wielkie, tęskne oczy, a nieokreślony smutek rozlał się na ustach jej.

— Co za nieszczęście! Czy rzeczywiście to położenie jest bez wyjścia?

Rówieński popatrzył na nią uważniej.

— Rezygnacya jest wyjściem ze wszystkiego — wyrzekł wreszcie powoli.

Ruchem wskazał jej drzwi gabinetu. Szedł za nią.

— To człowiek nienormalny, więc przesadza sytuacyę. Są gorsze nieszczęścia — mówił monotonnie, obojętnie, — a przytem, jak powiadam, rezygnacya...

Zasiadł już spokojny w fotelu, wziął z biurka kartki. Głosem suchym, jak ktoś, komu na wyniku bynajmniej nie zależy, wygłosił:

— A pani papiery w zupełnym porządku: ten punkt upada.

Twarz Janki pociemniała.

Wybuchnęło w niej zgrzytem:

— Rezygnacya!

— Tak — wyrzekł raz jeszcze Rówieński, przeglądając notatki, — w absolutnym porządku.

A potem, nie śpiesząc się, kartki odłożył. Rozparł się w fotelu.

— Musi pani iść do Mollego. — Ujął ćwiartkę papieru, skreślił na niej słów kilka, położył adres, zapieczętował, podał Jance.

Ze strachem wpatrywała się w te jego czynności.

Wyciągnęła rękę po list, ręka jej wprost zesztywniała, była jak bezwładna, ujmując te słów kilka, przesłanych Mollemu.

W nich jej los, jej przeznaczenie, przyszłość!

— Więc niech pani idzie do Mollego — raz jeszcze

powiedział Rówieński. — Tam trudno dostać się, masa pacyentek. Będzie pani musiała zapisać się na listę oczekujących kolei.

Podsuwał już sobie do przejrzenia jakieś akty.

— Przejdzie dni kilka zanim pani przyniesie mi odpowiedź. Iść dziś jeszcze należy, by otrzymać numer porządkowy.

— Pójdę — wyszeptała zbielałemi usty.

V

Wczoraj zapisano nazwisko jej w księdze profesora Mollego. Przepełnienie. Dobijano się o numera.

Lokaj na widok listu mecenasa Rówieńskiego okazał się łaskawszym. Widać taka instrukcya.

Jutro owa bytność.

Te godziny niepewności, te osłonięte mgłą słowa Rówieńskiego, zdają się wampirem, wysysającym krew z jej istoty. Doszła do niebywałego rozdrażnienia.

Wyczekiwanie wiadomości, które miały być uprzednio zebrane przez adwokata, zataczało też dokoła niej niepokój; lecz pewność niemal powodzenia, wiara w nie dźwigała się w niej wtedy silna i dławiła ów lęk. Czuła za sobą kilka punktów, jakby kilka nitek, mocą których utrzymać się mogła w życiowem środowisku.

A oto teraz jedna nie wiąże się już. Prysła. Ta druga, zupełnie jej niezrozumiała, przeraża ją, żłobiąc w duszy trwogę, smutek.

Pełna jest niepokoju; biegnie ku owej kapliczce wspomnień, co wczoraj zdala od ludzkiego tchnienia płynęła jej cichem Zarania wspomnieniem.

Zaranie!...

Zaranie, gdzie w śnieżnych konwalii kwiateczkach spłynęła ku niej miłość...

— Serce mi swe wtedy w srebrnem kwieciu oddał, rosą łzy ociekłe, i łzy też miłość ta z sobą niesie...

I znów niepojęta trwoga, tęsknota rozegrała się w jej duszy, w znużonem, wyczerpanem ciele.

Straszny lęk i smutek!

Blada i drżąca odpiera go od siebie.

— Przecież Molle — broni się — przecież Molle!...

Lecz już coś, jak fatalne przeczucie, rzuca się na wznoszoną świątynię szczęścia i zwolna zapuszcza swą rękę ku ledwie wzniesionym cegiełkom.

To coś dostrzega Janka w głębi swej duszy.

I dlatego niema w niej wczorajszego radosnego nastroju...

. . . .

Ścieżką od drogi głównej idzie postać jasna, strojna.

Zmęczone oczy Janki zatrzymały się na niej.

To owa, widziana u adwokata, ruda dama.

Tak, to jej kask miedziany, zwycięzki nad głową. To ona, wspaniała, piękna, w wielkim stylowym Rembrandtcie i ostatniem słowie mody w toalecie, niby rycina wytworna, wabna, elegancka.

To piękna Lipecka.

Janka wie już jej historyę. Żona alkoholika, dziedzicznie obciążony, mówią.

Pożycie z nim niemożliwe. Starała się o rozwód. Odmówiono. Alkoholizm nie jest punktem kanonicznym. Więc separacya! I oto przed oczami Janki idzie istota, uwięziona w tej modnej fryzurze, doskonale skrojonej sukni, rozwiewa-

jąca dokoła wytworne zapachy perfum, smutna, rozpaczliwie smutna.

To nieszczęsny duch, błądzący niespokojnie w tej kobiecie, wydziera się z niej na jaw.

To tragiczne jej życie, co już raz gromem słów swych zatargało młodą, jasną Janki nadzieją.

To kobieta, co lepszą częścią istoty wybiega z objęć świata, wyzwala się z kłamstwa narzuconego, i w ciszy szuka spokoju, ukojenia.

Janka stoi na boku zapatrzona w tę twarz bladą teraz, majaczącą ku niej w zmroku nadchodzącej ciemni zagadkowo, tajemniczo.

I zdaje się jej, że ta oto zaginiona w tym parku, wyszła naprzeciw niej uosobieniem fatalności, przeznaczenia!...

To biedna separatka, nazywana teraz ogólnie »istną żebraczką miłości!«

Z wyrokiem separacyjnym nie wyrwano jej serca, niestety, i oto szuka wciąż prawdziwego, stałego uczucia.

Ofiarowują jej tylko tymczasowy przytułek, więc w pogoni swej męczy się, morduje..

A świat feruje na nią wyroki:

— Płocha, lekkomyślna — mówią.

Zapominają, że tam w konsystorzu ona prosiła o rozwód, żebrała, płakała!...

I ją nęciło legalne ognisko rodzinne...

Odmówiono!

I oto teraz Janka znów widzi jak separatka ta, w ucieczce przed światem, nie sądząc się widzianą, w samotności ustronnych ścieżek, targa się w bólu goryczy, co zalewa jej skołatane serce.

A krtań jej znów dławią słowa:

— Ginąć tak musisz, bo punktu nie masz!

A myśl ta ani dziś u modniarki, ani jutro wśród powodzi kwiatów wspaniałego corsa, ani w objęciu kochanka, przerwać się, stłumić, zniszczyć nie da.

— Nie da!...

. . . .

A przecież jedno włączenie do punktów praw kanonicznych, unieważniającego małżeństwo nałogu i — drobnostka — życie ludzkie uratowane.

A tak?...

. . . .

Pióro wypadło z dłoni.

Janka kilka razy przetarła czoło drżącą ręką.

Siedzi w sypialni swej; w bieli lekkiego szlafroczka wygląda uroczo, lecz głowa jej opada smutna, znękana...

Chce pisać, chce odrzucić Jerzemu słowa serdeczne, dzielić się nadzieją przyszłego szczęścia.

Nie może...

Ma w sobie poczucie zła.

To spotkanie się z ową Lipecką, tragiczną w swej wesoło przed światem noszonej rozpaczy, wplotło ją w koło cierpienia tej kobiety. Uciekła od niej, uciekła bez słowa współczucia, litości; uciekła jak od kobiety, noszącej w sobie nieszczęście, jakby w strachu, by tajemnicze szpony, które oplotły tamtą, nie porwały i jej w moc swoją.

Była złą i niesprawiedliwą.

— Może widziała mnie, może inaczej sobie tę moją ucieczkę tłómaczy?

Dziś szczególnie jasno czyta w sercu tej potępionej przez ogół kobiety; dziwnie jasno zarysowuje się przed nią

wnętrze tej niepojętej przez innych, dla niej zrozumiałej w swem nieszczęściu istoty.

Żałuje teraz serdecznie, że nie zbliżyła się do niej.

Patrzyła na nią niemal z przestrachem, jakby wrogo, bała się jej, jak ludzie boją się oczów, co nieszczęście drugim niosą.

— Tak, złą byłam i niesprawiedliwą — powiedziała raz jeszcze.

W świetle purpurowego abażuru lampy szła ona wciąż ku niej — tajemnicza, w swych liliowych zwojach i miedzianych splotach włosów, zagadkowa, fantastyczna...

— Nieszczęście spaczyło trochę linię jej charakteru, zajmę się nią, jak tylko moje życie ustalę.

Widmo niedoli tamtej majaczy wciąż przed nią, błąka się jakąś ciemną, ponurą zmorą.

I w krwawem świetle czerwonych jedwabi abażuru przesuwa się straszny, lecz tragicznie prawdziwy, cały zastęp takich opłakanych, niepewnych egzystencyi.

I rozjęczało się od skarg, a całunem, z łez i bólu utkanym, zawisło wśród ciemni.

Tylko złowrogą łunę rozjaśniała nad głowami ludzi tych krzywda, obok której i ponad którą świat idzie nieczuły, zimny, obojętny...

I krzywda ta ciężarem swym bezmiernym wali się na Jankę, z jej serca chce wydrzeć jęk, z jej oczu spić łzę...

Lecz Janka odpycha ją od siebie. Ona jej nie pochłonie, nie! Nie tu kres jej życia, nie!...

— Wszak ma przecież jeszcze nadzieję: Molle, przecież Molle...

— A jak tylko życie ustalę — powraca, — to zaraz i taką Lipecką otoczę swą opieką!...

Z zakątków duszy, tych najstraszniejszych, obejmuje ją dokoła szept niepewny, trwożliwy:

— Jak tylko moje życie ustalę...

I Janka, trwogą, lękiem zdjęta, wsłuchuje się w echo słów własnych.

I lęk ten i trwoga wciskają znów w usta jej słowa te, ale w zmienionej w pytanie formie:

— Tak, ale czy ja je ustalę?

Z ciemni wyłania się dziwnemi głoski pisana, krwawemi głoski wyryta, krótka odpowiedź:

— Nie...

Z zakątków, pogrążonych w prawdziwej ciszy, skąd jęk i łza wypływa, wionie zewsząd szmer przytłumionych głosów:

— Nie, nie...

I jęk każdy, łza każda przeradza się w jakieś cieniuchne, o nierozerwalnej jednak mocy ogniwo. Ono Jankę w koło jęku, w falę łez pociąga.

I oto stoi już, oplątana tą kruchą, wątłą napozór zaporą; ale gdy zerwać ją pragnie, dość rękę wyciągnąć, by cofnąć ją boleśnie zranioną...

I nad jej głową rozjaśniał nimb krwawy, i ją, odciętą, odgrodzoną od życia, chłonie już potęga błędnego koła, z którego nie masz wyjścia...

. . . .

VI

Woń jodoformu, karbolu. W środku pokoju aparat, przypominający średniowieczne tortury. Wysoka postać bardzo zaufanego w swej pysznej mądrości profesora, komiczna

teraz nad wyraz, w niepokalanej bieli fartuchu, tworzącego rodzaj balonu dokoła nóg, wystających w odrobinie czerni spodni; obok niego, niby szyldwach na posterunku, przejęta głęboko ważnością swej asysty dama, orzucona również na zewnątrz jaśnią, odpędzającą precz wszelkie mikroby, zarazki.

Gabinet profesora Mollego.

Setki kobiet przewija się tu; każda wstępuje na ów karkołomny szafot.

Dziś kolej Janki.

Po rozkoszach małżeńskiego pożycia los zmusza ją do poznania tajników gabinetu lekarza-akuszera.

Płonie od wstydu, krew zalewa jej twarz. Nikt na tę krwawą falę uwagi tu nie zwraca. Nibyto dopomagając, ów śnieżną bielą orzucony anioł, właściwie brutalnie ją szarpie.

Leży jak martwa — przedmiot, poddany obserwacyi profesora.

Ciało podlega punktowi prawa, duch rwie się, szarpie w buncie.

Chwile jak wiek długie.

Kilka słów wybiega wreszcie z ust profesora. Pomocnica podchwytuje je skwapliwie. Przemówienie to stanowi cenną łaskę. Profesor raczy jej coś wskazywać. Kobieta przypatruje się uważnie.

Skończyli.

Ceremonia umywania rąk, skrupulatnego ich wycierania przez powagę lekarską.

Skupiona, czy też myśląca zupełnie o czem innem powaga ta, spaceruje teraz z ręcznikiem w ręku po pokoju.

Janka zeszła z wyżyn. Zdawało się jej, że jakaś piekąca chłosta rwała ją na strzępy. Te brutalne oględziny jej ciała cisnęły nią w otchłań upokorzenia. Chwytane słowa oświeciły ją.

Zrozumiała treść wymaganego punktu.

Rozdarła się przed jej oczami czarna jego zasłona, zadrgała świadomością prawnych wymagań.

Zdrętwiała jest zupełnie pod zrozumieniem, że ślepy traf mógł ją wyprowadzić z mroku, w którym tonęła, lub brutalnie na dno nieszczęścia zepchnąć.

A wtedy niema dla niej wyjścia!

Zdana jest na łaskę ślepego trafu, medycyna wszak to potwierdza!

Rozpacz nią ogarnęła, niby rozpalony ołów wdarła się w mózg, owiała ją żarem.

Zawirowała krew, skłębiła się.

Biała postać profesora, czerń spodni, płachta ręcznika zlała się w ciemną masę, w niej drgają ostre blaski, sztyletom podobne, wbijają się w powieki, ranią je boleśnie, powieki drgają, biją, niby skrzydła ptaka.

I teraz jest rzeczywiście chora, a zdrowa przecież tu wchodziła.

Eter, trzeźwiące sole, kilka uspakajających kropel niesie jej kobieta w bieli.

— Niech pani zaraz do domu wraca — ostrzega. — Takie omdlenie powtórzyć się może. Zaraz dorożką niech pani wraca. Tam będzie pani miała kogoś, na ulicy, samej, to niebezpiecznie.

Słowa te, niby ukłucie owadu złośliwego, ranią Jankę.

— Ależ ja nie mam nikogo — łopocze się w jej sercu, — i właśnie dlatego, by mieć kogo, do was na te tortury tu przyszłam.

W oczach Janki, gdy widzi, że profesor ujął pióro i pisze, aż poczerwieniało od nabiegu krwi. Wpiła się w list ten oczyma, duszą, sercem. Odebrawszy, ledwie wstała, nogi ugi-

nały się formalnie. Zaciskając kartkę w dłoni, wywlokła się z gabinetu, przedpokoju, znalazła się na schodach domu.

Wysiłek był zbyt wielki, znów zmartwiała, zastygła, a pojęcia dziwnie mieszać się poczęły w głowie.

Los swój trzyma w ręku; zamiast pochłonąć treść listu, oczy jej błędnie czepiają się złoconych futryn drzwi, mlecznych kloszów lamp, wreszcie przywarły do zwolna bardzo wznoszącej się ku górze klatki oszklonej windy. Tylko ręka ściska tak silnie papier, że ostrze paznogci wbiły się aż do krwi w ciało. Ból oprzytomnia ją. Odrywa oczy od zdobnej w ażury galeryjki, i szarpnięciem nagłem rozrywa kopertę.

Opadła do nóg jej biała, lśniąca. Bujne litery pisma, niby rozpalone iskry, zapadają w źrenice. Na papierze widnieje też kilka linii, wiążących się w całość jakiegoś rysunku. Słowa wbiły się gwoździem w mózg. Słowa straszne, takie, co zabijają myśl, a ta, jak na łańcuchu przykuta do nich, mówi:

— Dopełnione według załączonego rysunku.

Janka uniosła głowę, szukając owej bryły lodu, co zwaliła się na nią i mrozi, strasznie mrozi głowę, krzyże... Zupełnie zziębła, skurczyła się, oparła o lśniącą ścianę i machinalnie powtórzyła:

— Dopełnione według załączonego rysunku.

Zapatrzyła się w te kilka wiążących się z sobą linii. I patrzy w nie bezbronna, niby w swoją nędzę, w swoją śmierć!...

Wtula się w zimno ściany. W rozbolałej jej wyobraźni śmieje się dziko:

— Mąż twój dopełnił obowiązku małżeńskiego. Wszystko w porządku, wszystko!...

Trzyma teraz już bezmyślnie tę ćwiartkę i z uporem powtarza:

— Dopełnione, dopełnione.

Usta jej machinalnie układają się w te kilka sylab. Powtarza słowa te z uporem maniaka, wreszcie zatraca już ich właściwy sens, znaczenie; przeradzają się tylko w dźwięki, w melodyę głosu. Głos staje się monotonny, przykry, fatalnie tragiczny.

Wyobrażenia mieszać się poczynają. Uderza ją niebywała białość marmuru, dziwią niebieskawo zielonawe klosze lamp. Rzucają się jej w oczy zagłębienia w ścianie.

— To nisze — myśli przez chwilę, a potem lawiną wybiegają ku niej, olbrzymiejące teraz w jej oczach, liście krzewów, strojących schody.

Zgrzytnęły śruby, równającej się ze schodami windy, z nizin podnosiła się zwolna, cała w ażury i złocenia zdobna.

Janka ma tyle jeszcze przytomności, iż dostrzega, że tamuje przejście. Usuwa się na bok.

— Przepraszam — mówi trwożnie.

W tej chwili stargane wzruszeniem jej ciało, pod ogromem chaosu, który ją ogarnia, odczuwa niezwalczoną chęć skrycia się przed idącymi ludźmi. Porywa się do ucieczki szybko, jednocześnie jednak dojmujący ból zwichrzonych nerwów przeszywa całą jej istotę. Rękami z rozpaczliwą mocą chwyta się aksamitnej poręczy schodów.

I oto w zasnuwających się welonem mgły szarawej, w oczach zabłysło uspokajające, jasne spojrzenie, przed przygasłym jej wzrokiem, w przedziwnej harmonii kształtów, zarysowała się kobieca postać. Janka mimowoli wyciąga ku niej ręce, upada...

Dusza jej, konająca w życiowej męce, odchodzi gdzieś w głąb nieznaną...

To jej ostatnia myśl. W załzawionych źrenicach wiruje jeszcze przez krótką chwilę wszystko, wszystko cięży gwałtownie na powiekach, a potem w morzu zielonawo-niebieskich blasków tonie marmur schodów, jakaś purpura zalewa mleczne klosze lamp, wreszcie złocenia balustrad, wiązania schodów stłoczone w jedną masę z hukiem, trzaskiem i powodzią swych złoceń wzbijają się w górę, by nagle na głowę jej opaść!...

Ta dziwnie krwawo złota fala, co potokiem swym pędzi ku niej, łamie, przygniata wszystko dokoła. Ginie i ona w bezmiarze tej fatalnej wirującej przestrzeni...

VII

Kojąco chłodne, delikatne dotknięcie zwilżonego, batystowego płatka musnęło Janki czoło. Nie jest w stanie unieść zupełnie powiek. Ciało jej leży wyczerpane, umysł przypomina, że jest gdzieś nie u siebie, ale gdzie i dlaczego — nie pojmuje. Bezwład myśli jest zupełny. Odczuwa tylko, że chłód, który spływa ku niej, jest niewypowiedzianą rozkoszą, półzmrok pieści jej rozbolałą duszę, a ona kryje się wśród tych mgieł i mroków. Ale dlaczego tu? dlaczego.?

Stara się myśleć — głowa opada ciężko.

— Nie wiem, nic nie pamiętam...

W oczy jej wbiegają tylko cudne girlandy róż jasnych, śmiejących się wśród jedwabiu materyi szezlągu, na którym spoczywa; łączą się z delikatnemi płatkami kwiecia, osypującego dywan, zaściełający posadzkę; tworzą jej jakieś wonne łoże. W oddali dostrzega śliczną, barwy heliotropu zasłonę, osłaniającą wejście do alkowy. W liliowem, mdłem świetle alabastrowej ampli przemyka się czasem koło niej cień jakiś,

kobieta w domowej białej szacie. Pochyli się nad nią bardzo troskliwie, a potem niknie znów cicha, nieuchwytna...

Ogromnie tu miło, zacisznie. Płynie, zda się, wdzięczna fala ożywczego spokoju.

Janka zapada w nią i ponad ten błogi spokój znużona, wyczerpana, wybiegać nie chce.

Zamyka znów oczy.

Lecz oto jakieś szmery, odgłosy, poczynają przekradać się przytłumione z poza zamkniętych drzwi pokoju. Leciuchne pukanie dochodzi znów ze strony przeciwległych drzwi, tych z sieni prowadzących.

Jasny, biały cień wynurza się z poza liliowych draperyi alkowy.

Kobieta uchyla lekko drzwi.

Janka widzi jej twarz, dostrzega, że oczy zwrócone ku wchodzącemu pełne są zdziwienia. Wysoki, przystojny mężczyzna, ubrany w strój wieczorowy, wchodzi do pokoju. Janki, wtulonej w szeslągu stojącym w przeciwnym kącie, zupełnie zaciemnionym, snać nie dojrzał, bo ładnym, miękkim ruchem przyciąga ku sobie idącą mu naprzeciw, i w długim, przeciągłym pocałunku usta ich się łączą.

Toną oboje przez chwilę w rozkosznem uczuciu, wreszcie mężczyzna ujął kobietę pod rękę, powiódł ku kozetce. Ona patrzy mu w oczy, a we wzroku jej Janka odnajduje znów to zdziwienie, którem powitała jego wejście.

— Dlaczego tędy? — wskazuje drzwi od sieni. — Czemu ten strój wieczorowy?

W tej chwili odgłosy rozmowy, szmery, już zupełnie wyraźne, dobiegły z obok położonego mieszkania.

Otoczył ją ramieniem, przygarnął do siebie, głowę złożył na piersi.

Jednocześnie oko jego dostrzegło Jankę.

— Kto to? — zapytał.

— Wracając z miasta, damę tę znalazłam zemdloną na schodach, tuż pod mojemi drzwiami.

— I wzięłaś ją do siebie. Poznaję w tem twoje serce.

Przytulił ją znów, ucałował długo, serdecznie.

Uśmiechnęli się do siebie miłośnie.

— Ona zasnęła teraz, biedactwo! Patrz tylko.

Podała mu papier Mollego.

— Znalazłam to u nóg zemdlonej.

Spojrzał na rysunek, przeczytał słowa.

— Kopia tego, co ty kiedyś dostałaś.

— Tak. Wyrok na separacyę!...

Usta jej boleśnie zadrgały, głowa osunęła się niżej. Krucze włosy, ułożone już jak do snu, w lekkich splotach opłynęły ją ciemnym płaszczem.

Była prześliczną w tęsknocie zaklętego losu.

Lekko powstała i bez szelestu, unosząc miękki jedwab nocnej szaty, zbliżyła się do Janki.

— Śpi — wyrzekła. — I oto jej szczęście. W śnie nic nie pamięta...

Teraz patrzyła na mężczyznę znów pytająco:

— Czemu tędy? — powtórzyła zapytanie. — I czemu ten strój wieczorowy?

Znowu szmery z poza drzwi popłynęły silniejsze.

Milczał. Czuł widać, że odpowiedź jego będzie jej bolesną. Oddalić chciał tę chwilę. Źle mu było. Utulił ją znów w ramionach.

Domagała się odpowiedzi, wzrok jej, pełen niepokoju, zwisł na ciemni błyszczących źrenic.

Odczuł w głębi wzroku tego serdeczny niepokój i ból nim zatargał.

— Matka moja przyjechała — wybiegło cicho. — Idziemy do znajomych.

Uczucia rodzinne, dozwolone, sankcyonowane przez świat uczucia, zadrgały w przestrzeni.

Czarne oczy kobiety i cała twarz przybrały wyraz nieopisanego bólu. Chwilę patrzyła na zamknięte drzwi, poza któremi słychać było szelest sukni kobiecej.

— Twoja matka — rozbrzmiało głucho. — I dlatego drzwi zamknięte. Kobieta uczciwa nie może spotkać się z kochanką syna...

Spłonęła cała gorączką.

— Kochanką! — powtórzyła nerwowo.

Już od lat dwóch lęka się wciąż, że nareszcie przyjdzie ta chwila, w której człowiek, kochający ją, stanie między miłością, a wymaganiami rodziny. Oczekiwała wciąż na nią, i teraz chwila ta, niby lawina śnieżna, w postaci pewnie przedobrej, lecz z konieczności wrogiej jej kobiety, matki ukochanego, biegnie ku niej nieszczęsna, straszna...

Zniweczy ją, zabije...

I pogodny wyraz zbiega też z ust mężczyzny, gdy mówi:

— A przecież matka moja kochałaby cię.

W głosie czuć ból beznadziejnej sytuacyi.

— Byłabym jej córką — biegnie tkliwe, korne. — Ale jakże wyjdę naprzeciw niej z miłością dla ciebie? Jakże, ja, separatka?

. . . .

Matka i syn wracają późną nocą z rautu od znajomych.

Ona nie ma w sobie zwykłej pogody ducha, coś uderzyło w nią przykro, boleśnie.

On też milczy, zamknięty w sobie. Czuje, że jeszcze

chwila, a świat ze swą moralnością wybuchnie między niemi dysonansem.

Milczą oboje.

Wchodzą wreszcie do mieszkania, owiewa ich miła domowa atmosfera. Wzrok jednak matki wybiega wciąż ku drzwiom, za któremi mieści się nieszczęście jej syna:

Kobieta, która marnuje życie, zawiązuje mu przyszłość.

Ach, ta separatka!...

Iksowa na raucie — w zaufaniu naturalnie, poczciwa, chce tylko jej dobra, — powiedziała jej o stosunku syna z tą kobietą.

Już przed dwoma laty, zagranicą, wtedy, gdy był jako inżynier w Belgii, zawiązał z nią znajomość i dwa lata, tam, poza granicami kraju, związek ten przetrwał. Teraz, gdy do Warszawy powrócił, ona przyjechała także. Właściwie mieszkają oddzielnie, ale mieszkania ich łączą się. Podobno bardzo ładna i zupełnie, poza łączącym ją stosunkiem, przyzwoita, ale już za to samo, że wiąże mu przyszłość...

— Powinnaś pani wezwać ją do siebie i raz to rozerwać — mówi oburzona Iksowa. — Znam panienki z dobrych domów, ot — dodaje, wskazując, gdzie grono panien zasiadło w dziewiczem kole, — ta, w kremowej gazie, bardzo sympatyczna. Tam napewno syn miałby powodzenie. A tak, aż szkoda człowieka!...

Tosamo powtarza pani L, i pani A, i pani B.

— Taka awanturnica, separatka, to trzymać umie w swych pętach!

Oczy wzniesione w górę... potok oburzenia!...

I biedna matka widzi w kobiecie, ukrywającej za owemi drzwiami swe biedne istnienie, wroga śmiertelnego, nieszczęście, kajdany syna.

W wybuchu łez, próśb, zaklęć, wdziera się do jego duszy.

Otacza go pajęczą siecią zabiegów innej miłosnej nici; czyni to z taką kobiecą przebiegłością, finezyą, że często ta »pierwsza« odchodzi, odejść musi...

Separatka!

. . . .

A jednak, gdyby w prawa kanoniczne włączony był jeden jeszcze punkt: »wiarołomstwa«, który kobietę tę zmusił porzucić dom męża, co z przyprowadzoną przez siebie dziewczyną, tuż obok małżeńskiej alkowy, rozkoszy szukał, wtedy matka ta, zamiast rzucić okrutne: »precz, precz z tego domu«, przygarnęłaby biedną, szukającą domowego ogniska kobietę, i w tkliwym uścisku obie zapragnęłyby szczęścia wspólnie ukochanego.

VIII

I żyć będzie musiała.

Tak.

Życie wyciągało ku niej znów swe ramiona.

Od wczoraj, gdy błyski przytomności powróciły ku niej, zrozumiała, że wszystko musi iść swoim trybem, a więc i ona żyć dalej będzie musiała.

Świadomość tę przyjęła, jak okrutne zło, jak zaklęcie rzucone na nią przez los, fatalność.

Inaczej, bo wesoło, zaśmiały się ku niej oczy doktora, który wczorajszego wieczora, pochylony nad nią, zbierał skrzętnie, radośnie, to jaśniejsze, wyłaniające się z gorączką trawionego organizmu, pierwsze, lepsze wejrzenie. Posłyszała też, jak mówił do służącej, którą w pobliżu ujrzała:

— To ona.

— Poznała mnie, wyraźnie to widzę, poznała!...

Bardzo dobre oczy, ogromnie miłe usta, uśmiechały się serdecznie, poczciwie.

I za tę jego dobroć uśmiechem podziękować mu nie mogła. Za słaba była na to, a wreszcie za smutna.

Dziwnie, mimo wyczerpania chorobą, zdawała sobie jasno sprawę z tego, co z nią było.

Czuła się zgubioną.

Po przez mgłę, która leży ciężka, szara, ołowiana na jej sercu, po przez ciężar, który, choć znacznie już lżejszy, tłoczył jednak jarzmem, męką kamienną jej głowę, idą ku niej słowa lekarza:

— No, Bogu dzięki, minęło.

— Minęło — powtarza. — I czemu minęło?

Każdy nerw, każda żyła, każde drgnienie serca powtarza:

— Czemu minęło?...

— I póki było tak bardzo źle, ja wystarczałem — mówi dalej doktór, — ale teraz trzeba koniecznie, czy krewnych, czy znajomych.

Zwraca się do pokojówki:

— No, cóż ta pani?

— Pani Mortonowa, mówili mi w redakcyi, prosto z Krakowa pojechała do Rejmszy na całe sześć tygodni.

— Desperacya!

Służąca wybiega z radą:

— Chybaby do tych krewnych, co pani tam u nich wiosną była.

— Gdzież oni?

Wikcia namyśla się.

— Doprawdy nie pamiętam... poszukam... gdzieś adres był tu na biurku.

Rozmowę słyszy Janka. Wspomnienie Jerzego, Zarania,

ściąga w niej kurczowo serce; bezlitosne struny przeszłości targają nią. Chce wołać, mówić, nie może, nie jest w stanie unieść głowy.

Lekarz przechodzi do saloniku. Idzie do okna, podnosi storę. Czyni to z wielkiem zadowoleniem.

— Teraz można już trochę światła wpuścić.

Ustępuje mrok. Z jaśnią wchodzi złudzenie życia.

Ładne, zdobne bronzami staroświeckie biureczko damskie wśród kilku wysokich wazonów palm. Na niem papiery, rozpoczęty list. Zdaje się, ktoś odszedł stąd zaledwie przed chwilą. Tylko nawpół uwiędłe liście roślin, smutnie zwieszona wiązanka kwiecia w doszczętnie wyschłej wazie smutne jakieś, żałobne, wycieńczone, słabe, zda się mistycznym łańcuchem związane z tą, co od nich przed tygodniem odeszła.

Odeszła pysznym słonecznym kwiatem — teraz ocknęła się zmęczonem, usychającem w beznadziejności, nie wiążącem się z pięknem słońcem, bez duszy swej, ni myśli — ciałem.

Lekarz szuka adresu owych krewnych. Dostrzega rozpoczęty list. Przypuszcza, że w nim może znaleźć wskazówki o tej samotnej zupełnie kobiecie. Wezwany przez służącą, od tygodnia ratuje ją przed możliwem zapaleniem mózgu. Na mieście zebrał o niej pewne szczegóły. Sympatyczna jest mu nad wyraz. Chciałby teraz otoczyć ją miłą, serdeczną opieką rodziny. Nikt się nie zgłasza, trzeba samemu szukać.

Oczy jego padają na rozpoczęty list:

»I dziwnie rozdwajam istnienie moje. To, co jest szczęściem, radością, ulatuje w dal. Tu trzyma mnie konieczność zerwania pęt, które, wierzaj mi, panie Jerzy, nigdy jeszcze a k strasznie nie zaciężyły«.

Pismo, z początku wyraźne, dalej już stawało się dro-

bne, niepewne, jakby i ręka, stawiająca litery te, zadrgała niepewnością.

»Dziś idę do profesora Mollego. Adwokat tam iść mi polecił. Dlaczego zdanie tego pana jest do mojej sprawy potrzebne, nie wiem. Ale idę i tam, i wszędzie, gdzie każą — pójdę...«

List urywał się.

— Treść wybiega teraz w bólem nabrzmiałe szamotanie — pomyślał lekarz.

W odpowiedzi podsunął mu się pod oczy papier Mollego. Leżał tuż obok, zmięty, zgnieciony.

— Powód choroby. Jeszcze jedno złamane życie — mignęło mu w umyśle.

Zwrócił się ku otwartym drzwiom sypialni.

Ze śnieżystą bielą poduszek łączyła się twarz przezroczo blada. Oczy, wskutek wielkiego wychudnięcia, zdawały się ogromne, w głąb wsunięte.

— To twarz kobiety, której ciało ożyło — powiedział sobie lekarz, — dusza jednak, odbita w martwym wyrazie twarzy, zamarła jest, zastygła.

I teraz rozumie doskonale, co łączyło ją nadzieją z życiem: owo odczytane w rzuconym na biurku liście. Wyrok Mollego rwał nadzieję, z nią porwał i duszę!

Zrobiło mu się bardzo smutno.

Szuka znów owego adresu.

I oto na wyższej półce biurka, tą samą ręką skreślona, widnieje kartka, a na niej: »Jerzy Zaruski — Zaranie«. Adres zostawiony widać dla służącej przy wyjeździe.

— Jerzy — powtórzył zamyślony. — No, zatelegrafuję do tego pana Jerzego. Czyżby to nie ten z listu? Jeśli tak, to w nim może będzie jej zbawienie.

— Ależ, napewno, że to ten sam — dodaje po namy-

śle, — przypominam sobie, że ona właśnie to imię wymawiała w gorączce. Tak, tak, napewno mówiła: Jerzy.

Uśmiecha się rad.

— Sprowadzę go. Jak widzę z listu, ona go kocha. Rekonwalescencya ciała pod uśmiechem duszy będzie łatwiejszą.

Pisze słów kilka depeszy, dzwoni.

— Proszę oddać na telegraf — mówi nadchodzącej pokojówce.

Weselszy przeszedł teraz do sypialni i tu uchyla nieco storę. Zrobiwszy to, spojrzał w stronę łóżka, ku Jance. Mimo że złoty promień zagrał jaśnią wesołą, twarz jej ani drgnęła. Wciąż zdawała się zaklęta w marmurze.

Zbliżył się do łóżka, pochylił się, ujął za rękę, szuka pulsu...

— No, spokojniejszy o wiele.

Uśmiechnął się dobrotliwie, a rękę wciąż trzyma w ciepłym uścisku.

— Wracamy już do zdrowia, do życia.

Chciała coś powiedzieć, poruszyła blademi wargami.

— Ani słowa! — położył palec na ustach. — Wolno tylko słuchać i cieszyć się ze słońca. Widzi pani, jak się do niej raduje słoneczko; a wieczorem przyniosę pani, gdy przyjdę, trochę kwiatów. Zaraz poweselejemy.

— A potem — uśmiechnął się znów, — a potem — mówi wolno — spotka panią miła niespodzianka.

Zatrzymał się, widząc, że kobieta wbiła w niego z lękiem swe oczy.

— Miła — powtórzył z naciskiem. — Ktoś do pani przyjedzie.

Ciemnia źrenic zamigotała fosforem.

Lekarz chwilkę wahał się, wreszcie pochylił i, składając na wychudłej dłoni pocałunek, rzekł cicho:

— Kuzyn pani, pan Jerzy.

I widać imię to, wymówione łagodnie, miękko, wydobyło z pamięci i serca kobiety nastrój serdecznego uczucia, bo ręka jej w dłoniach doktora zadrżała, a lżejszy od cienia uśmiech odczuł on raczej, niż dojrzał.

To przebicie się bardziej ludzkiego wyrazu po przez martwą powłokę twarzy uradowało lekarza. Wdzięczny jest niezmiernie przypadkowi, który podsunął mu list Janki, kartkę Mollego, a następnie, wyjaśniając osobę Jerzego, dał mu możność przepisania lepszego lekarstwa, aniżeli całe apteczne zapasy.

Bo doktór Liwski nie jest przeciętnym, szablonowym, ot, zwykłym od przepisywania recept, lekarzem.

To człowiek, który, lecząc ciało, patrzy też i w głąb duszy.

I teraz, gdy widzi, że w tem wychudłem ciele zadrgał duch trochą radości, cieszy się, że on, sprowadzając owego Jerzego, druzgocze martwotę, więc wyrok Mollego.

— Porozumiewają się, to najważniejsze. I cały Molle w łeb weźmie!...

Zatarł z ukontentowaniem ręce.

— Ludzie muszą żyć, bo są tylko ludźmi. To trudno!

Delikatnie otulił Jankę pluszem kołdry. Pierwszy raz zauważył śliczny, miękki jedwab włosów. Pod workiem lodowym zmoczone były zawsze — teraz, nie obciążone mrożącym ciężarem, osnuwają głowę delikatną, ładną falą.

Dostrzega, że Janka całym wysiłkiem woli stara się przemówić.

Pochyla się ku niej troskliwie.

— Co? — pyta.

— Kiedy? wyrzuciła wreszcie zdławionym głosem.

Zrozumiał, o co pytała.

— Zapewne jutro. Dziś, nad wieczorem, gdy przyjdę, pewno już na moją depeszę będzie odpowiedź. A teraz, uśmiechać mi się, cieszyć, a kwiatów przyniosę...

Raz jeszcze uścisnął jej rękę. Ona zacisnęła palce dokoła jego dłoni.

Odczuł jej wdzięczność.

IX

I godziny nie przechodzą teraz Jance, lecz, jakby na skrzydłach cudnego anioła, spływają spokojnie, lekko.

Szafiry oczu Jerzego, choć jeszcze z oddalenia, stapiają się z ciemnią zapadłych ócz Janki; promienieją tak silnie uczuciem serdecznem, że pod naporem ich światła, ciepła, ciemne chmury życia uchodzą gdzieś w dal...

Z błyszczącemi radosną nadzieją oczami odwraca się Janka od ciemni tych chmur, a uśmiechem wybiega ku oczekiwanemu....

Jasną kartką odcina się na tle rubinowego pluszu kołdry kartka depeszy.

To odpowiedź.

Ręka Janki miłośnie wyciąga się ku niej, delikatnym ruchem przyciąga ku sobie, tuli w dłoni.

Na ćwiartce widnieją słowa:

»Wyjeżdżam pierwszym pociągiem. Proszę zaraz telegrafować do Trzebini, jak zdrowie«.

I lekarz już to załatwił. Wczoraj wysłał uspokajające: »Coraz lepiej — czekamy«.

A sam nad wieczorem, jak to obiecał, zasypał jej posłanie całą masą kwiecia.

— Proszę pieścić niemi oczy — powiedział, — woni nie dałem. Umyślnie wybrałem niepachnące kwiaty. Dla zmęczonej główki zapach byłby za silny.

I leżała tak, wśród jasno różowego i białego kwiecia, sama jak kwiat wytworny, piękny, lecz życiem zmęczony.

I nocy tej myślała wiele, wiele...

Dziwna to była noc, pełna uroku i szczęścia.

Cicho, jak w bajce, biegło ono ku niej na przebój, na przekór wszystkiemu.

Kwitło wolno, wśród wolnych serc, na pozór rozbitych męką życiową.

Kwitło w sercach na pozór rozbitych, lecz idących ku sobie niezdławioną, silną miłości pieśnią.

I nocy tej Janka zrozumiała, że miłość ta, której nie wolno poszybować szczerze, radośnie, w przestrzeń szeroką, zabić się jednak w zapomnieniu nie da.

Jedno słowo rzucone: »przyjeżdżam«, jeden błysk nadziei, a sympatya dawnej nici miłosnej zmartwychwstaje, rozjaśnia ciemnię i błyszczy, niby gwiazda w ciemności.

— Silna jest i zdławić się nie da — mówi Janka, wpatrzona w drobne literki depeszy.

I ogarnia ją radość wielka, niezmierzona.

. . . .

Czuje się nawet spokojną, męki przebyte skończyły się. Wie, że szczęście całe, niepodzielne, nie czeka jej już w życiu.

A jednak...

Świątynią cichą, niewzruszoną obejmuje ją myśl, że nie odjęto jej jednak tego, czego odjąć nie mogą — miłości Jerzego.

— Bo z serca wydrzeć nie mogą, nie są w stanie — myśli, — i ta jest naszą.

Pod wpływem uczucia Janka staje się egoistką.

Wdzięczna jest teraz owym prawom kanonicznym, w których zdrada małżeńska separacyą tylko darzy.

— I on nie jest wolnym, jest, tak jak i ja, w kole zaklętem. I to całe szczęście, bo gdyby nie to...

Z ciemni idą teraz ku niej słowa separatki, co ją u swego progu znalazła:

»Nie wiąż się pani nigdy w sytuacyę, w której byłabyś zaporą do legalnego szczęścia mężczyzny. Nie dziś, nie jutro, może i nie za rok, ale wyrzut ten kiedyś rzuciłby ci on, a wtedy...«

Janka widziała rozpacz kobiety, nad której sercem przyszłość podobna, niby ostrze sztyletu, wisiała.

I właśnie nocy tej dowiedziała się, że wiarołomstwo małżeństwa nie rozwiązuje, i dlatego Jerzy...

Spojrzała ku bielejącej w niepewnem świetle *veilleuse*'y karcie depeszy.

I dlatego Jerzy rzucić jej słowa tego nie będzie mógł nigdy!...

Nie stanie mu się zaporą do legalnego szczęścia, nie...

Ta kartka rzucona na tle różanych, białych, liliowych barw kwiecia, spływa w harmonijną wizyę, — wizyę niezupełnego może w swej życiowej doskonałości szczęścia, ale wyłania się z niej kwiat miłosny, zawarty w słowach tchnących lękiem, trwogą.

Ujęła kartkę, przycisnęła do ust.

I oto twarz jej staje się pogodna, cicha, zapatrzona w ekstazie miłosnej w źrenice, co, choć zdaleka, biegną już ku niej tkliwe, kochające.

. . . .

Z poza złotej mgły oczekiwania rozdźwięknęło lękliwe, ciche drgnięcie dzwonka.

Srebne tony wkradły się delikatnie do mózgu.

— To on!...

Janka pragnie usiąść na łóżku. Zabrakło sił. Uniosła tylko głowę bardzo piękną w kaskadzie popielatych, wijących się dodoła delikatnej twarzyczki włosów. Wsłuchana w echa rozchylających się drzwi, zdała się nieść w rysach czystych i przedziwnie wysubtelnionych mękę, którą przeniosła, przedziwny blask, nieziemski promień, cudny zachwyt.

Z za przysłoniętej portyery doszedł wreszcie głos delikatny, cichy:

— Jerzy! — zadrgały usta Janki.

Lekarz zatrzymał chwilę przybyłego. Janka dostrzegła go w półcieniu.

Zdał się jej być duchem jasnym, zesłanym ku niej gdzieś z wyżyn.

Cudna radość objęła ją.

Z poza osłon przezroczych, z poza płatków delikatnego w tonach, rozrzuconego wśród koronek i pluszu kołdry kwiecia, wyciągnęła ku niemu przezrocze, wychudłe rączęta.

A dusza jej wołaniem wybiegła:

— Chodź do mnie! Niech przy tobie wreszcie odpocznę!

A ręce jej spłotły się dokoła jego głowy. Serce zanurzyło się w wielkiej ciszy, radości, spokoju.

On głowę swą tulił do rąk jej i szeptał:

— Janiu, Janiu moja!

Z trudnością odrzuciła:

— Nie, nie, ja nie będę wolna...

Nerwowy dreszcz porwał ją całą, w rękach mu zadrżała. I on blady był ze wzruszenia. Niepokój, który wstrzą-

snął nim na wiadomość o chorobie Janki, w ciągu dni ostatnich wystąpił w rysach ostremi liniami. Oczy tęskne, marzące, pogłębiły się znacznie.

O swoim losie, na życie z żoną skutym, wiedział już także. I on zziębły był i zastygły w moralnem odrętwieniu. Przeszedł kilka dni strasznej walki. Chciał pisać do Janki po odebraniu wiadomości od swego adwokata. Gdy brał jednak za pióro, zdawało mu się, że słyszy te okropne słowa, co na papierze rozbłysnąć miały:

»Więc przyszłość nasza iść musi różnemi drogami«.

Nie mógł.

Wpijał się oczami, duszą, sercem w kartki jej listu.

Uspokajał się dopiero, gdy widział barwę ich delikatną. Ostrożnie spijał z nich słowa łagodne, miłosne, lecz słowa te, razem z radością, spadały na niego bolesną męką i jak kruki drapieżne szarpały mu uczuciem nieziszczonych rojeń serce.

Myśl, że musi odejść od niej na zawsze, że nie może uczynić jej towarzyszką swego życia, że rozkoszy swej i pracy dzielić mu z nią nie wolno, że murem życia ich zamknąć się winny, poza który jemu ku niej przedostać się niepodobna, nie wolno.

Słowa te, wysnute z treści objaśnienia krakowskiego adwokata, osmagały brutalnie, nielitościwie całą jego istotę.

I rozdarła się przed nim okrutna świadomość samotnej bez Janki przyszłości; zrozumiał całe swe nieszczęście i w otchłani bezdennej rozpaczy zatonął.

Od kilku miesięcy wszystkie jego myśli wirowały jedynie i wyłącznie dokoła niej. Uciekał od teraźniejszości ku niej; później, w chwili zerwania z żoną, wszystko rwało się myślą ku przyszłości, ku niej.

A teraz wszystko skończone.

Bez niej niema przyszłości, niema życia. Jedna rozpacz, pustka!...

I zapadał w straszny żal, konanie...

Gdy nagle:

— Depesza!

. . . .

Podniósł ku Jance trwożne wejrzenie.

— Tak! — powtórzyła z wysiłkiem — nie będę wolna...

A w nim rozmodliło się z wielkiej radości serce, i znów punkta prawa kanonicznego wydały nie zgrzyt, nie rozpacz, lecz wdzięczność, radość za zamknięcie dwóch istot w kole zaklętego losu.

Wizya jakiejś wspólnej przyszłości naszła na niego.

Cudna, anielska wizya.

Blady ze wzruszenia, cały zmieniony w pragnienie, by to ukojenie, które objęło go, nie odeszło, przytulił znów swą wyzłoconą masę włosów do rąk jej i szepnął:

— I ja, Janiu, także... i ja.

Umilkli oboje, nie chcąc płoszyć chwili.

Przez uchylone okno wpadał ostatni promień słońca, wił się czerwieniejącym zachodem po dywanie, aż ku stopom osuwających się z łóżka koronek. Bardzo delikatna, subtelna woń płynęta z wiązanki rozrzuconego wśród batystu pościeli kwiecia, a fala radosnego serc uczucia płynęła od tych dwojga zasłuchanych w cudną przyszłości melodyę.

I całe ich nieszczęście, cały wał, mur, uchodził w cień, wraz z zachodzącymi promieniami słońca, niewinne światło jutrzenki kołysało się już lekko, zwolna tworząc ponad ich głowami przejrzystą, świetlaną aureolę nadziei. W jaką pieśń śpiew ich serc życie ułoży, nie myśleli w tej chwili, tylko przykuci jej czarem, wsłuchani w to zjawisko szczęścia, w to

wiekuiste piękno, wchłaniali promień olbrzymiej w swej miłosnej gamie jasności.

. . . .

Usnęła spokojnie, lekko, jak dziecko.

Białość jej cery i szyi przechodziła w biel alabastru.

Ciemne, jedwabiste rzęsy rzucały cienie na wychudłe policzki. Usta, blado różowym koralom podobne, lekko rozchylone były w uśmiechu, białość zębów lśniła, jak sznurek pereł na różanem podłożu. Wśród kaskady rozrzuconych włosów i fali koronek u odsłoniętej szyi, w niepewnem świetle nocnej lampy, zdawała się być jakiemś marzeniem o cudnych, uspokajających barwach.

Bez szelestu zbliżył się do łóżka lekarz, pochylił nad trzymającym wciąż w swych dłoniach ręce Janki — Jerzym.

— Śpi spokojnie, jak dziecko. Sen taki jest dla niej zbawieniem, w nim jej nerwy i przemęczone ciało odpoczywa.

Stał, zapatrzony w śpiącą.

— Ile tu urody, słodyczy, ile kobiecego wdzięku, ujętego w subtelną siatkę uczuciowości.

Jerzy patrzył też w Jankę zachwycony i jakby przykuty do niej, a w piersi jego drga wiecznie jedno i to samo pragnienie:

Mieć ją zawsze, wiecznie przy sobie.

Pragnienie to teraz, gdy widzi ją tak bezkreśnie w życiu zgubioną, pokrzywdzoną przez los, staje się w nim coraz silniejsze. Ni na chwilę nie wyobraża sobie możności egzystowania bez niej, bez widoku jej twarzy, bez dźwięku jej głosu...

Zegar wydzwonił dziesiątą.

— Zastąpię pana na kilka godzin — odezwał się Liwski. — Idź pan, wypocznij po drodze.

Głowa Jerzego zwróciła się ku mówiącemu.

— Nie, nie — odezwał się cicho, a pełne zapału blaski wybiegły z oczu jego. — Nie, nie, ja stąd nie odejdę, nie jestem znużony.

Ścięty wszakże owal twarzy, usta spieczone, przeczyły słowom.

I znów pochylił się ku śpiącej chwytał w siebie lekki jej oddech, zwisł cały na bladych ustach; w rękach łagodnie tulił drobne, z ufnością mu złożone dłonie.

Serdeczne ciepło owionęło Jankę, gdy późnym rankiem zbudziła się ze snu. Z rozkosznem uczuciem błogości ujrzała złote, w puch rozpływające się włosy Jerzego, wśród oparcia fotelu. W blasku dnia dostrzegła przejrzystość jego cery, zapadnięcie policzków, widziała, jak ładne, regularne rysy wystąpiły z nadzwyczajną ostrością.

Zrozumiała, że i ten człowiek cierpiał wiele i bardzo.

Siedział w fotelu tuż obok jej łóżka, z głową pochyloną w sennem znużeniu, długie rzęsy rzucały cienie na chorobliwie mizerną twarz.

W wyciągniętych dłoniach zamykał jej ręce w jakiejś cichej, tęsknej pieszczocie. I Janka czuła, że człowiek, który tuli się ku niej z takiem oddaniem, ma ją w głębi swej duszy, mimo okrucieństwa losu, który nie pozwala im na życie połączyć się ze sobą.

— Nie pozwala — szepnęła.

Tęsknota opłynęła ją znów, ręka jej zadrgała.

Drgnienie przeszło w istotę Jerzego i jego półsen zerwał się nagle.

Jasne, zdrowe światło dnia padło teraz ku niemu.

Razem z dniem powracała mu świadomość, i rozkosz ta orzeźwiła go w jednej chwili.

Uśmiechniętą i rozjaśnioną twarzyczką powitała go Janka:

— Taka czuję się zdrowa i tak mi dobrze! — wyszeptała.

Przylgnął ustami do jej rączek.

— Otwórz pan okno! Taka cudna jaśń stamtąd bije.

Ze światłem dziennem wróciło i owo »pan«, które wczoraj wśród uroków nocy znikło. Narzuciła je sobie dzisiaj, bo jakże, cóż mógłby o niej myśleć?

— Zdaje mi się prawie, że mogłabym już wstać.

Spróbowała unieść się. Nie mogła — upadła.

— Pomogę.

Wyciągnęła ku niemu ręce. On bardzo łagodnym, miękkim gestem otoczył ją ramieniem, lekko unosząc. Przymknęła oczy i w rozmarzeniu półsennem znalazła się w jego objęciu. Obojgu zdawało się, iż są jakby we śnie. Oczy pokrywała im mgła. Jakieś głosy ciche i senne zamajaczyły miłością.

Bezsilne, wymęczone gorączką ciało poddało się niemej pieszczocie, duch skoncentrował się w błagalnym wyrazie, co w szepcie drżącym, błagalnym, zwrócił się ku mężczyźnie:

— Nie, nie! — prosiła.

Źrenice ich wbiły się w siebie.

W oczach Jerzego, choć tlił miłosny blask, lecz pod prośbą jej porwało się i uczucie wielkiego wzruszenia ku tej, co drżała mu w objęciu.

I głosem, pochodzącym z głębi duszy, przemówił:

— Nie bój się mnie, Janiu! bratem ci tylko będę.

Złożył delikatnie słodki swój ciężar na biel batystów, przykląkł obok, i w niewypowiedzianem uczuciu głowę swą złożył u stóp kobiety.

Ona głowę tę, co tuliła się ku niej, rękoma swemi ogarnęła i, starając się przezwyciężyć prądy, które ją ku niemu siłą miłości niosły, szeptała:

— Mój brat! Mój dobry brat!...

X

To sztucznie splecione życie posuwa się dzień za dniem.

Janka powraca do zdrowia nie z dniem, lecz z godziną każdą.

— Lekarstwa działają wprost magicznie — mówi Liwski, i śmieje się, zacierając z zadowoleniem dłonie.

Wczoraj znalazła się już filiżanka rosołu. Dziś do codziennego menu włączono maluchny, ot, jak dłoń, kotlet.

Każde śniadanie, każdy obiad — to jeden uśmiech, jedna radość.

I Janka i Jerzy wiedzą, skąd ta gama rozradowania w nich bije: są razem — oto cała tajemnica.

Nie mówią jednak nigdy o tem, życie idzie samo, układa się, oni je przyjmują radośni, wdzięczni.

Owo braterstwo przewybornie im dopomaga.

Już Janka nie krępuje się, wymawiając swobodnie jego imię. On siostrzyczkę karmi, otula szalem, by drobne kurczątko nie zmarzło...

Śmieją się do siebie, do słońca, do życia, do przyszłości.

Tak, do przyszłości.

Lecz o niej nigdy nie mówią.

. . . .

Oko Janki zwróciło się bardzo lękliwie i trwożnie w stronę biurka.

Bała się dostrzedz listu Mollego, wszak tam go, wróciwszy do domu, rzuciła. Pamięta.

A potem zaraz zemdlała.

Teraz go tam niema. Odetchnęła.

Wchodzi do saloniku.

Podniesione story. W pokoju istna powódź słońca i kwiatów. Wszędzie róże: i białe, i różowe; kremowych i pysznie żółtych herbacianych pełno także.

Istne święto róż.

To Jerzy orzucił niemi salonik. Dziś wielka uroczystość. Janka opuszcza sypialnię.

— Wypływamy na pełne morze — twierdzi Liwski.

Postać jej, otulona w miękkie zwoje białego kaszmiru, ma w sobie słodkie zadumanie. Uczuwa się w tej chwili wyrwaną śmierci. W swej cierpiącej piękności przypomina, bardziej, niż kiedykolwiek, szkic Włoszyńskiego.

Jerzy spogląda na nią z zachwytem.

— Piękna dziś jesteś, Janko — mówi, — piękniejsza, niż kiedykolwiek.

Prowadzi ją właśnie wolniutko ku kanapce, osłoniętej ładnym francuskim ekranem.

Piękna, malowana markiza uśmiecha się, jak dawniej, ku swemu towarzyszowi.

Wspomnienie wybiega ku Jance.

— Ten wieczór! — myśli. A łzy wieczoru tego, niby perły lśniące, biegną ku niej.

Teraz uśmiech, błogość... obok niej przyjaciel, brat.

— Jak dobrze, jak miło!

Osuwa się na kanapkę, raczej on osuwa ją delikatnie,

łagodnie; już nóżki jej, w ciepłych, białych pantofelkach, układa na atłasie podnóżka, sam klęczy przy niej.

— Co jeszcze? — pyta.

Oczy ich spotykają się. Są teraz ogromnie tęskne, rozmarzone.

We wnętrzu płonie cała nuta tkliwości, na jaw wywołują oboje tylko ciepłą prostotę, pełną szczerych uczuć.

Lecz w tem słońcu, w tem złocie, w tym gaju róż znów nuta tkliwa drgać, błyszczeć poczyna.

Więc milczą.

Tylko owo »co jeszcze?« wbiega.

— Jak w danej chwili, to nic więcej — śmieje się wchodzący Liwski. Całuje ręce Janki. — Nasza królowa jak w ogrodzie.

— Chyba z przyzwyczajenia wezmę za puls. Dobry, doskonały. Więc, jak na teraz, już nic więcej, ale... — rzuca i nie kończy.

Ma w źrenicach swych jakiś tajemniczy uśmiech.

Oboje zwracają się ku niemu.

Wesołem, sympatycznem spojrzeniem ogarnia ich. Tworzą mu śliczny, wiośniany obrazek. Właśnie chce miłości ich dać urocze tło. To sprawia mu żywe zadowolenie.

— Ale — podejmuje, pewny, że projekt jego do gustu im przypadnie, — ale naszej ślicznej pacyentce trzeba górskiego powietrza. A, mimo cały mój dla niej sentyment — mówi, skłaniając dworsko przed Janką głowę, — tego w Warszawie dać jej nie mogę.

Jakimś powiewem świeżym, ożywczym, powiało od słów doktora.

— W góry! — zaśmiało się w Jance.

W ślicznym, powabnym ruchu, zwróciła się ku Jerzemu:

— W góry! — zawołała.

Oczy jej rozbłysły ku szmaragdom, ku błękitom jezior, a usta, ukwiecone uśmiechem, z całym swym wdziękiem rozchyliły się ku kochanemu.

On, szczęśliw z radości tej, odrzucił jej czar uśmiechu.

Liwski te śliczne objawienia miłości z ust ich zbierał.

— Tak, w góry — powtórzył, zwracając się do Jerzego — musi pan swoją siostrzyczkę wywieźć.

Przy słowie »siostrzyczkę« uśmiechnął się pobłażliwie. Nie wierzył ani na chwilę w istotną trwałość owego braterskiego stosunku. Był przekonany, że sielanka zamieni się niezadługo w radosną miłości chwilę. To ładne jakby narzeczeństwo ogromnie mu się podobało, i rad spędzał czas wolny wśród tej delikatnej miłosnej tkanki, znaczącej się majaczącymi konturami przyszłego szczęścia.

Każdego dnia dostrzega dłuższe rąk uściski, bez względu już na jego obecność, zapadanie bezpamiętne w sobie źrenic. Osnuwały go tu całe morza niewypowiedzianych lecz wyczutych uczuć.

Że bardziej wyraźnie nie skrystalizowały się one jeszcze, rad jest temu, ze względu na Jankę.

— Za słaba na takie gwałtowne wstrząśnienie nerwów. Tak, jak jest, jest dobrze. Lekkie podniecenie doskonale wyzdrowienie przyśpiesza. Teraz niech wyjeżdżają. Środowisko też dla niej zmienić dobrze. Tu, zawsze złe wspomnienia — myśli.

A tamci dwoje ku projektowi, który rzucił, wybiegają już szczęśliwi tacy, bardzo radzi.

On kołysze ją lekko, leciuchno, w bujaku; ona, z główką schyloną ku niemu, tworzy plany podróży.

Oczy jego, pełne świetlanych blasków, połyskują ku niej

uśmiechem. Ona odpowiada mu twarzą rozjaśnioną, szczerą, młodą, łagodną.

Wyjazd w owe góry zapowiada się cudnie.

XI

Jak sen...

Kraina osypana śnieżnym puchem gór, lśniąca szmaragdem przezroczej tafli wód.

Niebo pełne czystości i barwy. Purpura słońca o wschodzie; opalowe ranki; pełne melancholii zadumy słońca zachody.

Majestat gór. Pokłady aksamitnego mchu. Szczyty obrosłe gęstym, świerkowym lasem.

Wśród opalowej toni mgieł rannych mrocznia niemal zupełna. Lecz gdy skonają pajęcze mgieł nici, a z delikatnej jaśni wyjrzy roziskrzone południe, wtedy wśród ciężkich konarów drzew rozlewa się stonowane złoto promieni słonecznych, rozkładając plamy, zbiegające się łagodnie, przytulnie, na mchów kobiercu. A oto, jakby w ramy zieleni ujęty, gdzieś na wyżynie górskiej, szalecik lekki, ażurowy. Wątły, mały, w obramowaniu świerków i drzew liściastych, niknie zasypany też kaskadą kwiecia. Róże, lewkonie, rezeda w klombach; wysokie balkony objęte płomieniami róż purpurowych.

Właścicielka hoteliku pyta dziś Jankę:

— *Eh bien, monsieur votre frère* nie odjeżdża?

Z trywialnego miejskiego ruchu, z wyzywających przejawów jego życia, Janka i Jerzy znaleźli się wśród cudów Szwajcaryi.

Wizya uroczych gór przeszła w przechodzącą rojenia swym czarem rzeczywistość.

Szwajcarka ponawia pytanie.

Twarz Janki w osłonie miękkich włosów zapłonęła, jak jutrzenka.

— Mam lokatora na cały sezon właśnie na jego pokój parterowy, więc...

Serce Janki myśleć nie chce o tym odjeździe. Odgradza się od tej myśli. Tak bardzo przywykła do ramienia Jerzego, taką jest jej ono słodką, konieczną podporą.

Więc też, gdy Jerzy o wyjeździe swym mówić poczyna, w oczach jej jest niemal błagalna prośba. Urok w niej tak wielki, że i Jerzy nie zdaje się mieć już woli i zagłusza w sobie wciąż ową myśl odjazdu.

Rzuca czasem słowo »odjazd«, a wzrok jego wnet szuka tej duchowej mocy w oczach kobiety, która go tu wiąże, zatrzymuje, przykuwa.

W oczach świata są »*frère et soeur*«, i stosunek ich jest wciąż braterski. Ona zajęła południowy pokoik, zalany światłem i słońcem na pięterku; on znalazł pomieszczenie w parterowym pawilonie. Poza właścicielką hoteliku, szwajcarką, która uciuławszy sobie trochę grosza na guwernerce *en Pologne,* teraz tu osiadła, szalet ten nie ma innych lokatorów.

Bo nikt też zakopać się w takiem ustroniu nie chciał.

Odcięte ono od świata poszyciem ciemnego, pysznego boru. Za miasteczkiem leży wspaniały zakład kąpielowy i tam też turyści śpieszą.

Ten cichutki zakątek wymarzony jest dla odpoczynku duszy, a dla serc w swem odosobnieniu od świata uśmiechem, szczęściem, rojeniem.

Tu też wraz z jasnością tryumfalną przestworza rozlewa się zwolna jasność w umysłach, sercach obojga.

I wreszcie wieczora jednego, gdy srebro księżycowego

światła miękko ogarnęło i zalało kobierce zieleni leśnej, gdy śnieżna biel objęła kontury drzew i ślizgała się lekka, rozwiewna na drżących ich liściach, Janka, idąc jasna, w draperyach białych, nagle drgnęła, objęła ramieniem Jerzego. Zwróciła się ku niemu.

Ładna twarz jego, regularnie ładna, z aureolą złocistych włosów, wśród srebrzystej toni światła, pobladła była, a oczy ciemnym bardzo szafirem migotały ku niej gwiazdami.

Przytulił ją do siebie.

— Bądź tu, tak, przy mnie — wyrzekł.

Nie opierała mu się, raczej słodko przytuliła się do jego ramienia.

Po postaciach ich pomykało księżycowe światło, mdłe, łagodne...

I wreszcie w świetle tem w delikatnych jego poblaskach rozsnuwać się poczęła nić pajęczej ich dotąd i nieokreślonej egzystencyi.

Rozwarły się przyszłości wrota. I stanęły dusze ich u wrót tych, a sercom ich stało się słodko, cicho, cudnie.

Poszycie ciemnej zieleni uroczyste, piękne, wspaniałe, odcinało ich od odmętu ludzkiego tchnienia; w przestworzu rozszemraly się dźwięki czyste, jasne.

Weszli dziś w głąb tego lasu, z uczuciem, że w tej świątyni rozjaśni się to, co dotąd napełniało ich istoty, mimo całe szczęsne istnienie, jakimś lękiem, trwogą, niepokojem — ową przyszłością!...

Przeczuwali, że z teraźniejszej chwili wyłoni się wreszcie chwila przyszłości.

I oto nadeszła.

Słodka świadomość obejmuje Jankę, i w uświadomieniu tem biała, smukła, czysta, tuli się teraz do ramienia mężczyzny.

Ujął jej śliczną główkę w swe dłonie, wpatruje się w jej twarz usilnie.

Chwilę trwa zaduma cudna, czarowna, ekstazy pełna. W milczeniu swem ma ona całe strofy najcudniejszych pieśni miłości. Doskonała harmonia ciał i dusz, osrebrzone rosą sentymentu, na rozwianych skrzydłach, unosi ich w godzinie tej gdzieś, hen, daleko od świata, w krainę marzeń i cudów...

I z poza osłony nocy, jak zorza poranna, z próżnej dotąd amfory życia cudem sączy się brylantami tęczy lśniący strumień miłości...

W złotem kole potężnego hymnu uczucia znaleźli zagadkę przyszłości.

Czarowne, nieziemskie uczucie od niej bije.

I dlatego z oczów ich płyną strugi światła. Usta, jak pączki kwiatu, roztęsknione za miłosnem tchnieniem, wychylają się ku niej. Dusze, ujęte splotem wielkiego, bezbrzeżnego sobie oddania, toną zapatrzone, zasłuchane w czarujące piękno tej przyszłości.

I w tej odrębnej, tworzonej dla siebie krainie życia, zdają się być cudnem miłości zjawiskiem.

W świetlanych kręgach księżyca, co w odbiciu zieleni opływa ich białe postacie szmaragdowymi odblaski, jak dwa marmurowe posągi w cudnych, wytwornych liniach wybiegają z rozsrebrzonych traw pokładów.

I wiośniana pieszczota wykwita z dusz ich bieli i spływa na usta różanym kwiatem pierwszego pocałunku...

Delikatnie zaszemrały liście, jakby zbierając cudne echa, i zaniosły je pod strop nieba.

W pocałunku tym zamknęło się wszystko.

Cała ich przyszłość, bo nadzieją przyszłości tej wybiegło na usta Jerzego:

— Czy chcesz być moją na zawsze, Janiu?

W smudze słów tych, niepokojąca myśl przyszłości stawała się cicha, tajemnicza, mistyczna.

Bezkresny spokój, dążność do wieczystej miłości zaległy wśród nich. Wdzięczna pocałunku pieszczota promieniowała dokoła.

— Chcesz, byśmy już razem szli przez życie? — spytała cicho, niemal niedosłyszalnie.

— Tak.

Przymknęła oczy i, miast słów, głowa jej, upojona radością, szczęściem, spoczęła ufna, bezgranicznie kochająca, na jego piersi.

Usta zamknęły się raz jeszcze w długim, na życie, pocałunku...

. . . .

Wracają szczęśliwi teraz i spokojni zupełnie.

Już z głębi serc nie może wypłynąć z żalem:

— Nikogo!

Teraz, gdy z ust ich padły słowa, łączące dole ich na zawsze, promienieją oboje miłośni, szlachetni, piękni, rozkochani.

Idą ku hotelowi jakąś ledwo znaczoną ścieżynką.

Wiedzie ich światło srebrzyste, co wciąż na zieleń trawy kładzie swe srebra pełne plamy.

Idą zasłuchani w rozkosz serc, w melodyę słów.

— A chociaż kocham cię nad życie, to przecież gdyby nie zupełna, rzeczywista pewność, że wolną być nie możesz, nie usłyszałabyś tego odemnie, Janiu, nie usłyszałabyś nigdy.

Zatrzymała się. Wzniosła ku niemu śliczne, połyskujące teraz iskrami oczy, w ustach zadrgało pytanie:

— Czemu?

— Czemu? — wyrzekł — oto dlatego, że ja pełnego

szczęścia, tak, jak świat je pojmuje, ja, niestety, dać ci nie mogę...

Uśmiech przewinął się po jej ustach. Wyciągnęła ku niemu ręce.

— Kochasz mnie. To wszystko, czego pragnę.

Objął ją ramieniem i przytulił do siebie.

Czuła, że ramię jego drży nerwowo.

— Tak, lecz przez moją miłość właśnie nie raz jeden cierpienie wedrze ci się do duszy.

— I dlatego — mówił po długiej chwili — ja zanadto cię kocham, abym cię z lekkiem sercem w życie to wplątał.

Był bardzo wzruszony.

— Walczyłem i ja o to, aby w życiu dać ci pełne szczęście, jasno określone istnienie.

Słowa te, słyszane z ust jego po raz pierwszy, zadziwiły Jankę.

Oczyma wniknęła w twarz jego pobladłą.

— Walczyłeś? — spytała zadziwiona.

— Tak! — brzmiała odpowiedź. — I wtedy, gdy ku sobie rwałem wolność, chcąc rzucić ją pod twoje stopy, i potem, w Warszawie, gdym wyrywał się od ciebie do Równieńskiego, walcząc o twoją znów swobodę.

Głos jego zadrżał, gdy wspominał tę chwilę. Mękę własnego zaparcia, deptanie własnego szczęścia.

Słuchając słów tych, dziwnym cieniem okryła się w oczach Janki własna jej dusza.

— On dobry, szlachetny, pragnął tylko twojego szczęścia, a ty?

Świadomość własnego egoizmu przeszyła ją bólem.

— Tak, radość mnie objęła na myśl, że on wolnym być nie może.

— Więc?

Rzuciła się na ratunek przeciw wyrzutom:

— Ty kochasz go bardziej, i dlatego.

— Nie — przeczyła lepsza część jej istoty, — nie! Ty swoje szczęście tylko ukochałaś, a on ciebie. I w tem różnica...

Zrozumiała swą moralną niższość. Nie broniła się już.

Zwróciła się ku Jerzemu.

— Więc mógłbyś się mnie wyrzec!

Zapatrzył się na nią długo i zagłębił w niej wzrok jakby bolesny.

— Gdyby wolność twoja nas rozłączyć miała, ja, Janko, odszedłbym bez słowa...

Blada, bez tchu, oparła się o drzewo.

— Opuściłbyś mnie? — Coś rozpaczliwego było w jej pytaniu.

Bardzo drżącym głosem odrzekł:

— Byłbym bardzo nieszczęśliwym, ale, rozłączając się z tobą, zostawiłbym cię w życiu dla innego, co mógłby ci dać pełne, całe szczęście.

Słowa te zabolały ją widać strasznie, bo delikatna twarzyczka, w jasnem, promiennem świetle, zdawało się, pociemniała. Temu, co mówił, uległa rozumem, serce jednak nie poddawało się pod jego jarzmo. Nie pojmowała wprost, jak on mógł wymówić:

»Rozłączyć się!«

Nie pojmowała. Zbyt kochała i dlatego ostry ból przenikał jej serce.

Milczała, lecz Jerzy zbyt dobrze znał ją, by nie odczuć w każdym ruchu jej rysów wrażenia, które istota jej duchowa przeżywała.

Czuł, że stoi ona jedynie i wyłącznie w złotem kole

uczucia, i on, wyrywający ją choć na chwilę z tych granic, dotyka ją zbyt boleśnie.

Ogarnął go lęk.

Wyciągnął ku niej ręce.

— Janiu! — zawołał.

Stała cicha, piękna, tylko bezmiernie smuta; z oczu jej dwie łzy płynęły.

Przycisnął ją do siebie. Pod pocałunkami oschły łez krople...

— Zrozum — mówił, — że tylko wielka moja dla ciebie miłość mogła słowa te z wnętrza mego wywołać.

Słowo »miłość« odegnało tamto.

— Nie rozłączymy się nigdy! — szeptała gorąco.

— Tak, Janiu, tak, sam los chce tego, najdroższa.

Jak echo powtórzyła:

— Los chce tego.

I w blaskach świetlanych, w czystym powiewie, płynącym z szeptów, w uroczystej ciszy przestworza, pełnego srebra i pobłysków, rozszemrało się cicho, łagodnie, tajemniczo...

— Los chce tego!

XII

Pożegnali się, jak codziennie, tylko uścisk dłoni był gorętszy, a usta jego przywarły silniej do drobnej rączki, która kurczowo zacisnęła się dokoła jego dłoni. Gospodyni hotelu, mieszkająca obok pokoju Janki, już w negliżu nocnym spotkała ich na korytarzu i jakoś podejrzliwie na nich patrzyła. Tak przynajmniej zdawało się Jerzemu. Nie chciał więc zmieniać codziennego zwyczaju niewstępowania do pokoju

Janki i oddał jej tylko zwykłe w oczach Szwajcarki »dobranoc«.

Miłość ich zaczynała się już rachować ze względami ludzkimi.

Musiała. Mężowi wolno byłoby na oczach Szwajcarki i całego świata iść za żoną, by zasypać ją gradem pocałunków, pieszczot... Jemu nie!...

Dlaczego?

Ironią zimną, szyderską, spadła na niego odpowiedź:

— Bo nie wolno się wam legalnie połączyć.

— Dlaczego? — szarpnęło się znów boleśnie.

Już zupełnym komizmem rozchichotało:

— Bo Reński był nicpoń, a twoją żona zła i wiarołomna.

— Lecz my?

Szło w odpowiedzi:

— Wy?... Znacie bajeczkę o kowalu, który zawinił, i ślusarzu, którego powieszono? Bajeczka sobie zwykła, ordynarna, ale, jak raz, do was przystosowana. Właśnie w myśl jej logiki, tamtych dwoje winnych bujać będzie bezkarnie po świecie, a was tak pomalutku, zupełnie zwolna, wieszać będą na szubienicy życiowej.

I Jerzego rozpacz ogarnia na myśl, że ta jasna gołąbka jego, przez miłość, którą on ją darzy, cierpieć musi. On zna świat, wie, w jakiem kole bezmyślnych komunałów, niesprawiedliwości okrutnych obraca się zimny, nieczuły, właściwie głupi, bezmyślny.

Wie, że świat ten, który już przed chwilą skoncentrowany w ciekawem oku Szwajcarki, obrzucił Jankę pogardliwem podejrzeniem, chętnie przyjmie idącą ku niemu Irenę, lecz zamknie się przed Janką.

— Tamta, praktyczna, zmieni wiarę, wyjdzie za jakiego lutra, kalwina, zostanie legalną żoną — myśli Jerzy.

Gorycz zalewa mu serce, a ona, ta moja, ta jasna, sterroryzowana marną świata opinią, stojąc na stoku życiowej góry, ścięta mroźnym wichrem losu, może próżno szarpać i rwać swą czystą duszę. Pomiędzy nią a legalnem życiem wznosi się baryera — sznur praw kanonicznych.

Tamta kobieta przegrodę tę przerwie, odrzuci od siebie, i świat wyciągnie ku niej ramiona.

»Legalna żona« — powiedzą.

Ta, związana zasadami, wśród których wyrosła, wiary nie zmieni, ugnie swą głowę pod jarzmo obowiązujących ją praw. Lecz gdy zapragnie żyć istnieniem naturalnem, gdy dusza jej i ciało wniknąć zechcą w krąg życia normalnego, to wtedy świat, oburzeniem zdjęty, zawoła:

— *Horrendum,* skandal, *faux ménage,* awanturnica, separatka!

A gdy kobieta znękana rzuci pytaniem:

— Więc cóż miałam zrobić? Ślubu mi dać nie chcą. Czy wiarę zmienić.?

Na tak jasno postawioną kwestyę odpowiada, jąkając się, opinia:

— Doprawdy, nie wiem; ale to, co jest, to jest skandal!..

— Więc jakże ma być?

Niema odpowiedzi...

. . . .

XIII

Słońce rozprasza zwolna mgłę górską, i oto zaczyna unosić się zasłona cudnej dekoracyi. Toń opalowa odchodzi. Niepewnie jeszcze znaczą się wysokie szczyty gór, z każdą

chwilą jednak coraz dokładniej złotawo ciemnemi liniami zarysowują się kontury wspaniałe, groźne.

I to, co w sercach zarysami jeno wczoraj, wśród nocnej ciszy, poczęte, dziś wzbija się już ptakiem, a w rozmarzonych słowach na usta wybiega.

Janka i Jerzy spotkali się przy rannem śniadaniu. Oddzielna werandka stanowi ich jadalnię.

Janka jest trochę zakłopotana, ma w sobie wdzięk niewinny i pełen powabu. Myśl jej błądzi, jak motyl, około słodyczy pocałunku.

Wczoraj, pod gwiaździstem niebem, tam, na balkonie swego pokoiku, siedziała długo w nocy i pozwalała duszy drżeć, upajać się pięknem, czarem tej słodkiej pieszczoty. Po raz pierwszy objawiła się ta ucieleśniona strona ich stosunku, pełna ciepła, miękkości rozkosznej, słodyczy. Była w niej cała gama upojenia.

Doznała też jakby olśnienia.

Pierwszy raz dusza jej odczuła to, co może sentyment miłosny dać najsłodszego.

Pierwszy raz wybiegł ku niej, wysunął się z cienia ten, co w pocałunku brał w posiadanie serce jej, duszę, ją całą.

Z nim szło szczęście.

On mówił: »połączone z cierpieniem«.

Czyż cierpienie przeraża ją? Czyż przez piekło jego nie przeszła? A przecież była wtenczas sama, a teraz, gdy z nim?

I znów, delikatnie, pajęczo, snuje się nić wczorajsza. Z oczu ich płyną promienie jasne, najpłomienniejszym, a delikatnym kolorytem płoną twarze.

— W czem leży urok, który łączy nas? — myślą.

— I w sercach, i w duszach, i w pięknym sentymencie, który zlewa się w przecudną symfonię, po przez pryzmat

fatalizmu groźnego, co obejmuje życie nasze w posiadanie — biegnie już w myślach.

Ten fatalizm, ta rzeczywistość okrutna zacieśnia sploty, wiążące ich.

A sploty te są osypane teraz różami miłosnej przędzy, otoczone złotem lśniącej brylantami tęczy.

Z uśmiechem cudnego motyla dźwięczy na ustach słowo: »Przyszłość!«

Nici złotej siatki trzeba ująć w konkretną formę.

Rozumieją to oboje od wczoraj.

Swobodnym ruchem wydostają się z ciemni w jasną przestrzeń.

— Różanna — mówi Jerzy.

Janka nie rozumie, co on przez to chce powiedzieć, lecz duszy jej staje się dziwnie miło i pogodnie.

Owo »Różanna« cudnie łączy się jej z teraźniejszą chwilą.

Uśmiecha się, spoglądając dokoła. Otoczona jest zewsząd różami. Cała weranda płomieniem purpury ich płatków objęta, wśród zieleni klombu, tuż u stóp balkonu, wiją się białe, jasno różone, kremowe; z kryształów bokalu zwieszają cudownym wężem ku niej znów złociste kielichy, a wiązanka przeczystego w swej bieli kwiecia zdobi codziennie jej nakrycie. A tu znów:

— Różanna — powtarza za Jerzym rozmarzona.

Tak, wioska nazywa się Różanna, bo właściwie to jeden ogród. Malińscy kochają się w kwiatach. Przez te dziesięć lat, które przebyli na wsi, zrobili z ogrodu istne cudo.

I zdaje mu się, że widzi już ją tam, w Różannie, samą piękną, jak kwiat róży, wśród tego, co jest najpiękniejszem w naturze.

Ona i kwiaty — jedna cudna harmonia.

Siedzą obok siebie, usta ich mówią, lecz właściwie zapatrzeni w przyszłość, oczami duszy widzą już te marzone chwile.

— Dziś do nich napiszę, że wioskę ich kupujesz. Będą radzi, bo, ze względu na dzieci, muszą przenieść się do Krakowa.

Pochylił się ku niej:

— Jeśli chcesz tego...

A z zapatrzonemi w nią jego oczami fala słońca wnika do jej duszy.

— Wiesz, że chcę. Po co pytasz?

Pochylił się ku niej bardziej jeszcze.

— Raz jeszcze chcę posłyszeć.

Ujął rękę jej delikatnie z fałdów białego jedwabiu szlafroczka, dotknięciem ciepłem ogarnął ją.

Oczy ich spotkały się...

Całym poematem zadrgało spojrzenie. Pocałunkiem oczy ich się stopiły.

I znów tylko jedno krótkie:

— Chcę.

I niema teraz już między nimi zapory, któraby ich rozdzielała. Dobrowolnie chcą iść razem, duchy ich krążą wspólnie, czytają w myślach swych; mistyczny węzeł wspólnego zrozumienia łączy ich potężny, wielki.

Z marzenia wbiega znów w rzeczywistość.

— Jak poradzę sobie z gospodarstwem? — śmieje się Janka.

— Dam ci Zapałkiewicza. A zresztą Różanna taka bliska. To prawie Zaranie, więc...

Patrzy na nią uśmiechnięty. Rękę jej trzyma wciąż w swojej, chwilę milczy, wreszcie wybiega mu mimowoli:

— Czemu to jednak nie w Zaraniu i nie w innych warunkach życia?

Zamyśla się, uśmiech blednie, znika zupełnie, w głębi źrenic staje zły cień.

Myśl widać, jak zdrętwiała, traci świadomość rojonych marzeń. Smutek poczyna ją szarpać.

I cień zapada na cudne marzenia przyszłości.

Jance zdaje się, że ta »ich« przyszłość nie daje widać całego szczęścia mężczyźnie, że »czemu jednak nie w Zaraniu i w innych życiowych warunkach« w duszę jego zapada i męczy go. Ukradkowa egzystencya, tylko na miłości oparta, nie może snać odrzucić od niego precz smutku, co skrzydłami swemi czarnemi duszę mu teraz osłonił.

— Czyżby nie kochał mnie tak zupełnie i wyłącznie, jak ja jego? — powraca znów do niej. Czyż mnie z chwilą jego do mnie powrotu nie odeszło rozgoryczenie? Tak, bo dusza moja teraz jest spokojna, orzucił ją czarem pieszczoty i nadziei... ale on?

Trwoga zdejmuje ją na widok mroku, co wciąż zamyśleniem, zadumą dręczy czoło Jerzego.

A pod czołem tem przebiega cała sieć myśli:

Tak, wtedy byłoby pełne, życiowe szczęście, a jednak...

Czy, gdybym był wolny, odszedłbym w to doskonałe szczęście z inną kobietą?

I sekundy nie trwa namysł.

W piersi Jerzego gwałtownie zabiło serce.

— Nie. Bo przecież nigdzie i w żadnej nie znalazłbym tej fali szczęścia, którą mi ona w sobie niesie.

Instynktem odgaduje, że nie należy przedłużać tej chwili. Odczuwa, że owem wypowiedzianem: »czemu to nie w Zaraniu, czemu nie w innych warunkach« — mógł rozbudzić i w niej żal, smutek, udręczenie.

Patrzył w twarz Janki i znów tak, jak wczoraj, dostrzega w rysach jej drgania spłoszonego ptaka. Przez krótką

chwilę chce powierzyć jej uprzednią myśl swoją. Powstrzymuje tę chęć.

— Już wczoraj nie pojmowała mnie dobrze, więc dziś wniosę znów napróżno niepokój w jej serce.

I myśl swoją tai w sobie, a już tylko zupełnie i rzeczywiście szczęśliwy, obejmuje Jankę ramieniem i prowadzi ku zacienionej alei. Tam przepędzają ranki; ona spoczywa na niskiej trzcinowej kanapce, on u jej boku w fotelu. Na stoliku książki, gazety i znów w szklanym krysztale wazonu moc narwanych kwiatów.

Janka z dniem każdym staje się świeższa, i na biel jej twarzy nierzadko wybiega rumieniec. Tak uroczą nie była jeszcze nigdy.

W Zaraniu, gdy miłość w sercu jej zakwitała nieśmiało, cicho, był w niej wdzięk, lecz był to urok nieśmiały, jeszcze lękliwej miłości. Teraz, pod tchnieniem gorącej pieszczoty, stała się uśmiechem, radością, oczekiwaniem.

Zawsze ubrana biało, teraz w zwojach jedwabiu szlafroczka, ogromnie powiewna, pastelowa, niewypowiedziany czar ma w sobie.

Nad głową jej roztoczyły się, niby motyl, olbrzymie japońskie, o dziwacznych liniach i barwach, skrzydła namiotu, i chronią od słońca, upału. Z opadającemi z obu stron lekkiemi zasłonami tworzą rodzaj altany. Bardzo tu cienisto, a powietrze wnikać może daleko łatwiej, niż w zamkniętej ścianami werandzie.

Tu też, odosobnieni od świata, spędzają całe ranki. Dotąd zwykle czytywali. Dziś, gdy ona położyła się na nizkiej kozetce i, wyciągnąwszy ręce, przygarnęła ku sobie cały snop kwiatów, by zeń, jak codziennie, tworzyć artystyczne wiązanki, zdała się Jerzemu tak cudną, że osunął się prawie na kolana przed nawpół leżącą kobietą. Ręką usuwał jej z czoła rozwichrzony

jedwab włosów. Twarz Janki pod dotknięciem tej kochanej, miłej dłoni, która, niby muśnięcie kwiatu, upajała ją rozkoszą dotąd nieznaną, oblekała się zachwytem.

To miłość roztoczyła przed nią niezwalczoną potęgę swej mocy.

Zdaje się jej, że teraz znalazła jakąś metę w swem życiu, jakiś wytknięty kres. Cała myśl jej skupia się dokoła wskazanego przez Jerzego celu. Przenosi się fantazyą do Różanny dworku. Odczuwa już to niepokojące, a upojenia pełne bicie serca przy każdem Jerzego przybyciu. Różanna tak bliziuchna Zarania...

I otwierają się przed nią światy szczęścia, w nich widzenia, niosące w sobie całe promienie nadziei radosnej, aż drgają ku niej uśmiechem, a ona, leżąc, owiana lekką tkaniną jedwabiu, sama jak mgła rozwiewna, zdaje się być jutrzenką, omdlewającą w słońcu miłości.

XIV

Gdy wchodzili do jadalnej salki, niemile uderzył ich widok drugiego stolika, zastawionego porcelaną, szkłem. Szwajcarka, ogromnie zaaferowana, kręciła się, ustawiając talerze, szklanki, serwety składała w misterne wachlarze. Raz w raz wysyłała jednak wzrok swój na zwiady ku otwartym drzwiom balkonowym, wciąż wydając polecenia ogrodnikowi i jego pomocnikom.

Janka z żalem widzi, jak ulubione jej kwiecie pada pod nożem. Całe masy róż, zieleni, zgarniają w kosze i gdzieś w głąb ogrodu unoszą.

Z oddali dochodzi turkot powozu, zajeżdżającego przed wiodącą do hotelu bramę.

Szwajcarka wita Jankę i Jerzego rozjaśniona, poprawia wciąż coś koło stołu.

— Dziś korso — mówi, — doroczne korso kwiatowe. Mam obstalunek — dodaje, widząc zainteresowanie się Janki opadającemi w zieleń kwiatami. — Zamówiono powóz, cały ma być w różach.

Owo korso, ów stolik przygotowany, wreszcie zajeżdżający powóz, napełnia ich żalem. Narzuca im się świat, a przecież im tak cudnie było w odosobnieniu, w tej jakiejś pustyni, w której grała jedynie światłość i złoty promień miłości słońca.

Życie rzeczywiste wdziera się brutalnie z banalnemi swemi rozrywkami.

Owo korso, zasłane trupami przedziwnej barwy i piękności kwiatów, ta śmierć ich wśród trywialnego tłumu i tanecznych melodyi orkiestry, smutkiem przepełniają serce Janki.

I z chwilą, gdy dwoje obcych ludzi zmierza wprost do drzwi jadalni, oni, jedną myślą wiedzeni, podnoszą się, pragnąc uniknąć niepożądanego spotkania.

Gospodyni zrozumiała ten gest i, błagalnie składając ręce, woła:

— Doprawdy, nie mam dziś nikogo, aby na górze usłużył. Wszyscy tacy zajęci. Proszę, bardzo proszę tu obiadować!...

Nieznajomi wchodzą. Z ich wejściem poezya niknie już zupełnie.

Kobieta idzie hałaśliwie, ruchy jej są ordynarne i niezręczne.

Mężczyzna, w jasnym tenisowym stroju, widocznie skrępowany. Nieswojo mu w tym narzuconym mu, eleganckim kostyumie.

W przeciwieństwie wybiega wzrok Jerzego ku Jance. Siedzi teraz w swym fotelu, już zrezygnowana koniecznością

pozostania na dole. Ciało jej układa się w dziwnie miękkich liniach. Przy tamtej kobiecie, przeładowanej niesmacznym, krzykliwym strojem, w silnych rumieńcach, przesypanych grubą warstwą pudru, cudnie odbija swą delikatną cerą, zestrajającą się harmonijnie z lekkim paliowym odcieniem skromnej batystowej sukni.

Spojrzenia ich spotykają się; uśmiechnęli się mile.

— Musimy zostać — mówi Janka.

— Trudno, trzeba — odrzuca Jerzy.

Dama zwraca się do towarzysza:

— Polacy — mówi prawie głośno.

A on, nie czekając, by dać jej odpowiedź, nagłym ruchem już porwał się ze swego krzesła i ku stolikowi wyrusza. Wraz z nim wtłacza się znów życie poza kratę przecudną, którą oni stworzyli sobie, odgradzając się od świata. Czar znika. Z przykrością patrzą na idącą ku nim osobę ziomka.

A ten już woła:

— A ot, rozkosz posłyszeć mowę polską! Państwo pozwolą przedstawić się — wymienia nazwisko. — Moja żona — dorzuca, wskazując damę. — My tu już od trzech tygodni, i nic, tylko Francuzi, Anglicy. Desperacya!...

Rozmowa zawiązała się. Ci państwo, gdzieś aż z Litwy, wybrali się do Zakopanego.

— Nie służyło mojej żonie — żali się obywatel. — Mówią, jechać do Szwajcaryi. Ot, panie, lepiej nam tam było.

Nieproszony, przysuwa swój stolik, łączy go ze stołem nowych znajomych, skarży się ustawicznie na tutejsze porządki, złe mu tu wszystko.

— Widoki, mówią, widoki! Bierz licho piękności natury! Gadać lubię, a tu niema z kim! Z tymi zamorskimi dyabłami nie mam nic wspólnego.

Irytuje się.

— A dziś jeszcze to »korso«. Żona mówi: »wszyscy jadą, więc i my pojedziemy«. Ja nie chcę. Po kiego mi to dyabła? — »Pieniędzy żałujesz?« — Więc jedziemy. I szykują tam jakiś powóz — mówi, wskazując w głąb ogrodu, — jakieś gniazdko kwiatowe.

Roześmiał się, zapalił grube cygaro...

— Ja, i kwiatki! No, niech tam; kiedy te wszystkie koczkodany jadą, niech i my. A może państwo z nami, co?

— A tak — odezwała się dama w pstrych, kwiecistych, widać z umysłu na dzisiejszą uroczystość kwiatową włożonych fularach. — Powinna pani zabawić się trochę — dodaje, zwracając się do Janki. — Tu, w tym zakątku, musi być straszliwie nudno. My w zakładzie umieramy z nudów, cóż więc tu?

Podniosła *face à main*, spojrzała przez nie dokoła, mrużąc oczy.

Janka rozejrzała się także.

I nigdy może to urocze schronienie nie wydało jej się tak cudne, tak pożądane. Oddalenie od świata mogło ludziom wydawać się nudne, dla nich ten przytułek, dla nich, zapatrzonych i zasłuchanych w siebie jedynie, w tem poufnem obcowaniu, był całym światem, całą radością, całem życiem.

Wskazała damie ręką pyszny krajobraz w obramowaniu leśnego muru, lśniącą toń wody.

— Czy to nie piękne? — spytała.

Kobieta patrzyła, lecz wzrok jej ślizgał się, nie wnikając w urok.

— Zapewne, ale mnie to nie wystarcza — zaśmiała się.

Podano deser. Szwajcarka zapraszała obywatela, by zechciał zauważyć, czy pomysł ogrodnika w przyozdobieniu powozu odpowiada jego gustowi.

— Dobrodzieju! — zwrócił się Litwin do Jerzego — pójdź pan ze mną. Żona zapowiedziała, że chce mieć niespodziankę, i zobaczyć wszystko dopiero w ostatniej chwili, więc jakże ja sam poradzę.

Ujął Jerzego pod ramię.

— Zmiłuj się, rodaku, ratuj!

Nie było rady — poszli.

Zdala jeszcze dochodziły lamenty obywatela, przeciąganą na sposób litewski mową; gesta bardzo szerokie, ogromnie rażące i przykre.

Dama wyjęła lusterko, puder z puszkiem i, jako osoba dostatnia, nie żałując »Vera Violetty«, zasypywała twarz pyłem, pokrywającym ceglaste, brzydkie wypieki.

— Natura, pani mówi — zwróciła się do Janki, — natura, tak, zapewne. Ale, co do mnie — dodała, zapudrowując energicznie duży i mięsisty nos, — wtedy jest arcyładna, gdy się ją podziwia w miłem towarzystwie. A tu? — westchnęła.

Ukryła w *ridiculu* przybory toaletowe.

Zdawało się Jance, że umilknie na dłuższą chwilę. Lecz nie. Po chwili znów poczęła:

— Nie było to, jak w Zakopanem. Towarzystwo dobrane: Królestwo, Galicya, no i z zabranych prowincyi także garstka. My u Chramca, doskonale, wesoło! — rozpromieniła się do wspomnień. I wycieczki, więc i natura, ale zawsze dużo panów, śmiech, figle, żarty. I maryaże tam się kleiły...

Położyła się na kanapce, wyciągnęła długie, płaskie nogi w złoconych półbucikach; jaskrawe pończochy obejmowały tłuste stopy.

— Kobiety były ładne, szczególnie Zaruska; no, ta, to Wenus prawdziwa.

Twarz Janki pokryła się bladością.

Znikła uprzednia obojętność na czczą paplaninę towarzyszki, objęło ją lodowate zimno wraz z wymienieniem nazwiska Ireny.

Leżąca zauważyła, że Janka zwróciła się do niej całą osobą i, rada z zainteresowania, mówiła dalej:

— Wie pani, w hydropatyi, to my się tam napatrzymy jedna na drugą — roześmiała się, — no, ale takiej, jak Irena, powiadam pani, żadnej. Skusiła też Morensteina, skusiła.

Nachyliła się konfidencyonalnie w stronę Janki.

— Ich małżeństwo pewne — powiedziała cicho. — Tylko o tem ani słowa nikomu, to sekret!

Jakieś niezrozumiałe uczucie ogarnęło Jankę. W uszach jej dźwięczały zasłyszane słowa, teraz już tylko jako echo niepojęte.

Z głębi jej podziwem zdjętego serca wybiegło:

— Zaruska, o ile słyszałam, jest mężatką, więc...

Dama z leżaka przerwała jej mowę,

— Rozstała się z mężem. Matka siedzi w Rzymie, forsują rozwód. Za jakich kilka miesięcy skończą tam napewno.

Twarz Janki przywarła do ust mówiącej.

— A więc... — zatrzepotało się konkluzyą w jej mózgu. Nie śmiała dokończyć.

Zapadła ciężko w fotelu, nie była w stanie dobyć głosu.

Oczami błądziła wśród rozjaśnionego błękitem nieba, ręce jej opadły bezwładne, zdało się, że zapadł poza nią mur, ciemnia, chłód, cmentarz...

Kobieta, o cerze piwonii, zmęczona widać upałem, przymknęła powieki; sapiąc, gotowała się do poobiedniej drzemki.

W jej półsen zapadło pytanie zdławione, niewyraźne:

— A jeśli ona uzyska ten rozwód, to mąż jej czy będzie też wolny?

Słowa te były owym wichrem, co rozwiać miał gwiaździstą jej przyszłość.

Z poziewaniem szła odpowiedź:

— Naturalnie...

Olbrzymia moc, tkwiąca w tym jednym wyrazie, ogłuszyła Jankę takim hukiem piorunu, że przez chwilę zaległa w niej zupełna ciemność i oszołomienie.

Pod ową mocą, co wali się na nią i z szybkością błyskawicy rzuca ją teraz niby ptaka oślepłego — znieruchomiała.

I naszła na nią godzina agonii, w której pchnięciem sztyletu powtarzało:

— Wolny, wolny!...

Ogromu cierpienia wprost znieść nie mogła.

Niby dławiona ofiara, jęku z piersi wydobyć nie była w stanie.

Z oczu szklanych, świecących, suchych, nie polała się ani jedna łza.

— Musisz mu oddać wolność! — biegło okrutne, nieubłagane.

W ślad za tem wzbiło się pytanie:

— Ale jak żyć bez niego?... Jak?

I w godzinie agonii tej przesuwa się przed oczami, mgłą rozpaczy zasnutemi, ranek życia jej, biedny, deptany losem okrutnym. Potem to cudne, jak muśnięcie wiatru, jak woń kwiatu, rozbudzone uczucie. A potem splot dusz i serc w ideale życia we dwoje.

Teraz niosą jej trumnę, zawrą ją tam i gdzieś na lodowych skrzydłach, w chłód, pustkę, martwotę, rzucą samą, znów samą!...

— Tak, to stać się musi. Lecz czy chwilę tę zniosę?

— A ja? — cierniem wyrywa się serce.

Z srebrzystych księżyca poblasków, z tajemniczej ciemni świerków, z aksamitnego kobierca mchów, z ciszy nocnej, ze skrzydeł wczorajszej nocy chwili, otrząsają się słowa:

»Byłbym bardzo nieszczęśliwy, lecz gdybym, rozłączając się z tobą, mógł zostawić cię z innym, co pełne, całe szczęście dałby ci, odszedłbym bez słowa.

Podziwiała wtedy bezmiar tego poświęcenia.

A dziś sama uczynić to musi.

— Jak ciężko — jęknęła, — jak ciężko...

A przecież musi.

Wzrok jej błędny pada na widziany niedawno jeszcze w mgle szczęścia świat cudny, uroczy, bez cienia bólu. Teraz w echu własnej rozpaczy świat ten w czarnej zasłonie, w pożaru pochodniach i zgliszczach zapada się przed nią w czarnej, bezdennej otchłani.

Z bezbrzeżną trwogą ogarnia tę przepaść, co dalszem jej życiem zwać się będzie.

Płomień osamotnienia falą ognia przepala jej serce, stygmat męczeństwa krwawą na jej czole wybiega plamą.

Cierpi szalenie.

A przecież musi!...

XV

Wsiadają do powozu.

Codziennie o zmierzchu, gdy już zmrok zaczyna nieco zacierać kontury gór, a melancholia, niby mgła lekka, owiewać poczyna przestworza, wśród drzew i gór, po wązkiej drodze górskiej przesuwa się ich powóz, a oni chłoną cuda okolicy. Dziś, po przez cienie, ogarniające góry, przebijają całe sznury świateł. Rozwieszone w przestrzeni ogniki zdają się błędnemi duszami, snującemi się w welonie oparów mgły.

To zakład kąpielowy po ukończonem »Corso« iluminuje okolicę. Chce ozdobić, właściwie zaś szpeci istotne piękno natury.

Janka zgodziła się dziś na codzienną przejażdżkę. Zgorączkowana jest i na pół przytomna. Przeznaczenie żarem swego okrucieństwa przepala jej zmordowaną duszę.

Dziś, dziś, tu, pod sklepieniem błękitów i srebra, skonać ma rozkosz jej serca, a ono, biedne, zmęczone życiem, odejść wraz ze śmiertelnie zranioną duszą.

Bo odejść musi. Cicha i bez słowa.

Siłą nerwową wywołuje na usta uśmiech.

Gdy zwraca ku Jerzemu twarzyczkę swą, ujętą w śnieżną draperyę jedwabnej gazy, wydaje mu się jakby strwożoną. Lecz w oczach jej grają blaski silne, i Jerzy w spojrzeniu tem odnajduje silniejszą strunę serca, tę, co goręcej, namiętniej do czaru życia jest roztęskniona.

Janka ruchem spłoszonego ptaka tuli się do niego i pełna niewypowiedzianego czaru, wdzięku, składa na ustach jego pocałunek.

— Kocham cię! — mówią jej drżące usta.

Ale brzmi w nich dziś nietylko promienne, słodkie, lecz i tragiczne niemal upojenie. Z ciemni wielkich oczu padają iskry. Coś rozpaczliwego płonie w oczach tych, zapadają w szafir źrenic Jerzego, rozpalają się bardziej, potem odbiegają nagle w przestrzeń, wystraszone, lękiem, trwogą zdjęte.

W ruchu, którym garnie się do ukochanego, niema sennego rozmarzenia, pragnienia delikatnej, nieśmiałej pieszczoty; linia gestu tego jest ostrzejsza.

Kobieta, tuląc się do piersi Jerzego, wydziera się z grobu, a przed grobem tym, jak przed palącą chłostą życia, dusza jej woła.

— Uciec, uciec!

Przed nią nic — wszystko poza nią.

I raz jeszcze miłośnie głowę ku Jerzemu chyli, a on drżące swe usta na ustach jej kładzie.

Janka bez tchu przeżywa tę chwilę. Raz jeszcze tonie swą zranioną duszą w brylantowej tęczy, co rozbłysła w czarnej przędzy jej życia purpurą miłości, błękitem rozmarzenia, złotem królewskiego majestatu cudna, natchniona!

Za chwil kilka rozpłynie się w rozpacznej życia fali i stanie się — wspomnieniem...

. . . .

Jak kamienna statua, sztywna, zdrętwiała, z myślą, że to śmierci tchnienie czuje tuż nad sobą, stoi Janka, wtulona w festony zieleni i płomienne róże, wijące się po ścianach parteru willi.

Pod gwiaździstem niebem, które wspaniałym stropem rozwiesiło nad jej głową złociste gwiazdy, spogląda w górę, jakby pragnąc oderwać się od miłości, która ją ku ziemi ciągnie.

Lecz znękany wzrok jej pada wciąż ku rozwartej okiennicy.

Tam, w oknie, w kryształowej czarce, wiązanka róż, które dziś, na słodkie »dobranoc«, dała Jerzemu, a niedaleko od niej on sam, ten jej... ten na zawsze utracony!...

Osłonięta podróżnym płaszczem, stoi wciśnięta we framugę ściany.

Głowę rozbolałą ciśnie w dłoniach.

— Rozłączyć się! — jęczy zbielałemi ustami — rozłączyć!...

Po przez mgłę łez widzi złocistą głowę Jerzego. Pochylony pisze.

Do Malińskich. Przecież ona ma kupić Różanną.

Różanna!... Ich przyszłość... Raczej beznadziejne jej widmo!...

— Twojego chcę szczęścia — wydziera się z cierpienia, co duszę kobiety tłoczy.

— Twojego — powtarza, lecz w ofierze poświęcenia własnego nie znajduje radości, ukojenia, — żałość w niej łka jeno.

I oto wyciąga rozpacznie ku oknu ramiona, ręce gestem krótkim przecinają powietrze, twarz o masce bólu obłędnego staje się trupio blada.

Nieubłagana moc powtarza wyrok:

— Odejść musisz!

Spojrzenie ostatnie, z piersi straszny jęk...

Odrywa się od okna, wlecze się ku furtce ogrodowej. Tam, poza nią, poza lasem, stacyjka kolejowa. Za kwadrans czarna masa rozwinie się długim wężem i porwie ją od szczęścia, radości...

Jaki w niej ból, jaki żal, jaka rozpacz!

Ptakiem zranionym o podciętem skrzydle umyka w dal. Srebro księżyca, aksamity mchu, świerki groźne otaczają ją dokoła, a z rany serca broczy krew; każdą kroplą, co ocieka, buntuje się.

Z pamięci rwą się huraganem słowa:

— Byłbym bardzo nieszczęśliwy, lecz odszedłbym...

I dusza w szalonym wysiłku odchodzi, lecz dusza ta, rzucona na pastwę okrutnego wampira cierpienia, w śmiertelnych drgawkach agonii łamie się i kona.

XVI

Gdy Janka powraca w progi swego mieszkania, wita ją zdziwione spojrzenie służącej.

Ściemniało się już, lecz dziewczyna zauważyła, że pani jej źle i jakoś dziwnie wygląda. Przytem brak zupełny rzeczy, nawet ręcznej walizki.

— Czy mam jechać na dworzec po kufry? — pyta.

Janka patrzy na nią, a właściwie wzrok jej krąży gdzieś poza nią. Nie słyszy, nie pojmuje dobrze pytania.

Na powtórzone odpowiada przecząco,

Wogóle w drodze ze swem otoczeniem porozumiewała się z trudnością.

Nie pojmowała, co do niej mówiono, jej nie rozumiano także. Starała się też poza zmianą biletów nie odzywać się wcale. Jadła tylko to, co stało na stołach stacyjnych, choć właściwie potrawy brała z nawyknienia, lecz nienaruszone zostawiała przy sygnale wyruszenia pociągu. W Wiedniu przeleżała kilka dni, zdjęta gorączką.

— Nerwowa gorączka — mówił Niemiec doktor, sprowadzony przez służbę hotelową. Zapisał »Süshübler« i kazał odpocząć.

Leżała dni kilka w odrętwieniu.

Na dnie duszy ma wciąż tę samą rozpacz, co rozrywała serce jej na strzępy w chwili ucieczki, tę samą, potężną, straszną, tragiczną...

Na twarz naciągnęła maskę marmuru i w męce wciska ją na siebie.

I tam, w wagonach kolejowych, w ścisku, tłumie ludzi, w szablonowych pokojach hotelowych, gdzie nic nie rzucało wspomnień przed jej oczy, ta bryła kamienna, jednolitą, zwartą masą w niej leżała, lecz tu, teraz...

Fala płaczu, jęku, rozżalenia podmywa marmur, zrzuca wzniesione koniecznością codziennej egzystencyi mauzoleum. Łzy przenikają stwardniałą skorupę, i oto rozwiera się mogiła, z niej zmartwychwstaje to, co nie umarło!...

— Co umrzeć we mnie nie może! — woła w strugach łez gorących.

I męka jej wbija znów w nią świeże szpony, wyzierając z każdego kąta wspomnieniem.

— Nie powinnam była wracać tu. — Zamyka oczy, lecz te, nieposłuszne, szarpią się, rozwierając powieki, by nasycić je boleścią, torturą.

— Nie wracać! Tak, lecz gdzież zwrócić się miałam? Przecież to mój dom — roześmiała się gorzko, — mam moje wszystko, na życie całe — wszystko! Poza tem nic, nic, nic...

Szarpanie tej prawdy jest w niej straszne, i prawda ta pastwi się nad nią brutalnie!

A ona ani odrzucić jej, ani obronić się przed nią niczem nie jest w stanie...

Chce uciec z saloniku, kajdany zwarły się dokoła stóp. Dźwignąć się nie może! Wspomnienia, niby dzikie sępy, zleciały się dokoła niej, wpiły się w ciało, a ono omdlałe, osaczone w ich kręgu, rwie się w próżnym wysiłku.

Żmija rozpaczy opłata się dokoła serca Janki, zapada w te ciche rozmowy, w te kwiaty, co leżały na jej kolanach, gdy o zmroku oboje delikatnie, łagodnie mówili ze sobą, w te wieczory takie ciche, od świata odcięte, wśród słodkiego sam na sam.

Patrzy dokoła.

Wszystko jest tak, jak i dawniej było!...

Te same rozłożyste, szlachetne ciemnią zieleni palmy stroją odgrodzoną od reszty saloniku ekranem kanapkę; ten stolik, zarzucony książkami, to wszystko, jak dawniej, wszystko... Tylko w zapadającym zmroku niema Jerzego, tylko w cieniach wieczornych nie rozbrzmiewa delikatny głos jego...

— Niema go! — woła kobieta, a oczy jej zalewają łzy.

Wyobraźnia rozgorączkowana chce obraz marzony rozwinąć w fantazyi. Wywołuje złudę: rozkosz trwa jedno mgnienie. Jak mgła, jak sen, jak promień, rozwiewa się, kona, ulatuje w ciemń, a tylko ręce samotnej istoty, drżące ku szczęściu ręce, w miłosnym ruchu ku widziadłu wyciągnięte, opadają bezwładne, wyczerpane, zbolałe, wystygłe...

— I tak już na zawsze, na życie całe — Janka mówi sobie ciągle.

Siedzi bez ruchu, bez tchu niemal, z załamanemi rękami. Łzy płyną jej z oczu, a ona oczy zbolałe swe wbija wciąż w kierunku palm, kanapki, stolika.

Przez mgłę łez Janka teraz czepia się wspomnień uparcie, rozpaczliwie.

A cały korowód ogarnia ją tu wciąż, wciąż...

Bo oto liliowym pasem pluszu wybiega ku niej bujak.

Widzi się na nim bardzo blada, wycieńczona przebytem cierpieniem, otulona kaszmirem białego szala, ręce ogarniają poręcze fotelu, a oczy rozjaśniają się zwolna, nabierając życia pod wpływem blasków wpatrzonego w nią Jerzego. Kołysze się zwolna, leciuchno.

A potem rozszeptało się w przestrzeni:

— W góry!

Cicho, łagodnie, lecz radośnie, niby w przededniu miłosnego święta, dźwięczą te krótkie słowa.

Ku nim przejasne ust uśmiechy, oczu spojrzenia w mgle upojeń, szept pełen nieokreślonego czaru, pieszczoty.

I w tchnącej miłością smudze ona, pobladła róża, pod światłem cudnej ekstazy różaną jutrzenką lica swe oblokła.

Bo rozkoszny był to czar, upajająca pieszczota...

A teraz?

Teraz, pod obuchem życia, wspomnienie pieszczoty tej dusi, dławi.

Martwieje, a cichy, żałobny orszak drgającemi w jej duszy wspomnieniami, przesuwa się wciąż, wciąż...

U stóp jej zakreślił jakieś koło, w którem zamyka się wszystko czarowne, kochane...

Ona poza obrębem, poza kołem tem stoi, stoi sama, trawiona miłości pragnieniem!

Choć pieśń miłosna rzuca jej płomień, żar na usta, ona mróz, lód z rozpacznym krzykiem w nie wbija. Oczy jej omdlewają ku mgle rozkosznej; rozedrzeć je trzeba przemocą, gwałtem, siłą...

Trzeba!

. . . .

Z cmentarzyska wspomnień jeszcze jedno:

I najgorsze — bo pokusa, straszna, rozpaczliwa pokusa.

Ona ująć ją musi ręką nielitościwą i wrzucić w sarkofag...

Sama skamieniała stoi obok, napozór nieczuła, martwa.

»Rzuciłaś mi królewskim gestem wolność, a duszy mej nakazałaś iść ścieżką, na której, jak piszesz, napotkam inną duszę i ta stworzy mi nowy promień, da nowy kwiat życia, w pełni szczęścia, doskonalszy, aniżeli ten, co ty dać mi możesz.

»Zapomniałaś o jednem, Janko. Zapomniałaś o tej nici mistycznej, którą życia nasze są złączone, o złotej nici, co wśród całego chaosu nowego życia odcina mnie od świata, a oplata swą pajęczą miłością...

»Zapomniałaś o czarze twym, Janiu, zapomniałaś o uroku twym, a potęga jego tak wielka, że ani czas, ani rozłączenie...«

— Ani czas, ani rozłączenie... — powtarza słowa listu Jerzego.

I w opuszczenie, tęsknotę, zapada miłosna tęcza, pełna westchnień, uśmiechów, pocałunków...

W opuszczenie, tęsknotę, tryumfalnie wbiega kwiat słodki, w szczęścia rozkochanem objawieniu...

Janka nerwowo zaciska w ręku otrzymany list, wita go oczami, powleczonemi mgłą smutku, tęsknoty, melancholii.

— Tak, gestem królewskim wróciłam mu wolność — uprzytamnia sobie znużona i znękana. — Gdzież jednak jest większa otchłań rozpaczy, niż moja? Odchodząc w ciemnię zgaszonego słońca, rozwarłam przed nim światy wolności, swobody!...

— Dałam mu wskrzeszenie; sama konam!...

Łka, a pod wybladłą twarzą, zda się, ani kropla krwi nie krąży.

Na ruinie własnego szczęścia myślała, że rozpali cały szereg świateł dla szczęsnej egzystencyi Jerzego, a przecież...

Przygasłym wzrokiem, z którego uciekły blaski radosne, ogarnia słowa listu:

»Nici tej złotej nie zerwie ani czas, ani rozłączenie!...«

Słowa te drżą dokoła niej, dają jej chwilę przerażenia.

— Uczyniłam wysiłek za olbrzymi, a on, mimo to, szczęśliwym nie będzie, bo przecież tak pisze.

I wizya złamanego życia Jerzego szarpie świeżą ranę jej serca.

— Za taką moją mękę szczęścia mu dać nie mogę!...

Zrywa się w niej szalone pragnienie, aby to, co on pisze, nie było słowami serca jego, lecz tylko czemś powierzchownem. Zdaje się jej to pociechą, bo przecież przez jego szczęście i ona może byłaby choć spokojną.

— Nie, nigdy, nigdy! — rozszalało się w niej bezbrzeżną tęsknotą.

— We mnie nić ta nie zerwie się nigdy!

I słowa te są pieczęcią, którą grób istnienia swego zamyka na zawsze. W mogile kona drgające bólem jej serce, kona, bo przecież...

— Ani czas, ani rozłączenie... — powtarza.

Przed oczy jej, niby jasny motyl, zbiega postać Jerzego.

— Czyż i on? — zamyśla się Janka.

Słabem echem, jak westchnieniem, wstrząsa nią:

— Może nie dziś, nie jutro, lecz po latach, wolny mężczyzna rzuciłby ci wyrzut: »Zmarnowałaś mi życie!«

I taka sztuczna egzystencya wtłoczonych właśnie w takie życie istot, uwypukla się przed nią w zdaniu kobiety, u której progu zemdlała po bytności u Mollego:

»Jeśli pani kocha, nie wiąż nigdy ze sobą ukochanego. Pani, tak jak ja, tylko separatka!

— Miała racyę — mówi Janka. — Jestem jak ptak uwięziony w prętach. Jakiem prawem mam poddać pod ich kaleczącą moc człowieka wolnego? Jakiem prawem?

— Prawem miłości — buntuje się i przeczy.

— Nędzna byłaby to miłość — odrzuca. — Nędzna i marna!

— Niezawodnie. Lecz co stanie ci w zamian? — rozdziera jej wnętrze.

Zaszumiało dokoła niej. Skrzydła czarnego olbrzymiego ptaka, wstrętne, przerażające, całunem żałobnym objęły ją całą.

— To pustka, śmiertelna, grobowa życia pustką, idzie ku tobie — zasyczało w uszach.

— W przepaści tej, gdzie hydra smutku ogarniać cię będzie okrutnie, trwać musisz w twej sierocej doli, a ból zepchnie cię na samo jej dno!...

Janka słucha słów, co żelazną mocą swą pchają ją w objęcia przyszłości.

To głos życia, które z fal swych wzburzonych wyrzuciło ją rozbitkiem, to głos życia, który konstatuje fakt nagi bez obsłony, wdziera się do duszy Janki, rozszarpuje duszę tę na strzępy.

Całunem objęta, błądzi w ciemności sztucznej, w życiowym mroku; zgryzota piętnem przedwczesnej starości legła na twarzy, zgaszone oko zapada w głąb, usta zaciśnięte tracą świeżość swą, barwę.

Czuje się moralnie zabitą.

XVII

Tak, wewnętrzne jej życie złamane było, stargane. Zewnętrzne jednak, to jest te drobiazgi, które stanowią powierzchowną jego stronę, powinno być normalne.

Zatem policya upomniała się o dopełnienie formalności, związanych z bytowaniem wśród dusznych warunków życia.

Janka nie ma właściwie żadnych papierów.

Pasport Mortonowej służył za dowód przy wyjeździe za granicę. Teraz wymagano, aby podciągnięta została pod jakąś określoną w świecie kategoryę kobiet.

I oto w zmordowaną Jankę bije konieczność nowych udręczeń. Wyciągają wśród jęku i łomotu szarpiącej się duszy, wyciągają w jasne oświetlenie nowe jej życia warunki.

Rozpaczliwie narzucają się jej jakieś łachmany istnienia. I naciągnąć je na siebie musi. Niewolno jej pozostać samej ze swem nieszczęściem i ono musi być ujęte w normę codziennego życia.

Dziś przysłał Rówieński prośbę o separacyę.

Jej separacyę! Ma ją podpisać!

Dwie strugi łez płyną jej z oczu. Papier ten leży od rana.

W nim cała nędza, cała prawda położenia.

Literki drobne w oczach jej nabierają gigantycznych rozmiarów; czerń atramentu przeradza się w płomienistą, gorącą lawę; wgryzają się w jej serce, płomieniem mieszają z krwią jego.

Noc zapada wichrowa, rozjęczona jesiennym października wiatrem. Bardzo słabe światło lampy zaledwie rozjaśnia mrok pokoju.

Pada na biel papieru. Na nim spoczywa ręka Janki nieruchoma, zesztywniała.

Czekają jej podpisu.

— Wyrok na śmierć podpisują przecież inni — wije się w cierpieniu — a ja sama, dobrowolnie.

— Dobrowolnie!? — zawołała głośno. — To kłamstwo, to fałsz!... Chcę żyć, a umrzeć mi każą!

Wzrok jej przerażony zapada w leżący arkusz papieru.

— I za co? I dlaczego?

Już nie ból wypełnia jej piersi; jest to powolne zatapianie zatrutego sztyletu. Trucizna rozchodzi się zwolna po żyłach, wzniecając we krwi całe masy potwornych gadów. Dobrały się do serca, i oto wydzierają z niego całe płaty rozranione.

Tych kilka liter podpisu — to zamknięcie raz na zawsze życia, to łomot zapadającego kamienia, co wali się na jej istnienie i przygniata swym ciężarem, to ta ostatnia grudka ziemi, rzucona na mogiłę zmarłego, ostatnia, rzucona własną, konającą ręką!...

Tak, to ostatnia godzina konania, tylko straszna, okrutna godzina, bo niema w niej bezświadomości, omdlenia, nie! Kona szczęście, życie, radość, w męce szamotania, rozpaczy!

Złudzenia życia, cudne jego uśmiechy, cała brylantowa od rozpalonych w niej świateł tęcza miłosna, jakiś ogród za-

klęty kwiatów, gorejących rozkoszą, rozkwita we wzroku jej, płomienieje, pali chwilę, wreszcie ucieka gdzieś w przestrzeń, rozwiewa się, ginie...

I zostają tylko wspomnienia...

Sznur lśniących pereł. Krótki sznur, tak i jej życie krótkie!...

Ku rękom Janki biegną pierwsze perełki.

Jakie drobniutkie, świeże, to dzieciństwa, młodości lata, takie nieśmiało lśniące.

Lecz nagle jedna z perełek pociemniała, następne już w czerni skąpane...

To tragiczna życia jej katastrofa!...

Ile łez, ile smutku...

Janka ujęła pierwsze sznury pereł i ze smutnym uśmiechem w rozwartą mogiłę wspomnień rzuciła.

Uśmiech ten zabolał ją.

Gdy ręce jej zetknęły się z czarną perłą, wspomniała strugi łez, co z poza ciemnego welonu, którym się ona okryła, z serca jej spłynęły.

Powitała ją, jak pierwszy ból, pierwsze zło, pierwszą mękę!... i bez tchu odrzuciła precz w rozwarty grób wspomnień.

Lecz teraz w ciemni przez mgłę łez zapłonął blask delikatny, subtelny, cudnej w swej prostej, jasnej sukience, perełki.

Ten złagodził, owiał jakimś czarem ból tamtej, czarnej perły.

I odszedł ból, odeszła rozpacz...

A perła, toczona ciepłem, pięknem i pieszczotą, nabiera świetlanych promieni. Z niej migoczą dwa cudne szafiry: to oczy Jerzego. Nową drogę, nowe, szczęsne życie wskazują!...

Promień wiosennego słońca, cudna anielska pieśń, czarowne zjawisko, najczystsze, najpiękniejsze życia ludzkiego objawienie — miłość!

I z nią w grób!...

Z twarzą pobladłą, z ustami opadłemi w łuk, ujmuje artystycznie wycyzelowaną, lekką, jak muśnięcie pieszczoty, jak płatek kwiatu — perłę miłości, i cała drżąca iskrami w rozwartą mogiłę rzuca.

I stoi jak posąg ciemny, zestarzały u stóp rozwartej mogiły.

Oczy jej śledzą perły — wspomnienia.

Ciemnieją one zwolna, wśród szarzyzny grobu, zsychają się, kruszą, rozpadają...

Tylko ta jedna, ta jasna, ta ostatnia, umrzeć nie chce! Jest wciąż piękna, lśniąca, anielska!...

I Janka patrzy na nią, a uśmiech mimowolny wykwita na twarz jej pobladłą.

A bardzo czysta, promienna, z poza grobu woła ku niej:

— Ani czas, ani rozłączenie...

Janka nie ma siły, by na tę perłę, na te słowa grudę czarnej ziemi opuścić.

Więc ciemna jej postać opada ku mogile, i w żalu, łzach, męce — woła:

— Gdyby umrzeć, gdyby umrzeć!...

XVIII

Portem zbawienia, blaskiem owej latarki, nagle rozbłysłej w przerażonych oczach rozbitka, zdała się Jance mała, czarna książeczka.

Tak, mała książeczka, co od miesięcy całych zapomniana, rzucona kiedyś między inne książki, znacząc się te-

raz błyszczącymi medalikami i krzyżykami z kości, opadającymi w zakończeniu wstążeczek, rozdzielających stronice, nieśmiało podkradła się pod zmęczone oczy Janki.

Ona, zamknięta wśród ścian swego domu, obraca się wciąż w kole cierpienia. Snuje się po mieszkaniu, obijając się wciąż o wspomnienia, jak twór zastygły w bolu, zamarły. W cmentarną ciszę promieniem wnikały listy Jerzego. Uprosić go zdołała, aby pozwolił jej cierpieć samotnie, póki spokój nie wedrze się do jej serca na tyle silny, aby życie, choć w smutku, ułożyć sobie jakoś mogła. Na listy jednak pozwolić musiała.

I oto widzi teraz, że wobec listów tych nie zdoła odzyskać nigdy odrobiny spokoju, tworzą one dla niej zaporę, uniemożliwiając znoszenie życia obecnego.

Te cudne kwiaty uczucia, objawiające jej wciąż piękność ich miłości, zaklęte w uroczych słowach Jerzego, są tak pełne ufności w powrót ich szczęścia, że zamykają ją w głębi wyśnionego raju.

I jasne te kartki, wlewając słodycz i rozkosz w udręczone serce, rozluźniają więzy, któremi, kalecząc, krępuje ona serce swe i męczy.

— Więc tak być nie może, nie powinno!...

Teraz nadeszło znów to światełko, migoce nadzieją tam, gdzie wszak nic poza szarą mgłą istnieć nie powinno.

— Tak, nie powinno — powtarza sobie po raz setny. — Nie powinno — mówi, a w gorącym ręki uścisku obejmuje list.

Owo »nie powinno« powtarza już tygodnie całe.

Zasłuchana w kochane dla niej echa, nie ma siły oderwać duszy swej od wyśnionego piękna; nie ma mocy wznieść się ponad wyżyny swego cierpienia.

I oto dziś właśnie, gdy zamierza czytać doręczony jej

przed chwilą list Jerzego, oko jej spoczęło na maluchnym, w szarej oprawie tomiku. Oko spoczęło machinalnie, gdyż w zamyśleniu usta jej wymawiały wtedy:

— Bo i cóż kochaniu memu przeciwstawię, gdy w życiu nie mam nic, nic!...

Zbolałą swą duszę zanurza znów w zdroju smutku i melancholii, a ręka już ma rozerwać kopertę, gdy... wzrok zatrzymuje się na słowach:

»A jeżeli, córko moja, rozterka duchowa łamać cię będzie, zwróć oko swe ku słowom moim, one ukoją cierpienia twoje!«

Tytuł broszurki, darowanej jej niegdyś przez Karowicza. Przyjęta z uprzejmą grzecznością, zostawiona bez przeczytania choćby jednego bodaj zdania.

— Po co miałam czytać? — woła głąb kobiety, — po co? Wtedy, gdy widziałam przed sobą tylko zieleń nadziei i kryształ miłości...

— Lecz teraz — mówi jej dusza, — teraz, gdy błądzisz wśród rozpaczy i wołasz: »Cóż przeciwstawię memu cierpieniu?«

Janka wpatruje się w książkę, która z jakąś litością smutną, przyjacielską zdaje się wybiegać ku niej biednej.

Siedzi długą chwilę zadumana, lecz jakby spokojniejsza. Wzrok jej obejmuje tomik. Z niego mają iść ku niej prądy, zwalczające ból, cierpienie...

— Czy to możliwe? — szepczą drżące usta, — czy to możliwe?... Co zmniejszyć może gorycz rozpaczy mojej? Co odsunąć myśl, która mnie szarpie niezwalczoną pokusą!?

Znów nieufność, by możliwość taka istniała, zwraca ją ku ćwiartkom listu Jerzego. Wszystko pozatem wydaje się jej mdłem, bezsilnem. Lecz, z poza szarpiącej nią burzy, ja-

kaś słodycz łagodna zdaje się delikatnie promieniować ku niej z za stronic daru Karowicza.

I wielki niepokój powstaje wśród strasznej udręki chwili. Twarz wychudła i stygmatem cierpienia naznaczona w wyrazie niespokojnych, znużonych oczu, błądzi między realnem, a idącem ku niej z kart książki szczęściem.

— Gdyby to mogło być prawdą!

Ujmuje książkę...

. . . .

»Odrodzenie twej zbolałej duszy nastąpi z chwilą, gdy ona uleci tam, skąd przybyła, w zaświaty, tam cierpienie swe złoży i, jak ptak znużony, odpocząwszy w nieśmiertelnych krainie, skrzydła swe rozwinie wysoko, by, wróciwszy na niziny, ujarzmić i koić cierpienia innych.

I wtedy szybować poczniesz ku obowiązkowi!...«

Oto, co staje przed Janką w chwili, gdy usta drżą ciągłą skargą.

W ręku trzyma ową książkę i oczami duszy wpatruje się w nowy obraz życia. Wsłuchuje się w echa przeczytanych słów. Biegnące ku niej wrażenia zatrzymują niemal oddech, głowa podniesiona, szeroko rozwarte źrenice. Coś, jakby nieokreślone zdziwienie, przemyka w jej wzroku. Ale to jedna chwila tylko, potem osiada na niej zaduma i wielka refleksya.

»Żyłaś tylko sobą« — strofuje głos książki.

A serce, spragnione jutrzenki radosnego szczęścia, dźwięczy uczuciem:

— Czy nie wolno mi pragnąć szczęścia dla siebie samej? Czyż mam iść zawsze obok słodyczy życia? Czyż blask i cud radości, co lśni w przestrzeni, ma być dla mnie tylko marą, wizyą?...

— Blask miłości, cud rozkoszy — to złuda, mara, wizya.

»Słodszym jest kwiat, co nie traci nigdy swej słodyczy, blasku i woni; taki, w skończonej formie piękna, ku tobie kielich swój rozchyla!« — szepcze ku niej mała, czarna książeczka:

»Pod zaklęciem obowiązku rozpocznij nowe życie! A gdy zarzucisz na ramiona swe to słodkie jarzmo, oczy twe oschną z łez, a blaskiem rozświecą zmęczoną twarz twoją«.

Janka czyta słowa te, które wciąż dziwnie odpowiadają myślom jej.

— Więc, czyniąc dobrze, uspokojenie mam znaleźć? Cierpienie moje ustąpi, a z niem głusza i pustka, które mnie dławią?...

Nie oryentuje się jeszcze dobrze w sytuacyi, nie ma do tego siły. Świadomość jej, jakby ściśnięta obręczy bólem, nie mogąc znaleźć sama żadnego oparcia, rzuca się ku tym, otwierającym się przed nią, nowym wrotom.

— Lecz w jakąż formę ujęty ma być teǹ mój obowiązek?

Janka odnajduje w przeczytanem dużo myśli i słów, lecz ta niejasno, nieokreślenie postawiona, nowa treść jej życia, ogarnie ją znów lękiem, bo gdy dźwięk i harmonia słów grać przestają, dokoła niej wytwarza się chaos, zanika duchowy kontakt z przeczytaną treścią...

Jasno, wdzięcznie zarysowana, pełnią uczucia wybiegająca przyszłość z listu Jerzego, przyciąga wzrok jej ku kartkom otrzymanego listu.

Tu, wabnym gestem, z poza ciemnych chmur złoci się ku niej olśniewający promień, ciągnie ją ku tarczy miłości słonecznej, co brylantowym blaskiem okryć ma rozścieloną przed nią drogę...

Tam, gdy chce szukać ideału szczęścia, z ciemnego tła chmur wybiegają tylko mgliste smugi, zagadki...

Widzi teraz tak jasno, rozumie tak doskonale, że właśnie tylko w purpurowych miłości strzałach pełnia radości życia rozkwita, więc w duszy, przed składającym życie swe w jej ręce Jerzym, osuwa się na kolana i za dar ten kornie mu dziękuje...

— Musisz być szczęśliwy! — marzy dusza jej o ukochanym i z niezwykłą delikatnością uczucia kieruje pieszczotliwie przyszłością jego. — W rozświetloną szczęściem drogę twego istnienia nie śmie wedrzeć się żadna pustka. Nie zaćmi jej też nigdy smutek, co w życiu sztucznem ze mną mógłby w świetlany krąg ten wbić w duszę twą niemiłosierny, okrutny świat...

I w szepcie tym, co ulatuje ze spalonych gorączką ust kobiety, jest przepotężna pieśń miłosna, całe bezbrzeżne rozkochanie...

Tak, przyszłość Jerzego winna być doskonała w swej harmonii i pięknie.

— Co ze mną? — wyrywa się drżące.

Blada, opuszcza twarz swą piękną ku stronicom rozmyślań. I znów staje się pokorna, a tylko pragnieniem gorąca, by słowa w nich zawarte wypowiedziały się względem niej jasno i dokładnie. Zwraca serce swe łagodnie ku nowym ścieżkom, szukając tej, która ją ku wyżynom ma zawieść.

»W zaświaty« — mówią słowa książki.

— W zaświaty! — powtarza zamyślona.

Na skrzydłach duchowych unosi się ku wysokim szczytom i dojrzeć pragnie, jaki kierunek płynięcie to ma przyjąć.

Przez chwilę czuje się zawieszona gdzieś w przestrzeni, w eterach, odcięta od zwykłej przeciętnej kobiety.

I w chwili tej uczuwa się spokojniejszą, tylko bezmiernie jej tam smutno.

. . . .

»A jeśli rozkosz macierzyństwa odmówioną ci została — szemrało ku niej ze stronic książki, — to...«

I oto zdało się, że jakiś duch potrącił delikatnie jedną z najtkliwszych strun serca kobiety. Duch ciemny, tajemniczy. Struna jękła cicho, boleśnie... Posępna myśl objęła Jankę. Melancholia poddania się znikła.

— To co, co mam wziąć w zamian? — wyrwało się buntem.

Oczy rozbłysły. Wdzierał się w nie świat rzeczywistego życia. Zdrowa, świeża natura pod jego powiewem zadrgała. Wyrwała się z eterów...

Lecz łagodne słowa ekstazy płyną dalej:

»Duchowy kontakt, który rozsnuje się między tobą a przybraną dzieciną, silniejszą nicią połączy cię z tą istotą, niżby cielesny zespół uczynić to potrafił«.

— Ogromnie ładne, strasznie w harmonii słów melodyjne, piękne — drży w kobiecie, ale, ale...

Janka w przeczuciu serca, w samej głębi swej duszy, odgaduje jakiś rozdźwięk z błękitnymi eterami; czuje, że owej mistycznej siatki rozwiesić w pełnem zadowoleniu nie potrafi. A przecież...

— Przepełniające mnie uczucie zdusić muszę; więc cóż mam rzucić w swoje serce?

Coraz ciężej wlec się w życiu w tej pustce, w tem opuszczeniu, więc choć pierś jej wzbiera wielkiem łkaniem, zaciska zęby i całą swą istotą duchową zespalać się pragnie z idącem ku niej z kart książki przeznaczeniem.

Tylko do oczu łzy napływają.

Ociera łzy, czyta, czyta...

. . . .

XIX

Lecz gdy znużona, wyczerpana, odkłada wreszcie książkę, nie jest przekonana. Wątpi, czy »obowiązek przybranego macierzyństwa« wyprowadzi ją z koła rozpaczliwego cierpienia.

To nasuwanie mi widoku dziecka, więc macierzyństwa, będzie raczej jakiemś szyderstwem, ironią!...

Lecz jest już zmęczona bardzo i z rezygnacyą poddaje się idącemu ku niej wyrokowi.

— Niech będzie, jak chce! — rzuca — byle nie tak, jak teraz, byle nie tak!...

Zaczyna wchodzić w rolę »m a t k i«.

Siostra Emilia ma z przytułku dziecko przyprowadzić.

I Siostra, znająca jeszcze Jankę z panieńskich czasów, wtedy, gdy zajmowała się ochronką, i Karowicz, powiadomiony o postanowieniu Janki, bardzo są radzi. Zdaje się im, że do kąta tej osamotnionej wsunie się cień jasny, wraz z maluchnem stworzeniem, które oto Siostra z rąk przyprowadzonej mamki odbiera i na ręce Janki składa.

Janka przyjmuje dziecko.

I odrazu, choć z wysiłkiem, tłumi w sobie żal, gorycz, za to usunięcie z jej życia własnego dziecka.

Z lękiem zwraca się ku cudzemu. Bała się dojrzeć wdzięczną główkę Halinki, błękity oczek, włosków złoto. Lęka się i pragnie złudzenia. Mogłoby ją to przenieść w świat urojony!...

Lecz te wulgarne rysy dziecka o czarnych włosach nie wywołują nawet choćby lekkiego złudzenia.

— Zupełnie sierotka. Umyślnie taką wybrałam — mówi Siostra, bardzo w swej naiwnej szczerości poczciwa, — bo, widzi pani, gdyby tam, na świecie, był kto z rodziców, a naj-

gorzej, jeśli matka, to zaraz dziecko ciągnęłoby do niej. A tak — mówi, przesuwając z nawyknienia paciorki swojego różańca, — taka zupełnie opuszczona, to przyzwyczai się do pani.

Jance w uszach huczy jakaś smutna, posępna pieśń ponurego wichru.

— Przyzwyczai się do mnie! — powtarza za Siostrą, a morze rozpaczy głosem jej targa.

I oto łza wielkiej boleści zawisła na jedwabiu jej rzęs.

Ta ciemno odziana Siostra i to dziecko przybrały w jej oczach kształty zimnej, ciemnej wizyi. Zda się dwa posągi groźne, tajemnicze, przysłane przez Obowiązek!...

I bez uśmiechu, z szarpiącą łzą w oku, składa na ołtarzu »Obowiązku« swe rojenia, marzenia, szczęście...

Wpatrzona w kołyskę, wśród której spoczywa nowe życie, rzuca czarną grudę ziemi na swoją mogiłę:

Podpisuje prośbę separacyjną...

Prawo tryumfuje!...

. . . .

Kołyskę postawiła tuż przy łóżku.

Nią zamurować pragnie jakby to okno, przez które wieje ku niej tamto, inne tchnienie. Odosabnia się od przeszłości, wnika w tę nową, stworzoną przez siebie przyszłość, wmawia w siebie, że w niej znajdzie całą moc zadowolenia, a to przecudnie rozjaśni jej życie.

Wszelkiemi siłami wymazuje swe własne »ja« z życia. Nie chce o sobie myśleć, o niczem, co jej dotyczy. Listy Jerzego składa nierozpieczętowane. Rozkazuje istocie swej oddać się bezpodzielnie dziecku i czeka, by ono w zamian odegnało od niej ból i rozpacz cierpienia.

Chroni się na łono tego nowego uczucia. Pragnie w niem

nie sztucznej zabawki, lecz żywiołowej siły, która pokonałaby troskę miłosną.

Delikatnie też, miłośnie stara się oczy swe zwracać ku spoczywającemu w kołysce ciałku. W piersi wywołuje macierzyńskie, łagodne uczucie.

I wśród długich godzin dnia i nocy, które spędza u boku dziecka tego w poszukiwaniu spokoju, szczęścia nowego, w duszy jej rodzi się i śpiewa przesłodka kołysanka, a w sercu wykwita chwała macierzyństwa.

I wtedy jasna, promienna, porywa się ku ciałku temu, chce wołać:

— Tyś wyrazem mojej miłości, tyś cudem płomiennym mego uczucia!...

Oko jej pada na spoczywające w kołysce dziecko i miast spokoju, szczęścia — rozpacz opada jej duszę. Bezkresny smutek tłoczy serce...

— To nie twoje dziecko! — targa nią. — Inna poczęła je w rozkoszy tej, która dla ciebie zostanie tylko wielką zagadką życia!

Myśl ta, niby gad, pełznie zdradziecko, szarpie kobietą okrutnie.

I razem z niespokojnym oddechem i jakby łkaniem dziecka, w lekkim blasku nocnej lampki, drgającym delikatnie wśród muślinu firanek kołyski, palącemi iskrami rozsypało się w jej umyśle:

— Zostanie dla ciebie tylko wielką zagadką!...

I w jednej chwili gamą tragiczną napadły na nią wspomnienia, majacząc ekstazę słodyczy pierwszego pocałunku, pieszczoty w srebrnej strudze księżycowego światła zesłanej.

Tam, w tej świątyni górskiej, w cichych, mchowych pokładach, powiał on ku niej słodko, uroczo, święcie. Przeleciał cichy, pod poszyciem świerków i jodeł.

Rozjaśniał jak blask jutrzenki, w jego świetle odżyła. W zetknięciu się ze słodyczą, wyszła bardziej jeszcze czysta, uduchowiona, tylko nad miarę radosna.

Teraz, gdy blask ten zgasiła, istotę jej ogarnia jeden beznadziejny, głuchy ból.

I, miast wyrywać się z cienia tęsknoty, kieruje teraz myśli swe tam, gdzie przez mgły smutku płyną ku niej wspomnienia.

— Jak słodko było, jak cudnie! — myśli; a oczy jej zapadają obojętnie w leżące obok dziecko.

— Nie mam z niem żadnego kontaktu — mówi sobie, — więc jakże ten obcy mi twór może wziąć w posiadanie serce moje, duszę, mnie całą, niepodzielnie?

Leży wśród bezsennej nocy; i po miesiącach walki, nadchodzi wreszcie noc taka, gdy czuje, że znów stoi nad brzegiem przepaści ogarniającej ją pokusy.

— Rozjaśnić należy to dawne światło naturalne, szczere, a zagasić to rozpalone przez ciebie teraz, nieszczere i sztuczne — woła ku niej dziwna siła, moc.

— To dziecko, które rzuciłaś sobie przed oczy, powiększa tylko twój ból

— I prawda — mówi. — To dziecko w każdej chwili roztacza przede mną fatalizm mego istnienia.

Mimo to, z gorzkiem poczuciem zawodu i smutku zasiada znów codziennie przy kołysce małej; prowadzi ją tu moc obowiązku. Na pozór ona i dziecko to ujęte są splotem miłości, w istocie zaś to tylko zaklęty gest obowiązku nie pozwala Jance wyrwać się z owego uścisku, choć nie ma on w niej siły właściwego wyrazu.

Pozory jednak są.

Zrazu, gdy powzięła myśl przyobleczenia w formę rze-

czywistą słów podsuniętej przez Karowicza książki, uderzył w nią słoneczny blask przeczucia istotnej prawdy.

Zanurzona w tajemniczej kontemplacyi, wrażenie to odsunęła od siebie. Odrzuciła myśl własną. Przejęła się cudzą. I chwilowo wznieciła w sobie ciepło i światło.

Lecz ciepło to i światło nie było jednak w niej na tyle silne, by stała się jego odbiciem, i przez nie tworzyła wrażenia. Przy zetknięciu się z rzeczywistością, dusza urobiła swe własne odczucia, i te, niby ciemne punkty, wdarły się w sztucznie utworzoną egzystencyę.

Wdarły, rwąc ją w walkę między egoistycznem, raczej właściwem każdej jednostce pragnieniem osobistego szczęścia, a mistycznem, duchowem szczęściem obowiązku.

— Czy kocham tylko siebie i dla siebie pragnę szczęścia? — badała się w chwilach rozterki, — czy dusza moja tak jest marna i słaba, by nie módz nakazać sobie wytworzenia ideału życia w szczęściu innego stworzenia? Czy nie jestem w stanie oddać serca całego temu dziecku, rzuconemu na pastwę i wicher losu? Czyż tak jestem słaba i moralnie bezsilna?

Badała się z całą szczerością i z całą też szczerością zadrgało w niej:

— Jesteś przedewszystkiem kobietą, a więc istotą na wskróś uczuciową. Nie przygniataj się analizą w rzeczach zupełnie prostych i naturalnych. Miłość jest wrodzonem kobiecie uczuciem i dowiedz się, że przez zaspokojoną własną pokochałabyś dopiero to dziecko...

— Postaw je obok własnego, a przez nie miłośnie utulisz i obce, ale, zrozum! przez własne...

A twarz jej bolem moralnym zdręczona, skurczyła się, a potok łez, niepowstrzymany, wybiegł z oczu... Płakała...

. . . .

Dziś silniej rozegrały się w Jance te struny subtelnej jej uczuciowości. Sądziła, że utrzyma się w niej i nadal wrażenie, które otrzymywała, lecz ono wzrastać w niej nie będzie. Dziś widzi, że ono nietylko trwa w niej w całej pełni, lecz korzenie jego zapuszczają się coraz głębiej, wywołując nieprzemożony smutek i rozgoryczenie.

To też słowa siostry Emilii są jej dziś bardziej niż kiedykolwiek bolesne.

Siostra, zawsze ogromnie pogodna, rzuca jej na powitanie zwykłe swe słowa:

— Jak się mamy, mamusiu? A córeczka nasza jak tam? czy zdrowa?

Janka nie jest w stanie rozsnuć udanej wesołości, sztucznego oświetlenia, więc smutne oczy podnosi ku Siostrze i pozwala jej widokiem łez wniknąć w swoje wnętrze.

Nie jest zrozumianą.

— Łzy! — woła przestraszona Siostra — więc dziecko ma się gorzej?

I nie zwracając uwagi na idące w wysiłku ku niej słowa Janki, już stanęła przy kołysce, rozpytuje mamki.

Powraca uspokojona.

— Ot, ta mamusia — śmieje się znowu — i mnie i siebie próżno dręczy. Egzaltuje się pani, dopatrując pogorszenia. To, co mówił doktór, jak opowiada mamka, że chciałby z naszem szpitalnem *consilium*... to nic nadzwyczajnego. To się często trafia!

Jest rzeczywiście pogodna, nie rozumie przyczyny nieustających łez Janki. Przecież słowami swemi powinna ją była uspokoić. Z zadziwieniem dostrzega nieznany jej dotąd wyraz oczu kobiety. Patrząc na nią, zdaje się ona jej nie dostrzegać, słuchając głosu, jej twarz wyraża, jak gdyby, w myślach własnych pogrążona, słów jej nie słyszała.

Siostrze robi się mniej na duszy pogodnie, chce, by światło dopomogło w przerwaniu złego nastroju. Podnosi storę. Lecz mało światła, raczej jego złudzenie w czczych, mdłych tonach przenika przez otwór okienny. Dzień to późnej jesieni. W jakieś ołowiane mgły zdaje się spowijać ten listopadowy ranek. Mgła ciężka, senna, smutna, drobniuchnym pyłkiem deszczowym opada, zacierając kontury domów, tworząc jakąś zamgloną, zamazaną dekoracyę.

W smutnem tem oświetleniu osoba Janki rysuje się przed Siostrą znów jako uosobienie znużenia o niepojętym dla niej wyrazie w źrenicach.

— Nie wypoczęła po nocnem znużeniu i dlatego tak patrzy, jakby zmęczona.

Podchodzi do niej i mówi łagodnie:

— Niech się pani położy. Widać noc bezsenna, oczki zmęczone, czerwone trochę... Ja popilnuję małej.

Milczy chwilę, czekając odpowiedzi, wreszcie znów poczyna:

— Bo to *consilium*, to nic. Ja już sama myślałam, by sprowadzić naszego lekarza szpitalnego.

W niej całej, poczciwej, jest najszczersza chęć dania pociechy w smutku.

Lecz snać w najgłębszej istocie serca kobiety, ku której swą dobrą chęcią wybiega, tkwi cierń, którego słowa jej wyrwać nie są zdolne, bo spojrzenie Janki jest w smutku tak potężne, że Siostra milknie i patrzy w niemiłem uczucia zawodzie na tę nierozumianą przez siebie rozpacz.

I oto wreszcie pod słowami, które padają z ust Janki, owa sieć, sieć macierzyństwa, która Siostrze zdała się tak doskonale około Reńskiej osnuta, pryskać poczyna. Namiętniejszy poryw serca, budzącego się z omdlenia, letargu, a oto wątłe, sztucznie powiązane nici rwą się. I za łzą niepowstrzy-

maną idą słowa. Kobieta nie nakazuje już sobie milczenia, bo z głębi jej przepełnionego żalem serca wydziera się głos cichy:

— Ależ i owszem!... niech to *consilium* będzie... trzeba, żeby było! Ja o to dziecko nie jestem tak niespokojna... Wiem, ono nie jest tak chore.

W powiedzeniu »o to dziecko« nie brzmi serdeczna troska i czułość matczyna.

Siostrę ta sucha nuta uderza. I dźwięku tego fałszywe brzmienie staje się punktem, z którego snuje się dalsza rozmowa.

Pierwsza, od miesięcy całych, szczera ze strony Janki rozmowa.

W uszach Siostry brzmią fatalnie, uparcie Janki słowa, mrożąc ją złem przeczuciem.

I w szary mrok dnia wbija się podjęte przez Siostrę:

— To dziecko!...

— Tak, to dziecko! — powtarza Janka z mocą, ożywiając się, widząc, że Siostra wreszcie poczyna ją rozumieć. — Pragnęłam rozpalić jego istotą nową w mem życiu światłość, ale...

Przed oczami Siostry zapłonęły świetlane ognie, dla niej zawsze pełne blasku. Czyżby tu one rozpadały się, zamierały, nikły?...

I z gasnącej smugi ich dobywa się, niby ze zgliszcz, skarga:

— Całe serce moje złożyłam w ofierze, by promienie ciepła podtrzymać. Zdawało mi się przez chwilę, że posiadłam to, do czego dążyłam. Teraz czuję, że miłość dla dziecka tego pozostała dla mnie sfinksem, i ja, Siostro, łamię się znów w tęsknocie...

Nie uważa na przerażone spojrzenie, na zmieszanie za-

konnicy; w tej przełomowej chwili życia swego mówić musiała...

— Więc pani dziecka tego nie kocha? — pyta wreszcie Siostra, w niepojętem zadziwieniu.

Stoi wyprostowana, pobladła, bez woli, naprzeciw tego, co przewyższa jej pojęcie.

Coś szczerego zapanowało w tej chwili dokoła. Jakby objawienie się prawdy, głośne wreszcie w zrozumieniu.

I Janka, kładąc dłoń swą na delikatnej, sztucznej przędzy teraźniejszego życia, doznaje ulgi.

— Nie!... — mówi.

Serce, pragnące raz nareszcie oswobodzenia się z narzuconego sobie ciężaru, wyrywa się całe, bolesne, lecz szczere.

— Dlaczego go pani nie kocha? — wybiega wreszcie nieśmiałe, lękliwe.

— Dlaczego?...

Janka wpatrzyła się w Siostrę załzawionemi oczami.

Nie zrozumiały się obie, choć były kobietami.

Sztywny kornet, surowa zakonna suknia broni dostępu temu, co z ziemią zrosłe; więc miłość ziemska serca nie przepala, konać, zamierać mu nie każe.

I dlatego Siostra, cicha i pokorna, w swej niebiańskiej jasności pogrążona, pyta:

— I dlaczego go pani nie kocha?

A dusza tej drugiej woła ku niej:

— Bo ono nie moje!... nie własne!...

Głos łamie się, więźnie w zaciśniętej ze wzruszenia krtani. Rozwarła się ciemna toń życia, postrzępione, krwią ociekłe serce wylało się rozpaczną skargą.

— A czemuż ja cudze dziecko kochać mogę? — pyta znów ta święta, ta nieziemska.

Niezrozumieniem — pasmo bólu królestwa kobiecego smutku aż zadrgało.

I oto rozjaśniała twarz tamtej, ziemskiej, w blaskach przejasnych. Olśniewająca piękność opłynęła rysy. Brylantów ognie rozmigotały się w źrenicach. Twarz opłynęły prześliczne różowe tony. To wnętrze kobiety rozpaliło się dumne, czarujące.

Zokołysało się pieściwie, delikatnie:

— Czy ty kiedy o własnem dziecku śniłaś, Siostro?

Jak nadbiegły z nieznanych dla niej krain cudny może, lecz obcy motyl, tak myśl ta nieznana, myśl, która nie zbłądziła nigdy w uśpione serce Siostry, przedarła się ku niej pytaniem. Odpowiedź szła bardzo prędko:

— Ukochałam ludzkość... o sobie nie myślałam nigdy!

Przewaga wielkiej duchowej doskonałości rozbrzmiała w całej pełni. Zapanowanie w świecie abstrakcyi! Zrozumienie ascetyzmu. Aspiracya istot wyższych!...

Surowo odziana mniszka pomyka w ciemnej szacie, wśród jęczących fal życia, zapatrzona w sklepienie z gwiazd utkane. W pochodzie tym jest coś uroczystego, mistycznego! U szaty jej nie śmią zaciężyć osty i ostre muszle życia, unosi się ponad niemi, duchem lekka.

Lecz wśród burzliwego wybrzeża nie wszystkie dusze idą zapatrzone w jasność najwyższą, nie wszystkie szaty uchodzą porostów życia, i te, mniej doskonałe, opadają, jak gałęzie powoju, w zwykłe, utarte ścieżki.

Są to ludzkie, ułomne natury, im też życie narzuca swoje wymagania, swoje konieczności...

I tym:

»Ukochałam ludzkość, o sobie nie myślałam nigdy« — wydaje się purpurą królewską, olśniewającą, wspaniałą, lecz szlak ziemi oddziela je od gwiazd tych.

I na tem życiowem tle Janka przesuwa się, jak cień biały, jasny w swej szlachetnej ludzkiej ułomności; oczekiwała wciąż objawienia, cudu, by unieść się ku eterom wyłącznego ducha. Lecz przeznaczenie nakazuje jej szatę swą poddać pod osty i ciernie zwykłego życia, iść utartym jego szlakiem. I w istnieniu tem, pełnem rozterki, skarży się też żałośnie...

— Chcę, pragnę i ja zostawić za sobą wszystko, co ziemskie. Chwilami poryw mnie unosił, ale to mijało, Siostro, mijało. Skrzydła podjęte opadają, łamią się...

Skarga urywa się, rozpływając w nieuchwytnym jęku, tęskna, lękliwa, trwożna...

Wiatr krzykliwie huczy za oknem, czuć poza nim otchłań, pełną tragicznych wrażeń. Żałoba wlecze się tam w przestrzeni; tu zapada ciemna, ponura w cierpienie, bezsilność, znękanie. I ciężkim ołowiem zwisa wśród stojących naprzeciw siebie istot — kobiet — ciałem jednakich, duchem różnych...

Ta ewangeliczna Marya, otoczona ciszą, która jakby miękkiemi skrzydłami owiewa ją dokoła, dając sercu prąd piękny i spokoju pełny, ten czystości symbol, dziwi się siostrzycy swej, ziemskiej Marcie.

Narzuca jej barwę i woń życia, a ona nie pojmuje życia; więc jasne jej źrenice zapadają z trwogą, lecz bez zrozumienia, w ciemne, rozgorzałe teraz silnym blaskiem życia źrenice Janki.

Idzie obok jej bólu, bo bólu nie odczuwa, nie współczuje mu, nie cierpi razem.

Zrozumieć można tylko przeżyte, przecierpiane, przepłakane...

Odczuć gorycz cudzą można tylko przepojonem goryczą sercem...

Pojąć ból cudzy można tylko wtedy, gdy godziny życia przeszły nam w męce, rozpaczy...

Siostra w swej czystej i zakreślonej linii nie szarpie duszy swej we łzach, serca nie nurza w tęsknocie i melancholii...

Ręce złożone na piersiach, cisnące paciorki różańca, fałdzista odzież, kryjąca jej młode ciało, czynią ją podobną do statuy, w której zamarło rzeczywiste ludzkie życie, a podziw, płynący z szeroko rozwartych oczu, mówi o niepojętem zaklęciu, idącem ku niej od tamtej.

I w welonie smutku, cierpienia i łez nastaje cisza tak wielka, że drży w niej tylko bicie serc, rozwiewają się tylko mglistą szarfą myśli.

I nie masz już w nich tajemnic, wybiegły z bladych ust kobiet, jak czarowne ich serc kwiaty.

Oczy w zadumie biegną ku przyszłości, a obie, zapatrzone w błyszczące ku nim gwiazdy, są przedziwnie piękne, przedziwnie szlachetne, tylko różne.

XX

Nazajutrz, wczesnym rankiem, zadzwoniono do mieszkania Janki.

Doktór, odwiedzający zwykle dziecko, przybył ze swym kolegą, ordynatorem szpitalnym. Dla tego pana godzina przed wyruszeniem do szpitala najdogodniejsza, i dlatego tak wcześnie.

Krząta się i siostra Emilia, jest główną sprężyną, wprowadzającą w ruch życie. Po wczorajszej z Janką rozmowie widzi w niej tylko manekin, automat, dążący do poświęcenia się, ale bez rzeczywistego w niem wyrazu. Nie mówią teraz

prawie ze sobą. Z tajni obu, gdzie błąkają się ich uczucia i myśli, wypłynęło już spokojne Siostry objawienie, wyrwał się już rozpaczny okrzyk Janki.

W skromnej, wełnianej sukni, w koronie popielatych włosów, stoi też ona, jakby na uboczu. Tylko w spojrzeniu, wybiegającem z pod ciężko opadających powiek i bolesnym wykroju ust, znaczy się obejmujące ją znów lodowe zimno, zaciskający swe szpony silniej bezkresny smutek.

Siostra za to, pełna ciepła i serdecznej szczerości, z pamięci swej dobywa wszelkie szczegóły cierpienia małej i w słowach spokojnych opowiada wezwanemu lekarzowi.

Gdy Janka widzi, jak pochyla się nad kołyską dziecka i ujmuje je w swe silne, krzepkie ręce, tuląc do piersi, okrytej szorstką, bawełnianą tkaniną habitu, z serca jej wydziera się błagalna prośba, aby i jej pierś zadrgała tą rozkoszą łagodną, spokojną, tkliwą.

Lecz myśli porywają się w lot, i oto znów ona, rozkochana, czująca na sobie i w sercu spojrzenie Jerzego, popada w głęboką przepaść swego żalu, w tęsknotę przeszłości.

I jak prawdziwy automat stoi obok lekarza. Mimowoli, z nałogu, poddaje się konieczności, która obejmuje ją w swe objęcia.

Jak przez sen słyszy rozmowę obu doktorów, wreszcie zapada:

— Muszę je wziąć do mojego oddziału i pod wyłączną opiekę; to kuracya, wymagająca troskliwego nadzoru...

I oto, jak coś utkanego z puchu, rozwiewa się owa wizya macierzyństwa.

Zabierają to, co nie było jej własnością, wyrazem jej serca!

I dlatego zdaje się to jej zupełnie naturalnem, obo-

jętnem, a nawet coś, jak wielka ulga, wkrada się w je
istotę...

Tak, bezsprzecznie, wielka ulga.

. . . .

I po raz drugi w życiu Janki rozbija się to, co było
sztuczne, nieszczere, bezcelowe...

Po raz drugi owa smuga jasności, którą dokoła istnienia swego owijała, targa się, zapada w nicość, rozrywa.

Gdy oto z pokoju jej usuwa służąca kołyskę przybranego dziecka, jakże blizką staje jej w pamięci ta chwila, prze pojona goryczą, gdy, po kilku miesiącach małżeństwa, idącego wykrzywioną ścieżką małżeńskiego pożycia — usunęła też ślad jego.

Gorycz płynęła z pojęcia, iż brała z życia to, co było jego tragiczną karykaturą. Wtedy i teraz...

XXI

Mocą kontrastu.

Na zburzonym gmachu nieudanego macierzyństwa Karowicz wznosić poczyna fundament, spojony cementem ran i nędz ludzkości.

— Chmura, co owiewa jej życie — mówi on sobie, — chmura ta, co jej zasłania linię istnienia, gdy spotka się z druzgocącymi gromami i wichrem nieszczęścia, zda się jej w ogromie cierpienia mniej ciemną, mniej straszną.

I dla owego kontrastu w mózg Janki bije teraz niby młot okrutny męka strasznej egzystencyi nędzarzy. Powódź bezmierna czarnej i gorzkiej doli zatopić ma obrazy ciche szczęsne. Ujść winny one od niej kędyś w krainę mitów...

Teraz Janka nie odwraca już oczu, wśród bezsennych nocy, od kołyski dziecka, co nie umiało jej dać rozkosznego w swym uśmiechu powitania życia. Nie, teraz Janka, w swej samotnej sypialni, z jękiem broniącej się ofiary, całą siłą woli przywoływać się musi często do przytomności. Bo oto korowody pobladłych, tragicznych postaci, tych, które wśród dni jej teraz ciągle się przewijają, nocą tu, u niej, z jakiemś dzikiem okrucieństwem rozrywają jej serce. Zbiegają się one w obłędnych halucynacyach, niby wizye, drące od zmęczenia i udręki jej ciało, wizye bezlitosne, a stoją tu wciąż przy niej w lęku, który ją przed niemi ogarnia.

Kazano zanurzyć się jej w goryczy najstraszniejszej, w całej próżni szczęścia, w zakątkach miasta, o orszaku ludzi, otulonych zaledwie łachmanami, które oni wloką ze znużeniem, ludzi bladych, martwych, niosących w swych wnętrzach tragiczną, a zrosłą z nimi otchłań.

Co dzień, co chwila niemal, opada w fale jęczącego morza ludzkiego. To biuro nędzy wyjątkowej pcha ją w płacz, w łkanie, w ciemnie istnienia.

I jest coś rozpaczliwie smutnego w tem wybieganiu ku cierpieniu, tęsknocie, nieszczęściu. Coś, co rzucać ma jednak jaśniejszą plamę na jej własne życie.

— Czy rzuci? — zamyśla się Karowicz. — Czy uścisk nędzarzy, którym oplotłem jej ramiona, da jej moc, siłę do spokojnego zastygania w smutnej, a nieodpowiedniej dla natury jej egzystencyi?

I oto pod słowami temi, powtórnie już, gdy chodzi o Jankę, na czoło jego wybiega cień, a plamy oczu nabierają ciemniejszych punktów. Czuje, że i teraz niema między nim a tą kobietą duchowego kontaktu, serdecznego łącznika. Wyniosła nieco, sztywna teraz Janka onieśmiela go. Wobec kobiety tej czuje się winnym, bo choć widzi, że ona istotę swą

dobrowolnie poddaje pod jarzmo, które za jego sprawą wali się na nią; widzi jednak, że jarzmo to nie jest lekkiem ani słodkiem.

— Kontakt ów nie daje jej uspokojenia — cierpi Karowicz, — a tylko zmęczenie.

Tak, kobieta opada, niby kwiat podcięty, a na jej fatalnie bladej twarzy snuje się wyraz krańcowego zmęczenia.

XXII

Dziś odrobina wytchnienia.

Janka mówi to sobie otwarcie. Nie może pokonać przerażenia, które towarzyszy zawsze jej codziennemu błądzeniu gdzieś po zakątkach i przedmieściach miasta.

Dziś czwartek. Dzień ten spędza na kontrolowaniu administracyjnej części w X-tej ochronie.

Siedzi nad księgami. Zdala dochodzi ją gwar biegającej dziatwy. Przed oczami snują się szeregi drobnych cyfr. Ona je wiąże. Machinalne zajęcie to powinnoby zabijać myśl, błądzącą ustawicznie i mimo wszystko pod zbolałą czaszką.

Błądzącą mimo wszystko, niestety, mimo wszystko!...

Pełne szlachetności usunięcie się na bok z życia Jerzego stanie się cierniem, wspomnieniem w doli jego; nie chce owiać ją powiewem dobrotliwym, choćby lekkim, przelotnym bodaj uśmiechem.

Nie masz go w jej duszy, trwa ona tylko w zaciętem milczeniu, a serce przepojone jest wieczną goryczą.

I niemasz dla niej wyjścia z tej strasznej sytuacyi; jest bezsilna, poddana pod rzeczywistość faktów, wykluczona z areny realnego istnienia. Na pozór żyjąca, w istocie rzeczy automat, wlokący za sobą tylko nędzę i bezbronność. Na po-

zór żyjąca w zgodzie ze społeczeństwem, a przecież niosąca ku niemu w swem złamanem sercu całą bezbrzeżną moc zrozumienia krzywdy, którą jej ono, nieczułe i nie wnikające w jej rozpacz, dawało.

I teraz, gdy siedzi nad rozłożonemi księgami ochronki, myśli te, które zresztą nie opuszczają jej nigdy, występują ku niej w blasku całej swej okrutnej prawdy. Ogarnięta niemi, ogromnie smutna w swej czarnej sukni, ogromnie przygnębiona, zdaje się być aniołem o ciemnych skrzydłach, rzuconym na tło dobroczynnego przytułku. Ręce długie, wązkie, tak jak i twarz o wychudzonym owalu, opłatkowo białe, opadły w ruchu pełnym zniechęcenia.

W położonej obok kancelaryi wszczął się ruch, na dziedzińcu domu zaturkotały koła powozu. Ochronka ma wyjątkowo umitrowane opiekunki; sama księżna Czartoryska jest jej główną patronessą. Oto zajeżdża jej powóz. Wysiada. Z pojazdów i dorożek inne panie. Nadjeżdża i Karowicz. Dziś nadzwyczajne zebranie.

Janka przygląda się bez zajęcia. Zna te damy. Jedne z nich rodowe przedstawicielki filantropii; to lep, który ciągnie za sobą finanse i burżuazyę. Te inne znów reprezentują tak zwaną inteligencyę i sferę ziemiańską. Obowiązki ich w ochronie nie uciążliwe: wniesienie rocznej składki. Pozatem masa uciechy w aranżowaniu loteryi, teatrów amatorskich, wreszcie wymykanie się z domu na sesye. Wszystko to stanowi miłą dywersyę w życiu pod płaszczykiem zacnej filantropii. Zakątki i przedmieścia, zatłoczone nędzarzami, nie stanowią *emploi* tych dam. Ta filantropia do nich nie należy.

A dziś owa sesya, między jedną a drugą konferencyą u modniarek, zdaje się bardzo je cieszyć. To zbiegowisko, niezmiernie eleganckie, o zaróżowionych twarzyczkach, wybiegających z pod rond ogromnych kapeluszy, o oczach pełnych

blasku i ożywienia swą radością życia, jest pełnem przeciwieństwem siedzącej poza szklaną taflą okna Janki.

Ona, zbiedzona, o wychudłych policzkach, oczach zaćmionych od łez, rzeczywiście zapracowana wśród ciężkiego szmatu życia, — one, próżniaczki o ptasich mózgach, bezmyślne, porcelanowe lalki, skąpane w rosie uciech.

— Nie chciałabym żyć ich życiem — drży w piersi Janki — ale to moje istnienie... — wyrywa się jękiem dręczącym torturą.

Głosy pań tymczasem dają się już słyszeć.

Księżna, składająca swą filantropijną daninę, niby kornie, a w rzeczywistości nie wychodząca nigdy z roli dumnej arystokratki, zaledwie dostrzega uniżone ukłony dam. Dłuższe zatrzymanie wzroku na bankierowej, podejrzenie uśmiechu, rzuconego bardzo bogatej obywatelce, napełnia jednak te panie rozkosznymi dreszczami.. Może będzie kiedy i ukłon... kto wie?

Dziś szepty ustawiczne i wreszcie ogólnie podniecony jakiś nastrój wyładowywuje się w zdaniu Czartoryskiej:

— Zatem ta pani Morensteinowa wnosi z sobą fundacyę trzechtysięczną co rok? — pytanie pada zwrócone ku Karowiczowi.

— Tak, księżno! — śpieszy on z odpowiedzią.

Księżna pochyla się ku Wodzińskiej, stojącej obok niej:

— Ta łódzka milionerka wkupuje się do naszych salonów. — A potem znów do księdza:

— To osoba rozwiedziona, wszak prawda?

— Istotnie, księżno! Po uzyskanem unieważnieniu pierwszego małżeństwa, pani ta poślubiła pana Morensteina.

A po chwili dorzucił:

— Sprawa jej była czysta, jak łza. Rodzice zmusili

młodziuchną córkę. Obecnie przyznali się do winy. Swiadkowie zeznali przymus moralny pod przysięgą.

W uszy Janki zapadają słowa, a głębia źrenic drga uczuciem ironii.

Stoi teraz w progu kancelaryi, oparta o ramę drzwi i patrzy na Karowicza badawczo. Odczuł to spojrzenie i schylił przed nią głowę w ukłonie. Zrozumiał, że słowa jego rzucają tę śmiertelną bladość na twarz jej, a w usta bezbarwne pchają wyrazy buntu i rozpaczy.

Mrok już zapada, wczesny mrok dnia lutowego. Przez opuszczone powieki Janka uparcie szuka odrobiny światła w uchodzącym dniu. Lecz i ono, i to, co bladym ognikiem nadziei, jakiemś żółtawem, drobnem światełkiem błyszczało czasem ku niej, uchodzi teraz.

Wszak w owem drobnem światełku migotały słowa:

— Jerzy nie będzie wolny, bo przecież ona nie uzyska unieważnienia; ten przymus to fałsz, to kłamstwo!... Nie znajdą się ludzie, co przysięgą fałszywą splamić się zechcą!

A przecież znaleźli się. I głowę Janki ogarniają słowa Karowicza i gaszą ostatni płomyk ognika portowej latarni jej życia.

Zaturkotało w dziedzińcu, zaszumiało u wejścia kancelaryi. Sierotki ustawione w dwa szeregi, jakby czekając na przyjazd nowej opiekunki, wysuwają się z przyległej sali. Jedna z nich, ta na czele stojąca, niesie napisane przez nich podziękowanie. Panie powstają z miejsc zaciekawione; sama księżna i Karowicz zwracają się w stronę drzwi.

I w stojącą z bezwładnie opuszczonemi wzdłuż ciała rękami, w twarz śmiertelnie bladą Janki wbija się wspaniała postać pełnej życia, tryumfu i radości kobiety.

Pochylona teraz ku księżnie i Karowiczowi Irena, w zarzuconej niedbale rotundzie z czarnego aksamitu, bramowanej

sobolami, jest znów sobą: świetną, strojną, wabną. Urok jej piękności narkotyzuje, działa. Nawet księżna raczyła podać rękę i rozmawia. Dla sierot Irena znajduje dobrotliwy uśmiech, przyjmuje adres dziękczynny, gładzi małą po głowie, czem i Karowicza sobie ujmuje. I on też swym bladym uśmiechem wybiega ku niej. Damy śledzą przepych toalety, artyzm w jej układzie. I podziw i zazdrość ogarnia je na widok tej milionerki w sobolach; stoją, notując w pamięci szczegóły stroju.

Dokoła Ireny tworzy się *cercle*. Niektóre z pań przypominają się jej pamięci; to znajomości z letniego zakopiańskiego sezonu. Irena rozrzuca uśmiechy, słowa, piękniejsza, jeszcze bardziej czarująca pod wpływem szeptanego o niej zaklęcia:

— Milionerka!

I magiczne to słowo czyni ją w tej chwili bożyszczem.

Idzie w cień i fałsz rozwodu, i skandal wiarołomstwa, i dalszy jego ciąg: Włoszyński, tkwiący ustawicznie jako »ten trzeci« w obecnem jej z Morensteinem małżeństwie. Cały ten świat szpetoty, wstrętne owo bagno ginie w wirze powodzenia i szczęścia.

Czartoryska rzuca:

— Cudnie mi się pani nada do obrazu »Kupiec amuletów« w ratuszu. Jutro u mnie pierwsza próba. Może i pan Włoszyński nam w trudzie dopomoże? Proszę, bardzo proszę.

I zaraz po tem wystąpieniu księżnej i hrabina Wodzińska wciąga Irenę w swoją wentę.

Baronowa Rachertowa uprasza o odwiedzenie szwalni.

Irena przyjmuje inwitacye.

Świat otwiera ku niej swe ramiona, ku niej, legalnej żonie, nie jakiejś tam o dwuznacznej, wprost nieprzyzwoitej nazwie »separatce«.

Opiera się o poręcz wysokiego krzesła, tryumfująca,

zwycięska. Rozmawia swobodnie, oczy jej pełne życia i gorączkowego blasku krążą dokoła. Scena ta trwa niedługo, Jance jednak zda się wiekiem. Każdem tchnieniem pragnęłaby uciec... nie może. Członki jej zdrętwiałe niezdolne są do ruchu.

Przykuta w jakiejś półświadomości, przymknęła oczy.

Szmer odsuwanych krzeseł, szelest jedwabiu sukien, dźwięczenia *portebonheur*'ów, masa francuskich uprzejmości, wsuwanie się lokai z futrzanemi zarzutkami, słowa pożegnania, odmęt światowy...

A za chwilę jeno smuga perfum, echa słów — i cisza w przestrzeni.

. . . .

Sala opustoszała.

Jedna z Sióstr gasi płonące w kandelabrach świece. Janka, ukryta poza framugą drzwi, uszła jej uwagi. Niby krwawa nić wśród mgieł i mroków, przewija się przed nią wciąż widziane i słyszane. Opływa ją cała pewnia nieodmiennej samotności życia.

Słowa Karowicza wracają ku niej.

»Sprawa była czysta, jak łza«.

I słowa te w całej swej grozie brutalnej walą się na nią.

— Jakto? — woła dusza jej czysta, — więc ten korowód fałszu i kłamstwa mógł odnieść nad prawdą zwycięstwo!?

Fałsz ten wgryza się szponami swymi w wnętrze jej, a z oczu ścieka jako gorąca łez struga.

— I on wolny już, napewno wolny! — szarpie nią myśl okrutna, bolesna.

W rozgorączkowanej wyobraźni widzi dawnego Jerzego, skutego w łańcuchy. Jakaś niewidzialna ręka opuszcza na

każde opływające, oplatające go ogniwo ostrze miecza, moc żelaza pęka. Ciało w męce związane, teraz uwolnione, swobodne, odzyskuje harmonię tonów, linii.

Miast cierpiącego niewolnika Janka widzi w postaci tej radość i szczęście istnienia.

Wolność, jak lekki biały cień, rozświetlony dokoła, opromienia szlachetną twarz Jerzego. Ramiona jego, niby skrzydła, rwą się znów do lotu; dusza w ekstazie upojenia wolnością, pełna blasków, wybiega w przesłonecznym tonie oczu szafirów, hen, w daleką przyszłość.

Lecz oto spojrzenie to delikatne, przez pryzmat radości w dal wpatrzone, spływa ku ciemną chmurą okrytej Jance.

I coś, jak stopiona łza, jak kropla rosy mąci pogodny szafir mężczyzny.

— To litość, litość dla mnie! — rwie się w kobiecie.

— Nie chcę litości!...

Więc kryje się od słonecznego zjawiska gdzieś w mrok i czerń, łańcuch, którym skowano jej życie, jęczy ponuro.

Duszy to jęk...

XXIII

W cmentarzysko życia Janki biegnie na skrzydłach różanych, miłosnych, zapowiedź przyszłego szczęścia — szczęścia innych.

Kobieta, która ją półżywą znalazła u drzwi Mollego, ta, która przesunęła się przed nią trwożna i zmieszana swą nieszczęsną, fałszywą pozycyą, ta separatka, nie mogąca uzyskać rozwodu, mimo kryształowej niewinności swej duszy,

dla braku odpowiedniego punktu, to właśnie ona wydziera się z ciemności fal, które otoczyły ją czarnym wałem nieszczęścia.

Wydziera, lecz w słowach, które szle Jance, uciekając przed chłostą palącej ją przeszłości, bije od trwogi rozpacznego smutku.

— Idę ku mojej miłości mimo wszystko i na przebój. Zmieniam wiarę, by połączyć się związkiem małżeńskim z ukochanym. Przed tem odstępstwem ogarnia mnie szalona trwoga, rzuca ona szare, ponure pasmo na brylantową przędzę mej przyszłości; ale jakże mi czynić, jak? Czyż nie zmuszają nas do tego? Czyż nie zmuszają!?

Poza owem «zmuszają« otwiera się cała otchłań tragizmu i nędzy takiego istnienia.

Janka odrzuciła precz od siebie zapowiedź szczęścia, szczęścia za taką cenę!...

Fałsz, krzywoprzysięstwo, kłamstwo — to cena wolności Jerzego!...

Zadrżała.

Wyrzeczenie się wiary, świętości życia — to okup za wolność, za szczęście tej separatki.

— Czy byłabym w stanie uczynić to, co dopełniła Irena i ta druga? — koncentruje się pod jej czaszką pytaniem.

I choć w duszy, wraz z odpowiedzią, która ciśnie się na jej usta, znika cała jasność, gasną złote słońca promienie, staje się ciemno i chmurno, to jednak z głębi rozpaczą przepełnionego serca wydziera się:

— Nie, nie...

A w tę piękną moc duchową, w tę szlachetną potęgę, zapada:

— A więc dusza twoja wlec się musi po ciernistych

drogach życia i poddać istnienie swe pod sprawiedliwość ludzką.

— I dlatego żadna już gwiazda nie zalśni na uroczem sklepieniu życia twego.

Cisza i ciemność, i pustka dokoła.

— Mdlejesz z bólu? Wyciągasz ręce przed siebie?

— Patrz! Tam kona szczęście twe, miłości twej wizya.

— Wołasz: »To okrucieństwo, wszak nic nie zawiniłam!«

— Tak! Lecz tego chce twarda, z litery prawa ukuta bryła!...

A gdy los twój, twe nieszczęsne życiowe fatum zagnało cię pod jej moc, panowanie, to pod obuchem tym, targając się w rozpaczliwej walce, lub konając w szarej, nieokreślonej egzystencyi, aż do śmierci twojej, lub skutej z tobą jednostki, trwać już musisz.

Czy ty to słyszysz Janko?... Musisz!...

KONIEC.